

Susanna Kearsley

MARIANA

(Mariana)

Przełożyła Katarzyna Kaczmarek

Susan Shepherd,
która mnie prowadziła mniej uczęszczanymi ścieżkami,
poświęcam

*Za dnia – wciąż nowy głos w tej ciszy
Budzi się, rośnie, do niej biegnie.
Muszki brzęczały w oknach; myszy
W zbutwiałym chrobotają drewnie.
W drzwiach się jawiły dawne twarze;
Dawne w komnatach kroki brzmiały;
Dawne ją głosy przyzywały
Do jakichś zapomnianych zdarzeń.*

Alfred Tennyson, „Mariana”

Rozdział 1

Pierwszy raz zobaczyłam dom latem tego roku, kiedy obchodziłam swoje piąte urodziny. Wszystko było winą poety i tego, że nasza weekendowa wizyta u ukochanej starej ciotki w Exeter wprawiła mojego ojca w dziwnie poetycki nastrój. Kiedy wracając do domu, dotarliśmy niespodziewanie do rozwidlenia dróg, rozmyślnie skręcił w lewo zamiast, jak zwykle – w prawo. „Podróżujcie zawsze mniej uczęszczaną drogą” – powiedział w łagodnym zamyśleniu. I rzeczywiście, tak jak obiecywał poeta, od tego się wszystko zaczęło.

No więc prawie od razu się zgubiliśmy. Tak beznadziejnie, że mama musiała nawet odłożyć mapę. Wydawało się, że chmury, które za chwilę miały przysłonić słońce, były odbiciem pogarszającego się z chwili na chwilę nastroju ojca. Kiedy tak siedział za kierownicą, coraz bardziej zły i zasepiony, zapomniał nawet o całej swojej poezji. Po piątej lunął gęsty deszcz, a mama dała mnie i mojemu bratu Tommy’emu trochę słodyczy. Na próżno jednak próbowała powstrzymać nas od irytowania taty, który najwyraźniej mógł w każdej chwili wybuchnąć.

Miętówki w różowo-białe paski, które dostaliśmy od mamy, były tak mocne, że aż zapierały nam dech. Aby cokolwiek do siebie powiedzieć, musieliśmy wyjmować je z ust. Kiedy dojechaliśmy do pierwszych zabudowań i sklepów w jakiejś wiosce, moja twarz i ręce były aż lepkie od cukru, a przód nowej marszczonej sukienki poplamiony i kompletnie zniszczony.

Nigdy później nie mogłam sobie przypomnieć, co sprawiło, że ojciec stanął właśnie w tym miejscu. Wydaje mi się, że pamiętam kota przebiegającego przez drogę, ale mogło to być równie dobrze wytworem wybujałej fantazji dziecka i zmęczenia. Jakikolwiek był tego powód, dość że samochód się zatrzymał, silnik zgasł i właśnie wtedy, w zamieszaniu, jakie później nastąpiło, zdałam sobie niejasno sprawę z obecności domu.

Była to raczej stara farma, zbudowana na planie kwadratu, kamienna i bardzo solidna. Stała w pewnej odległości od drogi, otaczała ją parę bezładnie posadzonych drzew, mających chyba, zapewnić domowi pewną prywatność. Ciemno połyskujący łupkowy dach pod ostrym kątem łączył się z wyblakłymi od słońca szarymi kamiennymi ścianami. Tę monotonię kolorów ożywiały jedynie czerwony komin z cegły i mnóstwo świeżo pomalowanych na biało ram okiennych.

Przyciskałam nos do zimnej szyby samochodu, żeby lepiej się przyjrzeć domowi, ale właśnie wtedy, po kilku bezskutecznych próbach, mojemu ojcu udało się znów ożywić silnik. Mama, najwyraźniej uszczęśliwiona z tego powodu, odwróciła się, żeby zobaczyć, co robimy.

– Julio, przestań – zażądała stanowczo. – Zostawisz ślady na szybie.

– To mój dom – odparłam, chcąc wyjaśnić sprawę. Tommy wskazał znacznie większy i bardziej okazały budynek, który właśnie mijaliśmy.

– W takim razie ten będzie mój! – oświadczył z triumfem.

Ku uciesze rodziców kontynuowaliśmy tę zabawę aż do domu w Oksfordzie. O szarej, smutnej farmie zapomnieliśmy.

Nie miałam jej zobaczyć przez następnych siedemnaście lat. To lato, kiedy skończyłam dwadzieścia dwa lata, zachowało się dobrze w mej pamięci. Właśnie ukończyłam Szkołę Sztuk Pięknych i dostałam, wydawałoby się, doskonałą pracę w małej firmie ogłoszeniowej. Trzy lata starszy ode mnie brat Tom wrócił właśnie z dyplomem uniwersyteckim i zaszokował całą rodzinę, oświadczając, że ma zamiar zostać pastorem. Nasza rodzina nie była nigdy szczególnie bogobojna, a Tom zażartował, że nosząc takie imię, nie ma właściwie wyboru.

– No pomyśl tylko: Thomas Beckett! – pokpiwał. – Wprawdzie przez dwa „t”, ale czego więcej można się po mnie spodziewać? Nadaję się tylko do stanu duchownego.* [Aluzja do Thomasa Becketa (ok. 1118-1170), arcybiskupa Canterbury, który stanął na czele opozycji przeciw królowi Henrykowi II, ograniczającemu przywileje Kościoła katolickiego. Zginął z rąk królewskich rycerzy. W roku 1173 został kanonizowany.]

Aby uczcić nasze wejście w dorosłe życie, postanowiliśmy z Tomem pojechać na krótkie wakacje na wybrzeże Devonu. Mogliśmy tam zapomnieć na chwilę o rodzicach i wszystkich nowych obowiązkach i cieszyć się upalną, słoneczną pogodą, za którą błogosławiliśmy południową Anglię. I istotnie – nie rozczarowaliśmy się. Spędziliśmy cudowny tydzień, leżąc na plaży w Torquay, całkowicie odprężeni, odmłodniali i opaleni.

Tom w przypiływie dobrego humoru oświadczył, że będę jego pilotem w drodze powrotnej. Powinien być mniej lekkomyślny. Mimo że radzę sobie całkiem dobrze z mapami, to jednak bardzo szybko tracę orientację w terenie. W rezultacie znaleźliśmy się z dala od głównej drogi. Mijaliśmy niezliczone mnóstwo identycznych małych wioseczek. Łączyła je ze sobą jedynie wąska droga, tak gęsto obsadzona drzewami, że wydawało się nam, iż jedziemy przez zielony tunel.

Kiedy minęliśmy siódmą wioskę, Tom spojrzał na mnie z wyrzutem. Obydwoje odziedziczyliśmy karnację i rysy twarzy matki, ale podczas gdy ja z moimi czarnymi oczyma i włosami wyglądałam egzotycznie, Tom, jeśli tylko zapragnął, mógł wyglądać bardzo groźnie.

– Jak sądzisz, gdzie jesteśmy? – zapytał podejrzanie uprzejmie.

– Sądzę, że w Wiltshire, gdzieś tak w środku – odpowiedziałam radośnie po krótkiej chwili studiowania mapy.

– Cóż, to faktycznie bardzo precyzyjne określenie.

– Słuchaj – powiedziałam, kiedy wjeżdżaliśmy do wioski numer osiem – czemu nie przestaniesz być takim nudziarzem i nie spytasz o drogę w najbliższym pubie? Naprawdę, Tom, jesteś tak samo niepoprawny jak tata. – Zakończyłam zdanie nagłym piskiem.

Tym razem mi się nie wydawało. Duży rudy kot przebiegł drogę tuż przed maską naszego samochodu. Hamulce zazgrzytały na znak protestu, kiedy Tom gwałtownie zatrzymał wóz. Silnik zgasł.

– Do jasnej cholery!

– Duchowni nie używają takiego języka – przypomniałam mojemu bratu, a on uśmiechnął się bezwiednie.

– To się bierze samo z siebie – usprawiedliwił się. Rozbawiona spojrzałam przez okno i

zamarłam.

– Niemożliwe.

– Wiem – przytaknął mój brat. – Cholerne szczęście. Pokręciłam przecząco głową.

– Nie, Tom, spójrz tylko. To przecież mój dom. – Co?

– Mój szary dom – powtórzyłam. – Nie pamiętasz? Kiedyś też kot przebiegł nam drogę i tata musiał zatrzymać samochód.

– Nie pamiętam.

– No, kiedy wracaliśmy od ciotki Heleny – ciągnęłam. – Zaraz po moich piątych urodzinach. Padało, a tata pojechał złą drogą i kot przebiegł tuż przed maską. Ojciec musiał zatrzymać samochód.

Mój brat patrzył na mnie tak, jak naukowiec musi patrzeć na jakiś nowy okaz fauny bądź flory, po czym powiedział:

– Nie, nie pamiętam.

– No, w każdym razie tak było – twierdziłam uparcie. – Samochód zatrzymał się właśnie w tym miejscu i wtedy zobaczyłam ten dom.

– Skoro tak twierdzisz...

Znów ruszyliśmy, Tom zjechał na pobocze, żebym mogła przyjrzeć się domowi lepiej.

– Jak sądzisz, co to znaczy? – zapytałam.

– Że nasza rodzina nie ma szczęścia do kotów w Wiltshire – orzekł mój brat. – Radzę nie zwracać na nie uwagi.

– Ciekawe, ile ma lat.

Tom wychylił się przez okno.

– Wydaje mi się, że to styl elżbietański. No, może z okresu panowania Jakuba I. Nic późniejszego.

Całkiem zapomniałam, że Tom interesował się w szkole architekturą. Poza tym zawsze wszystko wiedział.

– Chciałabym mu się lepiej przyjrzeć – oświadczyłam, ale zanim mój brat zawrócił, zdążył jeszcze popatrzeć na mnie z politowaniem.

– Ja nie – odparł. – Nie mam zamiaru podglądać kogoś przez okno wyłącznie dla zaspokojenia twojej zachcianki. Poza tym jest tu wyraźnie napisane: „posiadłość prywatna”.

Za chwilę zatrzymywaliśmy się już na parkingu przed Czerwonym Lwem – szacownym na wpół drewnianym pubem, ze staroświeckim dachem pokrytym strzechą i wystawionymi na zewnątrz stołami, które mogły pomieścić w południe tłum gości. Tom poszedł wychylić kufel piwa i spytać o drogę, a ja zostałam w samochodzie i zaczęłam gruntownie roztrząsać problem, jak można zabłądzić dwa razy w tym samym miejscu. W związku z tym zupełnie zapomniałam powiedzieć mojemu bratu, żeby zapytał o nazwę miasteczka.

Dopiero po ośmiu latach znalazłam się ponownie w Exbury, w hrabstwie Wiltshire.

Tym razem – ostatnim – przyjechałam tu w kwietniu, dwa miesiące przed moimi trzydziestymi urodzinami, i jakoś udało mi się nie zgubić. Dotąd cały czas mieszkałam w Londynie – wynajmowałam maleńkie mieszkanie w dzielnicy Bloomsbury. Zdążyłam się już

w nim zadomowić, kiedy niespodziewanie otrzymałam bardzo duży spadek, który zostawiła mi siostra ojca – ciotka Helena. Ta sama, do której jeździliśmy lata temu. Ciotka widziała mnie chyba ze dwa razy w życiu, dlatego też decyzja pozostawienia mi tak ogromnej sumy pieniędzy na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą. Być może chodziło o to, że byłam jedyną dziewczyną w rodzinie znanej z tego, że przychodzili w niej na świat wyłącznie mężczyźni potomkowie. Według mojego ojca ciotka Helena była zagorzałą feministką. „Pokój na własność” – orzekł Tom apodyktycznie. – To właśnie ci zostawiła. Nie czytałaś „Wirginii Woolf”?

Tak naprawdę było tego znacznie więcej, niż potrzeba na pokój. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co zrobić z taką sumą pieniędzy. Tom zdecydowanie odmówił udziału w spadku, a rodzice twierdzili, że od czasu przejścia ojca na emeryturę żyje im się całkiem dobrze.

W tym czasie byłam bardzo zajęta, gdyż zmieniałam nieco swój genre zawodowy. Odchodziłam od projektowania reklam w stronę grafiki książkowej. Stwierdziłam, że to drugie znacznie bardziej mnie pociąga, poza tym przynosi większy dochód. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności związałam się zawodowo z utalentowanym autorem i nasza współpraca nad serią bajek dla dzieci zaowocowała nie tylko dużym przepływem gotówki, ale także ugruntowaniem się mojego nazwiska w branży. W ostatnim tygodniu zaproponowano mi wykonanie ilustracji do dużego zbioru baśni i legend z całego świata. Myśl o nowym zadaniu ogromnie mnie podniecała, wiedziałam też, że dzięki temu będę miała zajęcie przez większą część roku. Czułam się, jakby mnie kto wsadził na sto koni.

Zazwyczaj świętowałam swoje osiągnięcia w gronie rodziny, ale rodzice byli właśnie w podróży dokoła świata, a Toma zaprzętały przygotowania do Wielkanocy, więc pojechałam odwiedzić znajomych w Bath. W poniedziałek rano, stwierdziwszy, że jak na mój gust, ruch na głównej szosie jest zbyt duży, skręciłam na północ i ruszyłam mało uczęszczaną trasą wzdłuż rzeki Kennet.

Był chłodny, ale naprawdę cudowny wiosenny dzień, na rosnących przy drodze drzewach zieleniły się już pierwsze listki. Opuściłam szyby, żeby czuć cudownie słodki zapach powietrza, przepojonego wonią deszczu, ziemi i budzących się do życia roślin.

Mój wysłużony, aczkolwiek godny zaufania peugeot pokonał mały pagórek z ostrzegawczym wyciem. Przyśpieszając, pokonałam szeroki zakręt, za którym droga niknęła w płaskim wzniesieniu, a potem przejechałam na drugą stronę rzeki wąskim kamiennym mostem. Znalazłszy się na nim, poczułam dreszcz podniecenia i zacisnęłam mocniej palce na kierownicy.

Najdziwniejszą rzeczą w tym wszystkim było to, że tym razem widok domu wcale mnie nie zaskoczył. Wydaje mi się, że podświadomie czułam, iż go zobaczę.

Zwolniłam, zjechałam na pobocze i zatrzymałam się naprzeciwko długiego podjazdu. Przez drogę przebiegł duży rudy kot. Nawet na mnie nie spojrzał. Po chwili zniknął w wysokiej falującej trawie. Trzy razy, nawet bez kota, powiedziałam sobie w duchu, to już za dużo, jak na zwykły zbieg okoliczności.

Z pewnością ten, kto tu mieszka, nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym się trochę

rozejrzała. Kiedy tak stałam i się zastanawiałam, z pola za moimi plecami wzbiło się w niebo rozwrzeszczane stadko szpaków, pokrażyło chwilę nad szarym domem i odleciało.

To przesądziło sprawę. Razem z wyglądem odziedziczyłam także po mojej mamie skłonność do przesądów po jej kornwalijskich przodkach – kiedyś wymyśliłam sobie, że szpaki przynoszą mi szczęście. Już w dzieciństwie, kiedy tylko zobaczyłam te ptaki, wiedziałam, że zaraz przydarzy mi się coś cudownego. Tom starał się wyperswadować mi to przeświadczenie, twierdząc, że ponieważ szpaki są w Anglii bardzo rzadkie, ich związek z moim szczęściem musi być naprawdę przypadkowy. Nie dałam się przekonać. Wiedziałam tylko, że szpaki nigdy jeszcze nie wyróżyły mi nic złego. Patrząc, jak odlatują, podjęłam nagłą decyzję.

Chwycałam z tylnego siedzenia swoją starą kurtkę i wysiadłam z samochodu. Przez pośpiech o mało nie wpadłam do rowu. Mój strój – kurtka, włochaty sweter i džinsy – nie był zbyt wizytowy, ale cóż mogłam na to poradzić? Przeczesałam ręką włosy, chcąc przyglądzić nieco nieposłuszne krótkie loczki, ale porywisty wiatr zniweczył moje wysiłki.

A więc, zastanawiałam się, jakiego użyć pretekstu? Zgubiłam drogę? Chcę się napić wody? Kłopoty z samochodem? Spojrzałam na wysłużonego peugeota i zdecydowałam się na to ostatnie. Każdy to kupi. Obmyślając, co powiem, przecięłam drogę i weszłam na podjazd. Zniszczona i przekrzywiona tabliczka z czerwonym napisem „posiadłość prywatna” zwisała smętnie na jednym gwoździu z najbliższego drzewa. Niezrażona szłam dalej, mając nadzieję, że moje kroki nie wydają się mieszkańcom domu tak głośne, jak mnie samej.

Dom był dokładnie taki, jakim go pamiętałam. Miał te same czerwone kominy, symetrycznie rozmieszczone okna w białych ramach, te same szare kamienne ściany, a nad nimi stromy dach. Jediną rzeczą, która się zmieniła, były drzwi. Wydawało mi się, że powinny być brązowe, ale teraz przekonałam się, że są ciemnozielone. Kontrastowały znakomicie z potężnym kamiennym portalem.

Moje stukanie odbiło się po domu głośnym echem. Zanim stwierdziłam, że nikt nie ma zamiaru mi otworzyć, pukałam w twarde drzewo aż trzy razy.

A więc nikogo nie zastałam. W takim razie, powiedziałam sobie uszczęśliwiona, nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli pójdę na tyły domu i zajrzę w parę okien. Wróciłam więc na podjazd i tym razem ruszyłam ku północnej części domu.

Tu podjazd kończył się nagle małym, przysadzistym, kamiennym budynkiem, krytym strzechą. Najwyraźniej kiedyś były tutaj stajnie, ale zderzak samochodu wystający z jednego z boksów nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co do obecnego ich przeznaczenia.

Widok z miejsca, w którym stałam – rozległe łąki i łagodne doliny, tu i ówdzie kępy zielonych drzew albo dzikich krzewów – był naprawdę cudowny. Bezlądna góra kamieni za domem mogła sugerować, że kiedyś stanowiły one część ogrodzenia podwórka. Przed domem rosły trzy dęby, jedno drzewko owocowe i parę krzaków, za nim jedynie samotna topola o chropowatej korze i zielono-srebrnym listowiu, poruszającym się lekko na wietrze.

Z tyłu były jeszcze jedne ciemnozielone drzwi z bardzo staroświeckim zamkiem i kolejny rząd podwójnych biało obramowanych okien. Pod – jak mi się wydawało – oknem od kuchni ktoś ustawił niebezpiecznie chwiejną piramidę bardzo starych doniczek o omszałych

brzegach. Żeby móc cokolwiek dostrzec w blasku oślepiającego słońca, stanęłam na palcach i oparłam się jedną ręką o szybę. Rzeczy

wiecie, było to albo okno kuchenne, albo okno spiżarni. Z miejsca, gdzie stałam, mogłam dojrzeć tylko puszki z żywnością stojące na półkach i stary porcelanowy zlew. Przekrzywiałam głowę, żeby zobaczyć coś więcej, kiedy nagle tuż za mną odezwał się męski głos:

– Nie ma go.

Głos był przyjazny i słychać w nim było niezbyt angielsko brzmiące „r”. Ale nie od razu zarejestrowałam obydwie te cechy. Zaskoczona, odwróciłam się szybko, przewracając stertę doniczek.

Z początku nie zobaczyłam nikogo, potem jednak spoza pozostałości kamiennego ogrodzenia wyłonił się mężczyzna i podszedł do mnie przez trawę. Był młody, no, najwyżej pięć lat starszy ode mnie. Miał na sobie roboczy kombinezon i długie skórzane rękawice, które wyglądały jakoś dziwnie anachronicznie i nie na miejscu.

– Nie zamierzałem pani przestraszyć – usprawiedliwił się. – Po prostu chciałem powiedzieć, że jeśli szuka pani Eddiego, to go nie ma.

Stał całkiem blisko, tak że widziałam wyraźnie jego kasztanowe włosy i szare oczy, co sprawiało, że wygląd miał bardzo sympatyczny. Mężczyzna uśmiechnął się i ten przyjazny uśmiech pasował bardzo do tembru jego głosu.

– Jest pani znajomą Eddiego? – zapytał. Pokręciłam przecząco głową.

– Zatem krewną?

– Nie. – Zacerwieniłam się lekko. Czułam, że moja bajeczka o zepsutym samochodzie nie zmyli tak łatwo właściciela przenikliwych szarych oczu.

– Nie, nie znam gospodarza. Nie wie pan, czy szybko wróci?

Mężczyzna przechylił głowę na bok i popatrzył na mnie uważnie, co przywiodło mi zaraz na myśl mojego brata.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział spokojnie. – Pochowaliśmy go w zeszłym miesiącu.

– Och, przepraszam. – Zacerwieniłam się mocniej. – Jest mi naprawdę bardzo przykro.

– Nic nie szkodzi – wzruszył ramionami – A więc po prostu rozgląda się pani?

Policzki miałam już purpurowe. Czułam, że przybysza bawi moje oczywiste zażenowanie. Minęła chwila, zanim to, co powiedział, dotarło do mnie. Moje zdenerwowanie zniknęło całkowicie. Podniosłam szybko oczy.

– Czy to znaczy, że ten dom jest na sprzedaż?

– Mhm. Chce mu się pani przyjrzeć lepiej?

– Chcę go kupić. W końcu czekałam na niego dwadzieścia pięć lat.

Mężczyzna uniósł pytająco rudawe brwi i wtedy, nie wiadomo dlaczego, zaczęłam mu nieskładnie opowiadać całą historię o domu i o mnie. Słuchał wszystkiego z godnym podziwu spokojem. Nie wydaje mi się, żeby opowieść zbytnio go zainteresowała. Kiedy skończyłam swoją paplaninę, jego wzrok spotkał się już po raz drugi tego dnia z moim. Mężczyzna naprawdę bardzo przypominał Toma.

– W takim razie – oświadczył uroczyście – powinna pani zobaczyć się z panem

Ridleyem, który mieszka przy High Street. Nie mam przy sobie własnych kluczy, inaczej pokazałbym pani wszystko sam. – Zdjął rękawicę i wyciągnął do mnie rękę na powitanie. – Nazywam się Ian Sumner.

– Julia Beckett. – Musiałam mieć wypisane na twarzy to, co pomyślałam na widok jego dłoni, bo uśmiechnął się tylko, rzuciwszy okiem na zadrapania na swojej ręce.

– Jeżyny – wyjaśnił krótko. – Zagłuszyłyby mi ogród, gdybym ich nie przeredził. To wcale nie jest takie bolesne – dodał, wkładając z powrotem rękawicę. – Chyba powinienem wracać do pracy. Powodzenia przy kupnie domu.

– Dziękuję – powiedziałam, ale odszedł już na tyle daleko, że tego nie słyszał.

Pięć minut później siedziałam w biurze handlu nieruchomościami Ridley i Stewart. Muszę przyznać uczciwie, że nie pamiętam zbyt dużo z tamtego popołudnia. Przypominam sobie tylko niezbyt zrozumiałą dla mnie rozmowę z panem Ridleyem, który dość chaotycznie próbował wyłożyć mi prawną stronę transakcji, sprawę własności gruntu i tym podobne rzeczy. Muszę się przyznać, że naprawdę niezbyt uważnie słuchałam tego, co mówił.

– Czy jest pani pewna, że zanim podpiszemy umowę, nie chce pani obejrzeć posesji? – zapytał.

– Widziałam ją – odparłam. Mówiąc szczerze, uważałam, że nie ma potrzeby zajmować się takimi błahostkami. Przecież to mój dom. Mój dom. Cały czas o tym pamiętałam, zwłaszcza kiedy tego samego popołudnia zapukałam do drzwi probostwa parafii Świętego Stefana w Hampshire.

– Pogratuluj mi – zaśmiałam się, widząc zaskoczoną twarz mojego brata. – Zostaliśmy sąsiadami. Właśnie kupiłam dom w Wiltshire.

Rozdział 2

A gdzie mam go postawić, proszę pani?

Młody pomocnik z firmy przewozowej, niosący ciężki fotel, jakby to była dziecinna zabawka, zatrzymał się w holu w oczekiwaniu na dalsze wskazówki.

Byłam zajęta grzebaniem w jednym z ciasno upakowanych pudeł, starając się znaleźć mój wierny i wysłużony imbryczek do herbaty, zanim zagotuje się woda. Spojrzałam niezdecydowanie przez ramię.

– W sypialni – zdecydowałam. – Pierwszy pokój po prawej. Tuż przy schodach.

Moja ręka napotkała w pudle znajomy kształt. W tym samym czasie woda się zagotowała, a czajnik zaczął głośno gwizdać. Wyłączyłam gaz, wsypałam do imbryczka trochę herbaty, wlałam do niego wodę i odstawiłam na chwilę naczynie na brzeg kuchenki, żeby esencja się dobrze zaparzyła.

– Pani Beckett? – Pan Owen, szef ekipy przewożącej moje rzeczy, stał w drzwiach z jednym ze swoich pomocników. Jego pogodna, okrągła twarz była purpurowa z wysiłku. – Wnieśliśmy właśnie stół kuchenny. Tylnym wejściem, bo nie chciałem zarysować boazerii w holu.

Usunęłam się usłużnie z drogi, mówiąc:

– Właśnie zaparzyłam świeżą herbatę. Jeśli pan i pańscy ludzie chcieliby się poczęstować... Och! – Rozejrzałam się dookoła, coś sobie nagle przypomniawszy. – Przecież nie rozpakowałam jeszcze filiżanek.

– Nic nie szkodzi, droga pani – mrugnął do mnie Owen przyjaźnie. – Na wszelki wypadek zawsze wożę kubki ze sobą. Jak pani widzi, jestem przygotowany na każdą okoliczność.

Jasnowłosy pomocnik zszedł z góry trochę zakłopotany.

– Czy to na pewno miały być pierwsze drzwi po prawej? Na moje oko to pomieszczenie wcale nie wygląda na sypialnię, jest strasznie małe i w dodatku na środku stoją sztalugi czy coś w tym rodzaju.

Klepnęłam się w czoło z przeproszającym uśmiechem.

– Przepraszam, myślałam o trzecich drzwiach na prawo. Taki duży pokój po północnej stronie domu.

– Dobrze, proszę pani. – Twarz mu się rozjaśniła i już go nie było.

– Zawsze w takich sytuacjach człowiek trochę się gubi. – Owen postawił stół pod ścianą sąsiadującą ze spiżarnią. – Już niedługo się pani w tym wszystkim połapie. Dobrze, sądzę, że to chyba wszystkie meble. Zostały jeszcze te pudła. W takim razie chyba skoczę po kubki, prawda?

Był naprawdę cudownym i najlepiej chyba zorganizowanym człowiekiem, jakiego dotychczas spotkałam, wartym pieniędzy, które płaciłam za jego usługi. Kiedy trzy tygodnie temu kupiłam dom, nie przywiązywałam wcale wagi do tego, w jaki sposób przewiozę swoje rzeczy z londyńskiego mieszkania do Exbury. Ale kiedy wróciłam do Londynu i zaczęłam się

pakować, zorientowałam się, że bez fachowej pomocy w żaden sposób nie dojdę z tym wszystkim do ładu. Oprócz odziedziczonych po ciotce Helenie mebli do sypialni miałam też wyposażenie salonu i kuchni, przybory z gabinetu, gdzie pracowałam, stół kreślarski oraz parę setek książek, które kupowałam w Londynie na wyprzedazach i w antykwariatach. Namówiona przez znajomego, zadzwoniłam do pana Owena, a on niby współczesny rycerz przybył mi na pomoc, żądając jednak za to słonej zapłaty.

W moim starym mieszkaniu pudła zaopatrzone w napisy i etykiety zajmowały prawie całą jego powierzchnię. Tutaj, w domu, niknęły w przestronnych, zalanych słonecznym światłem pokojach. Byłam zadowolona, że od środka dom podoba mi się tak samo jak od zewnątrz i że to wszystko świetnie odpowiada moim konserwatywnym raczej gustom.

Przez drzwi frontowe wchodziło się do dużego holu, wyłożonego ciemną dębową boazerią. „Siedemnasty wiek – stwierdził fachowo pan Owen, rzuciwszy tylko okiem. – Doskonała robota”. Dalej klatka schodowa, też w dębinie; po przejściu kilku stopni trzeba było zatrzymać się na półpiętrze dla nabrania oddechu. Potem schody skręcały w lewo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i prowadziły aż do pierwszego piętra. Z holu na parterze na prawo wchodziło się do gabinetu, a na lewo do pokoju gościnnego. Wąski korytarz na prawo od schodów prowadził do kuchni. Jadalnia, kuchnia i staroświecka spiżarnia zajmowały pół parteru. Ich duże jasne okna wychodziły na pofałdowaną zieloną równinę, mieniącą się kolorami wczesnych wiosennych kwiatów.

Na górze były cztery pokoje. Największy, położony nad gabinetem i spiżarnią, wybrałam z oczywistych względów na sypialnię. Był tam nawet czynny kominek i przestronny aneks kredensowy usytuowany w niszy. W mniejszym pokoju postanowiłam urządzić pracownię. Dwa pokoje frontowe na górze zostawiłam na razie nie umeblowane, decydując, że do czasu, kiedy się zadomowię, będą służyć jako skład różnych potrzebnych rzeczy. Pomędzy pracownią a sypialnią była łazienka z wanną, co w takich jak ten starych domach stanowiło nie lada zbytek.

Oczywiście, rury były w nie najlepszym stanie, a tynk nad górnymi oknami popękał i pokruszył się z wilgoci, ale nie ma kłopotów, którym nie dałoby się szybko zaradzić.

– Wspaniały stary dom – rzekł pan Owen, wyrażając w istocie głośno moje własne myśli. Przesiadł na pudłach, do których zapakowałam swoje rzeczy, i podał mi plastikowy kubeczek. – Powiada pani, że zbudowano go około 1580 roku?

– Tak mi powiedzieli w agencji handlu nieruchomościami – przytaknęłam, nalewając mocnej herbaty wszystkim trzem mężczyznom. Spoczęłam i ja na zaimprovizowanym siedzeniu, rozkoszując się swoim kubkiem parującego napoju. – Niestety, obawiam się, że bardzo pobieżnie orientuję się w jego historii.

– Och, nie mam wątpliwości, że tutejsi mieszkańcy oświecą panią w tej dziedzinie – rzekł z przekonaniem pan Owen. – Takie stare domy jak ten zawsze mają jakąś historię. No, przynajmniej większość z nich. Dowie się o nim pani więcej w miejscowej knajpie przy kuflu piwa, niż wyczytałaby to pani w jakiegokolwiek książce.

– Będę o tym pamiętała.

Dwaj młodszy mężczyźni siedzieli w milczeniu, czekając, aż Owen skończy pogawędkę i

da im sygnał, że mogą wrócić do pracy. Po wypiciu drugiego kubka herbaty w końcu wstał. Dokładnie w tej samej chwili rozległ się w holu potężny huk, co sprawiło, że podskoczyłam do góry.

– To tylko drzwi wejściowe, proszę pani – wyjaśnił jeden z pomocników. – Widzi pani, otwierają się do środka, a ten stary zamek nie jest zbyt mocny. Wystarczy silniejszy podmuch wiatru, żeby je otworzyć.

Pan Owen szybko obejrzał drzwi, założył na klamkę specjalną gumową nakładkę, żeby przy następnym uderzeniu nie zniszczyła boazerii, i poradził mi, abym jak najszybciej kupiła nowy zamek.

– Nigdy za dużo ostrożności – powiedział. Rozpakowywanie – oczywiście pobieżne – i ustawianie w pokojach pozostałych moich rzeczy zajęły mi niespełna godzinę i już o wpół do drugiej stałam w progu, machając na pożegnanie oddalającej się ciężarówce. Wtedy poczułam po raz pierwszy, jak bardzo czuję się tu niepewna. I strasznie samotna.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co naprawdę zrobiłam. Wcześniej nie byli w stanie wyperswadować mi tego ani mój brat, sceptycznie podchodzący do wszystkiego, ani rodzice konferujący ze mną na ten temat godzinami przez telefon.

Wszystkim mówiłam, że tu, w Exbury, będę mogła egzystować równie dobrze jak w Londynie. Z dala od rozrywek wielkiego miasta łatwiej skupię się na twórczej pracy i nic nie będzie mnie rozpraszać. Poza tym posiadłość jest przecież dobrą lokatą kapitału. Jakoś nie brałam wcześniej pod uwagę faktu, że zmieniam znajome mi otoczenie oraz grono dobrych przyjaciół na zbieraninę obcych ludzi. Po prostu wcześniej ta sprawa nie wydawała mi się zbyt ważna. Do teraz. Poczulałam cichą tęsknotę za moim mieszkaniem na trzecim piętrze i za sąsiadką z dołu, Angie, do której zawsze mogłam wpaść na filiżankę kawy i pogaduszki.

Tęsknota jednak zniknęła, gdy odwróciłam się i rozejrzałam po moim gabinecie. To był cudowny pokój ze ścianami wyłożonym ciemną boazerią, pachnący olejkiem cytrynowym, z rzędami pustych jeszcze półek na książki i miłym kominkiem, podobnym do tego w sypialni. Dziś rano promienie słoneczne wpadły do pokoju przez okno bez firanek, rzucając ukośne cienie na moją starą skórzaną sofę. Teraz światło było rozproszone. Oprócz sofy jedynymi meblami, które ustawiłam w tym pokoju, był fotel naprzeciwko kominka, proste biurko z drzewa orzechowego i krzesło. W tej chwili ginęły one za paczkami książek i papierami, które ze sobą przywiozłam.

Kusiło mnie, żeby zacząć rozpakowywanie właśnie tutaj, ale z doświadczenia wiedziałam, jak łatwo ulegam pokusie, i zrezygnowałam z tego pomysłu. Ukochana stara książka wygrzebana z pudła mogła spowodować, że resztę dnia spędziłabym na radosnym, lecz niezbyt produktywnym leniuchowaniu. Uznałam, że najlepiej odłożyć przeglądanie wszystkiego na później i zacząć od kuchni. To miało z pewnością więcej sensu.

Niechętnie zamknęłam drzwi gabinetu i wycofałam się na tyły domu, gdzie przez następne kilka godzin energicznie rozpakowywałam pudła. Moja matka byłaby ze mnie dumna. Ta ciężka praca sprawiła, że cała okryłam się kurzem i pragnęłam za wszelką cenę – jak kret z mojej ulubionej bajki dla dzieci – znaleźć się na dworze i zaczerpnąć choć łyk świeżego, wiosennego powietrza.

Pod wpływem tego impulsu otworzyłam szeroko drzwi kuchenne, wyszłam i zaczęłam się snuć dookoła domu, pozwalając, aby delikatny wietrzyk owiewał mi twarz i unosił włosy znad spoconego czoła. Potem wytarłam brudne ręce o nogawki dżinsów i stałam przez dobrą chwilę, rozkoszując się zasłużonym odpoczynkiem.

Rzuciłam okiem na stertę kamieni, zza której tego dnia, kiedy kupiłam dom, wyłonił się Ian Sumner, i ruszyłam w tamtą stronę.

Kamienie leżały jakieś trzydzieści metrów od domu, poza granicą mojej posiadłości. Nie wyglądało na to, by stanowiły zniszczoną część ogrodzenia, jak poprzednio sądziłam, gdyż były ułożone zbyt symetrycznie. Nie ukształtowały ich również w ten sposób siły natury. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że kamienie tworzą jakby literę L, której dłuższe ramię biegnie równoległe do ściany mojego domu. Miejscami mur nie był wyższy ode mnie, a tam gdzie stykały się oba ramiona litery, ktoś pracowicie skopał ziemię pod przyszły ogród. Ciemna gleba była spulchniona i świeżo nawieziona, gotowa do sadzenia.

– A więc go kupiłaś.

Już po raz drugi na dźwięk głosu Iana Sumnera wzdrygnęłam się nerwowo. Odwróciłam się do niego, Ian był potężnie zbudowany i nie mogłam pojąć, w jaki sposób zdołał przejść przez podwórko tak, że nie słyszałam jego kroków. Opanowałam się szybko i powitałam go najbardziej promiennym z moich uśmiechów. Miał na sobie włochaty sweter i grube robocze spodnie oraz brązową czapkę z poplamionym daszkiem. Zsunął ją na tył głowy, a jego szare oczy odpowiedziały mi uśmiechem.

– Kupiłaś ten dom – powtórzył. To było raczej stwierdzenie niż pytanie, ale odpowiedziałam:

– Tak.

– Cóż, przez ostatnie parę tygodni byłaś obiektem plotek całej okolicy. Ostrzegam. Pan Ridley rozpuścił wiadomość, że jesteś artystką z Londynu, no więc wszyscy są ciebie strasznie ciekawi. – Uśmiechnął się szeroko. – Jeśli nie masz kilku przyjaciół o odpowiednio zaszarganej opinii, żeby ich tu zapraszać na weekendy, to lepiej ich sobie znajdź. Inaczej nasza wieś będzie strasznie zawiedziona.

Roześmiałam się.

– Obawiam się, że wydam im się bardzo nudna. I niestety nie mam żadnych przyjaciół cyganów.

– Nawet jakiegoś krewnego o nadszarpniętej reputacji?

– Wszyscy są w Nowej Zelandii. Moi rodzice też wyjechali tam teraz na wakacje, tak więc jedyną osobą, która może mnie tu odwiedzić w najbliższej przyszłości, jest mój brat – wyjaśniłam. – A on jest pastorem.

– Hm. – Przyjął tę wiadomość z widoczną ulgą, przechylając głowę na bok. – Co sądzisz o moim ogrodzie?

– Ładny – odparłam zgodnie z prawdą. – Więc to twoja ziemia?

– Nie. – Przecząco pokręcił głową. – Należy do mojego przyjaciela. Po prostu wyświadczam mu przysługę. Jest tu zresztą miejsce tylko na trochę kwiatów, na nic więcej.

– I jeżyny – powiedziałam, przypominając sobie jego ręce.

– Mhm – uśmiechnął się. – I jeżyny. Masz rację. Sięgnęłam ręką, żeby dotknąć ciepłych, nagrzanym słońcem kamieni.

– Co tu było? – spytałam.

– Z tego, co mi wiadomo, gołębnik, ale niewiele z niego zostało.

– Czy był bardzo stary?

– Chyba taki jak dom albo jeszcze starszy.

– A więc ludzie, którzy tu wcześniej mieszkali, byli wieśniakami?

– Po prostu dzierżawili ten teren. – Wzruszył ramionami. – Ziemia, na której stoisz, należy do dworu i z tego, co wiem, zawsze tak było.

– Interesuję się starymi domami – wyznałam, cały czas gładząc wyblakły kamień. – A tym w szczególności. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o jego historii.

– Aha – powiedział i uśmiechnął się. – To rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Sam jestem tu od niecałych pięciu lat. Powinnaś zapytać Vivien.

– Vivien?

– Mhm. Vivien Wells z Czerwonego Lwa. To chodząca encyklopedia. Jeśli czegoś nie wie, znaczy, że nie warto tego wiedzieć.

Właściwie przestałam go słuchać, bo gdy podniosłam głowę, moją uwagę przykuł masywny koń i jeździec, którzy pojawili się nieco dalej. Stali w cieniu dębu, patrząc na nas. Koń był duży, potężny, siwy, jeździec ubrany na czarno, ale przystanęli za daleko, żebym mogła widzieć ich dokładniej.

Ian Sumner zmrużył oczy.

– Czy coś nie w porządku?

– Słucham? – Wróciłam do niego spojrzeniem. – Przepraszam. Nic się nie stało. Po prostu patrzyłam na tamtego mężczyznę.

– Którego?

– Na koniu, tam z tyłu, za tobą – powiedziałam, wskazując palcem.

Obrócił się, żeby spojrzeć, ale miejsce pod dębem było już puste. Potrząsnęłam głową.

– Już go nie ma. Wysoki mężczyzna na siwym koniu.

– Pewnie Geoff – rzekł wolno Ian. – To dworska ziemia. – Ale nie pamiętam, żeby Geoff miał w stajniach jakieś siwki.

– Nieważne – odparłam.

– Może nie – uśmiechnął się. – No, lepiej zostawię cię już w spokoju. Wróciłem po prostu po łopatę.

Podniósł zapomniane narzędzie z ziemi i życząc mi miłego wieczoru, ruszył w stronę drogi. Szedł, gwizdząc, czapkę nasunął z powrotem na oczy.

Rozglądałam się jeszcze przez chwilę, po czym wróciłam do domu, ale nie czułam już poprzedniego zapału do pracy, więc niepomna na wcześniejsze postanowienia, weszłam do gabinetu. Po rozpakowaniu prawie dwóch kartonów książek znalazłam zaczytany egzemplarz „Kamienia księżycowego” Williama Wilkie Collinsa. Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie poszłam na górę, wykapałam się i zmęczona usnęłam. Cień topoli kładł się w poprzek mojej koldry.

Rozdział 3

Nazajutrz po południu zobaczyłam Vivien Wells w pubie Pod Czerwonym Lwem. To był ten sam pub, gdzie zatrzymaliśmy się przed laty z Tomem, żeby zapytać o drogę. Poznałam stare belki, ściany natomiast świeżo otynkowane. Dach także pokryto nową strzechą. Niskie sklepienia sprawiały, że wewnątrz było bardzo przytulne. Na starej podłodze leżał niewielki wyświechtany dywan.

Poza małą grupką starszych mężczyzn tłoczących się przy stoliku w rogu byłam jedyną klientką rozkoszującą się o tej porze dnia miłą atmosferą pubu. Z dwóch osób obsługujących bar jedna była kobietą, zdrową i dobrze zbudowaną, mniej więcej w moim wieku. Vivien Wells miała miodowe włosy, szczerze niebieskie oczy i dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała. Od razu ją polubiłam.

Nalała mi dzinu z tonikiem, oparła ręce na porysowanym drewnie baru i zmierzyła mnie spojrzeniem.

– Ian mi powiedział, że jest pani ładna – powiedziała zaczepnie, a ja poprawiłam się niezręcznie na stołku.

– A mnie powiedział, że pani jest chodzącą encyklopedią – odparowałam.

Zaśmiała się, szczerze ubawiona.

– Istotnie, miły komplement. Jak się pani podoba w Szarych Głazach?

Uniosłam brew.

– Słucham?

– Dom – wyjaśniła. – Tak się nazywa pani dom.

– W dokumentach figuruje jakaś inna, wyszukana nazwa.

– Eddie ją wymyślił – odpowiedziała. – Ostatni właściciel. Sądził, że będzie brzmiała efektownie. Ale kiedy dorastałam, były to po prostu Szare Głazy, i tak też wszyscy do dziś ten dom nazywają.

– Szare Głazy – smakowałam tę nazwę. – To bardzo romantyczne.

– Całkiem zwyczajne. Szarego kamienia używano tu po prostu do budowy domów. W okolicy leżało pełno takich głazów jak w Stonehenge, a budowniczowie po prostu brali, co im w ręce wpadło.

– Aha.

– Ian mi mówił, że od dawna miała już pani ten dom na oku, prawda?

Przytaknęłam, zastanawiając się równocześnie, ile z mojej naiwnej relacji przekazał jej Ian. Uznałam jednak, że chyba niewiele. Po prostu jego spokojne szare oczy świadczyły o tym, że nie jest typem plotkarza.

– Widziałam go parę lat temu i bardzo mi się spodobał – wyjaśniłam. – Miałam szczęście, że właśnie teraz wystawiono go na sprzedaż. I w dodatku za cenę, na którą mogłam sobie pozwolić. No, prawie – poprawiłam się, myśląc o swoich bardzo mocno nadszarpniętych zasobach.

– Cóż... – Vivien machinalnie podniosła szklanke i zaczęła ją wycierać. Wzruszyła ramionami. – Na domy w tej okolicy nie ma zbyt wielu amatorów. Jest tutaj tylko parę

gospodarstw i z pół tuzina sklepów, mieszkają tu przeważnie emeryci. Obawiam się, że po Londynie wydamy się pani bardzo nudni.

– Opinie o Londynie są stanowczo przesadzone – zaprzeczyłam, ale byłam pewna, że Vivien Wells wiedziała to już wcześniej. – Poza tym potrzebuję spokoju do pracy.

– Oczywiście. – Zaczęła wycierać następną szklanekę. – Jest pani artystką, prawda? Maluje pani?

– Akwarele – odpowiedziałam. – Ale właściwie jestem ilustratorką. Robię ilustracje do książek.

– Naprawdę? Może czytałam którąś z nich?

– Na pewno nie, chyba że czytuje pani książki dla dzieci. Na przykład razem z Bridget Cooper ilustrowałam serię „Llandrah”.

– Naprawdę? Mam sześciolatniego siostrzeńca, który po prostu kocha te historyjki. No, no... – Vivien uniosła z podziwem brwi. – Czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, gdybym rozgłosiła trochę tę informację? Uwolnię po prostu sąsiadów od niepewności – zaśmiała się. – Cały czas się bali, że okaże się pani jedną z tych nowoczesnych rzeźbiarek. No wie pani, ogromne sterty pociętego metalu i inne takie rzeczy.

Pokiwałam głową z uśmiechem.

– Proszę bardzo, wcale mi to nie przeszkadza.

– Nie wyobrażam sobie, jak oni... Poczekaj pani? Przepraszam na chwilę.

Mężczyźni spod okna wzywali ją, żeby do nich podeszła. Kiedy szła w ich stronę, upiłam łyk dzinu z tonikiem i usadowiłam się wygodniej na twardym drewnianym stołku.

Poprzedniej nocy nie spałam zbyt dobrze. Moje ciało było bardzo zmęczone, ale uszy przez cały czas czuwały i ostrzegały mnie przed wszelkimi nieznanymi dźwiękami w pustym domu. Budziło mnie każde skrzypnięcie schodów, każda kropla wody spadająca do wanny z ciekącego kranu, każde otarcie się gałęzi drzewa o dach. Zasyślałam i budziłam się po krótkiej chwili, żeby rano wstać z łóżka z większą niż zwykle ochotą na mocną poranną kawę.

Zanim zrobiłam sobie przerwę w pracy i wyruszyłam do miasteczka, udało mi się rozpakować większość stojących w gabinecie pudeł.

Oprócz pubu Pod Czerwonym Lwem przy High Street było kilka sklepów i biur oraz powojennych, nowszych budynków, a także parę naprawdę prześlicznych domów, nieco cofniętych od ulicy. Przed oczami ciekawskich chroniły je kamienne ogrodzenia i żelazne kraty. Ulica była wyasfaltowana, ale brukowany deptak po zachodniej stronie nadawał całemu miasteczku odrobinę staroświeckiego wdzięku. Była też, co odkryłam z prawdziwą przyjemnością, łukowato sklepiona brama, prowadząca najprawdopodobniej do kościoła. Ledwie mogłam dostrzec jego wieżę ponad morzem gęstego listowia. Obok bramy stały ławki.

Zaczęłam się zastanawiać, z jakiego okresu może pochodzić kościół, i zadałam chyba to pytanie na głos, bo odpowiedziała mi Vivien, zajmując ponownie swoje miejsce za barem:

– Pochodzi jeszcze z czasów saskich. To znaczy, niektóre fragmenty, bo zakończono budowę około 1500 roku. – Spojrzała na moją pustą szklaneczkę.

– Nalać pani jeszcze?

– Proszę, ale tym razem małą porcję. – Przesunęłam szklaneczkę w jej stronę. – Rzeczywiście zna pani historię tych okolic.

Uśmiechnęła się.

– Historia bardzo mnie interesuje – wyjaśniła. – A poza tym moja babcia uwielbiała opowiadać, Ian mówił, że chciałaby się pani dowiedzieć czegoś o swoim domu. Obawiam się, że nie wiem o nim zbyt wiele. Wydaje mi się, że trochę więcej mogłaby powiedzieć na jego temat moja ciotka. Jak sięgnę pamięcią, zawsze mieszkali w nim Randallowie, a oni nie byli szczególnie interesujący. Ale może mimo to uda mi się znaleźć dla pani coś ciekawego. Tak właściwie...

Odwróciła się do swojego pomocnika, który czytając gazetę, śmiał się głośno i jednocześnie palił papierosa.

– Ned! – krzyknęła. – Czy twój ojciec przypadkiem nie naprawiał czegoś czasami w Szarych Głazach jeszcze za czasów starego pana Randalla?

Ned podniósł oczy znad gazety, spojrzał na mnie, uśmiechnął się do Vivien i zawołał przez ramię:

– Hej, tato!

Jeden z siedzących w rogu mężczyzn uniósł głowę.

– Co?

– Viv chce z tobą porozmawiać.

Ojciec Neda podszedł bardzo powoli do baru. Był już naprawdę stary. Przedstawiono mi go jako Jerry'ego Walsha – hydraulika na emeryturze. Faktycznie, przyznał, robił coś swego czasu dla starego Billa Randalla.

– Chciał, żeby mu zamontować nowoczesną wannę. No wiecie, wymiana rur i tak dalej. Nie będzie pani nigdy miała z tym problemu – powiedział, wypinając dumnie pierś. – Wykonałem swoją robotę bardzo solidnie. Nie tak, jak teraz to robią ci młodzi partacze.

Przez grzeczność postanowiłam nie wspominać ani o ciekącym kranie, ani o brunatnej wodzie, która zaczęła z niego lecieć, kiedy pierwszy raz go odkręciłam.

– Czy pamiętasz, . od kogo Randallowie kupili ten dom? Zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewien... Zdaje się, że kupili go zaraz po pierwszej wojnie. Widzi mi się, że przedtem właścicielem był jakiś wojskowy. Mój brat Arthur chyba pamięta coś więcej... Arthur! – krzyknął do jednego z mężczyzn siedzących przy stole.

Po dziesięciu minutach otaczała mnie już cała siódemka bardzo przyjaznych i gorąco pragnących mi pomóc mężczyzn. Po krótkiej sprzeczce udało im się ustalić, że we wczesnych latach pięćdziesiątych Eddie Randall odziedziczył dom po swoim ojcu Williamie, a ten kupił go w 1921 roku od jakiegoś kapitana, który miał dwie śliczne córki. Tyle wiedzieli na pewno. Nie mogli sobie przypomnieć żadnego bardziej interesującego wydarzenia związanego z domem.

– Oczywiście z wyjątkiem ducha – powiedział ostrożnie jeden z mężczyzn.

– Ducha? – powtórzyłam za nim jak echo.

– Całkiem o nim zapomniałam – powiedziała Vivien z uśmiechem.

– Spokojnie, nie widziano jej już od lat – zapewnił mnie Jerry Walsh.

– Mhm, ostatnio ukazała się dobre trzydzieści lat temu – dodał jego brat. – Zielona Dama, tak ją nazywano, prawda?

Jeden z mężczyzn pokiwał głową i dodał:

– Nigdy jej nie widziałem, ale mnóstwo innych osób tak. To była młoda kobieta w zielonej sukni. Zwykła przechadzać się o zmroku po ogrodzie.

– Ja ją raz widziałem – odezwał się inny mężczyzna. – O mało nie wyzionąłem ducha ze strachu. Po prostu stała i patrzyła tymi swoimi smutnymi oczyma.

– Ale nikomu nie zrobiła nic złego – przerwał te wywody Jerry Walsh, rzucając karcące spojrzenie koledze. – Nic złego. Nikomu. Po prostu pokazywała się od czasu do czasu w ogrodzie.

A więc nawet duchy w Szarych Głazach były nudne. Żadnego szczęknięcia łańcuchami, żadnego wycia o północy...

– Nie tak jak duchy we dworze, no nie, panowie? – zaśmiał się Arthur Walsh, obnażając w uśmiechu rząd zabarwionych nikotyną na żółto zębów. – Będzie pani miała w czym wybierać. Właściwie to nie widziałem żadnego z nich, ale powiadają, że...

– Dość tego – przerwała Vivien. – Chcecie, żeby dziewczynie śniły się po nocach koszmary?

– Nic nie szkodzi – uśmiechnęłam się. – Uwielbiam ciekawe historie o duchach. Gdzie jest ten dwór?

Jeden z mężczyzn wskazał kciukiem za plecy.

– Dwór Crofton Hall – powiedział. – Stara szlachecka siedziba, za kościołem. Nie była tam pani jeszcze?

Wyznałam ze skruchą, że nie zapaściłam się dotąd w tamte strony. Najdłuższą moją dotychczasową wyprawą była droga do biura pośrednika handlu nieruchomościami, naprzeciwko pubu Pod Czerwonym Lwem. Dojrzałam unoszące się w zdziwieniu brwi i równocześnie usłyszałam chór pełnych niedowierzania głosów:

– Och, koniecznie musi pani zobaczyć dwór...

– Figuruje w trzech przewodnikach, był...

– Na pewno młody Geoff z przyjemnością oprowadzi panią po posiadłości. Większa część domu jest udostępniona dla zwiedzających. Geoff zatrzymał do prywatnego użytku tylko północne skrzydło.

– W takim razie istotnie muszę się tam wybrać – odpowiedziałam, aby uspokoić oburzonych moim zaniedbaniem mężczyzn. – Zrobię to, gdy tylko skończę rozpakowywanie i jako tako się urządzę.

Udobruchani, rozsiedli się znowu wygodnie i wdali w dyskusję na temat przeprowadzek i urządzania domów. Bardzo mnie ona zainteresowała, pomimo że nie zostałam dopuszczona do głosu.

Za dziesięć czwarta, życząc mi uprzejmie miłego dnia, cała siódemka wstała jak jeden mąż i wyszła z pubu. Vivien Wells uśmiechnęła się, widząc mój zdziwiony wzrok.

– Pora na herbatę – wyjaśniła. – Najwyższy też czas na wysłuchanie najświeższej porcji ploteczek przyniesionych z miasteczka przez żony. Ale coś mi się wydaje, że dziś raczej oni

będą opowiadać.

– Dlaczego?

– Mają dobry temat: panią – odparła z szerokim uśmiechem. – No cóż, musi się pani jeszcze dużo nauczyć o tutejszym życiu. Tu nie można nawet kichnąć, żeby za chwilę nie zjawili się sąsiedzi i nie życzyli człowiekowi zdrowia.

– Przyzwyczaję się. Pokiwała głową.

– Oczywiście, nie wątpię. Wydaje mi się, że zrobiła dziś pani na nich bardzo dobre wrażenie. Mogę się założyć, że jutro zjawi się u pani mnóstwo osób z ciasteczkami albo z geranium w doniczkach tylko po to, żeby przekonać się na własne oczy, jak pani sobie radzi.

– W takim razie wyczyszczę srebrny imbryk do herbaty i cukiernicę – obiecałam. – Właściwie jutrzejsi goście spadną mi jak z nieba, bo zamierzałam przestawić parę mebli w salonie. Dodatkowa para rąk zawsze się przyda.

Vivien zachichotała.

– Naprawdę potrzebuje pani pomocy? – zapytała. – Bo jeśli tak, to jestem pewna, że Ian chętnie pani pomoże.

– Na Boga, nie – odparłam, podnosząc ręce na znak protestu. – Żartowałam. A właściwie kim jest Ian Sumner? Ogrodnikiem?

– Rolnikiem – poprawiła mnie. – Hoduje owce, poza tym ma też mały sad, w którym posadził jabłonie. Chociaż to raczej jego hobby.

– Aha.

– Ale ma też smykałkę do roślin – ciągnęła. – Spędził naprawdę dużo czasu, pomagając Geoffowi doprowadzić do porządku ogrody dookoła dworu, zanim całość została udostępniona zwiedzającym. Ojciec Geoffa zaniedbał trochę posiadłość, zwłaszcza ziemia była w okropnym stanie. Teraz wszystkim zajmuje się specjalnie zatrudniony ogrodnik. Mają tam naprawdę cudowny ogród różany. Musi go pani koniecznie zobaczyć latem.

– O, na pewno – powiedziałam. – Przecież wszyscy jesteśmy sąsiadami, nieprawdaż? Z tego, co wiem, mój dom stoi właśnie na terenie należącym do dworu.

– To prawda. Jestem pewna, że polubi pani Geoffa. Jest najprawdziwszym arystokratą. Jego rodzina przybyła tu razem z tymi, którzy podbijali te ziemie, ale on sam to bardzo miły człowiek, nie zadziera nosa i ma duże poczucie humoru. Myślę, że chyba będzie mógł powiedzieć pani coś więcej o Szarych Głazach. Z tego, co wiem, to pisząc przewodnik po Crofton Hall, przewertował ogromną liczbę starych ksiąg. – Odwróciła się, żeby nalać sobie filiżankę kawy ze staroświeckiego dzbanka. – Niestety, akurat teraz bawi na wakacjach we Francji, ale jak wróci, na pewno was sobie przedstawię. A tymczasem spróbuję się czegoś dowiedzieć od mojej ciotki i miejscowych plotkarzy.

– Jestem naprawdę bardzo wdzięczna. Ile płacę za drinki?

– Nic. – Odsunęła pieniądze. – To na powitanie w Exbury – dodała.

– Ale... to bardzo miło z pani strony, jednak... – Spojrzałam wymownie w stronę, gdzie Ned wciąż siedział pochylony nad gazetą. Wydawało mi się, że Vivien zrozumiała moje opory.

– Ned nie jest facetem, który opowiada o wszystkim szefowi – wyjaśniła. – A gdyby tak

nawet było, niewiele by wskórał, bo tak się akurat składa, że szefem jestem tu ja.

Zaczerwieniwszy się po korzonki włosów, wyjąkałam krótkie przeprosiny. Vivien wspaniałomyślnie udawała, że nie widzi mojego zakłopotania.

– Jestem Vivien.

– Julia.

– Czy założyli ci już telefon? To bardzo dobrze. Jaki numer?

Zapisała.

– Świetnie. W takim razie, jeśli znajdę coś ciekawego, zadzwonię. Proszę – powiedziała, podsuwając mi pudełko zapalek. – Na wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała, mój numer jest na odwrocie. Albo po prostu wpadnij, jak już cię znudzi rozpakowywanie rzeczy. Zawsze znajdę czas na popołudniową pogawędkę. – Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się swoim szybkim i szczerym uśmiechem. – Cieszę się, że będziesz tu mieszkać – oświadczyła po prostu.

Mariana Odwzajemniłam jej uśmiech, czując dziwne ciepło w środku.

– Ja też – odpowiedziałam.

Uśmiechałam się wciąż, wracając do domu i upajając się ożywczym, późnokwietniowym wiatrem muskającym moją twarz i cudowną ciszą nie uczęszczanej drogi – Dom czekał, żeby powitać mnie w swym przytulnym wnętrzu. Już nie wyglądał na samotny i opuszczony.

– Witajcie, Szare Głazy – pozdrowiłam swą siedzibę, wchodząc na podjazd. Przynajmniej wiedziałam, jak się nazywa. I że mam u siebie ducha. Jak to powiedział ten mężczyzna z pubu? Zieloną Damę. Gdzieś w ogrodzie.

Zagadką jednak było dla mnie, gdzie znajdował się niegdyś ogród. Obecnie nie było po nim nawet najmniejszego śladu. Przynajmniej od frontu. Zaciekawiona, poszłam rozejrzeć się za domem.

Na pewno nie tam, gdzie teraz jest gołębnik. Może koło kuchni, wzdłuż podjazdu? Ziemia tam wygląda na bardziej wyrównaną, ale...

Nie. Nie tam. Spojrzałam w drugą stronę. Tam, stwierdziłam z całym przekonaniem. Można było dostrzec niewidoczne już prawie zarysy założonych przez kogoś kwiatowych rabat. Przeszłam przez podwórko i zatrzymałam się w tym miejscu.

Słońce stało już nisko na niebie, a wietrzyk, który owiewał moją twarz, był zdecydowanie chłodny. Owinąwszy się szczelniej swetrem, zwróciłam twarz w kierunku odległej linii drzew.

Mężczyzna na siwym koniu stał tam pod osłaniającymi go konarami dębu. Patrzył na mnie.

Podniosłam dumnie podbródek. I mogę przysiąc, że jeździec się uśmiechnął. Chociaż przynaję, było za daleko, żeby widzieć dobrze jego postać, nie mówiąc już o wyrazie twarzy. Po dłuższej chwili zawrócił konia i odjechał w kierunku Crofton Hall. Cień męskiej sylwetki przesuwiał się po pniach starych drzew.

Kompletnie zapomniałam o Zielonej Damie. Weszłam do domu, pamiętając o tym, żeby dokładnie zaryglować za sobą drzwi.

Rozdział 4

Do południa następnego dnia żałowałam, że nie zrealizowałam swej obietnicy i nie wyczyściłam srebrnej zastawy herbacianej. Musiałam częstować gości herbatą zaparzoną w moim starym czajniczku, a każda filiżanka była z innej parafii.

Gości rzeczywiście miałam tego dnia wielu. Pierwsi przyjechali o dziewiątej rano państwo Ridley, ranne ptaszki, czyli handlarz nieruchomościami z żoną. Przywieźli ze sobą półmisek jeszcze ciepłych ciasteczek domowego wypieku. Wkrótce po nich zapukał Jerry Walsh ze swoją miłą żoną Ewą. Przynieśli dwa słoiki wspaniałej galaretki z czarnych porzeczek. Potem Arthur i Marie Walshowie z talerzem czekoladowych herbatników. Pamiętam też jak przez mgłę parę innych osób, które wchodziły i wychodziły z mojego domu. Była również starsza dama o łagodnym głosie, pani Hutherson, która wraz z najlepszymi życzeniami przyniosła mi dwa tuziny maślanych bułeczek z nadzieniem owocowym. Wszyscy byli bardzo mili, przyjaźni i doskonale poinformowani.

– Książeczki dla dzieci, nieprawdaż, moja droga? – zapytała pani Hutherson życzliwie. – To bardzo rozsądne. – Jej niebieskie oczy coś mi przypominały, ale zanim zdążyłam sobie przypomnieć co, zdążyła już wyjść.

Skromna i cicha para, która pojawiła się ostatnia z butelką soku malinowego, skorzystała najwięcej. Stół w salonie zastawiony już był ogromną liczbą smakołyków. Można by pomyśleć, że spędziłam Bóg wie ile czasu, przygotowując podwieczorek dla sąsiadów.

Wszelkie wątpliwości dotyczące mojego prowadzenia się, które mogliby żywić sąsiedzi, rozwiązał niespodziewany przyjazd mojego brata. Był w koloratce i prezentował się wspaniale, niemal jak święty. Wyglądał tak, że nie wiem, czy poznałby go któryś z jego parafian.

Po południu, kiedy tłum odwiedzających opuścił moje domostwo, Tom wyciągnął się w fotelu, założył ręce za głowę i zaczął się głośno śmiać.

– Gratuluję – powiedział. – Moi sąsiedzi raczyli mnie zauważyć, gdy mieszkałem na plebanii już dobry tydzień. Jak długo tu jesteś? Dwa dni?

– Przeprowadzka odbyła się we wtorek, a więc to mój trzeci dzień tutaj. Nogi ze stołu, proszę.

– O, przepraszam. – Zdjął posłusznie nogi. – Chyba nie masz mi za złe, że wpadłem tak nagle. Pewnie powinienem najpierw zadzwonić.

– Nie mogłeś wybrać lepszego momentu – zapewniłam go szczerze. – Twoja wizyta sprawi cuda. Najdalej o czwartej już cała wieś będzie wiedzieć, że jestem krewną pastora.

– Mhm. Albo że masz z nim romans. – Tom znowu się zaśmiał. – Wiesz, ludzie w takich małych miejscowościach są okropnie podejrzliwi.

– Rozumiem, że masz dziś wolny dzień?

– Tak, zostawiłem parafię w bardzo odpowiedzialnych rękach mojego nowego wikarego, pana Ogilvie. Z pewnością bardzo go polubisz. Jest o wiele bardziej interesujący od swego poprzednika. Oczywiście, jego poglądy mogą wydawać się mojej trzódce zbyt postępowe, ale chłopak naprawdę ma dobre intencje.

– Myślę, że każdy byłby lepszy od twojego poprzedniego wikarego. Michael jakoś tam, nieprawdaż? Nigdy się nie uśmiechał, cały czas mówił o ogniu piekielnym i potępieniu dusz. Dobrze pamiętam?

– Tak, doskonale.

– Co się z nim stało?

– Udało mi się uzyskać dla niego przeniesienie do jednej z północnych parafii. Uznałem, że już odbyłem swoją karę – powiedział z uśmiechem. – Ale to nieważne. Wracając do mojego wolnego dnia. Obiecałem rodzicom, że w tym tygodniu sprawdzę, jak sobie tu dajesz radę. A więc jak?

– Całkiem dobrze, dziękuję. Myślę, że udało mi się uporządkować większość pomieszczeń na parterze.

– Rzeczywiście, bardzo tu ładnie. – Rozejrzał się po zalanym światłem słonecznym pokoju. – Podoba mi się. Czy masz zamiar oprowadzić mnie po domu, czy... – jego wzrok spoczął na zastawionym stoliku do herbaty – ... mam ci najpierw pomóc z zmywaniem?

Zapewniłam go, że zmywanie może poczekać, i zaczęliśmy od pokoju, w którym akurat siedzieliśmy.

– No więc to jest, oczywiście, salon – powiedziałam. – Muszę kupić większy dywan, żeby nie zniszczyć podłogi, a zasłony trzeba będzie...

– Rozumiem. – Tom obrzucił spojrzeniem kwieciste, kolorowe zasłony. – Ale okna i tak są bardzo ładne. Strasznie mi się podoba kominek. A dokąd prowadzą te drzwi?

– Do jadalni. – Wprowadziłam go do następnego pomieszczenia.

– Julio! – W głosie mojego brata brzmiał podziw. – Gdzie, u licha, udało ci się zdobyć ten kredens?

– Niezły, co? Kupiłam go razem z domem.

Kredens pochodził z epoki późnowiktoriańskiej, wykonany został z orzechowego drewna i miał prawie trzy metry wysokości. Sięgał do sztukaterii na suficie. Podejrzewam, że sprzedano mi go wraz z domem tylko dlatego, że trzeba by chyba było sprowadzić dźwig, aby ruszyć mebel z miejsca. Wypełniał bez mała cały pokój, tak że właściwie nie zauważało się, iż nie ma tu jeszcze stołu i krzeseł. Dwa wysokie okna po przeciwnej stronie wychodziły na trawnik, potęgując jeszcze wrażenie elegancji całego wnętrza.

Z jadalni przez wahadłowe drzwi przeszliśmy do odrapanej i raczej skromnie umeblowanej kuchni ze staroświecką spiżarnią. Potem – wąskim korytarzykiem – do wyłożonego boazerią holu. Po krótkim rzucie oka na bibliotekę, gdzie Tom na pewno zasiadłby na resztę dnia, gdybym go stamtąd nie wygoniła, ruszyliśmy na górę.

– Tu na razie nie zdążyłam nic zrobić, więc w pokojach panuje lekki bałagan – ostrzegłam. – Po prostu nie spodziewaj się zbyt wiele.

– Cholera z tymi sufitymi! – Tom schylił się zbyt późno i uderzył się w głowę. – Czy oni to budowali dla krasnoludków! Ile tu jest pokoi?

– Cztery. Ale używam tylko dwóch. Te dwa – wskazałam na zamknięte drzwi na lewo – służą tymczasem jako przechowalnia różnych rzeczy.

– Bardzo rozsądnie. – Zawsze ciekawski Tom wsunął głowę do pierwszego z pokoi i

rozejrzał się. Było to wąskie, długie pomieszczenie, które od mojej sypialni dzieliły tylko schody biegnące za tylną ścianą. Gałęzie gruszy rosnącej bardzo blisko domu pochłaniały częściowo światło dzienne, wpadające przez dwuskrzydłowe okno. Drugi pokój znajdował się po południowej stronie domu. Niestety, miał tylko jedno okno, ale za to był tu kominek.

– Będziesz się musiała nauczyć rąbać drzewo, moja droga – zauważył trzeźwo mój brat, a mnie od razu zrzędała mina.

– Daj spokój. Widziałeś przecież nieraz, jak rozpalam ogień. Cały dom mógłby spłonąć jak świeczka.

Tom wybuchnął śmiechem i pochylił się, żeby obejrzeć drewniane rzeźbione obramowanie kominka. Zostawiłam go tam, a sama otworzyłam następne drzwi, wiodące do małego narożnego pokoju, który wybrałam na pracownię. Wcześniej obiecałam sobie, że przez pierwszy tydzień nie zajrzę wcale do swoich papierów i pędzli, ale teraz uznałam, że mogę przecież poprosić Toma, aby pomógł mi rozstawić stół do pracy.

Jeśli chodzi o sprawy techniczne, nie mam wcale dwóch lewych rąk, ale ten stół – wymyślony zapewne przez jakiegoś szwedzkiego projektanta-sadystę – zawsze sprawiał, że wszelkie moje wysiłki szły na marne. Za każdym razem kończyło się na tym, że siedziałam kompletnie załamana obok sterty najrozmaitszych narzędzi, gdyż zabrakło jednej śrubki, wymienionej w instrukcji.

Kiedy tak stałam w drzwiach i myślałam, uprzytomniłam sobie, że nie widziałam, aby ludzie od przeprowadzki wnosili stół na górę. Może się gdzieś zagubił podczas transportu. Weszłam do pracowni i stanęłam jak wryta.

Pokój był pusty. Nie było w nim żadnych moich rzeczy. Stało tu tylko niskie i wąskie łóżko przy ścianie oraz zabytkowy magiel w kącie.

– To dziwne – powiedziałam w zamyśleniu.

– Co takiego? – zapytał Tom.

– Te sprzęty nie są moje – odparłam, wracając do sypialni. – Musieli chyba wnieść meble i resztę urządzenia pracowni gdzie indziej. Muszą tam być sztalugi, stół do kreślenia i to okropne duże krzesło. Nie mam pojęcia, gdzie to po...

Mój głos został zagłuszony hałasem przesuwanych pudeł. Cień Toma przesunął mi się za plecami.

– Julio – powiedział chwilę potem – chodź tu. – Stał w drzwiach mojej pracowni z rękami na biodrach. – A teraz – powiedział, gdy się zbliżyłam – co widzisz?

Spojrzałam, zacisnęłam mocno powieki i znowu otworzyłam oczy. Wszystko było na swoim miejscu – sztalugi, meble, bezładnie porozstawiane na podłodze pudła z pędzlami, papier... wszystko. I ani śladu po łóżku i maglu.

– Chyba nie piłaś dziś wiśniówki, co? – zapytał Tom żartobliwie.

– Ale... – pokręciłam głową w zdumieniu – ... jeszcze minutę temu tego tu nie było. Naprawdę.

Mój brat spojrział na mnie, twarz mu spoważniała, a kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie nie było ani odrobiny poprzedniej żartobliwości.

– Słuchaj – powiedział – może odłożymy resztę zwiedzania na jutro? Musisz być

okropnie zmęczona po tak intensywnym towarzysko poranku.

– Nie jestem szalona.

– Oczywiście że nie. Masz ochotę na filiżankę herbaty? Ogłupiała, zesłam za nim po schodach.

– Tamten pokój naprawdę był pusty, kiedy do niego zaglądałam.

– Nie mówię, że nie był, nie twierdzę też, że nie widziałas tego, co, jak powiadasz, zobaczyłaś. Po prostu sądzę, że musi być jakiś powód, iż tak się stało.

– Rozumiem – odparłam. – Na przykład jaki? Tom wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jesteś zmęczona. Przpracowałaś się... O której wczoraj poszłaś spać?

– Późno – przyznałam. – Ale to nie ma nic do rzeczy...

– A o której dziś wstałaś?

– Tuż po szóstej. Ale...

– Proszę bardzo – rzekł, unosząc ręce do góry, żeby podkreślić swoje słowa. – Po prostu brakuje ci snu.

Byłam przyzwyczajona do nastrojów mojego brata. Zaczekałam z polemiką, aż zagotuje się woda na herbatę, a my usiadziemy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole.

– Właściwie to snu wcale mi nie brakuje – rzekłam stanowczo. – Nie mam za sobą jeszcze żadnej prawdziwej pracy. Rozpakowałam tylko kilka pudeł.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Tom! – Zaśmiałam się, bo bawił mnie jego upór. – Posłuchaj. Śpię jak zabita i nawet miewam sny, rozumiesz?

– Naprawdę? To całkiem do ciebie niepodobne. Dotychczas byłem przekonany, że nie miewasz snów.

– Może to wiejskie powietrze.

– Jakie sny?

– Nie wiem, większości z nich nie pamiętam – powiedziałam, popijając herbatę. – Jeden był o komecie... tak mi się zdaje. Tak... były dwie komety i wszyscy mówili, że to oznaczają, iż stanie się coś strasznego. Co Freud mówi o snach z kometami?

– Nie Freud, tylko Jung. – Tom pokręcił głową. – Nie mam zielonego pojęcia. Nie studiowałem przecież psychologii. O czymś sobie właśnie przypomniałem. – Pochylił się nagle do przodu. – Rod Denton organizuje w sobotę w swoim londyńskim domu przyjęcie.

– Dlaczego moje komety skojarzyły ci się akurat z Rodem i jego przyjęciem?

– Rod studiował psychologię – wyjaśnił Tom. – Między innymi.

Roderick Denton skończył Oksford razem z moim bratem, ale w przeciwieństwie do Toma zajął się bardziej ziemskimi sprawami. Ożenił się z córką lorda, odziedziczył dom w Belgravii i radził sobie całkiem nieźle w świecie finansjery.

– W każdym razie – kontynuował mój brat – przyjęcia w jego domu są zazwyczaj bardzo udane. Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś wybrać się ze mną? Wyjazd chociaż na jeden dzień mógłby dobrze ci zrobić.

– Mówisz tak, jakbym tu była zamknięta przez wiele tygodni.

– Po prostu pomyślałem – spojrział na mnie z boku – że mogłabyś sobie pozwolić na

chwilę wytchnienia.

– No, właściwie chyba tak – odparłam, dopijając herbatę. – Dzięki. W sobotę wieczorem, powiadasz? O której?

– Wpół do siódmej. Pamiętasz, gdzie mieszka? Skinęłam głową i powiedziałam:

– W takim razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, spotkamy się na miejscu. Jestem pewna, że moja przyjaciółka Cheryl chętnie mnie przenocuje. Zostawię samochód u niej i resztę drogi przejadę metrem. Dobrze?

– Tak.

– W porządku. Masz ochotę na dalsze zwiedzanie?

– Jesteś pewna, że czujesz się na siłach?

– Jasne. Poza tym – powiedziałam, obejmując mojego brata ramieniem – chciałabym, żebyś rzucił okiem na mój stół do pracy.

Wzruszył ramionami.

– Przecież już go widziałem.

– Chodzi mi o to, żebyś przyjrzał mu się bardzo dokładnie.

Zrozumiał i westchnął ciężko.

– Nie rób do mnie słodkich oczu, moja droga. Potrafię wyczuć, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza.

Wszedł na piętro, skąd dobiegło wyjątkowo niecenzuralne przekleństwo, kiedy po raz drugi uderzył głową w niski sufit.

– Masz szczęście – powiedział, odwracając się do mnie z szerokim uśmiechem. – Masz szczęście, że twoi nowi sąsiedzi tego nie usłyszeli.

Trochę później szłam znowu wąską drogą do miasteczka, wiatr dmuchał mi w twarz i czułam, jak wywiewa z moich płuc kurz z pudeł, które wcześniej rozpakowywałam.

Tom pojechał dobrą godzinę temu. Na szczęście obyło się bez dalszych halucynacji. Każdy pokój, do którego wchodziliśmy, wyglądał, ku mojej wielkiej uldze, tak jak go poprzednio zostawiłam. W końcu uznałam, że teoria mojego brata na temat przepracowania chyba jest prawdziwa. Tom – co irytowało mnie najbardziej – zawsze miał rację. Może istotnie trochę przesadziłam, starając się zrobić wszystko naraz.

Kiedy już wyszedł, zaplanowałam, że posprzątam po przedpołudniowym przyjęciu, umyję naczynia i spróbuję naprawić jakoś cieknący kran. Zamiast tego jednak, zgodnie z sugestią mojego brata, wyszłam na chwilę, aby odpocząć od domu i związanych z nim obowiązków.

Z początku chciałam wstąpić do Czerwonego Lwa na jakiś lekki posiłek i miłą pogawędkę z Vivien, ale kiedy tak szłam drogą, a słońce świeciło, stwierdziłam, że mam ochotę na spacer.

Minęłam Czerwonego Lwa, biuro Ridleya i Stewarta oraz parę sklepów. Po prawej stronie wznosił się masywny kamienny portal, którego żelazna brama była zachęcająco otwarta. Wąska zakurzona ścieżka, osłonięta z obydwu stron szpalerem ciasno posadzonych

drzew, niknęła w oddali w ożywczym cieniu. To musiało być, jak wnioskowałam, wejście do sławetnego dworu.

Opierając się chęci skręcenia w prawo, poszłam dalej deptakiem. Uznałam, że każdego innego dnia będę miała dość czasu na obejrzenie posiadłości. Poza tym Vivien powiedziała przecież, że właściciel jest na wakacjach we Francji. Lepiej poczekać, aż wróci, i zwiedzić dwór w jego towarzystwie. Doszłam do wspaniałej drewnianej bramy, którą podziwiałam już wcześniej. Pchnęłam jej skrzydło i weszłam na cmentarz.

Niewiele jest w Anglii miejsc równie spokojnych i pięknych, jak wiejskie cmentarze, gdzie gęsty bluszcz spowija zwietrzałe od słońca i deszczu kamienie nagrobne. Napisy na nich po niezliczonych latach działania wiatru i deszczu są już praktycznie nie do odczytania. Wiele nagrobków przechyliło się niebezpiecznie; wyglądały teraz jak pijani strażnicy tego miejsca. Niektóre przewróciły się całkiem i ktoś poustawiał je troskliwie w szeregu pod ścianą kościoła.

Kościół był mały i bardzo prosty. Zbudowany z szarego kamienia, na planie kwadratu, z jedną wieżą. Wyblakła, ręcznie napisana informacja u wejścia głosiła, że jest to kościół pod wezwaniem Świętego Jana, a msze odprawiane są w każdą niedzielę i w środę wieczorem. Jedno pchnięcie dębowych drzwi i ujrzałam skromne wnętrze, które jednak wywarło na mnie niezwykle wrażenie. Popołudniowe słońce wpadało do środka przez wąskie zakurzone okna i kapalo nagie kamienne ściany w ciepłym połyskującym świetle.

Kiedy tak szłam przez świątynię, czytając zatarte napisy na kamieniach pod swoimi stopami, wydawało mi się, że moje kroki rozbrzmiewają nienaturalnie głośno, zakłócając spokój tego cichego i świętego miejsca. Staynor, Alleyn, Hatch, de Mornay...

Straszliwa eksplozja hałasu spowodowała, że gwałtownie podniosłam głowę, a serce zaczęło mi dziko łomotać w piersiach. Tymczasem był to tylko gołąb, który zanim wyfrunął z powrotem przez drzwi, trzepotał przez kilka chwil skrzydłami, uwięziony na chórze.

Moje serce powoli zaczęło się uspokajać, ale wciąż czułam zawroty głowy, jakbym miała zaraz zemdleć. Wypełnione słońcem wnętrze małego kościółka wydało mi się nagle tak duszne jak wnętrze grobu, dlatego zaczęłam się powoli wycofywać, chwytając powietrze dużymi łapczywymi haustami.

Oszołomiona, nie zawróciłam na High Street, lecz ruszyłam zacienioną pylistą ścieżką, obsadzoną gęsto z obu stron ogromnymi bukami. Szeleścił w nich wiatr. Twarz miałam mokłą od potu. Oparłam się o pień drzewa, żeby odpocząć, a w uszach narastał mi powoli jednostajny tętent. Stawał się coraz głośniejszy i bardziej rytmiczny, aż w końcu zorientowałam się, że to stuk końskich podków o twardą i ubitą ziemię. Spojrzałam przed siebie i ujrzałam zbliżającego się potężnie zbudowanego wierzchowca i jeźdźca. Na siwym koniu siedział wysoki, ubrany na ciemno mężczyzna.

Zamrugłam oczyma, obraz widziany przed chwilą skrył się jakby za mgłą, a ja zobaczyłam, że koń zmienił maść i nie był już siwy, tylko kasztanowy, z ciemno połyskującą grzywą i ogonem. Mężczyzna, który go dosiadał, też był teraz jakiś inny. Gdy się zbliżali, stałam bez ruchu, niezdolna wykrztusić słowa. Po prostu wrosłam w ziemię, gapiąc się na

konia i jeźdźca niczym jakiś wsiowy przyglup.

Widmo stawało się coraz bliższe, aż wreszcie mężczyzna zatrzymał konia tuż przede mną. Spojrzałam w górę. Słońce świeciło dokładnie za plecami jeźdźca. Przefiltrowane przez liście drzew, tworzyło poświatę, która całkowicie mnie oślepiła, więc raczej domyśliłam się, niż zobaczyłam, że mężczyzna się uśmiecha.

– Witam – powiedział. – Pani musi być moją nową sąsiadką. Nazywam się Geoffrey de Mornay.

Natychmiast zapomniałam o wszelkich zasadach dobrego zachowania. Wyciągnęłam rękę, uśmiechnęłam się do niego i zemdlałam.

Rozdział 5

był to zbyt obiecujący początek znajomości, stwierdziłam, próbując wstać z kanapy Geoffreya de Mornay. Cały czas trzymałam głowę między kolanami. Jeśli chciałam ‘wcześniej wyrzucić na moim powszechnie znanym i szanowanym sąsiedzie jakieś wrażenie, z pewnością nie o takim wrażeniu myślałam.

– Przyniosłem pani trochę wody – powiedział, wchodząc znowu do pokoju. – Nie, nie, proszę jeszcze nie wstawać. Jak się pani czuje?

– Dobrze. – Mój głos był bardzo niewyraźny.

Włożył mi szklanke do ręki, a ja podniosłam głowę, żeby wreszcie dokładnie przyjrzeć się mojemu gospodarzowi.

Bez, a może nawet mimo, kulturalnego obejścia, dobrze skrojonego ubrania i bogatego otoczenia Geoffrey de Mornay zostałaby oceniony przez jedną z moich dawnych koleżanek, Bridget, jako „pierwsza klasa”. Brigdet natychmiast zauważyłaby jego wspaniałe umięśnione ciało i czarujący uśmiech. Ja natomiast dostrzegłam klasyczne rysy i głębokie spojrzenie orzechowych oczu osadzonych pod ciemnymi brwiami, które idealnie pasowały do kasztanowych włosów.

– Dziękuję – powiedziałam, uśmiechając się do Geoffreya najbardziej promiennym z moich uśmiechów. Nie miałam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna, ale chyba nie dłużej niż parę minut, gdyż słońce cały czas świeciło za oknem, grzejąc mnie w plecy. Jak przez mgłę przypominałam sobie, że byłam gdzieś niesiona. A potem pustka, aż do chwili, kiedy otworzyłam oczy i próbowałam wstać. Niestety, zostałam bezceremonialnie przywrócona do poprzedniej, niezbyt szacownej pozycji.

– Proszę bardzo. – Przyniósł mi krzesło i usiadł naprzeciwko, przyglądając mi się bacznie, jakby spodziewał się, że nagle podskoczę i zerwę się na równe nogi.

– Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem. Brutus jest naprawdę dużym koniem, a ja często zapominam, że...

– To naprawdę nie była pańska wina. Przez ostatnie parę dni pracowałam bardzo ciężko i proszę, oto skutki. To wszystko.

– Czy na pewno nie jest pani chora?

– Absolutnie nie – zaprzeczyłam stanowczo.

Chwilę wpatrywał się w moją twarz, po czym rzekł z uśmiechem:

– W takim razie może spróbujemy przedstawić się sobie po raz drugi. – Wyciągnął do mnie rękę. – Geoffrey de Mornay. Do usług.

– Julia Beckett. – Odwzajemniłam jego uścisk. Podniosłam się ostrożnie i usiadłam, usiłując kontynuować rozmowę. – De Mornay... Wobec tego niedawno oglądałam tablice pańskich przodków w kościele. To musi być jedna z najstarszych rodzin w okolicy.

– Kwestia interpretacji – odpowiedział, wzruszając ramionami. – De Mornayowie mieszkali w Crofton Hall już za czasów panowania Elżbiety I, ale sprzedali wszystko jakieś sto lat później. Moj ojciec czekał latami, aż dwór znów zostanie wystawiony na sprzedaż, i

kiedy to w końcu nastąpiło, odkupił go. Był naprawdę przywiązany do rodzinnej historii i do tradycji.

Rozejrzałam się dookoła. Zalany słońcem pokój ze stiukowym sufitem i oklejonymi elegancką tapetą ścianami rozsiewał doprawdy czar minionej epoki. – To cudowne móc posiadać taki dom na własność – powiedziałam.

– I bardzo kosztowne – oświadczył realistycznie, ucinając moje romantyczne wywody. – Żeby nie powiedzieć: niepraktyczne. Zbyt dużo pokoi jak na jedną osobę.

– Czy właśnie z tego powodu udostępnił pan dom zwiedzającym?

– Nie – uśmiechnął się znowu rozbawiony. – Nie jestem niestety, aż tak wspaniałomyślny. Parę lat temu wystąpiłem o rządową dotację na odnowienie dworu, a jednym z warunków przyznania pieniędzy było otwarcie części budynku dla turystów.

– To dobry pomysł – przyznałam. – Wcześniej już parę osób mówiło mi, że miejsce warte jest obejrzenia bez względu na cenę za wstęp.

– Istotnie, to całkiem ładny dom. Mógłbym panią zaraz po nim oprowadzić, i to nawet za darmo, ale widzę, że jeszcze nie bardzo jest pani na to gotowa.

Rzeczywiście, wciąż miałam miękkie kolana, ale nie chciałam rozwodzić się nad przyczynami tego stanu rzeczy. Uśmiechnęłam się.

– Może innym razem.

– Oczywiście. Najlepiej w przyszłym tygodniu, kiedy już dojdę tu ze wszystkim do ład. Właśnie wróciłem z wakacji.

– Słyszałam. Był pan we Francji, prawda? Geoffrey de Mornay natychmiast się domyślił.

– Była pani Pod Czerwonym Lwem – rzekł. – Tak, mam łódź w porcie w Antibes, na południu Francji. Lubię raz, czasem dwa razy do roku trochę sobie pożeglować. To miło wyrwać się na jakiś czas z tej wiecznie deszczowej pogody.

– A kiedy pana nie ma, kto zajmuje się dworem?

– Mam niezwykle pracowitą służbę, która doskonale daje sobie radę beze mnie. Dwóch przewodników, gospodyni, dochodząca sprzątaczką, w zależności od pory roku ogrodnik i stajenny. Naprawdę całkiem niezła załoga.

– No jasne! – wykrzyknęłam nagle olśniona. – To wszystko wyjaśnia.

– Co wyjaśnia?

– Przepraszam. Po prostu właśnie udało mi się rozwiązać zagadkę. Już parę razy widziałam ciemno ubranego mężczyznę, który jeździł na siwym koniu po pańskich polach. To musiał być właśnie stajenny.

– Jeśli koń był siwy, to z pewnością nie. Mam w swojej stajni tylko kasztany i gniadosze.

– Przesunął paznokciem po oparciu krzesła, wygładzając materiał. Kiedy odezwał się znowu, w jego głosie słychać było wyraźne zaniepokojenie.

– Czy jest pani pewna, że koń był siwy?

– Konie nie są może moją najmocniejszą stroną – odparłam – ale na kolorach znam się doskonale.

Zaśmiał się.

– Zapomniałem, jest pani przecież artystką, prawda? Cóż, nie mam zbyt staroświeckich

poglądów na sprawę własności. Jeśli ktoś chce korzystać ze ścieżek do jazdy na moim terenie, proszę bardzo. Jak wyglądał jeździec?

Wzruszyłam ramionami.

– Właściwie to nie przyjrzałam się mu dobrze, był po prostu za daleko. Wydaje mi się, że raczej wysoki, ale trudno cokolwiek powiedzieć na pewno, siedział przecież na koniu. Ubrany na ciemno i mogłabym się założyć, że miał długie włosy.

– Chyba był to ktoś ze schroniska. Jakies trzy mile stąd na zachód jest schronisko młodzieżowe – wyjaśnił. – I to całkiem spore. Bardzo wielu turystów się w nim zatrzymuje. Wynajmują tam też konie.

– Rozumiem. – Wyjaśnienie brzmiało całkiem rozsądnie. Wypiłam już wodę i Geoffrey poruszył się na krześle.

– Może napiłaby się pani jeszcze czegoś? – zapytał. – Trochę mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Naprawdę czuję się już zupełnie dobrze. – Postawiłam szklanke na brzegu stołu i wstałam, przeczesując ręką potargane włosy. – Było bardzo miło, ale naprawdę muszę już iść. Zabrałam panu mnóstwo czasu.

– Wcale nie. Jednakże nigdy nie kłóć się z sąsiadami. – Podniósł się również. Wyglądała przy nim jak krasnoludek. Skinął głową. – Dobrze, w takim razie pokażę pani, gdzie jest wyjście.

Ruszyłam za nim przez wąski ciemny korytarz do bocznych drzwi. Odwróciłam się jeszcze w progu, żeby podziękować mu za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, opierając się jedną ręką o framugę drzwi, drugą kładąc sobie na piersi. – Była to przyjemna odmiana w moich codziennych zajęciach. Niezbyt często zdarzają się wizyty atrakcyjnych młodych dam, które rzucają mi się do stóp.

– No tak – odrzekłam, czerwieniąc się. – To się na pewno więcej nie powtórzy.

Uśmiechnął się jeszcze raz i uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Doszłam już prawie do końca ładnie utrzymanego trawnika, kiedy znów się odezwał.

– Jaka szkoda – usłyszałam, ale myślę, że nie było to przeznaczone dla moich uszu.

– Musisz się pilnować, moja kochana – powiedział mój brat, kiedy zrelacjonowałam całą historię spotkania z Geoffreyem de Mornay. – Moźni panowie zawsze mieli pewne przywileje. Upatrywali sobie jakąś dziewicę z wioski i... no wiesz.

– Nie gadaj bzdur – brzmiała moja odpowiedź.

Tydzień później, w sobotni wieczór, siedzieliśmy w luksusowym domu Rodericka Dentona w Londynie. Przyjęcie udało się znakomicie, jak zresztą wszystkie imprezy organizowane przez gospodarza. Musiałam też przyznać, że rada mojego brata, abym tu przyjechała, była nadzwyczaj trafna.

Dzisiejszy wieczór oderwał mnie od – jak mi się zdawało – nie końącego się rozpakowywania i ustawiania; znowu poczułam, że żyję. Najlepsze ze wszystkiego było to, że zamiast dzinsów i koszul, w których chodziłam przez ostatnie dwa tygodnie, mogłam wreszcie włożyć naprawdę przyzwoite ciuchy. Stałam się na parę godzin prawdziwie

wyrafinowaną, dojrzałą elegantką. I gdyby nie ta nuda...

Dwa tygodnie z dala od Londynu i już rozmowy wypełniające pokój wydawały mi się bezsensowne i bardzo płytkie. Tom przyłapał mnie, jak ziewałam w kącie, i żartobliwie pogroził mi palcem.

– A mówiłam, żebyś uważała z winem – przypomniał.

– Przepraszam. – Ziewnęłam znowu. – Myślę, że mam już dość, Tom. Idę sobie.

– Dobrze, odprowadzę cię do drzwi.

– Julio, kochanie! – Roderick Denton zbliżał się do mnie. Mariana z wyciągniętymi ramionami, skutecznie odcinając mi drogę ucieczki. – Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Odwzajemniłam jego uścisk.

– Dzięki za zaproszenie. Bawiłam się naprawdę cudownie. I nie zapomnij pozdrowić ode mnie Helen.

– Chyba nie masz zamiaru już iść?

– Niestety, muszę. Przyjaciółka na mnie czeka.

– Naprawdę? – Szelmowsko przymrużył oko. – Chcecie spędzić noc w mieście?

– Tak. Mamy zamiar to zrobić. Ja i Cheryl. Pamiętasz ją, prawda? Pracuje w jakiejś instytucji rządowej.

Zmarszczył na moment brwi.

– Ruda? – upewnił się. – Niegłupia? Mieszka w Camden?

– Obecnie w Islington – poprawiłam go. – Dostała podwyżkę.

Uznałam, że Rod zasługuje na to drobne kłamstewko, gdyż sam był człowiekiem, któremu zawsze mało zaszczytów i pieniędzy. Spotkanie z Cheryl było bardzo dogodnym pretekstem do opuszczenia przyjęcia. Naprawdę przyjaciółka wcale na mnie nie czekała. Nie było jej nawet w Londynie. Chłopak Cheryl zabrał ją na trzy dni do Lake District, a ona sama z zadowoleniem powierzyła mojej opiece mieszkanie i kota, pozwoliła mi nawet zająć jej miejsce na parkingu.

– Jeśli zaczekasz parę minut, znajdę kogoś, kto cię podrzuci – zaproponował Rod, jak zwykle nader uprzejmy.

– Dziękuję bardzo. – pokręciłam głową odmownie. – Będzie szybciej, jeśli pojedę metrem. A ty – tu wskazałam na Toma – powinieneś już chyba też zbierać się do wyjścia. Prześpisz jutrzejsze kazanie.

– Podobnie jak reszta wiernych – wtrącił Rod, a ja zachichotałam.

Tom uśmiechnął się do mnie.

– Nie mam zamiaru pozwolić ci jechać w tym stanie metrem. Albo, co gorsza, iść pieszo. Złapię ci taksówkę.

– Nie chcę taksówki – zaprotestowałam. – Chcę pojechać metrem albo się przejść. Łyk świeżego powietrza dobrze mi robi.

Ale Tom był nieugięty. Wyszedł ze mną na ulicę, zatrzymał taksówkę, wepchnął mnie do środka i podał kierowcy adres Cheryl. Gdy tylko samochód skręcił w pierwszą ulicę, klepnęłam kierowcę w ramię.

_ Zmieniłam zdanie – oświadczyłam. – Stacja metra Embankment, proszę.

Taksówka się zatrzymała. Wejście do metra okupowali młodzi ludzie, których spocone, przesiąknięte alkoholem ciała wydzielały niemiłą woń. Z początku zamierzałam pojechać północną linią prosto do Islington, ale zbyt jaskrawo oświetlony tunel metra sprawił, że zmieniłam zdanie. Naprawdę nie musiałam się śpieszyć. Postanowiłam przejść się trochę nad rzeką, a dopiero później wsiąść na innej, trochę dalej położonej stacji. Spojrzawszy po raz ostatni na gwarny tłum, zawróciłam i ruszyłam w stronę rozsiewających łagodne światło latarni na nabrzeżu. Refleksy tego światła odbijały się w uspiionych wodach Tamizy.

Z tyłu, za mostem Westminsterским, wznosiła się imponująca fasada starego ratusza, a przede mną pięła się ku gwiazdom, niczym latarnia morska, pięknie oświetlona, znajoma sylwetka kościoła Świętego Pawła. To była naprawdę piękna noc, niezwykle spokojna i całkiem ciepła, mimo że w powietrzu czuło się wilgoć. Szłam dalej, minęłam Iglę Kleopatry z pilnującymi jej sfinksami, Somerset House i jeszcze większy i bardziej majestatyczny od niego budynek Sądu Najwyższego.

Na początku upajałam się poczuciem, że wreszcie mogę być sama. Ale po kilku minutach do mojej przytępionej winem świadomości dotarły pewne oczywiste fakty. Przecież w końcu jest już późny sobotni wieczór, i chociaż wokół rozciąga się piękne nabrzeże, z pewnością to nie najlepsze miejsce do spacerów dla samotnej kobiety. Przyśpieszyłam kroku. Postanowiłam, że zejdę na pierwszą napotkaną stację metra. Już i tak przeszłam za dużo jak na jedną noc. Poza tym wypiłam trochę więcej, niż powinnam, i teraz czułam się potwornie zmęczona. Szłam, chwiejąc się nieznacznie; czułam, że głowę mam dziwnie lekką. Słyszałam, jak narasta w niej dziwny łomot.

Minutę później zrezygnowałam z jazdy metrem i skręciwszy w lewo, zamierzałam poszukać jakiejś taksówki. Ale nigdzie w pobliżu nie było widać żadnego samochodu i im bardziej zagłębiałam się w plataninę uliczek, tym szybciej traciłam orientację, gdzie jestem. Ulice stawały się coraz węższe, ciemniejsze i bardziej wyboiste, a łomotanie w mojej głowie coraz głośniejsze. Kilka razy skręciłam, w końcu natrafiłam na ulicę, która wydawała mi się dziwnie znajoma. Także była wąska, pełna zakrętów, domy były pobielane, miały dębowe okiennice oraz ozdobne dachy. W chwili gdy mijałam drzwi jednego z domów, ze środka wyszedł mały obdarty chłopiec z latarnią w ręce.

– Czy chce panienka trochę światła? – spytał z nadzieją w głosie, ale ja tylko przecząco pokręciłam głową i przyśpieszyłam kroku.

Trochę dalej zatrzymałam się przed którymś z domów i zdenerwowana zapukałam do drzwi. Wydawało mi się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim otworzyła mi niska kobieta w średnim wieku, o miłych niebieskich oczach i pospolitej twarzy. Miała na sobie koszulę nocną, a głowę i ramiona otuliła szalem, żeby uchronić się przed chłodem nocy.

Gdy mnie ujrzała, zdumiona otworzyła oczy.

– Moje dziecko! Co ty robisz na ulicy o tej porze? Wejdz natychmiast... wejdz i ogrzej się.

Zostałam niemal wciągnięta do środka i usadzona naprzeciwko trzaskającego ognia. Gapiałam się w płomienie, czując w sobie jakąś zimną pustkę, której żadne ciepło nie potrafiło

rozproszyć.

– Moja matka zachorowała – odezwałam się do kobiety. Nasze oczy spotkały się i spojrzeniem powiedziałyśmy sobie wszystko, czego nie można wyrazić słowami.

– Kiedy? – spytała.

– Nagle – odparłam drewnianym głosem. – Przy obiedzie. Teraz ma gorączkę i już mnie nie poznaje. Służący kazali mi opuścić dom.

– Zrobili rozsądnie. Nie możesz tam wrócić. – Usiadła ciężko obok mnie. – Ale nie możesz też zostać tutaj. Sąsiedzi zbyt obawiają się choroby i mogliby napytać nam niepotrzebnych kłopotów. – Umilkła na chwilę, rozważając coś w myślach.

– Pojedziesz na wieś – powiedziała w końcu. – Do starszego brata twojej matki.

– Do wuja Jabeza? – Zacisnęłam wargi. Znała przyczynę moich obaw.

– Nie jest taki jak wuj John, oby spoczywał w pokoju. To bardzo odpowiedzialny i uczciwy człowiek. Załatwię, żeby powóz zabrał cię stąd z samego rana. Nie przyniosłaś nic ze sobą?

Pokręciłam przecząco głową, a ona wzruszyła ramionami.

– Będziesz potrzebowała ubrań. Moja córka Ellen jest mniej więcej twojego wzrostu, może uda nam się coś wybrać.

Wstała ze stołka i skierowała się w stronę wąskich schodów. Poruszyłam się, protestując słabo:

– Ciociu Mary...

– Mariano – jej głos był stanowczy – taka jest wola Pana. To już postanowione.

Tańczący płomień zaczął się chwiać, stał się niewyraźny, aż w końcu zniknął.

Zamrugałam oczyma. Stałam na Blackfriars Lane, pomiędzy ruinami jakichś budynków, na pustym i ciemnym parkingu. Zaczął padać zimny, przenikliwy wiosenny deszcz. Przejeżdżający samochód ochlapał mnie lodowatą wodą, co sprawiło, że przebiegł mnie nagły dreszcz i zaszczekałam zębami. Gdzieś niedaleko żółte światło i śmiech, zmieszane z muzyką, wylewały się na ulicę przez otwarte drzwi pubu. Ruszyłam w tamtym kierunku.

Wezwana taksówka przyjechała bardzo szybko. Wsiadłam do samochodu, podałam adres w Islington i wcisnęłam się w ciemny kąt wozu, tak żeby nie raziło mnie światło mijanych lamp ulicznych.

Mimo że w taksówce było ciepło i przytulnie, drżałam. A właściwie dygotałam tak gwałtownie, że myślałam, iż już nigdy się nie rozgrzeję.

Rozdział 6

– Mariana. – Vivien Wells smakowała powoli to imię niby wino wątpliwej jakości. Kiwała głową, marszcząc przy tym śmiesznie brwi. – Nie, nie pamiętam, żebym słyszała o kimkolwiek, kto by nosił to imię. A ty, Ned?

Nie podnosząc nawet głowy znad gazety, barman zaprzeczył, wobec czego Vivien ciągnęła, wachlując się książką rachunkową.

– To trochę nietypowe imię, prawda? Bardzo staroświeckie.

– Zabawne, rzeczywiście. – Posłałam uśmiech w stronę mojej szklanki z sokiem pomarańczowym. Vivien spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Znalazłaś stare listy miłosne gdzieś pod deskami podłogi, czy co? – zapytała.

– Mhm. Coś w tym rodzaju. Naprawdę nieważne. – Postawiłam szklankę na barze i spojrzałam w pusty kąt pubu. – Widzę, że panów jeszcze nie ma.

Vivien również rzuciła okiem w tamtą stronę i uśmiechnęła się.

– Jeszcze za wcześnie.

Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam ze zdziwieniem, że jest dopiero wpół do dwunastej. Faktycznie, jeszcze trochę za wcześnie dla szacownych mieszkańców Exbury na wizytę w pubie. Zwłaszcza w niedzielę. Mnie jednak wydawało się, że jest już późny wieczór.

Tej nocy spałam bardzo źle. Trudno właściwie mówić o spaniu, ponieważ spędziłam wiele godzin, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma w ciemność i obserwując, jak przeskakują cyfry na elektronicznym zegarze obok łóżka.

przeżywałam na nowo dziwne i przerażające chwile na Blackfriars Lane, przypominałam sobie wszystko od początku, aż wreszcie stwierdziłam, że chyba zaczynam wariować. Nie była to przygoda, z której wrażeniami podzieliłabym się z kimkolwiek. Mógłby mnie wysłuchać Tom, ale w niedzielę był praktycznie nieosiągalny. W pustym londyńskim mieszkaniu kot Cheryl gapił się na mnie ze stołu nieruchomymi oczyma.

– No i co o tym sądzisz? – spytałam go. – Zaczynam tracić rozum?

Kot nawet nie drgnął. Uznałam, że czas wracać do siebie.

To dziwne, pomyślałam, jak szybko ta senna mała wioska stała się moim domem. Jeszcze dziwniejsze, że Londyn, w którym spędziłam tak wiele lat, wydawał mi się teraz zupełnie nieznajomy i obcy.

– Dobrze jest wrócić na parę godzin do miasta? – Nie zdając sobie z tego sprawy, Vivien swoim pytaniem utrafiła dokładnie w moje myśli.

– A wiesz, właśnie myślałam sobie, jak dobrze jest być z dala od Londynu. W domu.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wystarczy pomieszkać tu chwilę, a już Londyn ze wszystkimi swoimi sprawami wydaje się człowiekowi po prostu nierealny. Ludzie są tam nerwowi i spięci. Często się zastanawiam, jak można dzień w dzień przeżywać tak silne stresy. A co ty o tym myślisz, Ianie?

Odwróciłam się na stołku. Jak zwykle, znów nie słyszałam, kiedy wszedł.

– Ja? Nie jestem zbyt wielkim miłośnikiem Londynu – odparł. Usiadł, oparł się ręką na barze i założył nogę na nogę.

– Poruszasz się jak jakiś cholerny kot – zaatakowała go rozdrażniona. Chyba z braku snu nerwy miałam napięte jak postronki. Spojrzał w moją stronę, unosząc ze zdziwienia brwi.

– Przepraszam – rzekł spokojnie. – Chcesz, żebym gwizdał czy coś takiego, żeby uprzedzić cię, że nadchodzę?

– To niezły pomysł – roześmiała się Vivien. Jej oczy ciskały wesołe iskierki. Miałam wrażenie, że bardzo lubi Iana Sumnera. – Czy jak zwykle podać ci twoją truciznę?

– Mhm. – Kiwnął głową, patrząc, jak nalewa mu kufel ciemnego piwa z pianką. Wyjął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, wyciągnął jednego i spojrzał na mnie pytająco.

– Będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę? – Nie.

– Dzięki. – Zapalił papierosa, osłaniając płomyk zapałki pobrudzonymi ziemą dłońmi. Zignorował niezbyt przychylnie spojrzenie Vivien.

– Myślałam, że przestałeś palić – powiedziała.

– Mhm. Tego samego zdania jest moja matka. – Spojrzał na nią niewinnie. – Tak się składa, że wracam akurat ze dworu. Geoff mówi, że odnalazł wszystkie dokumenty, o jakie go prosiłaś. No wiesz, te, które dotyczą historii twego domu. Pyta, czy nie zaprosiłabyś go wieczorem na filiżankę kawy, żeby mógł je wam pokazać. Tobie i Julii.

– Chciałby, żebym go zaprosiła? Do diabła! – Vivien zaśmiała się głośno. – A co, w niedziele poddanych nie przyjmuje się we dworze?

Ian podniósł kufel i wzruszył ramionami.

– Sądzę, że po prostu dawno nie było tam sprzątaczk. Znasz przecież Geoffa. A poza tym, szukając tych papierów, narobił w domu niezłego bałaganu.

– Dobra. – poddała się. – Powiedz mu, że może się czuć zaproszony. To znaczy, jeśli Julia nie jest zajęta dziś wieczorem. Co, Julio?

Zaprzeczyłam.

– Dobrze. A więc o siódmej, Ianie? Znowu uniósł brwi.

– Ja też jestem zaproszony?

– Oczywiście, jak zawsze – odpowiedziała.

– W takim razie będziesz musiała mnie nakarmić.

– Zrobię kanapki – obiecała. – A tak przy okazji, czy mówi ci coś imię Mariana?

– Szekspir – brzmiała krótka i nieoczekiwana odpowiedź.

– Szekspir? – powtórzyłam za nim. Skinął głową.

– Tajemnicza narzeczona Angela w sztuce „Miarka za miarkę” – Aha.

– Powinno mi się kojarzyć jeszcze z czymś?

– Właściwie nie... – powiedziałam. – Po prostu, robiąc porządki, natrafiłam na to imię w... jakimś liście i zastanawiam się, czy ktoś wie, kim była ta kobieta. – Żadne z nich nie zauważyło krótkiej chwili wahania i małego kłamstwa.

– No cóż, wydaje mi się, że nie jestem osobą, którą warto o to pytać – odparł Ian, lekko się uśmiechając. – Myślę, że twoja ciotka Freda mogłaby coś wiedzieć na ten temat – zwrócił się do Vivien. – Albo może któryś ze stałych bywalców? – Wskazał głową pusty stół w

rogu.

– To naprawdę nic ważnego – zapewniłam. Zaczynałam już powoli żałować, że spytałam o to Vivien. Przecież dziwna przygoda na Blackfriars Lane mogła być po prostu wytworem mojej pijanej albo zmęczonej jaźni... albo zostać spowodowana jakąś tkwiącą we mnie głęboko, a nie ujawnioną dotychczas obawą. Poza tym były bardzo małe szanse na to, żeby Mariana i jej wystraszona ciotka Mary egzystowały naprawdę. Wolałam tak myśleć. Gdyby bowiem naprawdę istniała jakaś Mariana, znaczyłoby to, że ja...

– Dobra. – Ian postawił pusty kufel na barze, przerywając moje rozmyślenia. – Skończyłem.

– Będziesz pamiętał, żeby powtórzyć Geoffowi, że go zapraszam? – zapytała Vivien, a Ian odwrócił się jeszcze od drzwi.

– Będę pamiętał, żeby powtórzyć Geoffowi, że go zapraszasz. Wiesz co – zaśmiał się – albo jedno z was, albo drugie powinno nauczyć się wreszcie korzystać z telefonu, oszczędzając w ten sposób moje utrudzone nogi.

– Spacer dobrze ci robi – odparowała Vivien.

– Niewątpliwie. W takim razie do zobaczenia wieczorem.

– Jest naprawdę cudownym facetem – powiedziała, kiedy drzwi zamknęły się za Ianem.

– I czytuje Szekspira. Uśmiechnęła się.

– Dziwi cię to, prawda? Wierz lub nie, ale Ian czytywał Szekspira, kiedy studiował w Cambridge. Stamtąd właśnie się znają z Geoffem.

– Naprawdę? A teraz hoduje owce?

– Aha. Jest urodzonym farmerem. Mógł wiele dokonać w życiu; mam na myśli to, że jest bogaty i bardzo wykształcony. Ale sądzę, że czuje się najszcześniejszy, kiedy grzebie w ziemi.

– A co studiował Geoffrey de Mornay? – zapytałam, jak mi się zdawało, najzupełniej obojętnym tonem.

– Nauki polityczne. Chociaż wcale nie musiał. W jego rodzinie nikt nie miał wątpliwości, co będzie robił Geoff, jak dorośnie. – Uśmiechnęła się. – Jego dziadek założył słynną firmę Morland Electronics.

– Rozumiem. – Przeżyłam lekki szok. Krwawoczerwony znak firmowy zakładów Morlanda był znany wszędzie równie dobrze, jak słynne kamienie ze Stonehenge. Mała fabryczka produkująca podczas wojny części do odbiorników radiowych rozrosła się i stała jedną z największych firm elektronicznych w Wielkiej Brytanii. Jej roczne dochody mogły sięgać nawet miliarda funtów.

– Jeszcze nie widziałas Geoffreya, co? – spytała Vivien.

– Właściwie to tak. W środę wieczorem. Można powiedzieć, że wpadliśmy na siebie na drodze za kościołem.

– Naprawdę? Zabawne, ale wcale się do tego nie przyznał. – Spojrzała na mnie z zaciekawieniem. – Przystojniak z niego, nieprawdaż? Czasami myślę, że to niesprawiedliwe: jeden człowiek ma i taką urodę, i takie pieniądze.

– Już widzę, jak wszystkie dziewczyny z wioski się za nim uganiają – powiedziałam. Chciałam wysondować w ten sposób, czy ma dziewczynę, a Vivien odgadła w lot moje

intencje.

– Sama za nim biegałam – przyznała. – Jeszcze kiedy chodziłam do szkoły. Teraz jest przystojny, ale trzeba go było zobaczyć wtedy! Mieszkał pięć lat w Kalifornii i był pięknie opalony, nawet mówił z lekkim amerykańskim akcentem. – Przymknęła oczy. – Oczywiście, szybko się go pozbył. Cambridge skutecznie go tego oduczyło.

– W Kalifornii? – zdziwiłam się. – A cóż on tam robił? Wzruszyła ramionami.

– Jego rodzice rozwiedli się, kiedy miał jedenaście lat. Matka wyszła drugi raz za męża, a Geoff wyjechał z ojcem do Ameryki. Morland ma tam dużą filię, zdaje się, że gdzieś w okolicach San Francisco. W każdym razie Geoff i jego ojciec wrócili na stałe do Anglii, dopiero kiedy chłopak miał szesnaście lat. Musiał się mocno napracować, żeby na nowo przyzwycząić się do tego kraju – powiedziała, uśmiechając się znowu. – Mam wrażenie, że do dziś nie może się pogodzić z obowiązującym tu systemem klasowym. Ma różnych przyjaciół i nie zwraca uwagi na to, czy ktoś jest lordem, czy prostym chłopem. Przyjaźni się nawet ze mną – dodała ze śmiechem. – Muszę ci wyznać, że przez jakiś czas mieszkaliśmy pod jednym dachem. Oczywiście, otrzymałam staranne wychowanie, ale czasem popełniałam okropne gafy. Zresztą dotychczas mi się to zdarza.

Poruszyłam się na stołku, starając się nadążyć za tokiem opowiadania Vivien.

– Mieszkałaś w Crofton Hall? – zapytałam, żeby się upewnić, czy dobrze usłyszałam. – Kiedy byłaś młodsza?

– Przepraszam, zupełnie zapomniałam, że o tym nie wiesz – powiedziała. – Co chwila muszę sobie przypominać, że dopiero co się poznałyśmy. Czasami mi się wydaje, że znamy się od lat. A ty nie masz takiego wrażenia? No, w każdym razie, kiedy byłam mała, wychowywałam się w Crofton Hall. Moja ciotka prowadziła ojcu Geoffa dom, a ja mieszkałam razem z nią. Moi rodzice – wyjaśniła, zanim zdążyłam o to zapytać – zginęli przed wielu laty w wypadku kolejowym. Nawet ich dobrze nie pamiętam. Ciotka Freda się mną zajęła i, moim zdaniem, odwaliła kawał wspaniałej roboty, zważywszy, że moją zasługą są siwe włosy na jej głowie. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Pewnego wieczora odkryła, że poszłam z Geoffem do kina, i to wystarczyło. Spakowała natychmiast moje walizki i odprowadziła mnie do domu. Żadna z jej siostrzenic nie mogła być powodem do plotek. Biedna ciotka Freda.

Rysowałam moją szklanką skomplikowane zygzaki na ladzie baru.

– Czy ty i Geoff...

– Och nie, na Boga! To nie było nic poważnego. Jeśli o to chodzi, Geoff nigdy nie był serio zaangażowany – Kiedy spotkała mój wzrok, zaśmiała się głośno. – Na razie.

Zaczerwieniłam się i upiłam szybko łyk soku ze szklanki.

– Na pewno nie chcesz czegoś mocniejszego?

– Zdecydowanie nie – odpowiedziałam, spoglądając na zegarek. – Właściwie powinnam już wracać do domu. Nie skończyłam jeszcze urządzić pracowni, a jeśli się pośpieszę, będę mogła się zdrzemnąć parę godzin. Nie miałam zbyt dobrej nocy w Londynie.

– Istotnie, wyglądasz na zmęczoną – przytaknęła Vivien. – Jeśli chcesz, możemy przełożyć naszą lekcję historii.

– Nie, wszystko w porządku. O siódmej? Pokiwała głową.

– Wejść tylnymi drzwiami, tam jest prywatna część domu. Ned przez jeden wieczór może zająć się klientami sam, prawda, słoneczko? – zwróciła się do swego pomocnika.

Przy drugim końcu baru Ned zaczynał właśnie czytać kolumnę sportową.

– Jasne – powiedział.

Moja mina musiała zdradzać co do tego pewne wątpliwości, bo Vivien roześmiała się głośno.

– Widzisz, Ned, jakie wrażenie wywarłeś na dziewczynie. Nie może nawet wyobrazić sobie ciebie pracującego.

– Przecież widziała mnie już w akcji – odpowiedział ze wzruszeniem ramion.

Vivien ściszyła głos i zwróciła się do mnie:

– Właściwie trzymamy go tylko dlatego, że jest doskonały w konserwacji tego miejsca – wyznała szeptem. – Ale i tak przychodzi codziennie na wypadek dużego ruchu.

– Mów dalej, kochanie – rzucił barman znad gazety – a bardzo się zdziwisz, jak stwierdzisz, że dziś wieczorem wszystkie kraniki od beczek nie będą się zakrecać.

Roześmiałam się.

– Czy mam coś ze sobą przynieść?

– Tylko siebie. Jesteś pewna, że czujesz się na siłach?

– Parę godzin snu i będę świeżutka jak poranek – odparłam.

Czułam się bardzo zmęczona. Ale kiedy wyszłam z Czerwonego Lwa, nie wiadomo dlaczego, zamiast iść prosto do domu, skierowałam się w stronę kościoła.

Najwyraźniej, gdy byłam w Londynie, musiał tutaj padać deszcz. Niebo było cały czas zachmurzone, a woń ziemi, mokrej trawy i przesiąkniętych wilgocią kwiatów wisiała ciężko w popołudniowym powietrzu. We wsi nie było widać żywego ducha. Mimo to tu i ówdzie można było dostrzec ślady, jakie zostawiły na chodniku obłocone buty przechodniów. Świadczyło to o tym, że przynajmniej niektórzy wstali dość wcześnie, żeby zdążyć na poranną mszę.

Ślady widniały też na ścieżce prowadzącej do dworu. Wydedukowałam, że należą do Iana, ponieważ dwa tropy prowadziły w górę i tylko jeden w dół dróżki. Wiedzioną impulsem, skręciłam i zaczęłam wspinać się w górę. Moje buty grzęzły w podsychającym błocie. Powtarzałam sobie, że powoduje mną czysta ciekawość. Nie obejrzałam zbyt dokładnie domu, kiedy byłam tam ostatnio, a sądziłam, że Geoffrey de Mornay nie gniewałby się wcale, gdybym rozejrzała się jeszcze trochę.

Ścieżka była cicha i pusta. Po lewej stronie przez gęsto posadzone drzewa prześwitywały żółtawe ściany kościoła, wyjątkowo smutne, kiedy nie świeciło słońce. Ścieżka zataczała łuk, okrążając cmentarz, po czym prowadziła prosto do dworu. Przed sobą widziałam rzeźbioną, wykutą w kamieniu bramę, którą można było wejść przez ogród do północnego skrzydła posiadłości. Napis na bramie głosił jednakże: „Witajcie w Crofton Hall. Ta część budynku jest własnością prywatną. Zwiedzający mogą wejść do posiadłości tylko wschodnim wejściem, od High Street”.

Pomyślałam, że to bardzo uprzejmy sposób zakomunikowania ludziom, żeby stąd

zniknęli. Nikt nie musiał się przemykać, uważając, by nie zostać przyłapanym na chodzeniu po terenie należącym do prywatnego skrzydła. Mała furtka, umieszczona w kamiennym ogrodzeniu po mojej lewej ręce, wiodła wprost na cmentarz, skąd skrótem można było dostać się na High Street.

Po prawej stronie stał niski i długi kamienny budynek. Silny zapach, jaki płynął z otwartych szeroko wrót, wyraż

nie świadczył o tym, że mieszczą się tam dworskie stajnie. Wahałam się tylko chwilę. Nigdy nie mogłam się oprzeć niemal magnetycznemu wpływowi, jaki wywierała na mnie obecność koni. W jednej chwili zapomniałam o dworze i weszłam we wrota stajen, zabijając przy okazji muchę, która brzęczała mi przy uchu.

Stajnie były niewątpliwie stare, zbudowane z tego samego kamienia co mój dom. Opędziłam się od kolejnej muchy, znacznie głośniejszej niż poprzednia. Wnętrze stajni było bardzo ciepłe i przesycone różnymi zapachami. Zatrzymałam się na chwilę, żeby pozwolić oczom się przyzwyczaić do panującego tam półmroku.

Pomieszczenie miało siedem dużych okien, w większości z nich zachowały się jeszcze wstawione wiele lat temu niebieskawo połyskujące szybki. Obijały się o nie niebieskawe muchy. W siedmiu z dziewięciu boksów stały konie różnej maści – od karej do gniadej. Ale tylko siwy koń stojący w boksie na końcu stajni przykuł moją uwagę.

Był to dorodny ogier o dumnie wygiętej szyi i kształtnym łbie. Te cechy świadczyły o płynącej w jego żyłach gorącej krwi. Kiedy podeszłam bliżej, siwek odwrócił głowę i zobaczyłam jego mądre czarne oczy.

Zarżał cicho. Wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać aksamitne chrapy, poruszające się lekko, kiedy siwek wciągał w nozdrza mój zapach.

– Witaj, Navarre – przywitałam go czule. – Witaj, mój cudowny koniku.

Ogier dotknął pyskiem mojej ręki, oczekując pieszczoty. Na pewno bym go poklepała, gdyby nie kroki zbliżające się do stajni. Ciężkie, pewne kroki, którym towarzyszyło radosne, pozbawione jakiegokolwiek melodii pogwizdywanie. Odwróciłam się do drzwi i stałam z założonymi z tyłu rękami, jak niegrzeczna uczennica, która coś przeskrobała i czeka na burę.

Ale nikt nie wszedł do stajni.

Muchy zaczęły bzyczeć głośniejsz, zagłuszając kołatanie mojego serca. Zamrugałam, gdy oślepiło mnie bardzo jasne światło elektryczne, które jeszcze przed chwilą się nie paliło. Okna z niebieskawymi szybami zastąpiły nowoczesne – szczelne, energooszczędne. Zniknęły również małe boksy; na ich miejscu stało teraz pięć znacznie obszerniejszych, czystych pomieszczeń dla koni. A kiedy odważyłam się znów odwrócić – patrzący na mnie ciekawie koń okazał się nie siwy, ale gniady.

Nie zdążyłam nawet pomyśleć o tym, co mi się przed chwilą przytrafiło. Uciekłam. Wybiegłam ze stajni, przebiegłam ścieżkę i przez furtkę dostałam się na zaciszny cmentarz. Gdybym się nie potknęła o wystający korzeń drzewa, na pewno bez tchu pędziłabym dalej.

Upadek w zielsko rosnące pod murem cmentarnym sprawił, że musiałam przez chwilę położyć się bez ruchu. Wtedy to wzrok mój padł na zwietrzały nagrobek tuż koło mnie.

To był bardzo stary kamień, przechylony pod jakimś nieprawdopodobnym wręcz kątem i

porośnięty bluszczem, którego gęstwa odsłaniała jedynie imię spoczywającej tu osoby:
Mariana...

Rozdział 7

Droga do prywatnego mieszkania Vivien na zapleczu Czerwonego Lwa wiodła przez jeden z najcudowniejszych ogrodów, jaki kiedykolwiek widziałam. Zwykle na coś takiego natknąć się można jedynie, przeglądając ilustrowane przewodniki turystyczne. Pod zdjęciem zawsze widnieje napis: „Typowy angielski ogród wiejski”. Latem ogród Vivien musiał być wspaniały, bo już teraz, w połowie maja, porastały go bujnym kobiercem maleńkie kwiatuszki, wciskające się w każdy załom starego, otaczającego dom kamiennego ogrodzenia. Przystanąłam na chwilę koło schodków, podziwiając w milczeniu to чудо.

– Uwaga! Nadchodzę! – ostrzegł idący w pewnej odległości za mną Ian Sumner. – No i co? – zapytał, stając przy mnie na schodkach. – Teraz lepiej?

Śmiejąc się, pokręciłam głową przecząco.

– Przepraszam cię bardzo, ale nie. Znowu podskoczyłam.

– No cóż – westchnął – będziemy musieli wymyślić jakiś inny rodzaj sygnalizacji. Nie chciałbym cię przyprawić o zawał serca.

– Hej, hej! – Geoffrey de Mornay wyłonił się zza rogu budynku. Ubrany w zwykłe granatowe dzinsy i codzienną koszulę, wyglądał nadzwyczaj elegancko. Przywitanie skierowane było do Iana, ale wiedziałam, że uśmiech przeznaczony jest dla mnie.

– Czemu miałbyś przyprawić ją o zawał serca?

– Bo poruszam się jak jakiś cholerny kot – zaśmiał się Ian.

– Słucham?

– Cały czas skrada się za mną – wyjaśniłam.

Ian potraktował to jako obrazę, unosząc brwi w udanym gniewie.

– Szkot nigdy się nie skrada – wycedził.

– No dobrze. Po prostu nie słyszę, jak nadchodzi. Geoff wzruszył ramionami.

– Może powinieneś nosić cięższe buty? – zapytał, ale Ian pokręcił głową.

– Nie można już dostać cięższych niż te.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na oblepione błotem buty Iana i staliśmy tak przez chwilę, dopóki nie usłyszeliśmy dobiegającego od drzwi cichego chrząknięcia.

– Witajcie! – Vivien uśmiechała się do nas radośnie, stojąc w drzwiach domu. – Czy chcielibyście może wejść do środka, czy to ja powinnam dołączyć do was?

– Cześć, Viv. – Geoff podszedł bliżej, żeby pocałować ją na powitanie. – Dzięki, że mnie zaprosiłaś.

Dotknął lekko jej ramienia, wchodząc do domu, ja i Ian szliśmy za nim. Vivien zamknęła za nami drzwi i powiedziała:

– Może mi teraz ktoś wyjaśni, co, u licha, robiliście pod drzwiami?

– Oglądaliśmy moje buty – wyjaśnił krótko Ian, właśnie je zdejmując, po czym wszedł boso do małej kuchenki. On też miał na sobie dzinsy i flanelową roboczą koszulę. I gdyby nie to, że Vivien ubrała się w doskonale skrojoną granatową sukienkę, w której jako blondynce bardzo było jej do twarzy, ja – choć tylko w swetrze – czułabym się zbyt wystrójona, jak

na taką okazję.

– Masz wspaniały ogród – powiedziałam, a ona się uśmiechnęła.

– Dzięki, ale nie mnie należą się pochwały. Większą część roboty wykonał Ian.

– Czy jest w okolicy jakiś ogród, którym Ian by się nie zajmował? – zapytałam.

– Raczej nie – rzucił Ian przez ramię, grzebiąc jednocześnie w lodówce. – Bardzo lubię ogrody. Nienawidzę patrzeć, jak się marnują. – Wyprostował się z kanapką w ręku. – A skoro już jesteśmy przy tym: wokół twojego domu był bardzo ładny ogród. Ale stary Eddie pozwolił mu zdziczeć. Nie chciał nawet słyszeć o jego zagospodarowaniu.

– Ogród, w którym pojawiała się Zielona Dama.

– Zgadza się – przytaknął Geoff, siadając na długiej sofie. – Poznałaś już trochę miejscowe legendy, nieprawdaż?

– Są naprawdę fascynujące. Nigdy przedtem nie miałam ducha na własność.

– Nie jestem pewien, czy go masz – odparł. – Zieloną Damę widziano ostatnio w czasach, kiedy nosiłem jeszcze krótkie spodenki. Chyba że ją ostatnio widziałaś.

– Niestety, obawiam się, że nie – pokręciłam głową. Vivien podeszła do nas i wręczyła Geoffowi szklankę jasno-bursztynowego napoju.

– Ale za to znalazła schowane gdzieś stare listy – powiedziała. – Nie wiesz, czy mieszkała tu kiedykolwiek jakaś Mariana?

– Mariana... – Geoff pociągnął pierwszy łyk ze szklanki. – Nie jestem pewien. Znasz jej nazwisko?

– Farr – odparłam. I w odpowiedzi na pytające spojrzenie Vivien dodałam: – Znalazłam jej grób na cmentarzu.

– Mariana Farr. Nie, nie przypominam sobie. Ale może tutaj jest coś o niej. – Przytknął palcami w cienki segregator, który przyniósł ze sobą i położył na niskim stoliku, obok talerzy z kostkami sera i krakersami.

– Julio, usiądź koło Geoffa, żebyś mogła lepiej widzieć – rzekła przebiegle Vivien. – Ian, dla ciebie też szkocka?

– Z jednego zboża?

– Mieszana.

– W takim razie zadowolę się raczej tym. – Wyjął z lodówki jedną z kilku stojących tam butelek importowanego piwa. Po chwili usadowił się w niskim fotelu naprzeciwko nas.

– A co dla ciebie, Julio?

Zawsze kiedy zadawano mi to pytanie, bez pudła wybierałam napój, którego akurat gospodarze nie mieli. Tym razem więc spróbowałam inaczej:

– Ty jesteś barmanką – uśmiechnęłam się. – Zostawiam ci wolny wybór.

– Widzę, że masz do Vivien pełne zaufanie – zauważył Geoff, kiedy gospodyni poszła przygotować coś do picia. – A zatem, czy mogłabyś mi powiedzieć, co cię szczególnie interesuje?

– To znaczy?

– No, w sensie historycznym. Tylko twoja posiadłość?

– Właściwie tak. Ale chciałabym też poznać historię twojego dworu.

– Naprawdę? – Wydawał się bardzo zadowolony, Ian westchnął głęboko.

– Zaczęło się – oznajmił pomiędzy kęsem kanapki a łykiem piwa.

– Co? Co takiego?

– Nic – odpowiedziała za niego Vivien, wracając do pokoju z dwiema szklankami jasnego napoju w rękach. – Po prostu zdarza się, że Geoff popada w zbytnią rutynę, opowiadając o dziejach dworu. – Postawiła mojego drinka koło mnie i usiadła obok Iana.

– Określiłaś to bardzo eufemistycznie – zauważył. Spojrzałam z ciekawością na drinka, a Vivien uśmiechnęła się.

– Jednym ze składników jest rum – ostrzegła. – Ale reszta składników to moja tajemnica. Pierwszy łyk mile mnie zaskoczył.

– Pyszne. Dziękuję.

– Proszę bardzo. No, Geoff, do dzieła. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od zakonu benedyktynów, jeśli oczywiście Julia będzie chciała słuchać.

– Dobrze. – Otworzył segregator i zaczął szybko przerzucać papiery. Wyglądał jak uczeń, który przygotowuje się do przedstawienia na lekcji jakiegoś projektu. – W 1173 roku...

– Siedemdziesiątym czwartym – poprawił Ian, trąc oko.

– ... Henryk II przekazał trochę ziemi Thomasowi Killingbeckowi, żeby zbudował na niej klasztor benedyktynów. W tamtych czasach zakon był dość liczny.

– Henryk U. – Pochyliłam się do przodu w skupieniu. – To ojciec Ryszarda Lwie Serce, nieprawdaż? Tego, który zamordował Thomasa Becketa?

Geoff spojrział na mnie z podziwem.

– Tak, to ten sam. Niewiele osób o tym pamięta. – Pamiętam po prostu dlatego, że tak ma na imię mój brat – wyjaśniłam. – Thomas Beckett. Akurat na lekcjach historii, które dotyczyły tej sprawy, słuchałam bardzo pilnie.

Ian wyciągnął nogi przed siebie i zarzucił jedną ręką na miękkie oparcie sofy.

– Twój brat ma na imię Thomas? – W jego szarych oczach pojawiły się iskierki zainteresowania. – To pomysł twoich rodziców, prawda?

– Po części.

Dla informacji Geoffa i Vivien dodałam:

– Tom jest proboszczem w Hampshire, niedaleko stąd. Geoff zachichotał.

– Poważnie? Jeśli zostanie arcybiskupem, to myślę, że zwróci na siebie uwagę paru osób.

– Nie sądzę, żeby był aż tak ambitny. Tom lubi wiejskie życie. No, ale odeszliśmy trochę od tematu. Co się stało z opactwem?

– Właściwie miało się całkiem dobrze, dopóki Henryk VIII nie zarządził konfiskaty dóbr zakonnych. Ostatni przeor został powieszony za niepodporządkowanie się rozkazom króla.

– Czy jego duch też tu straszy?

– Przypuszczalnie. Parę osób twierdziło, że widziało ducha zakonnika spacerującego po komnatach, ale można powątpiewać, czy był to akurat duch przeora – ciągnął z zadziwiającą powagą, jakby spacer duchów we dworze były zjawiskiem zupełnie naturalnym. – W każdym razie – tu zajrzał do notatek – ziemia została sprzedana w 1547 roku sir Jamesowi Croftonowi, który na fundamentach opactwa zaczął wznosić swoją posiadłość. To właśnie od

niego dwór wziął nazwę. Na starych mapach można jeszcze znaleźć nazwę „Crofton’s Hall”, ale z upływem czasu ludzie zaczęli nazywać go po prostu Crofton Hall. Crofton mieszkał tam zaledwie czternaście lat, po czym sprzedał dwór Nicolasowi Hatchowi, który z kolei w prezencie ślubnym ofiarował go swojemu synowi. Edmund Hatch również nie miał czasu nacieszyć się swoim domem. Zmarł w 1594 roku. Najprawdopodobniej jakiś wypadek z bronią. Zostawił posiadłość żonie Annie, która, błogosławszy jej, Panie, z całego serca, bardzo szybko poślubiła mojego przodka, Williama de Mornay.

– Czym zajmował się William de Mornay? – zapytałam.

– Był emerytowanym żołnierzem. Właściwie nie wiem, dlaczego za niego wyszła, gdyż jej żałoba ledwie się skończyła, a staruszek liczył sobie dwa razy więcej lat niż ona.

– Może był bogaty – podpowiedział Ian.

– Niewykluczone.

Absolutnie się z tym nie zgadzałam. Jeśli Geoff odziedziczył swój urok po przodkach, to wiedziałam, dlaczego owdowiała Anna Hatch zdecydowała się wyjść za Williama de Mornay.

– Anna i William mieli jednego syna, któremu, żeby przysporzyć nam kłopotów, także dali na imię William. Mój ojciec miał okropny problem z rozszyfrowaniem, które dokumenty dotyczyły Williama ojca, a które Williama syna. W każdym razie William młodszy był bardzo interesującą postacią. Podczas wojny domowej, kiedy kraj podzielony był pomiędzy stronników króla Karola I a zwolenników parlamentu Cromwella, William junior uczynił krok bardzo nierozsądny, ale może właśnie przez to wielki, i opowiedział się po stronie swojego władcy.

Kiedy król został stracony, Williama syna pozbawiono ziemi i wtrącono do więzienia. Zwolniono go stamtąd w 1660 roku, kiedy to Karol II znów zasiadł na tronie. Williamowi zwrócono jego posiadłości, ale nigdy nie odzyskał zdrowia. Zmarł w niecały rok później. W jadalni wisi jego portret, zresztą mam tutaj fotografię tego portretu, o, proszę bardzo... to jest właśnie William junior.

Podsunał mi fotografię, a ja pochyliłam się, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Moje wcześniejsze przypuszczenia okazały się słuszne. Urodę Geoff odziedziczył zdecydowanie po przodkach. Na portrecie William de Mornay wyglądał naprawdę wspaniale, z kręconymi włosami, brodą w stylu van Dycka i marzącymi ciemnymi oczyma, świadczącymi o niezwyklej wrażliwości. W szkarłatnej kurtce i bryczesach, z jedną ręką na szabli, a drugą niedbale opartą o biodro, wyglądał na prawdziwego rycerza. Niechętnie oddałam zdjęcie.

– To naprawdę wspaniały portret.

– Zgadza się. Nie udało nam się nigdy znaleźć żadnych dokumentów świadczących o tym, że William miał dzieci, ale najwidoczniej jakieś były, bo później posiadłość przeszła w ręce jego wnuka, Arthura de Mornay. I tu drobny zgrzyt. Arthur był namiętym hazardzistą i nie tylko przehulał cały rodzinny majątek, ale też, żeby spłacić wszystkie długi, musiał sprzedać dwór. Tak więc już po raz drugi de Mornayowie stracili swoje ziemie. Nie udało nam się ich odzyskać aż do 1946 roku, kiedy to mój ojciec odkupił wszystko. – Geoff przewrócił kolejnych kilka stron bez specjalnego zainteresowania. – Naprawdę powinienem znów się tym zająć. Ojciec pasjonował się genealogią, potrafił spędzać całe dnie w biurach

notarialnych, przeglądając różne testamenty i podobne rzeczy. Ale w końcu stracił zainteresowanie dla tych spraw, a ja jakoś nie mam na nie czasu...

Ian poruszył się w fotelu.

– Ale historia dworu od czasów starego Arthura staje się trochę nudnawa, nie sądzisz? Opowiedz nam coś lepiej o domu Julii.

– Co? – Geoff obrzucił nas nieobecny wzrokiem, a potem uśmiechnął się lekko. – Słusznie. Chwileczkę. Muszę się trochę rozejrzeć w moich notatkach.

Patrzyłam zafascynowana na jego ręce, kiedy przerzucał papiery. Miał naprawdę piękne dłonie – szczupłe, silne i bardzo opalone. I wielką elegancję w ruchach.

– Jest! – Wyciągnął z pliku dokumentów jakąś kartkę. – Znalazłem. Szare Głazy. Zgodnie z dokumentami dom zbudował w 1587 roku niejaki Stephen Sharnington, rolnik, który dzierżawił ziemię od naszego dobrego znajomego Edmunda Hatha. Dom odziedziczył później jego syn John. W 1626 roku sprzedał go kupcowi Robertowi Howardowi. Dobrze się czujesz?

Skinęłam głową.

– To tylko przeciąg, mów dalej.

– Rodzina Howardów mieszkała tam aż do początku 1800 roku, kiedy to odkupił go pan Lawrence Alleyn. Był on bardzo barwną postacią: walczył z Wellingtonem w bitwie pod Waterloo, potem spędził kilka lat w Indiach. Miał tylko jedną córkę Mary, która jak na swoje czasy, była bardzo postępową. Chodziła w spodniach i pisywała opowiadania.

– Okropne zresztą – wtrąciła Vivien z niesmakiem. – Raz przeczytałam jedno. Typowy wiktoriański kawałek. Pełen długich opisów, nudny jak flaki z olejem.

– W każdym razie – Geoff uśmiechnął się pobłaźliwie – Mary zmarła w 1896 roku, a dom kupił kapitan James Guthrie.

– To jest właśnie ten „jakiś tam kapitan”, o którym słyszałaś tuż po przyjeździe w pubie – przypomniała mi Vivien. – Pytałam o niego ciotkę Fredę. Mówi, że był oficerem marynarki czy coś w tym rodzaju, w każdym razie dość tajemniczą osobą. Niektórzy sądzili nawet, że jest szpiegiem. Prowadził dom, jakby to był jeden z jego okrętów. Miał trzy córki, którym bardzo rzadko pozwalał wychodzić. Biedne dziewczęta.

– Co się z nimi stało? – spytałam.

– W końcu ich ojciec zmarł – uśmiechnęła się. – Powszechna plotka głosiła, że został otruty. A dziewczęta wyfrunęły z domu i powychodziły za mąż. To było we wczesnych latach dwudziestych.

– W takim razie wszystko się zgadza – kontynuował Geoff – bo w 1921 roku dom sprzedano Williamowi Randallowi, ojcu starego Eddiego. Udało mu się przekonać ówczesnego właściciela Crofton Hall, nazywał się chyba Pilkington, żeby odsprzedał mu część posiadłości, i w taki właśnie sposób Randallowie stali się pierwszą rodziną, która posiadała własną ziemię.

– A po Randallach jesteś już tylko ty – oświadczyła Vivien. – I żadnej Mariany.

Ian wzruszył ramionami.

– Może była służącą?

– Albo czyjąś żoną – wtrącił Geoff. – Stare kroniki rzadko wspominają o kobietach, które

zamieszkiwały w domu.

Przytaknęłam, dodając:

– W każdym razie to wszystko jest bardzo interesujące. Pewnie nie możesz zrobić mi kopii tych dokumentów?

– Twojego domu? Ależ z przyjemnością. – Jego oczy uśmiechały się do mnie ciepło, aż nagle poczułam, że brakuje mi powietrza. Odwróciłam się, żeby zwalczyć to uczucie; sięgnęłam po szklanę.

– Dolać ci? – spytała Vivien.

– Nie, myślę, że na tym poprzestanę.

– A ja poproszę o jeszcze jedną szkoekę. – Geoff podniósł pustą szklaneczkę, Vivien wstała z sofy.

– Ciebie chyba nie muszę pytać, co, Ian? Piwo, prawda?

– Oczywiście, czemu nie? – uśmiechnął się szeroko. Wyglądał, jakby był tak samo zmęczony jak ja. To jasne, jako rolnik z pewnością zrywał się o świcie.

Geoff pochylił się, żeby zajrzeć mi w twarz.

– No i co? Zadomowiłaś się już na dobre?

– Prawie, dzięki – odparłam. – Rozpakowałam większość najpotrzebniejszych rzeczy, posprzątałam pokoje, a resztę zrobię wtedy, kiedy będę miała odpowiedni nastrój.

Vivien wróciła na sofę i usiadła, podwijając nogi.

– Myślę, że postąpiłaś rozsądnie. Najważniejszymi pomieszczeniami w domu są kuchnia i sypialnia.

– I łazienka – dodał Geoff.

– I moja pracownia – uśmiechnęłam się. – W ciągu ostatnich kilku dni rozpuściłam się jak dziadowski bicz i w ogóle nie rysowałam. Gdyby mój wydawca się o tym dowiedział, osiwiłoby chyba ze zmartwienia.

– Julia – oznajmiła Vivien głośno – robi ilustracje do książek dla dzieci.

Ian pociągnął spory łyk piwa; jego szare oczy skrzyły się jak zwykle w nieruchomej twarzy.

– Aha. Wydaje się, że doszły mnie jakieś słuchy na ten temat.

– Bardzo interesujące zajęcie. – To był komentarz Geoffa. – Musi ci pozostawiać dużo swobody.

– Istotnie. Ale i tak muszę się trzymać, nazwijmy to, harmonogramu. Zazwyczaj pracuję rano, a resztę dnia mam wolną.

– Jaką książkę teraz ilustrujesz? – zapytała Vivien.

– Zbiór baśni z całego świata. Są naprawdę cudowne.

Bardzo wiele z nich pochodzi ze Wschodu, no i przekład jest naprawdę doskonały.

– Czerpiesz pomysły tylko z wyobraźni – dopytywała się dalej – ze zdjęć czy może z innych źródeł?

– Ze wszystkiego po trosze. Czasami muszę rysować sceny z życia. To zresztą zależy, jaki chcę osiągnąć efekt.

– W takim razie będziesz potrzebować modeli – oświadczył Geoff, odwracając się do

mnie bokiem i pokazując mi swój profil.

Ian zachichotał.

– Co, wyobrazasz sobie, że jesteś księciem z bajki?

– Królem – poprawił go Geoff. – Dlaczego miałbym być zaledwie jakimś tam księciem?

– Książę zdobywa księżniczkę – wyjaśnił Ian, a Geoff rozważał coś przez chwilę, kiwając głową.

– Masz rację. W takim razie mogę pozować do ilustracji jako piękny książę. Oczywiście, jeśli zechcesz – rzucił w moją stronę, z zapierającym dech w piersiach uśmiechem.

Wolałam nie odpowiadać na to pytanie, musiałam jednakże w duchu przyznać, że Geoffrey de Mornay mógłby od razu zagrać rolę księcia z bajki.

Rozmowa toczyła się jeszcze dobre pół godziny, ale przez ten czas musiałam mocno walczyć ze sobą, żeby mieć otwarte oczy. Zdawałam sobie sprawę, że siedzący naprzeciwko mnie Ian Sumner uśmiecha się ze zrozumieniem, widziałam też, jak jego głowa pochyła się coraz to niżej i niżej.

– Jeśli naprawdę chcesz być księciem z bajki – odezwał się w końcu do Geoffa, przerywając mu opowiadanie jakiejś anegdoty – to może przestałbyś gadać i zanim Julia zaśnie, odprowadził ją do domu.

Geoff spojrzał na mnie zaskoczony.

– Przepraszam – powiedział. – Zupełnie zapomniałem, że ostatniej nocy balowałaś w Londynie. Chcesz, żebym cię odwiózł? Zaraz przyprawdę samochód.

– Jeśli chcecie, weźcie mój – zaproponowała Vivien. – Stoi tuż za rogiem.

Najwyraźniej zdecydowano za mnie i kilka minut później siedziałam już obok Geoffa w samochodzie Vivien, po

zegnawszy gospodynię i Iana, który zapuścił chyba korzenie w miękkiej sofie.

Droga do domu zajęła nam tylko kilka minut. Geoff zatrzymał samochód na podjeździe i odwrócił się do mnie. Nagle zdałam sobie sprawę, jak jego obecność oddziałuje na mnie w tym ciemnym wnętrzu samochodu.

– Co robisz jutro? – zapytał.

– Właściwie jeszcze nie wiem, a dlaczego pytasz?

– Myślałem, że może będziesz chciała zwiedzić Crofton Hall. Odkrywanie zakulisowego życia dworu, jeśli, oczywiście, masz na to ochotę. Obiecuję, że będzie to znacznie bardziej interesujące od tego, co pokazuję zwykłym turystom. – Jego uśmiech był bardzo seksowny i przekonujący.

– Dobrze.

– Świetnie. W takim razie wpadnij po południu. Będę cały dzień w domu.

– Na pewno przyjdę. Dobranoc, Geoff. Dzięki za podwiezienie.

– Polecam się na przyszłość.

Wydawało się całkiem naturalne, że Geoff zechce pocałować mnie na pożegnanie. Także to, że powinnam pochylić się trochę ku niemu, żeby oddać pocałunek. To był zwyczajny, przyjacielski gest, ale mimo to czułam ciepło jego warg jeszcze wtedy, gdy tylne światła samochodu zniknęły na drodze prowadzącej do miasteczka.

Odwrociłam się z westchnieniem i ruszyłam przez trawnik w stronę domu, stawiając z trudem nogi, jakbym dopiero teraz poczuła, jak bardzo jestem zmęczona. Wiatr znacznie przybrał na sile. Nocne powietrze przepelnione było wilgocią, zapowiadającą rychły deszcz. Gdzieś z prawej strony, pomiędzy odgłosami zawodzącego wiatru i poskrzypujących w jego podmuchach drzew, dało się słyszeć odległe uderzenie pioruna.

Byłam parę metrów od domu, kiedy drzwi się nagle otworzyły, rzucając na trawnik prostokąt żółtego światła. Było w nim widać cień mężczyzny, który z rękami założonymi na piersiach stał, oczekując mojego przybycia.

– Wuju – powiedziałam, ale mój głos zagubił się gdzieś w szalejącym wietrze.

Znowu piorun. Zadrżałam gwałtownie z przerażenia i wyczerpania. Dodając sobie w duchu odwagi, uniosłam ociekający wodą brzeg sukienki i zmusiłam się do zrobienia paru ostatnich kroków.

Mężczyzna uniół nieco głowę i wtedy mogłam lepiej dojrzeć, jak wygląda – miał oczy mojej matki osadzone w ptasiej twarzy, nie było w nich jednak łagodności i czułości. Chciałam się uśmiechnąć, ale wyraz twarzy wuja nie świadczył o tym, że oczekuje tego rodzaju reakcji. Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę, a tymczasem burza za moimi plecami przybierała na sile; wiatr zawodził coraz głośniejsze.

– Więc – powiedział w końcu wuj – przyjechałaś.

Rozdział 8

Bardzo trudno jest opisać uczucie cofania się w czasie, przeskakiwania z jednej rzeczywistości w drugą, która jest tak samo realna i tak samo dobrze znana. Nie powinnam chyba używać słowa „cofać się”, ponieważ na dobrą sprawę zostałam siłą i bez ostrzeżenia wepchnięta z jednego wymiaru w drugi; tak jakbym przechodziła przez jakieś niewidoczne drzwi łączące teraźniejszość z przeszłością.

Stało się to w momencie, kiedy wchodziłam do domu. W swojej słodkiej nieświadomości nie zauważyłam, że coś się zmieniło. Zdałam sobie z tego sprawę, dopiero kiedy na powrót stałam się Julią Beckett.

Ale wchodząc tego wieczora na schodki i patrząc na mężczyznę, który stał w drzwiach, nie byłam już Julią. Julia ze swoimi wspomnieniami została ze mnie usunięta. Moje myśli były myślami innej osoby, moje ciało nie było już moje i czułam, że przeżywam wszystko po raz pierwszy. Byłam Mariana, i to właśnie oczyma Mariany patrzyłam w tej chwili na swojego wuja.

Jabez Howard był wysokim mężczyzną o bardzo szerokich ramionach i grubym karku. Nie musiał niczym wypychać pończoch, żeby podkreślić, jak bardzo muskularne ma nogi. I wełniane sukno obcisłych od kolan w dół spodni, i kaftan niemal pękający w szwach sprawiały wrażenie, jakby ubranie wuja szyte było na znacznie mniejszą osobę. W dziwnym żółtawym świetle głowa Jabeza, którego ostrzyżono krótko, pozostawiając modne loki po bokach, wyglądało groteskowo i wprost nieludzko. Ale kiedy się w końcu uśmiechnął, ujrzałam znowu twarz mojej matki, a czarne myśli zastąpiła radość, że dotarłam wreszcie do domu.

– Nie słyszałem powozu – powiedział, znikając przede mną w ciemności.

– Jeden z koni okulał i woźnica nie chciał ryzykować dalszej jazdy w taką okropną noc. Wysadził mnie koło zajazdu.

– A ty przyszłaś tu sama. Trzeba było poczekać do rana.

– Bardzo mi się śpieszyło, żeby się już u was znaleźć. Ukradkowe spojrzenia i agresywny ton woźnicy, smród piwa, tytoniu i potu podróżnych sprawiły, że pozbyłam się wszelkich obaw, które mogłyby mnie powstrzymać przed samotnym spacerem pustą drogą. Właściciel zajazdu był tak miły, że wskazał mi drogę i obiecał przechować moje rzeczy do czasu, gdy się po nie zgłoszę.

Wuj mruknął coś z niezadowoleniem i odwrócił się, kiwnąwszy, żebym szła za nim. Duży hol był oświetlony tak jasno, iż miało się wrażenie, że płonie tam naraz sto świec. Ich płomienie tańczyły na metalu kandelabrow i odbijały się od ciemnego drzewa boazerii.

– Zamknij drzwi – powiedział krótko.

Wykonałam polecenie. Zostawiając za drzwiami ciemność i burzę, zasunęłam zasuwę.

– Rozmawiałaś z właścicielem Czerwonego Lwa? – zapytał wuj.

Wiedziałam, o co mu chodzi.

– Powiedziałaś, że jestem córką twojej siostry z Southampton i przyjechałam, żeby tu

przez pewien czas pomieszkać. Taką bajeczkę wymyśliła ciotka Mary i doradziła mi, żebym się trzymała tej wersji.

Wuj Jabez z uznaniem pokiwał głową.

– Mój brat John pomimo wszystkich swoich wad ożenił się z odpowiednią osobą – orzekł.
– Twoja ciotka jest sprytną i rozgarniętą kobietą. Nie muszę ci chyba przypominać, że powinnaś pamiętać o jej radzie. Ludzie tutaj boją się straszliwie zarazy, a osoby przybywające z Londynu nie są mile widziane.

– Jestem wielce wdzięczna – powiedziałam, pamiętając o zasadach dobrego wychowania
– że zaproponowaliście mi mieszkanie, chociaż sami obawiacie się zarażenia.

Jego spojrzenie stwardniało.

– Nie mam się czego obawiać. Jestem porządnym człowiekiem. Chodź.

Poprowadził mnie wąskim korytarzem na tyły domu. Szłam za nim, a mokra pożyczona sukienka lepiła mi się do nóg, utrudniając stawianie kroków. Dwa dni męczącej podróży doprowadziły mnie do skrajnego wyczerpania. Moje jasne włosy pociemniały od kurzu, niebieskie oczy przestały błyszczeć, białka były przekrwione. Przydrożny kurz sprawił, że zielona sukienka zamieniła się w okropny szary łachman, a w gardle tak mnie drapało, iż nawet odchrząkiwanie nie mogło pomóc.

Przeszliśmy z jasnego holu do skromniej oświetlonej kuchni, z której biło ciepło płonącego tam ognia. Koło paleniska siedziała kobieta z pulchniutkim, różowym niemowlęciem na ręku. Obok znacznie młodsza dziewczyna, trzymając w ręku spódnice, żeby się nie zajęła od płomienia, pochylała się nad ogniem i mieszała coś wprawną ręką w parującym garnku. Obydwie kobiety odwróciły się, kiedy weszliśmy do kuchni; spojrzały najpierw na wuja, potem na mnie. Wskazał mi głową tę z dzieckiem.

– Twoja ciotka Karolina – powiedział.

Miała bardzo miłą twarz, wyrazistą, a zarazem młodzieńczą pomimo białych pasemek siwizny przeplatających gęste czarne włosy. Ale z miny kobiety nie można było niczego wyczytać. Nie była ani przyjazna, ani wroga, wyrażała po prostu obojętność – oczy były nijakie i puste, przypominały oczy owcy. Ciotka skinęła lekko głową, akceptując w ten sposób moją obecność, i dalej kołysała dziecko.

– Rachela, młodsza siostra mojej żony – oznajmił wuj, gdy druga z kobiet wyprostowała plecy, odwróciwszy się od paleniska. Przynajmniej ona sprawiała wrażenie naprawdę żywej istoty. Była mniej więcej w moim wieku, może rok albo dwa lata młodsza. Jej jasne włosy koloru miodu wiły się w pierścionkach wokół rumianych od ognia policzków, a uśmiech był ciepły i przyjazny.

– Zagrzałam trochę piwa z korzeniami – oznajmiła. – A jeśli jesteś głodna, to na stole leży chleb.

Rzeczywiście, byłam strasznie głodna. Od rana nie miałam nic w ustach. Usiadłam naprzeciwko wuja przy nie heblowanym dębowym stole, z wdzięcznością przyjmując gliniany kubek wonnego piwa i potężne, grube pajdy ciemnego chleba, które mi podawano. Rachela usadowiła się obok, świdrując mnie ciekawymi oczyma.

– Jakie nowiny z Londynu? – zapytała. – Czy to prawda, że z obawy przed zarazą król

chce się przenieść do Hampton Court?

– Nie mam pojęcia, co zamierza zrobić król – odparłam szczerze – ale zwykli mieszczanie mówią wiele o opuszczeniu miasta.

Pod wpływem nalegań Racheli opowiedziałam im o panice, która ogarnęła Londyn, o nie kończących się głośnych modłach, o zamkniętych domach z czerwonymi krzyżami, ostrzegawczo wymalowanymi na drzwiach, i o słowach „Panie, zmiłuj się nad nami”, które jakiś przerażony obywatel wypisał na murze.

Wuj wzruszył ramionami.

– Londyn jest bezbożnym i grzesznym miejscem – rzekł. – I Opatrzność zsyła na nie karę. Ludzie bogobojni nie mają się czego obawiać.

Uniosłam twarz, moje oczy przepełnione były bólem.

– Moja matka nie zgrzeszyła – powiedziałam – a też nie żyje.

Wuj skończył przeżuwać kawał chleba, jego twarz była obojętna. Wyblakłe oczy stały się nagle okrutnie bezlitosne, choć głos pozostał spokojny.

– Sprzeciwiła się ojcu. W oczach Boga to grzech.

Nie chciałam go prowokować. Wiedziałam aż nadto dobrze, że moja matka wyszła za mąż wbrew woli ojca, wybierając jakiegoś biednego skrybę zamiast bogatego gospodarza z wioski, który zabiegał o jej względy. Widząc na co dzień miłość moich rodziców, miłość, której płomień ogrzewał i rozświetlał moje dzieciństwo i sprawił, iż matka przez dziewięć długich lat po śmierci ojca nie wyszła ponownie za mąż, nie mogłam uznać tego, co zrobiła, za grzech. Ale ugryzłam się w język, przypomniawszy sobie w porę, że wolność ducha, zaszczerpiona we mnie przez rodziców, nie jest tolerowana w innych domach.

Spuściłam oczy i spuściłabym też głowę, gdyby wuj poprzez stół nie chwycił mnie za policzek i nie uniół mojej twarzy do światła.

– Nie jesteś wcale podobna do matki – powiedział surowo. – Annie była ładną kobietą. Nie widzę w tobie też nic z ojca.

– Mówiono mi, że jestem bardzo podobna do matki ojca. Puścił mój policzek, parsknąwszy z niezadowolenia, i stracił dla mnie całe zainteresowanie.

– Dziewczyna jest bardzo zmęczona, Jabez – odezwała się niespodziewanie ciotka głosem równie bez wyrazu jak jej oczy. – Rachela może ją zaprowadzić do pokoju.

– Mhm – zgodził się. – Idź do łóżka, dziecko. Wstajemy rano, żeby zmówić modlitwy.

Miałam zamiar się podnieść, ale wtedy on pochylił się niespodziewanie; w jego oczach pojawił się wyraz zaciekawienia.

– Obawiasz się Pana, Mariano Farr? – zapytał.

– Tak, tak mnie uczono.

Nie dotknął mnie, ale jego wzrok sprawił, że nie mogłam ruszyć się z miejsca. Wymówił bardzo głośno, jakby mi grożąc:

– „Trąbcie w trąbę na Syjonie – wyrecytował – a krzyczcie na świętej górze mojej! Niechaj zadrżą wszyscy obywatele na ziemi... „ – przerwał, a ja uświadomiłam sobie, że chce mnie sprawdzić.

– „... bo przychodzi dzień Pański – dokończyłam – bo już bliski jest”.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił mnie, rozsiadając się wygodniej na krześle, wyraźnie zadowolony. – Bardzo dobrze. Myślę, że damy sobie jakoś radę.

To było pożegnanie. Wstałam, życząc obydwójgu – ciotce i wujowi – dobrej nocy, i udałam się za Rachelą do mojego pokoju. Szła parę kroków przede mną, trzymając wysoko świecę, żeby oświetlić szerokie schody prowadzące na piętro. Powietrze było tu chłodniejsze i bardziej wilgotne, a płomień rzucał długie cienie na nagie ściany.

– Tu jest twój pokój – powiedziała, wskazując mi drzwi w rogu.

Był to skromny, prawdziwie spartański pokoik. Stało w nim wąskie łóżko i magiel. Rozglądałam się po pokoju, a Rachelę obserwowała uważnie moją twarz.

– Pomieszczenie jest małe – odezwała się – ale za to cudownie ciche i spokojne, a z okna widać drogę, która prowadzi nad rzekę.

Tak bardzo chciała być miła, że zmusiłam się do uśmiechu i wypowiedzenia kilku uprzejmych słów. Ulga na twarzy dziewczyny była wyraźna i naprawdę szczerą.

– Przyniosłam ci jedną z moich koszul – powiedziała, wskazując białe zawiniątko leżące na łóżku. – Nie byliśmy pewni, czy będziesz miała ze sobą jakieś rzeczy.

– Dziękuję.

Podniosłam koszulę i wygładziłam zagięcia, a Rachelę zapaliła świecę przy moim łóżku. To musiała być jej najlepsza koszula; uszyto ją batystu i ozdobiono drobnymi, wycinanymi guziczkami. Wątpię, czy Rachelę kiedykolwiek miała ją na sobie.

– Ależ proszę bardzo. – Zaczerwieniła się i przystanęła u drzwi z ręką na klamce. – Strasznie się cieszę, że przyjechałaś, aby tu zamieszkać – rzekła w końcu nieśmiało.

Zanim zdążyłam się odezwać, zamknęła za sobą drzwi. Słyszałam jej lekkie kroki, gdy zbiegała po schodach. Trudno powiedzieć, że bym była szczęśliwa. Czułam tylko zmęczenie, pustkę i bezsilę. Zdjęłam ubrudzoną ziemią i trawą sukienkę i położyłam ją ostrożnie na maglu. Potem w cudownej koszulce wsunęłam się pod kołdrę i zdmuchnęłam świecę.

Teraz wreszcie, w ciemności, zdałam sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazłam. Ogarnęła mnie rozpacz. Czułam w gardle piekącą gorycz, jakbym przed chwilą przełknęła szklankę żółci. Tęskniłam do Londynu, do mojego wygodnego łóżka i delikatnego, chłodnego dotknięcia maminych warg na czole. Warg mojej mamy...

To wspomnienie sprawiło, że znów zwilgotniały mi oczy. Kiedyś to był jej dom, pomyślałam. Gdy miała tyle lat co ja teraz. Zanim poznała ojca i poszła za nim. Nic dziwnego, że 6. Mariann uciekła. W tym ciemnym i smutnym domu nie było miejsca dla uśmiechniętej, żywej kobiety, którą pamiętałam. Zastanawiałam się, czy to był wówczas jej pokój i czy za młodu płakała przed zaśnięciem, odwracając twarz od lnianych powłoczek, żeby się nie zdradzić ze swoją rozpaczą. Tak jak to teraz robiłam ja.

Gdy się obudziłam, było cicho, z podwórka sączyło się zimne i szare światło poranka. Właściwie to obudziła mnie cisza. O tej wczesnej godzinie ulica za moim oknem w Londynie tętniłaby już życiem – sprzedawcy pchający wózki, koszyki poskrzypujące im na ramionach, wszystko to wypełniało zawsze kakofonią dźwięków powietrze. O tej porze również eleganccy panowie, wyczerpani całonocnymi hulankami, wracali ze swoimi znużonymi damami do domów.

Kiedy tak leżałam i patrzyłam w sufit, walcząc z powracającą znów tęsknotą za Londynem i zastanawiając się równocześnie, co mnie zbudziło, rozległo się pukanie do drzwi i bez oczekiwania na zaproszenie do pokoju weszła Rachel. Była ubrana w prostą brązową sukienkę, włosy miała upięte w kok, świeżo umyta twarz błyszczała. Przyniosła mi miskę z wodą i szorstki ręcznik.

– Pomyślałam, że zanim zaczniemy się modlić, będziesz chciała się umyć – powitała mnie radośnie, stawiając miskę przy łóżku. – Jak ci się spało?

– Bardzo dobrze, dziękuję – skłamałam.

Ciszę za oknem przerwało radosne gwizdanie. Ktoś gwizdał w bardzo podobny sposób, jak robił to kiedyś mój ojciec. Zerwałam się gwałtownie i podbiegłam do okna. Wychodziło na ogród i stajnie na tyłach domu i istotnie było stąd widać rzekę wijącą się pośród lasu, pól i soczystej zieleni łąk.

Jakiś mężczyzna niósł na plecach ciężki kufer z moimi rzeczami zupełnie bez wysiłku, tak jakby to był worek siana. Szedł rozkołysanym, długim krokiem, a ponieważ kapelusz z dużym rondem zasłaniał mu twarz, udało mi się dojrzeć tylko kwadratowy zarys gładko wygolonej brody i długie, kręcone brązowe włosy.

– Rachelo – zapytałam, pociągając ją do okna – kim jest ten człowiek? Ten, który rozmawia teraz z wujem.

Rachela spojrzała, a potem odwróciła się z podejrzanym zaczerwienionymi policzkami.

– To Evan Gilroy – powiedziała. – Mieszka we dworze.

– Przyniósł mój kufer z gospody.

Nie wydawało mi się, żeby wuj był zbyt zachwycony tą przysługą. Stojąc na palcach i przyciskając nos do szyby, widziałam dość wyraźnie obydwu mężczyzn. Twarz wuja była poszarzała i nieprzyjemna i mimo że nie słyszałam słów, ton jego głosu był zdecydowanie nieprzyjemny i obraźliwy. Nieznajomy odrzekł coś w odpowiedzi. Ujrzałam jego uśmiech, gdy stawiał kufer na ziemi. Potem mężczyzna odwrócił się i ruszył w kierunku miasteczka. Szedł tak samo pewnie i niespiesznie jak poprzednio.

Wuj patrzył na niego przez dłuższą chwilę, potem powiedział coś do siebie i podniósł lekko kufer, znów zadziwiając mnie swoją potężną posturą i siłą. Usłyszałam, jak trzasnęły kuchenne drzwi na dole, i podniosłam głowę, zamierzając odejść od okna. Ale wtedy moją uwagę przykuł cień pod ogromnym dębem, rosnącym tuż przy ogrodzeniu domu. Cień poruszył się i ujrzałam mężczyznę, ciemnego mężczyznę na siwym koniu, spoglądającego prosto w moje okno.

Kiedy tak stałam, patrząc, nagle całe otoczenie jakby się poruszyło, wszystko stało się płynne, kolory jeły się przenikać nawzajem, niczym farby na paletce malarza. Cały obraz zaczął drgać. Mocno przycisnęłam twarz do ramy okiennej. Świat zrobił się nagle czarny.

Rozdział 9

Jako dziecko, kiedy budziłam się z koszmarne go snu, jeszcze dłuższą chwilę mocno zaciskałam powieki, jakby w obawie, że kiedy je otworzę, zobaczę upiory stojące nad moim łóżkiem. Ten sam dziecięcy instynkt sprawił, że i teraz postanowiłam nie otwierać oczu. Leżałam nieruchomo, skulona pod ścianą pokoju. Czułam głośne pulsowanie krwi w uszach.

Moje palce dotknęły zimnej powierzchni drewnianej podłogi, przesunęły się po grubym wełnianym dywanie i natrafiły w końcu na znajomy kawałek stalowej rurki. Albo stół do rysowania przeniósł się w jakiś sposób w przeszłość, pomyślałam, albo leżę na podłodze pracowni. Niepewna, które z przypuszczeń okaże się prawdziwe, otworzyłam ostrożnie oczy i zamrugałam parę razy, by przyzwyczaić wzrok do światła.

Pokój poruszył się, ale potem wszystko już było normalnie. Z ogromną ulgą ujrzałam zdecydowanie dwudziestowieczne otoczenie – skrzynki, papiery i pędzle porozrzucane beładnie na podłodze. Unosząc nieco głowę, rozejrzałam się dookoła, po czym, uspokojona dobrze znanym widokiem, znów opadłam na twarde drewno.

Leżałam na podłodze pod oknem. Wpadał przez nie zimny wiatr, który czułam na twarzy i szyi. Na dworze pierwsze nieśmiałe światło brzasku pojawiało się właśnie na niebie tak wyblakłym, że wydawało się, iż w ogóle nie ma koloru. Cały czas miałam na sobie te same rzeczy, które włożyłam, wybierając się wczoraj wieczorem do Vivien.

Sweter i spódnica były tak pogniecione, jakbym w nich spała Bóg wie jak długo. Byłam sama w pokoju.

Usiadłam powoli, odetchnęłam głęboko, po czym wstałam, opierając się o stół do rysowania. Czułam się kompletnie dezorientowana; tak musiał się czuć Ebenezer Scrooge z „Opowieści wigilijnej”, gdy wreszcie obudził się o poranku. W tamtym rogu stało moje łóżko, pomyślałam, rozglądając się dookoła. Tam się rozebrałam i położyłam na maglu moją zakurzoną zieloną sukienkę. Tam stała Rachela, uśmiechając się nieśmiało.

Na osłabłych nogach pokonałam schody. Kuchnia wydawała się mniejsza, niż ją pamiętałam, i stałam przez chwilę, usiłując zrozumieć dlaczego. Otóż kuchnia, w której znalazłam się ostatniej nocy, nie miała spiżarni. Sądząc po drewnie i różnych detalach, moja kuchnia nie była przerabiana najprawdopodobniej od czasów królowej Wiktorii.

Weszłam do spiżarni, żeby ją lepiej obejrzeć, i przesunęłam ręką po północnej ścianie. Nie było tu okien, a mur, chropawy i nierówny, wzniesiono chyba później na istniejącym wcześniej fundamencie. Może na miejscu otwartego paleniska...

– Co się ze mną dzieje? – wyszeptałam, ale moje słowa odbiły się tylko echem w pustej przestrzeni.

Poczułam nagle, że brakuje mi powietrza, więc cofnęłam się do kuchni, otworzyłam szybko drzwi i niemal upadłam na trawnik, chcąc jak najszybciej wydostać się z domu. Przystanąłam niedaleko wejścia, obejmując ramionami rozdygotane ciało i chwytając łapczywie wilgotne poranne powietrze.

Zanim wiatr zdążył poruszyć włosy na mojej szyi, wiedziałam już, że jestem

obserwowana. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na dąb i ciemnego jeźdźca na siwym koniu. Byłam pewna, że tam będzie. Ogarnęła mnie nagła fala ślepego, wściekłego gniewu.

– Odejdź! – krzyknęłam do niego. – Odejdź i zostaw mnie w spokoju! Nie chcę cię tu!

Wolno i niechętnie jeździec i koń cofnęli się o parę kroków, a wtedy szara poranna mgła uniosła się i zasłoniła miejsce, gdzie stali jeszcze przed chwilą. Cały czas drząc z gwałtownej emocji, zacisnęłam dłonie w pięści i spojrzałam na ziemię.

Pod stopami ujrzałam kępę drobnych niebieskich kwiatków, mokrych jeszcze od porannej rosy, schowanych w wysokiej trawie. Ziemia była w tym miejscu równa i zbita, ale można było z łatwością zauważyć niewielkie obniżenie terenu – tu kiedyś, dawno, dawno temu, ktoś musiał założyć ogród...

Plebania w Elderwell, w okręgu Hampshire, była solidnym budynkiem z ciemnoczerwonej cegły, w stylu wiktoriańskim. Usytuowana blisko drogi, stała frontem do kościoła Świętego Stefana. Od północnej strony bluszcz piał się po wszystkich załomach muru; pokręcone pędy winorośli, które właśnie puszczały pierwsze listki, sięgały już prawie do parapetów najwyższego piętra. Okna poddasza, jeszcze nie obrosnięte, spoglądały na osadę niby jakieś ogromne oczy.

Wewnątrz plebania składała się z płataniny wielu korytarzy oraz wąskich ciemnych pokoi, zaprojektowanych tak, żeby pomieścić liczną rodzinę, taką, jakie bywały w poprzednim stuleciu. Dopóki mój brat Tom nie miał żony, zadowolął się mieszkaniem na parterze tego ogromnego domu, oddając wyższe piętra na użytek wikarego, ewentualnych gości albo bezdomnych parafian. Większość prac domowych wykonywał sam, ale w poniedziałki, żeby posprzątać dokładniej, przychodziła do pomocy pani Pearce.

To właśnie ona ze szczotką w ręku otworzyła mi tego ranka drzwi i zaprowadziła mnie do wygodnie urządzonego gabinetu. Pani Pearce, uznałam, to bardzo taktowna osoba. Wyglądała jak nieboskie stworzenie i byłam tego świadoma. Nigdy się nie dowiem, jakim cudem udało mi się dojechać z Exbury do Elderwell, nie rozbijając samochodu, ale kiedy dotarłam na plebanie, pozostawała dobra godzina do śniadania.

Szok, w którym nadal się znajdowałam, zaczął powoli mijać, ale wciąż jeszcze drżałam tak straszliwie, że trudno mi było nad tym zapanować. Jeśli pani Pearce coś zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać. Odsunęła zasłony, zauważyła, że wybrałam ulubiony fotel Toma, i cicho wyszła do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę.

Tom zjawił się kilka minut później, zapinając koszulę. Bez wątpienia miał zamiar zażartować z mojej tak wczesnej wizyty, ale kiedy mnie zobaczył, uśmiech zamarł mu na ustach.

– Co się stało? – zapytał.

Moje nerwy puściły i wybuchnęłam płaczem. Później żałowałam, że nie miałam ze sobą kamery, żeby uwiecznić wyraz twarzy mojego brata. Wątpię, czy przerażenie malujące się na jego twarzy można byłoby porównać z czymkolwiek oprócz mimiki aktorów grających w niemym filmie.

Jego reakcja, mimo że bardzo komiczna, była w pełni zrozumiała. Nigdy nie płakałam.

Rzadko kiedy skarżyłam się na cokolwiek. Ostatni raz Tom widział mnie płaczącą prawie dwadzieścia lat temu, kiedy to niechcący przytrzasnął mi rękę drzwiami od samochodu. Ale nawet wtedy łzy były dość skąpe; nie można ich było porównać z przerażającą sceną, której właśnie był świadkiem.

– Julio? – Jego głos zabrzmiał niepewnie. Minęło parę minut, zanim opanowałam się na tyle, by móc mu odpowiedzieć.

– Wszystko w porządku – uspokoiłam go, szlochając. – Po prostu powoli wariuję.

Tom usiadł naprzeciwko, marszcząc brwi.

– Co takiego?

– Dostaję bzika – wyjaśniałam dalej. – To załamanie nerwowe. Nie ma na to innego wytłumaczenia.

– Nie rozumiem.

Łzy przestały płynąć i odetchnęłam głęboko, wciąż nie mogąc się uspokoić. Równocześnie wycierałam ręką mokre oczy.

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała.

– Zobaczymy.

Obrzuciłam go długim, przenikliwym spojrzeniem i w końcu zaczęłam mówić. Opisałam wszystko od samego początku, od chwili gdy zobaczyłam mężczyznę na siwym koniu, dalej zrelacjonowałam zdarzenie na ulicy Blackfriars w Londynie, okoliczności odkrycia na cmentarzu nagrobka Mariany Farr oraz moje przeżycie z ostatniej nocy. Nie przerywając opowieści, pani Pearce dyskretnie wchodziła i wychodziła z pokoju, przynosząc herbatę i talerzyki z herbatnikami, a potem je wynosząc. Mój brat siedział cały czas w swoim fotelu, nie odzywał się i słuchał. Kiedy skończyłam, opuścił głowę i w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– Te... wizje – powiedział w końcu – pojawiają się nagle czy może wcześniej zdarza się coś, co mogłabyś uznać za ostrzeżenie, że wkrótce nadejdą?

Usiłowałam się zastanowić. W pierwszej chwili gotowa byłam go zapewnić, że nie ma żadnego ostrzeżenia, ale...

– Czasami słyszę dzwonienie w uszach – odparłam – albo czuję zawroty głowy. Albo jedno i drugie.

– I stanowczo twierdzisz, że bierzesz we wszystkim udział? Nie masz wrażenia, że jesteś jakby widzem, oglądającym wszystko z boku?

– Zdecydowanie nie. Jeśli o to chodzi, to nie czuję się nawet jak aktorka. Aktorzy znają przecież swoje role, a ja nie mam najmniejszego pojęcia, co się za chwilę stanie. To jest jak prawdziwe życie... tak właśnie jak teraz. – Zatoczyłam ręką łuk, ukazując sytuację, w której znajdowaliśmy się obecnie. – Nawet czas i przestrzeń dookoła mnie są prawdziwe. Najwyraźniej poruszam się w przestrzeni, jeśli zaczęło się to wczoraj wieczorem, zanim weszłam domu, a obudziłam się dziś rano w pracowni.

Tom nad czymś się zastanawiał.

– A kiedy to przeżywasz, czy masz świadomość, że jesteś Julią Beckett?

Pokręciłam przecząco głową.

– Ale kiedy z tego wychodzisz, pamiętasz doskonale, że byłaś tą inną kobietą?

– Pamiętam wszystko.

– Odłóżmy na razie na bok teorię – rzekł powoli. – Powiedz, jak sądzisz, co się dzieje?

Wzruszyłam ramionami.

– Myślę... Myślę, że to może ten duch.

– Zielona Dama, o której ludzie mówią?

Skinęłam głową.

– Sukienka, którą miałam na sobie zeszłej nocy, kiedy byłam nią... kiedy byłam Mariana... miała kolor zielony. Nie wiem zresztą. Czy duch może wstąpić w żywego człowieka? Jak uważasz?

– Nie jestem zbyt wielkim autorytetem w tej dziedzinie – odparł Tom – ale myślę, że jest to możliwe. Nie sądzę jednak, aby tak było w twoim wypadku. Chyba duch nie udałby się za tobą do Londynu. – Ściągnął brwi. – Istnieje jeszcze jedna możliwość, której nie wzięłaś pod uwagę.

– Co?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– To, że wszystko, co dzieje się dookoła ciebie, pochodzi z twojej własnej przeszłości. Może naprawdę jesteś Mariana.

– Chyba żartujesz.

– Dlaczego? Wiele kultur wierzy w reinkarnację. Są nawet odłamy Kościoła anglikańskiego, które przyjmują tę teorię.

– A co ty sądzisz na ten temat? – zapytałam ciekawie.

– Cóż – uśmiechnął się – służba, której się poświęciłem, wymaga ode mnie, żebym wierzył w życie ludzkiej duszy po śmierci. A dokąd idzie owa dusza po śmierci? Na to pytanie może odpowiedzieć tylko ten, kto umarł.

– Więc sądzisz, że mogłam zamieszkiwać ten dom w jakimś poprzednim wcieleniu? – W moich ustach pytanie brzmiało niedorzecznie, ale twarz Toma pozostała poważna.

– Myślę, że należałoby się nad tym zastanowić. No bo jeśli wydaje ci się, że gdzieś byłaś przedtem, to logicznym wyjaśnieniem całej sytuacji jest fakt, że istotnie już tam kiedyś byłaś.

Zmarszczyłam brwi.

– W takim razie sądzę, że to mogłoby tłumaczyć również przyczynę, dla której w ogóle znalazłam się w tym domu.

– I dlaczego wiedziałaś, gdzie był stary ogród. I dlaczego wybrałaś na pracownię właśnie ten mały pokój na tyłach domu, zamiast urządzić ją w przestronniejszym pomieszczeniu.

Gdy tak mówił, przed oczyma stanął mi młody chłopak z firmy przewozowej, który zapytał zdziwiony, trzymając krzesło: „Czy jest pani pewna, że to miały być pierwsze drzwi po prawej?... „

Wróciłam znów do teraźniejszości.

– Dobry Boże! – powiedziałam po prostu.

– Mógłbym znaleźć ci parę książek na ten temat – zaproponował Tom. – Mamy tu niezwykle interesującego bibliotekarza, który uwielbia wprost wynajdywać różne dziwne informacje.

– Powiedz uczciwie, czy wierzysz w reinkarnację? – zapytałam, a on wzruszył ramionami.

– Niezbadane są wyroki Pana – powiedział z uśmiechem.

– O, właśnie. To mi o czymś przypomniało – rzekłam, prostując się w fotelu. – Czy znasz jakiś rozdział Biblii zaczynający się od słów: „Trąbcie w trąbę na Syjonie”, czy coś w tym rodzaju? Nie przypominam sobie dokładnie dalszego ciągu, ale było tam coś o przestraszonych ludziach i dniu zemsty.

Tom podniósł oczy.

– Brzmi to jak fragment jednego z tych ponurych profetycznych tekstów ze Starego Testamentu. Może Micheasz albo Joel. – Podniósłszy się z krzesła, podszedł do swojego biurka i wziął z niego dobrze zachowany egzemplarz Biblii Króla Jakuba. Przez parę minut przerzucał w milczeniu kartki księgi i kiedy już miałam mu powiedzieć, że to nie ma wielkiego znaczenia, nagle puknął palcem w jedną ze stron. – Aha! Rzeczywiście Joel. Rozdział drugi, wers pierwszy. Proszę bardzo.

Podał mi Biblię, wskazując równocześnie palcem. Czytałam krótki, proroczy rozdział, a Tom usiadł znów w fotelu, drapiąc się w głowę.

– Mój poprzednik uwielbiał czytywać te kawałki – rzekł, uśmiechając się szeroko. – Są okropnie przygnębiające i niezbyt inspirujące dla wiernych. Ale pamiętam, że stary Joel pisał w czasach plagi szarańczy, więc sędzę, że miał prawo być pesymistą.

Plaga... Słowo to wywołało w mojej pamięci kolejne wspomnienie; podniosłam oczy znad kartki.

– Czy pamiętasz, kiedy na Londyn spadła Wielka Plaga?

– Myślę, że było ich kilka – odparł. – „Czarna śmierć” przyszła do nas w 1300 roku.

Zamknęłam oczy, usiłując sobie przypomnieć, jakie ubrania nosili tamci ludzie, jak byli uczesani, jakie mieli w domach meble...

– Nie – stanowczo pokręciłam głową. – Zaraza, o której myślę, musiała wybuchnąć znacznie później.

– A więc może chodzi o tę z połowy XVII wieku, która przyszła zaraz po wielkim pożarze.

– Tak jest, o tę. – Nie wiedziałam, skąd ta pewność, ale czułam, że się nie mylę.

– Co chciałabyś o niej wiedzieć?

– Wszystko. Nie znam zbyt dobrze historii tego okresu. A to są właśnie czasy, w których żyła Mariana, jestem tego pewna. Jej matka zmarła podczas zarazy.

– No cóż, ja też nie jestem najlepszy, jeśli chodzi o dzieje tego stulecia. Pamiętam tylko dosyć dobrze wojnę domową, ścięcie Karola I, sprawę Cromwella, ale jeśli chodzi o zarazę... Poczekaj – przerwał, a twarz rozjaśniła mu się z zadowolenia. – Mam tu gdzieś egzemplarz „Dziennika” Pepysa. Bardzo szczegółowo opisał rok, w którym przyszła do Londynu dżuma. Poczekaj, zaraz ci to znajdę.

Wstał z fotela i zaczął przeszukiwać półki z książkami na drugim końcu pokoju. Wreszcie wyjął jedną z nich i otworzył.

– Proszę, oto „Dziennik”. Całkiem przyzwoity egzemplarz. Wypatrzyłem go na

wyprzedaży w Oksfordzie. – Podał mi małe książeczkę. Otworzyłam ją na stronie tytułowej i przeczytałam na głos:

– „Dziennik Samuela Pepysa. P. T. K. „, Co to znaczy P. T. K. ?

– Przyjaciele Towarzystwa Królewskiego – odpowiedział Tom. – Pracował w biurze Admiralicji, a dziennik prowadził od roku 1659 do 1669, kiedy to zaczął tracić wzrok. Te zapiski mają kilka tomów. Obawiam się, że to jest, niestety, skrócona wersja. Zapewne wycięto wszystkie fragmenty opisujące ówczesne życie codzienne, ale i tak to bardzo ciekawa lektura.

– Dzięki! – Zamknęłam książkę i przycisnęłam ją do piersi. Tom spojrzał na mnie zatroskany.

– Wiesz, że możesz tu zostać przez parę dni – powiedział.

– To znaczy, jeśli chcesz...

– Dziękuję. Na razie zobaczę, jak się będę czuła. Niewykluczone, że skorzystam z twojej propozycji.

Pani Pearce zmaterializowała się w drzwiach.

– Posłałam łóżko w niebieskiej sypialni – powiedziała tonem tak naturalnym, jakby było normalną rzeczą, że siostra pastora przyjeżdża rano i przesypia potem cały dzień.

– Czy chce pani skorzystać z łazienki, zanim zacznę tam sprzątać?

– Nie, dziękuję – uśmiechnęłam się. – Słowo „łóżko” brzmi cudownie.

– Wspaniała kobieta – powiedział Tom, kiedy wyszła. Patrzył na mnie, uśmiechając się szeroko. – Mogę się założyć, że nawet sam lord Exbury nie ma tak doskonałej obsługi.

– O mój Boże! – Skoczyłam na równe nogi. – Która godzina?

– Właśnie minęło południe. A o co chodzi?

– Mogę zatelefonować?

Parę minut zajęło dziewczynie z centrali znalezienie numeru Crofton Hall, kolejne kilka minut połączenie. Wreszcie po ośmiu długich dzwonekach ktoś raczył podnieść słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, czy zastałam Geoffa? Krótka chwila milczenia.

– Nie, bardzo mi przykro – powiedział głos z wyraźnym szkockim akcentem. – Czy może coś mu przekazać?

– Cześć, Ian. Tu Julia Beckett – przedstawiłam się. – Czy mógłbyś powtórzyć Geoffowi, że nie będę mogła dziś przyjść? Miał mnie oprowadzić po dworze. Stało się... po prostu musiałam nagle wyjechać w sprawach rodzinnych. Nic poważnego, ale to było konieczne. Jestem u mojego brata w Hampshire.

– Mam nadzieję, że naprawdę nic poważnego.

W jego głosie wyczuć było można prawdziwą troskę. Poczułam się winna.

– Nie, nie – przytaknęłam skwapliwie. – Powinnam być w domu jutro rano.

– Dobrze, w takim razie przekażę mu wiadomość.

– Dziękuję. – Odłożyłam z ulgą słuchawkę, a kiedy się odwróciłam, ujrzałam, że mój brat bacznie się mi przygląda.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Najzupełniej.

– No to do łóżka – powiedział surowo. – Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz przewrócić.

Po paru minutach leżałam już pośród chłodnych, słodko pachnących prześcieradeł na szerokim łożu w niebieskiej sypialni. Miałam na sobie jedną z koszul mojego brata, rękawy zawinęłam aż po łokcie. Pani Pearce do połowy zaciągnęła żaluzje, żeby światło nie przeszkadzało mi w spaniu, ale było go jeszcze wystarczająco dużo, żebym mogła poczytać.

Wzięłam parę głębokich wdechów i mimo że chciało mi się spać, sięgnęłam po małą książeczkę, którą położyłam na stoliku przy łóżku. Otworzyłam „Dziennik Samuela Pepysa” na pierwszej stronie. Zapiski z 6 kwietnia 1665 roku zaczynały się następująco:

„Bardzo dużo mówi się teraz o nowej komecie i pewne jest, że będzie ona tak samo jasna jak ostatnia, ale ja nie widziałem jej na własne oczy”. Dwie komety...

Oparłam się na poduszkach, na szyi poczułam jakby chłodny dotyk czyjejs dłoni. Zapomniałam o wszystkich lękach i o zmęczeniu. Ujęłam książkę mocniej i zaczęłam czytać.

Rozdział 10

Spodziewałam się, że kiedy będę wracać do Exbury następnego ranka, zawładną mną różne uczucia. Może niepewność przyszłości, strach albo podniecenie. Byłam jednakże całkowicie nie przygotowana na absolutną beztroskę, która spowiła mnie szczerze jak ciepły koc, pojawiając się niemal od razu, gdy budynek plebanii zniknął z lusterka mojego samochodu. Biorąc pod uwagę wydarzenia dnia poprzedniego, oczekiwałam zgoła innych emocji.

Śledziłam uważnie, co się dzieje na drodze, ale myślami powróciłam do wczorajszego ranka.

Zanim zmorzył mnie sen, udało mi się przeczytać zapiski Pepysa niemal z całego roku. Gdy się obudziłam, było już późne popołudnie, a przez na wpół otwarte okno wpadało do pokoju cudownie czyste i świeże powietrze. Ubranie, świeżo wyprane i wyprasowane, leżało starannie złożone na pobliskim krześle. Wstałam, wykapałam się i zeszłam na dół, by poszukać tam mojego brata.

Znalazłam go na długim patio na tyłach domu, siedział i z nieobecną miną żuł koniec ołówka; głęboko zatopiony w myślach, wodził nie widzącym wzrokiem po dużym, starannie wypielegnowanym trawniku. Słyszając jednak odgłos moich kroków, odwrócił się z uśmiechem, wyjął ołówek z ust i położył go na książce, która leżała na stole.

– Wyglądasz zdecydowanie lepiej – powitał mnie. – Może, żeby porządnie wypocząć, powinnaś tu zostać jeszcze parę dni?

– Dzięki, ale nie. – Przysunęłam sobie fotel i usiadłam naprzeciwko Toma. – Muszę jutro wracać. Nad czym pracujesz?

Uniósł lekko notatnik, żebym mogła zobaczyć, co wypełnia pracowicie zapisane strony.

– Kazanie. Pamiętam, że jesteś w tym dobra, więc powiedz, czym można zastąpić słowo: „spontaniczny”?

– „Dokonany pod wpływem chwili, zaimprovizowany”.

– Doskonale. – Nakreślił jeszcze kilka słów i znów odłożył notatnik. – Udało ci się poczytać trochę Pepysa?

– Aha. – Odchyliłam się na oparcie, założyłam nogę na nogę i zakołysałam się wygodnie w fotelu. – Przeczytałam prawie całą część dotyczącą dżumy. Rok 1665. To istotnie okropne. Jak się domyśliłam, choroba początkowo rozprzestrzeniała się bardzo powoli, zawleczona do Anglii przez holenderskich kupców, którzy bez przeszkód mogli jeszcze wtedy pływać do Anglii i z powrotem. Potem jednak zaczęła ropieć niczym zainfekowana rana. Ogarnęła błyskawicznie gęsto zaludnione biedne wioski i przedmieścia. Wreszcie dotarła do Londynu. Z przerażeniem przeczytałam, że londyńczycy pozabijali wszystkie psy i koty w mieście – zwierzęta, które jako jedyne mogły wpłynąć na zmniejszenie liczby przenoszących chorobę szczurów. Oczywiście, nawet dziś, w czasach bardzo wysoko rozwiniętej wiedzy medycznej, nagła epidemia dżumy byłaby dla nas czymś przerażającym. Cóż dopiero mówić o ludziach żyjących w XVII wieku. Im musiało się to wydawać niemal apokalipsą.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zapytał Tom.

– Parę rzeczy. Pamiętasz, mówiłam ci, że śniłam kiedyś o dwóch kometach? Z pamiętnika wynika, że istotnie widziano nad Londynem dwie komety, jedną w grudniu 1664 roku, a drugą wiosną w roku zarazy. Pepys pisał, że narobiły niezłego zamieszania. Wszyscy myśleli, że to zapowiedź końca świata.

– Tak, mogę to sobie wyobrazić – przytaknął Tom. – W tamtych czasach komety uważano za znak nieuniknionego złego losu. Bynajmniej nie bez podstaw. Na kobiercu z Bayeux przedstawiono kometa widzianą podczas koronacji biednego starego króla Harolda, na jakiś czas przedtem, nim Wilhelm Zdobywca zmiotł z powierzchni ziemi angielską armię i strzałą przebił Haroldowi oko.

– Nieprawda – poprawiłam go. – Trzeba było wybrać innego wykładowcę historii, mój drogi. Facet na gobelinie, ten ze strzałą w oku, to nie Harold. Harold zginął trochę później od miecza czy innej broni.

– Możliwe. W każdym razie chodzi mi o to, że komety zawsze były złą wróżbą. To historyczna antyteza twoich szpaków, złotko. Czy jeszcze coś u Pepysa zwróciło twoją uwagę?

– Raczej nie – pokręciłam głową. – Wspomniał o paru rzeczach, które mogłyby mi się z czymś kojarzyć, ale miesiący letnich, kiedy to ludzie padali na ulicach jak muchy, zupełnie sobie nie przypominam.

Mój brat uśmiechnął się do mnie tym swoim szczęśliwym uśmiechem, który zapowiadał, że Tom zaraz powie coś mądrego.

– Nie mogłabyś, nieprawdaż?

– Co masz na myśli?

– Zakładając, że w którymś z poprzednich wcieleń byłaś Mariana, nikt nie mógłby się spodziewać, że będziesz pamiętała, jak wyglądał Londyn w najgorszych miesiącach dżumy. Przecież nie było cię już w mieście. Wyjechałaś na wieś, tak?

– Do Exbury – potwierdziłam. Uśmiechnęłam się ze skruchą. – To wszystko przypomina raczej fragmenty z taniego kryminału.

– Tak naprawdę to nie wiem, co myśleć. – Tom wzruszył ramionami. – Ale rzecz wydaje mi się naprawdę fascynująca. Aha, wiesz, podkreśliłem trochę naszego bibliotekarza, więc musimy poczekać na to, co nam wykopie na temat reinkarnacji.

Uśmiechnęłam się.

– Nie pomyśli sobie czasem, że to trochę dziwna lektura jak na duchownego?

– Na Boga, nie. – Tom zdecydowanie zaprzeczył. – Powiedziałem mu, że potrzebuję tych informacji do następnego kazania.

Co było, jak uznałam po chwili namysłu, bardzo rozsądnym i logicznym powodem. Kazania Toma były trochę inne niż zwykle mowy kościelne. Kiedy stał na ambonie, mógł mówić zarówno o krykocie, jak i o historiach z Biblii. Bez wątpienia – jego parafianie musieli trochę dorosnąć do tego rodzaju kazań, ale teraz akceptowali je bez zastrzeżeń.

– Będę musiał przewertować stare podręczniki o religiach świata – ciągnął mój brat. – Tam też powinno być coś na temat reinkarnacji. Zarówno hinduiści, jak i buddyści w nią

wierzą.

– Ale nie jestem pewna, czy ja wierzę – powiedziałam. – Cokolwiek jednak się dzieje, ma to zdecydowanie związek z moim domem.

– Jesteś pewna, że chcesz tam wrócić?

Pomyślałam o moim cudownym zalanym słońcem gabinecie, o przyjaznej atmosferze Czerwonego Lwa, nieustannie czytającym gazety Nedzie, o Geoffreyu de Mornay i o tym, jak ciemnieją jego oczy, gdy się uśmiecha...

– Tak, jestem pewna. To jest prawie tak, wiem, że może zabrzmieć to idiotycznie, jakbym znalazła się w Szarych Głazach z jakiegoś ważnego powodu. Wydaje mi się, że ja po prostu należę do tego miejsca.

– Istotnie, brzmi głupio. Ale wierzę, że wszystko dzieje się wedle jakiegoś wcześniej ustalonego planu. – To były słowa duchownego. – I myślę, że masz rację. Powinnaś wrócić i stawić czoło dalszym wydarzeniom. Musisz się dowiedzieć jak najwięcej o tej Marianie. Jeśli ci się uda, może znajdziesz wyjaśnienie, dlaczego to wszystko się dzieje. Pewnie istnieje trochę nie dokończonych w przeszłości spraw, które należy jednak zamknąć.

– Myślę, że to możliwe.

– Albo – rzekł z szerokim uśmiechem – cała ta moja teoria o poprzednim życiu jest do luzu i po prostu powoli wariujesz.

Skrzywiłam się.

– Bardzo pocieszające.

– Ale od czegoś są starsi bracia? – dodał Tom, wciąż roześmiany.

– Cóż – powiedziałam – może choroba psychiczna najlepiej wszystko wyjaśnia. Ciągle mam wątpliwości co do reinkarnacji. Trochę to dziwaczne, nie sądzisz?

Tom zerknął na mnie z ukosa i wzruszył ramionami, po czym odwrócił się i spojrzał na zielony trawnik, na którym zaczynały się już powoli kłaść wieczorne cienie drzew.

– Mówisz, że epidemia dżumy zaczęła się w 1665 roku? Kto zasiadał wtedy na tronie?

Zmarszczyłam brwi.

– Chyba Karol II.

– A, faktycznie. Jeszcze jeden z niezrównoważonych psychicznie królów z rodu Stuartów, czyż nie? Czytałaś fragment opisujący jego koronację?

– Nie. Nie cofałam się tak daleko.

– Cóż. – Tom usadowił się wygodniej w fotelu. – Chciałaś rozmawiać o złych wróżbach. No to zaczynamy: cały dzień wtedy padało.

Pokiwałam niepewnie głową.

– Właściwie zaczęło padać dopiero wieczorem – poprawiłam go. – Kiedy już było po wszystkim.

– To była sobota, tak? Tym razem musiałam się zastanowić dłuższą chwilę.

– Nie, wtorek.

– A ziemię wysłano czerwonym dywanem. – Niebieskim... – Odwróciłam głowę zdziwiona, napotykając wzrok Toma.

– Rzeczywiście masz rację – powiedział. – Nie ma sensu drażnić dalej sprawy

reinkarnacji.

Cały czas patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma, do głębi zdumiona.

– O do diabła! – powiedziałam w końcu powoli. – Niby duchowny, a...

– Co racja, to racja – powiedział Tom z uśmiechem i wrócił do swojego kazania.

Korek jakby się troszkę zmniejszył i nagły klakson samochodu wyrwał mnie z zamyślenia. Cały czas myśląc o tym samym, wjechałam na pas szybkiego ruchu i dodałam gazu.

Kiedy znalazłam się na małym mostku, za którym zaczynała się droga do Exbury, moje znużone jazdą ciało przebiegł dreszcz oczekiwania. Prawie w domu. To zdanie wypełniało mój mózg, niemal je słyszałam – łagodne i uspokajające.

Znowu, pomyślałam. W domu. Dom. To słowo przyszło mi na myśl tak łatwo, tak naturalnie, jakby...

– Nie wiem – powiedziałam głośno do brudnej szyby. – Czy naprawdę mieszkałam tu przedtem w jakimś innym życiu?

Odpowiedź przyszła natychmiast i była albo wytworem mojej wyobraźni, albo najgłębiej skrywanych w podświadomości wspomnień:

„Tak”.

Droga skręciła i ujrzałam mój dom, wyłaniający się majestatycznie z otaczającej go zieleni, cudownie piękny w późnym porannym słońcu. Forsycje przy północnej ścianie zaczynały właśnie kwitnąć. Wszystkie drogi prowadzą do domu, pomyślałam. Nie wybrałam go z własnej nieprzymuszonej woli, jak robią to inni; po prostu ten dom wybrał mnie. I jeśli zostałam tu sprowadzona w jakimś konkretnym celu, to powinnam postarać się odkryć dlaczego. Poczynając od dziś. Od teraz.

– No dobra – powiedziałam stanowczo. – Wróciłam. Teraz pokaż, co chcesz, żebym zrobiła.

Przyznaję, było w tym oświadczeniu sporo brawury. Nie byłam nawet pewna, czy to, co wyrzekłam przed chwilą, mówiłam do ducha, do domu czy do siebie samej. I z pewnością nie spodziewałam się odpowiedzi.

Kiedy parkowałam auto w starej stajni na tyłach domu, kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Odwróciłam głowę i zobaczyłam młodą kobietę stojącą w ogrodzie. Nieruchomą postać kobiety w zieleni.

Na chwilę ogarnęła mnie panika i wstrzymałam oddech, ale kiedy kobieta uśmiechnęła się i pomachała mi ręką, zorientowałam się, że to wcale nie duch, tylko Vivien w starym, szerokim, zielonym fartuchu, z włosami podpiętymi wysoko i zaróżowioną od wysiłku twarzą. Uradowana, ruszyłam przez wysoką trawę w stronę starego gołębnika. Vivien przerwała pracę i patrząc na mnie przyjaźnie, oparła się na grabiach.

– Więc wróciłaś do domu – powiedziała. – Czy z twoją rodziną wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. – Wieści rozchodziły się szybko. Wyglądało na to, że chce dowiedzieć się czegoś więcej, ale szybko zmieniałam temat. Nigdy nie lubiłam kłamać. – Nie wiedziałam,

że bawisz się też w uprawianie ogródków – oświadczyłam.

– Zazwyczaj nie. Po prostu pomagam Ianowi w pieleniu. Jest przecież taki piękny ranek.

– Wskazała ręką na bezchmurne, błękitne niebo. – Nie miałam ochoty siedzieć w domu.

– Nie wysilasz się zbytnio, moja kochana – orzekł Ian spokojnie. Nie widziałam go za kamiennym murem, ale kiedy podeszłam bliżej, wyprostował się i pokazał. – Pielisz ten sam kawałek już dobre dwadzieścia minut – dodał tonem nagany.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem dokładna.

– Mhm. Nie będę się spierał..

Uśmiechnął się do mnie na powitanie, rzucając garść chwastów na stertę za sobą. Tego ranka wyglądał jak prawdziwy wieśniak. Miał na sobie robocze spodnie i wyblakłą flanelową koszulę oraz skórzane rękawice sięgające aż za łokcie. Musiał być bardzo zmęczony. Jego szare oczy były przygasłe i podkrążone. Pomyślałam o swoim kuzynie Ronaldzie, który wstawał codziennie o czwartej rano, żeby wydoić trzydzieści krów, i zdumiałam się już chyba po raz setny, że ktokolwiek może wybrać taki rodzaj zajęcia.

Ian zdjął jedną rękawicę i otarł pot z czoła dużą opaloną dłonią.

– Przekazałem Geoffowi twoją informację – powiedział. – Nic się nie stało. Sam musiał wyjechać na parę dni w jakichś pilnych sprawach, ale mówił, że kiedy wróci, to do ciebie zadzwoni.

– Naprawdę? – Vivien zaciekawiona uniosła głowę.

– Obiecał oprowadzić mnie po dworze – wyjaśniłam, mając nadzieję, że w jaskrawym świetle słonecznym żadne z nich nie widzi mojego rumieńca. Po raz drugi już zmieniałam temat:

– Ogród wygląda cudownie – powiedziałam.

I tak naprawdę było. Równe grządki małych, kielkujących dopiero roślinek otoczone były kępami hiacyntów i prymulek. Ian posadził też pnącą różę, pewnie którąś z odmian słynnych róż z Crofton Hall – jej śpiące jeszcze pędy płożyły się leniwie pomiędzy nagrzanymi słońcem kamieniami. Za jakiś miesiąc albo trochę dłużej ten mały kawałek ziemi ożyje i będzie się mienił najróżniejszymi kolorami.

Ian dostrzegł mój zachwycony wzrok i wzruszył szerokimi ramionami, ogarniając spojrzeniem swe dotychczasowe dokonania.

– Może być – powiedział skromnie.

Spojrzałam na zegarek. Było prawie wpół do jedenastej – Czy ktoś chce herbaty? – zapytałam.

– Z przyjemnością. – Vivien porzuciła grabie z widoczną ulgą, a Ian popatrzył na nią z wyraźnym zachwytem. Potem jego zmęczone szare oczy napotkały mój wzrok i uśmiechnęły się – tym razem do mnie.

– Nie powiem nie – oświadczył.

Nie przyznałabym się nikomu, nawet sobie, że czułam wyraźną ulgę, iż nie jestem sama, kiedy otwierałam drzwi mojego cichego domu. Zaczerpnęłam powietrza w płuca i weszłam do środka.

Rozdział 11

Nie miałam jednak powodu do niepokoju. Kolejne dni mijały cicho i spokojnie, żeby nie powiedzieć: nudno. Może będzie to pewna przewrotność z mojej strony, ale muszę wyznać, że czułam się zawiedziona. Trudno coś takiego uznać za normalną reakcję, ale nic nie mogłam na to poradzić. Cierpliwość, co mogłaby potwierdzić cała rodzina, nie była nigdy moją mocną stroną, a teraz, kiedy byłam przygotowana na przeżycie jakiegoś fragmentu z życia Mariany Farr, czułam się rozczarowana, nie mając do tego okazji. Nawet nieznajomy na siwym koniu gdzieś przepadł i ilekroć odważyłam się spojrzeć na dąb, miejsce pod nim było puste.

Do wtorku tak mnie już zżerała niecierpliwość, że postanowiłam dla odmiany trochę popracować. Zresztą czas najwyższy, żebym się wzięła do pracy, nakazałam sobie rezolutnie. Usiadłam wygodnie przy stole. Stronę maszynopisu przypięłam do górnej listwy, przed sobą miałam papier do rysowania. Czułam się bardzo skupiona i zrelaksowana równocześnie.

Minął już ponad miesiąc od czasu, kiedy ostatni raz pracowałam nad ilustracjami. Byłam zbyt podniecona kupnem domu, zbyt zaprzątnięta przeprowadzką i rozgorączkowana późniejszymi wydarzeniami, żeby chociaż pomyśleć o moich krasnoludkach i królewnach. Małe postaci czekały cały ten czas, pozostając w niepewności, żeby teraz przeskoczyć szybko z mojej wyobraźni na koniec ołówka, a stamtąd na kartkę, i ożywić koreańską baśń o okropnym smoku.

Musiałam narysować cztery ilustracje. Przed południem skończyłam szkice, bardzo staranne i dokładne, z czego zresztą byłam znana. Należało jeszcze pomalować je akwarelami, ale to mogło poczekać do jutra. Rozsiadłam się wygodniej na krześle i podniosłam ręce do góry, żeby trochę rozluźnić zmęczone plecy. Rozejrzałam się z przyjemnością po pokoju.

Nie mogłam wybrać sobie lepszego miejsca na pracownię. Pokój był mały, kwadratowy i miał niski sufit. Ściany, pomalowane na bladeżółty kolor, kontrastowały ładnie z lśniąco drewnianą podłogą. Bardzo wygodny i w dodatku wesoły pokoik.

Odwróciwszy się na krześle, mogłam zobaczyć przez okno ciemną linię drzew biegnącą wzdłuż krętego koryta rzeki, a dalej szachownicę pól uprawnych i łąk. Dalej na południowy zachód, niewidoczna już dla mnie, górowała nad miasteczkiem wieża kościoła, a wysokie ceglane kominy Crofton Hall wznosiły się majestatycznie ponad zwartą zielenią drzew.

Geoff nie odezwał się do mnie, dlatego też przypuszczałam, że nie wrócił jeszcze do domu. Jak powiedział Ian, jego przyjaciel załatwił sprawy gdzieś na północy. Może w Lancashire, myślałam, a może w Northumberland. Firma Morland Electronics miała zakłady w obu tych miastach.

W każdym razie, uświadomiłam sobie, nie czekam z zapartym tchem na jego telefon. Zresztą, pomyślałam, schodząc na dół, żeby zaparzyć sobie herbaty, znam go dopiero od tygodnia.

Co nie wyjaśniało faktu, że kiedy telefon zadzwonił, niemal przeskoczyłam kuchenny stół, żeby go odebrać. No i dlaczego mój głos stał się nagle zmysłowy i miał przypominać

głos Greta Garbo w latach jej największej sławy?

– Słucham?

– Julia?

– A, to ty – powiedziałam rozczarowana.

– Przepraszam bardzo – Tom wydawał się niemiłe zdziwiony – a kto miałby być?

– Nikt. – Odzyskałam już normalny głos. – Co się dzieje? Mój brat zamilkł na chwilę i zdecydował się chyba nie wypytywać, czyjego telefonu oczekiwałam.

– Właśnie wróciłem z biblioteki – powiedział natomiast – i pomyślałem, że będziesz zainteresowana książkami, które dla mnie wygrzebał bibliotekarz.

– Tak szybko? Jest naprawdę dobry.

– Jest bardzo zapracowanym młodym facetem. W każdym razie – ciągnął – oprócz tego, że wypisał mi długą listę sławnych ludzi od Platona do Woltera, którzy wierzyli w reinkarnację, udało mu się też znaleźć materiały, w których zawarta jest oficjalna opinia Kościoła hinduistycznego i buddyjskiego w tej sprawie. Całe mnóstwo informacji. Generalnie rzecz sprowadza się do tego, że dusza ludzka wysyłana jest, żeby żyć na ziemi jeszcze raz i jeszcze raz, aż nauczy się tego, co jest jej potrzebne, by stać się bytem wyższym.

– To znaczy, czego na przykład?

– To nie jest wyraźnie powiedziane. Istnieje tak zwana karma, która sprawia, że to, co robisz w jednym życiu, ma wpływ na twoje kolejne wcielenia. Reguluje je niejako. Jeśli, dajmy na to, jesteś pyszałkiem i bogaczem w tym życiu, w następnym będziesz biedakiem. Ale oczywiście – dodał jak zwykle rzeczowo Tom – to wykładnia religijna. Mam tu jednak też mnóstwo prac, które opisują zjawisko reinkarnacji w oderwaniu od spraw religii. Poświęcono mu wiele badań.

– Badań? – powtórzyłam. – Chyba żartujesz?

– Wcale nie. – Usłyszałam szelest przerzucanych kartek.

– Niektórzy naukowcy wypowiadają się w tej sprawie śmiertelnie poważnie. Na przykład jednemu z profesorów uniwersytetu w Wirginii udało się dotrzeć do tysiąca siedmiuset osób, które mają jakieś wspomnienia z poprzednich wcieleń. Są to przeważnie dzieci, które jak z rękawa sypią szczegółami na temat, kim były i co robiły w innym życiu. Bez trudu rozpoznają swoje dawne domy, a nawet przyjaciół i krewnych. Bardzo interesujące. Jest jeden doprawdy fascynujący przypadek z Indii... – Kaszlnęła i papiery znów zaszeleściły. – Ale odbiegłem trochę od tematu. Duża część informacji pochodzi od hipnotyzerów. Udało im się cofnąć w przeszłość dosłownie tysiące osób i stwierdzili, że większość z nich w poprzednim wcieleniu była zwykłymi szarymi ludźmi, wiodącymi równie szare i nudne życie. O, tu jest coś ciekawego. To artykuł o niespodziewanych powrotach ludzi do poprzednich wcieleń. Wszyscy twierdzą, że zanim to nastąpiło, słyszeli dzwonienie w uszach, któremu towarzyszyły często zawroty głowy. Mówi ci to coś?

– Widzę, że udało ci się zdobyć całe mnóstwo materiałów – powiedziałam, usiłując zignorować dreszcz, który przebiegł moje ciało.

– Słuchaj, mam tego tony – odparł. – Może prześlę ci to wszystko, żebyś mogła sama przestudiować problem, zamiast czytać książki przez telefon?

– Dobra. Masz mój adres, prawda?

– Gdzieś tu jest.

Nie ufając zbyt pedanterii Toma, podyktowałam mu jeszcze raz swój adres. Słyszałam skrzypienie ołówka, a więc naprawdę go zapisywał. Kiedy wróciliśmy znów do rozmowy, był bardzo zawiedziony, że odkąd znalazłam się z powrotem w domu, nic się nie wydarzyło.

– Naprawdę nic? – upewnił się. – Nie miałaś nawet żadnego niezwykłego snu?

– Jeśli dobrze pamiętam, to nic mi się nie śniło.

– Może za bardzo się starasz?

– Przecież nie robię tego specjalnie. Tom. – Byłam już trochę zirytowana. – Wiesz doskonale, że równie mocno jak ty pragnęłabym, żeby coś się zaczęło dziać.

– Wiem. Przepraszam. – Jakbym widziała jego uśmiech. – Kiedy się nad tym zastanowić, to jest to nawet całkiem zabawne.

– Co znowu?

– No, to, że we wtorek byłaś kompletnie roztrzęsiona z powodu tego, że coś się dzieje, a teraz oboje jesteśmy rozczarowani, że nic się nie chce wydarzyć.

– A, rozumiem. Ale to wcale nie jest takie zabawne, przynajmniej w moim odczuciu. Jeśli chcesz wiedzieć, wygląda to raczej na ostrzeżenie.

– Cisza przed burzą?

– Coś w tym rodzaju... Mam wrażenie, że jestem obserwowana – wyznałam. – Tak jakby ktoś stał za mną i ciągle mi się przyglądał. I czekał.

– Na co, jak myślisz?

Pokręciłam głową, nie zdając sobie sprawy z tego, że Tom mnie nie widzi.

– Nie wiem. A w twoich papierach nie ma na to żadnego logicznego wyjaśnienia?

– Nie. – Zaczął znów przekładać kartki. – Ale jest tu parę innych rzeczy, które chyba mogłyby cię zainteresować.

– Tak?

– Na przykład istnieją dowody na to, że w każdym życiu otaczamy się tymi samymi ludźmi. Chodzi o to, że ktoś, kto wtedy był twoim ojcem, teraz jest na przykład przyjacielem, i tak dalej. Chodzi o tych wszystkich, których człowiek lubi i sam właściwie nie wiedząc dlaczego, uważa za tak zwane bratnie dusze.

– A więc w poprzednim życiu mogłeś też być moim bratem.

– Albo mężem – oświadczył Tom. – Albo synem, a jeśli chcesz wiedzieć, to nawet twoją córką. Nie wydaje się, żeby w kolejnych wcieleniach zachowywana była ta sama płć.

– Dobrze – przyjął do wiadomości jego rewelacje. – Co tam masz jeszcze interesującego?

– Tak... – powiedział mój brat. – No cóż, dalsze informacje mogą cię trochę zirytować, ale... większość ludzi, którzy uczestniczyli w badaniach, oświadczyła, że miała możliwość wyboru chwili ponownych narodzin. Innymi słowy, że przez cały czas, dopóki nie nadszedł odpowiedni moment, osoby te znajdowały się jakby w czyścicu.

– I co z tego?

– Przecież powiedziałaś, że ten duch, ta Zielona Dama w twoim ogrodzie, nie był

widziany od około trzydziestu lat.

– Tak słyszałam.

– I sama też nigdy nie widziałaś jej na własne oczy – powiedział Tom powoli. – A urodziłaś się właśnie jakieś trzydzieści lat temu...

„Podejdz, ona jest blisko... „ Słowa te pojawiły się niespodziewanie w mojej skołataną głowie, kiedy stałam samotnie na cmentarzu, spoglądając na zarośnięty bluszczem grób Mariany Farr. Wiersz był stary, napisany jeszcze przez Oskara Wilde’a. Kiedyś w szkole musiałam się go nauczyć na pamięć i teraz, po tylu latach, przypominałam sobie ostatnią linijkę: „Całe me życie jest tu pogrzebane, tu, pod tą górą ziemi”.

No właśnie, pomyślałam, ale coś mi się jednak nie zgadza. Przecież powinnam starać się odsłonić przeszłość, a nie zasypywać ją ziemią, żeby nikt się o niej niczego nie dowiedział. Wcisnęłam głębiej ręce w kieszenie dzinsów i wpatrywałam się w natężeniu w mały nagrobek. „Całe me życie jest tu pogrzebane... „

Zimny powiew wiatru rozrzucił mi włosy na czole; odwróciłam się i z pochyloną głową ruszyłam w stronę kościoła. Tak jak poprzednim razem, duże drewniane drzwi otworzyły się z łatwością. Stojąc w pustym i zimnym wnętrzu kościoła, znów pomyślałam o cudownej ciszy tego miejsca, o romantycznej aurze, która je otacza. Zupełnie niczym ruiny opactwa Glastonbury, gdzie resztki wysokich ścian porasta gęsta trawa. Ten mały kościółek wyglądał tak, jakby wszyscy ludzie odeszli bardzo dawno temu.

Cóż za głupstwa, pomyślałam zaraz, przecież w najbliższą niedzielę wszystkie ławki zapełnią się wiernymi z Exbury. Ale mimo wszystko wrażenie pozostało. Chciałam usiąść na chwilę w jednej z pomalowanych na ciemno odrapanych ławek, ale jakiś dźwięk z zewnątrz przykuł moją uwagę. Najpierw bardzo cichy, ledwie przenikał grube kamienne ściany. To były jakby monotonne uderzenia, tak gałąź drzewa obija się o ramę okienną, kiedy jednak odgłos trochę się zbliżył, rozpoznałam wyraźnie stukot końskich podków o mocno ubitą ziemię. Dochodził ze ścieżki ze kościołem, tej, która prowadziła do dworu.

Zaciekawiona, wyszłam ze świątyni i ruszyłam na skróty w stronę niskiej bramki, przez którą można było się wydostać na ścieżkę. Pomimo że słyszałam konia dość wyraźnie, nie mogłam nic dojrzeć, dlatego zrobiłam jeszcze parę kroków.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Ledwie zdążyłam podnieść rękę do pulsujących skroni i zamknąć oczy, gdyż jasne światło omal mnie nie oślepiło. Usłyszałam głośnie przekleństwo i zobaczyłam parę ogromnych podków dosłownie o milimetry od swojej twarzy. Runęłam jak długa, tłukąc sobie boleśnie biodro o kamienną ścianę ogrodzenia. Zaplątana we własną sukienkę, osłupiała, na wpół siedząc, na wpół leżąc w pyle drogi, gapiałam się na człowieka, którego sztuka jeździecka bez wątpienia uratowała mi przed chwilą życie.

Nie mogłam dojrzeć twarzy jeźdźcy – słońce świeciło za jego plecami. Widziałam jedynie ostry profil, kiedy mężczyzna odwrócił się, żeby uspokoić tańczącego nerwowo siwka. Ale chociaż oślepiła słońcem, mogłam przysiąc, że się nie uśmiecha.

– Na rany Chrystusa, kobieto! – rzucił. – Czy mogłabyś uważać, którą chodzisz? A

może szukasz śmierci?

Wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma, pokręciłam głową, nie będąc właściwie pewna, na które z dwóch pytań odpowiadam. Twarz mężczyzny złagodniała, jakby przygotowywał się, żeby wygłosić dłuższą reprimendę, ale westchnął tylko głęboko i zerknął w bok, dając mi okazję do ponownego podziwiania swojego profilu. Kiedy znów na mnie spojrzał, mówił już znacznie ciszej i niemal uprzejmie.

– Czy coś ci się stało?

Znów pokręciłam głową, wyczuwając, że się uśmiecha.

– Nie potrafisz mówić, Mariano Farr? – zapytał. – Słyszałem, że dziewczęta z Londynu są bardzo wygadane.

Serce załomotało mi gwałtownie.

– Nie jestem z Londynu, panie. Przyjechałam z Southampton.

– To dziwne – powiedział cicho. – Nie dawniej niż tydzień temu postawiłem piwo pewnemu mężczyźnie, który twierdził, że jest woźnicą z Londynu. Mówił, że przywiózł tu pasażerkę, dziewczynę o włosach płowych jak dojrzwały jęczmień. Ujął to bardzo poetycko, ale nie robił wrażenia kłamcy.

Nic nie odrzekłam, a on ciągnął drwiącym tonem:

– Nie musisz się obawiać, nikomu nie powiem. Nie jestem wieśniakiem, panienko, który na sam dźwięk słowa „zaraza” żegna się i szepcze pacierze. I nie chciałbym cię widzieć wypędzaną z naszego miasteczka przez tych, którzy boją się, żebyś nie zawlokła tu choroby.

Wstałam, otrzepując drżącymi palcami kurz z sukienki.

– Zaskoczyłeś mnie, panie – powiedziałam możliwie najbardziej godnym tonem, patrząc pod słońce. – Wiesz, jak się nazywam.

– Aha. Niewielu przyjezdnych jest teraz w Exbury – wyjaśnił. – A jeszcze mniej tych, którzy... mnie interesują. – Jego spojrzenie sprawiło, że znów zastygłam w milczeniu. Czulałam, że się uśmiecha. Pewnie z litości nad moimi oczyma przejechał na drugą stronę ścieżki, tak że słońce nie świeciło mu już za plecami, i unosząc kapelusz uprzejmie, pochylił głowę.

– Richard de Mornay, do usług.

– Witajcie, panie. – Odkłoniłam mu się, po części dlatego, że nie zapomniałam jeszcze o dobrych manierach, po części zaś z tego powodu, że już dłużej nie zniosłabym patrzenia mu prosto w oczy. Miał cudowną twarz, szczupłą i bardzo opaloną, starannie przystrzyżoną brodę i opadające pukle falujących ciemnych włosów. Jakże różnił się od miejskich trefnisiów, do których widoku przywykłam!

Nie był też ubrany z przesadną elegancją. Miał na sobie prostą ciemną kamizelkę, wąskie spodnie do konnej jazdy, długi czarny żakiet i wysokie skórzane buty. Materiał, z którego uszyto ubranie, był znakomitej jakości, ale o stonowanych barwach, dzięki czemu całość sprawiała naprawdę imponujące wrażenie. Przyłapałam się na myśli o tym, jak bardzo Richard de Mornay różni się od prostych wieśniaków i parobków, których zdążyłam poznać w miasteczku od czasu mego przyjazdu.

– Czy jesteś pewna, że nic ci się nie stało? – zapytał ponownie.

– Absolutnie. Dziękuję. – Pochyliłam głowę w oczekiwaniu, że odjedzie. Ponieważ tego nie zrobił, rzuciłam szybkie spojrzenie w górę i zobaczyłam, że cały czas na mnie patrzy.

– W takim razie życzę ci dobrego dnia, panienko – rzekł powoli, kłaniając się jeszcze raz, po czym włożył kapelusz i skierował konia w stronę osady.

– Pamiętaj, żeby następnym razem uważać na tej ścieżce. Miałam dziwne wrażenie, że ostrzega mnie przed innym niebezpieczeństwem niż tylko stratowanie przez konia, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, już go nie było, a ja stałam jak głupia z otwartymi ustami na środku drogi. Wzięłam się jednak w garść, zesłam ze ścieżki i ruszyłam do domu na przełaj przez łąki, żeby nie mieć więcej okazji spotkania Richarda de Mornay.

Dom wuja, widoczny ponad nierówną linią pól, wywierał raczej przygnębiające wrażenie. Przez parę dni pobytu tutaj nauczyłam się go nienawidzić, tak jak nienawidziłam na przykład widoku Tower w Londynie. Obydwa miejsca, oczywiście każde na swój sposób, były więzieniami.

W istocie nie istniały żadne racjonalne powody do tego, żebym tak uważała, ani do tego, żebym coraz bardziej nienawidziła wuja. Nie szykanował mnie, uczestniczyłam we wszystkich zajęciach domowych, w ogóle jego zachowanie w stosunku do mnie było bez zarzutu. Ale powoli zaczęłam odczuwać coraz większy niepokój, jak dziecko błądzące nocą po korytarzach nieznanego domu i spodziewające się znaleźć w każdym jego zakamarku straszliwego potwora. Po prostu w miarę upływu czasu miałam coraz wyraźniejszą świadomość jego bliskiej obecności. Niemal czułam go, przyczajonego jak wąż w raju za nudną rutyną codziennego życia. I mimo że nie mogłam potwora zobaczyć, byłam pewna, że naprawdę istnieje.

Głośno tupiąc, weszłam do domu i zastałam Rachelę w kuchni. Stała z rękoma zanurzonymi po łokcie w dzieży z ciastem. Spojrzała na mnie z uśmiechem, cała obsypana mąką.

– Przyjemnie się spacerowało? – zapytała, a kiedy przytaknęłam, dodała: – Zaczynałam się już o ciebie martwić. Nie było cię tak długo.

– Poszłam na cmentarz, na grób dziadka – wyjaśniłam. – Rachelo, co wiesz o człowieku, który nazywa się Richard de Mornay?

Rzuciła na mnie szybkie spojrzenie, przez chwilę się wahała, po czym skierowała wzrok gdzieś ponad moją głowę i oczy jej rozszerzyły się nagłą obawą. Nie słyszałam, kiedy wuj wszedł do kuchni, ale czułam za plecami jego obecność.

– Richard de Mornay – powtórzył, rozwlękając nieprzyjemnie słowa. – Skąd go znasz?

– Mineliśmy się dziś na drodze – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Rozmawiał ze mną.

– Aha... rozmawiał z tobą. To wszystko? – Tak.

– A teraz pytasz o niego?

To przesłuchanie zaczęło mnie denerwować, ale powstrzymałam gniew i mówiłam dalej tak spokojnie, jak tylko potrafiłam:

– Pytam, bo jestem ciekawa. Miał na sobie nadzwyczaj piękne ubranie i jechał na wspaniałym koniu. – Unikałam wzroku wuja. – Byłam po prostu ciekawa – powtórzyłam.

Jabez Howard patrzył mi przez pewien czas w oczy, potem spuścił wzrok i uśmiechnął się.

– Richard de Mornay – powiedział już normalnym tonem – jest młodym lordem z Crofton Hall. Pochodzi ze znakomitej rodziny i odziedziczył po swym zmarłym ojcu tytuł baroneta. Należy go szanować, chociaż – tu spojrzął na mnie ponownie – nie jest dżentelmenem. Richard de Mornay to diabeł wcielony. Nie będziesz już z nim nigdy więcej rozmawiała.

Odwrócił się i wyszedł do jadalni, zostawiając mnie przy palenisku. Trzęsłam się cała. W nagłej ciszy rozległ się jakiś dziwny dźwięk, wibrujący i przenikliwy dźwięk dzwonka, z każdą chwilą głośniejszy. Pokój drgnął i począł falować, jak horyzont w skwarne letnie popołudnie; kontury ścian i mebli zamazały się, żeby po chwili znowu nabrać ostrości.

Stałam w spiżarni mojego własnego domu, zwrócona twarzą w stronę drzwi kuchennych. Słuchałam natarczywego dzwonienia telefonu w holu. Gapiąc się głupio na otwarte drzwi, stałam bez ruchu aż do chwili, kiedy zamarło echo ostatniego dzwonka. Rzeczywistość wracała do mnie powoli i wydawało mi się, że minęły wieki, zanim zmusiłam się do wyjścia ze spiżarni. Następnie jęłam przypatrywać się bacznie czarnemu błyszczącemu aparatowi, jakby pochodził co najmniej z innej planety.

I kiedy tak stałam, nie odrywając od niego oczu, znów zadzwonił.

Rozdział 12

Kolejny dzień obudził się miły i ciepły, przynosząc ze sobą pierwsze delikatne powiewy zbliżającego się letniego skwaru. Obłoki, które się gromadziły rano na niebie, jeszcze przed południem zamieniły się w pasemka rozrzedzonej bieli, ledwie widoczne na cudownie błękitnym tle. Słońce błyszczało pomiędzy nimi niby jakiś drogocenny klejnot.

Na szerokich, ukwieconych trawnikach wzdłuż kamienistego podjazdu, prowadzącego do Crofton Hall, uwijały się pracowicie pszczoły, nie zwracając większej uwagi na gwarną grupę ludzi, czekających na zwiedzanie dworu.

Idący obok mnie Geoff schylił się, żeby zawiązać sznurowadło, po czym rzucił szybkie spojrzenie na tłoczących się u wejścia turystów.

– Zawsze w sobotę zarabiamy najwięcej – wyjaśnił. – Chyba powinniśmy przeczekać jakieś pół godziny, żeby żaden zaplątany wycieczkowiec potem nam nie przeszkadzał. – Przystanął i uśmiechnął się do mnie. – A co byś powiedziała na mały spacer po ogrodzie różanym?

Mimo że minął cały tydzień, jego uśmiech wcale się nie zmienił. Kiedy przechodziliśmy przez trawnik, zwróciło się w naszą stronę kilka spojrzeń, ale według mnie była to zwykła ludzka ciekawość. Wątpię, czy którykolwiek z turystów zdawał sobie sprawę, że ten przystojny młody mężczyzna w niebieskich dżinsach i jasnoczerwonym polo jest właścicielem Crofton Hall.

Ale na pewno zastanawiali się, kim jestem ja. Wczoraj w rozmowie telefonicznej Geoff był tak oficjalny, że jakoś podświadomie uznałam, iż nasze zwiedzanie odbędzie się w takiej samej atmosferze. Wyjęłam więc z szafy plisowaną spódniczkę, jasnobezową jedwabną bluzkę i niedorzecznie drogie włoskie buty na okropnie wysokich obcasach, które teraz przy każdym kroku wbijały się głęboko w miękką ziemię. Żeby się jakoś poruszać, musiałam iść prawie na palcach. Po cichu błogosławiłam Geoffa, który świadom tego, jak nieodpowiedni jest mój strój, wspaniałomyślnie zwalniał kroku.

Ogród różany zajmował sporą część terenu przy północnej ścianie ogrodzenia oddzielającego cmentarz od dziedzińca kościoła, którego wieża spoglądała na nas z wysoka. Sam ogród miał w sobie coś z nastroju renesansu – był bardzo zadbany, czysty, starannie wypielęgnowany. Na szczęście jednak wszystkie te zgeometryzowane rabaty o doskonale wyrównanych brzegach nie mogły sprawić, by równie grzeczna była cudowna płatanina rosnących na nich roślin.

– Oczywiście – rzekł Geoff – ogród robi większe wrażenie latem, kiedy wszystko kwitnie...

– I tak jest cudowny – odparłam. – Chyba nie widziałam jeszcze ogrodu, który byłby zaprojektowany z taką dbałością o szczegóły.

– Istotnie, głowiliśmy się nad tym strasznie, dopóki Ian nie wpadł na pomysł, żeby ogród odtwarzał po prostu powiększony wzór sufitu jadalni – wyjaśnił Geoff z uśmiechem. – Mówiono mi, że koło zachodniego skrzydła był kiedyś labirynt pomyślany właśnie w ten sam

sposób. Wyobraź sobie, jakie to musiało sprawiać imponujące wrażenie: ogromne, gęste ściany jałowca. Ale jeden z wiktoriańskich właścicieli domu wyciął wszystko i zbudował na tym miejscu dość szpetną fontannę. Styl włoski. Mnóstwo posągów.

– Jaka szkoda.

Już od dzieciństwa lubiłam labirynty. Wciąż jeszcze pamiętam, jak podczas pewnych rodzinnych wakacji zgubiliśmy się właśnie w takim labiryncie w zamku Hampton. Ojciec błądził z nami po coraz bardziej rozgałęziających się i krętych zielonych korytarzach. Snuliśmy się tak dopóty, dopóki Tom nie zgłodniał i nie chcąc przegapić obiadu, objął przewodnictwo, po czym zaprowadził nas bezbłądnie do wyjścia...

– Co cię tak śmieszy? – chciał wiedzieć Geoff, więc opowiedziałam mu tę historię.

Śmiał się cudownie – głębokim barytonem. Strasznie mi się podobały drobniutkie zmarszczki w kącikach jego oczu.

– Masz tylko jednego brata? – spytał. Skinęłam głową.

– Tak, jest nas dwoje. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby moi rodzice mogli wytrzymać z większą liczbą dzieci. Byliśmy niezłymi łobuziakami.

– Naprawdę? – spojrzał na mnie z zainteresowaniem. – Nie wyglądasz na trudne dziecko.

– Pozory myślą – zapewniłam go. – Jak nie siedziałam w gabinecie u dyrektora szkoły, to byłam zszywana przez chirurga. Widzisz? – Pokazałam szramę na podbródku. – To pamiątka po tym, jak grając Mary Poppins, spadłam z dachu. A to – podsunęłam rękaw i pokazałam mu przedramię – to wspomnienie po drucie kolczastym, który zaplątał się pomiędzy mnie a piłkę. Mój brat był chyba jeszcze gorszy.

– Za to teraz jesteś wielce szacowną artystką – rzekł Geoff – a twój brat duchownym.

– Zgadza się. Moi rodzice chyba dotąd nie mogą zrozumieć, jak to się stało. Tak mi się wydaje.

– Czy z twoją rodziną wszystko w porządku? Ian mi mówił, że zostałam nagle wezwana do Hampshire.

– Okazało się, że to błahostka – powiedziałam szybko, może zbyt szybko. Zabawne, jak jedno małe kłamstwo może spowodować, że człowiek czuje się tak bardzo winny. – Wszystko w porządku.

– To świetnie.

Parę następnych kroków przeszliśmy w milczeniu. Po chwili zaczęłam z innej beczki:

– Udała się podróż na północ?

Posłał uśmiech w kierunku swoich butów.

– Nie wiem, czy słowo „udała” jest tu najodpowiedniejsze – powiedział. – Musiałem rozwiązać pewien problem w jednym z naszych zakładów. Ostatni tydzień spędziłem zamknięty w jakichś okropnych salach konferencyjnych z podenerwowanymi ludźmi, pijąc litrami kawę. Ale w końcu wszystko zostało załatwione.

– Wróciłeś wczoraj? Skinął głową.

– Po południu. Właściwie chyba musiałem się z tobą minąć.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Jak to?

– Byłaś tu przecież wczoraj? Prawda? Dałbym sobie głowę uciąć. – Znowu się uśmiechnął. – Kiedy przyjechałem, szłaś przez pola w kierunku domu. Wołałem nawet, ale widocznie byłaś zbyt daleko, żeby usłyszeć. Wobec tego zadzwoniłem.

– Byłam w kościele – powiedziałam spokojnie, starając się nie okazać, jak bardzo poruszyły mnie jego słowa. Wiedziałam, oczywiście, że moje „powroty do przeszłości” dzieją się także we współczesnym czasie i otoczeniu – kiedy jako Mariana Farr otwierałam okno, robiłam to równocześnie w teraźniejszości. Ale jeszcze nigdy dotąd nie zorientowałam się, jakie to wszystko może mieć konsekwencje.

Zastanawiałam się często, co ludzie by pomyśleli, gdybym pewnego dnia mijala ich z nie widzącymi, wytrzeszczonymi oczyma, nie odpowiadając na powitania? A co by było, gdybym chciała przejść przez ulicę, nie zwracając uwagi na samochody? Albo przeniknąć przez ogrodzenie, którego w 1665 roku jeszcze nie było? Prawdopodobieństwo jakiegś kontuzji albo przynajmniej spowodowania niezręcznej sytuacji było bardzo duże. Gdybym tylko mogła znaleźć sposób na kontrolowanie tego wszystkiego! Gdybym mogła wybierać czas i miejsce, gdzie...

– Już ich nie ma.

Spojrzałam na Geoffa zdziwiona, ale on patrzył w stronę opustoszałego podjazdu.

– W tej chwili grupa wycieczkowa powinna już być w Sali Kredensowej. Chcesz wracać?

Skinęłam głową i w swoich niewygodnych szpilkach pokuśtykałam za nim przez szeroki trawnik.

– Powinienem zacząć oprowadzanie – zaczął – od wyjaśnienia ci, że zbliżamy się właśnie do południowego skrzydła Crofton Hall, które zbudował William de Mornay starszy. – Wyciągnął rękę, wskazując szerokim gestem wysoki budynek z rzędami staroświeckich okien, porośniętymi mchem ścianami i tynkiem miejscami zblakłym, co często się zdarza w angielskim klimacie. – Skrzydło, w którym ja mieszkam, jest jeszcze starsze – dodał Geoff – ale nie ma nawet w przybliżeniu tak ciekawej historii jak to tutaj. – Uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście, to widok, który możesz zobaczyć na wszystkich pocztówkach.

Istotnie – na małym stoliku przy drzwiach wejściowych leżało parę pocztówek. Kartki i małe ozdobne przewodniki po dworze miały zachęcić kolejną grupę oczekujących do kupowania pamiątek z wycieczki. Sprzedawała je nastolatka o blond włosach i szczerym uśmiechu.

– Jak idzie? – zapytał ją Geoff.

– Siedemnaście osób w tamtej grupie – spojrzała na niego z dumą. – Jak dotychczas, mieliśmy już w sumie ponad pięćdziesiąt. Cathy nie miała jeszcze nawet przerwy, ale powiedziała, że pozwoli mi oprowadzić następną turę.

– Dobrze. Cathy jest naszym stałym przewodnikiem – wyjaśnił mi Geoff. – Ta młoda osóbką, Sally, pracuje tu w weekendy, bo sami nie możemy sobie poradzić z taką liczbą chętnych. Sally, to jest Julia Beckett.

– To pani wprowadziła się właśnie do Szarych Głazów? Malarka? – Jej oczy zrobiły się okrągłe z zachwytu i skłamałabym, gdybym powiedziała, że moje ego nie zostało mile polechtane. – Dzień dobry. Ogromnie miło mi panią poznać – zapewniła Sally, potrząsając

energicznie moją dłoń.

– Mam zamiar oprowadzić pannę Beckett po dworze – mówił dalej Geoff – a więc pamiętaj o nas, dobrze? Chcielibyśmy trochę wyprzedzić twoją grupę, żeby wam nie przeszkadzać. Staraj się zbytnio nie pędzić.

– Tak, proszę pana.

– To dobre dziecko – powiedział Geoff, kiedy weszliśmy do domu przez dużą kamienną werandę. – Jej matka prowadzi aptekę. Straszna kobieta. – Uśmiechnął się do swoich myśli. – Ubzdurzyła sobie, że zamierzam poślubić którąś z jej córek. Zatem po przemyśleniu całej sprawy uznałem,

że najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić, jest zatrudnienie którejś z dziewcząt w Crofton Hall.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

– No cóż, to konsekwencje statusu „właściciela ziemskiego”. Jestem młody, bogaty i dobrze wychowany, a w dodatku nieżonaty. A więc bardzo dobra partia.

Spojrzałam na niego uważnie, podnosząc brwi. Był albo niezwykle skromny, albo wyjątkowo zarozumiały. Przecież rzecz nie sprowadzała się do tego, że jest młody i bogaty – był po prostu zachwycający, a na dokładkę posiadał jeszcze ogromną fortunę. Wszystkie matki z Exbury miały prawo snuć plany związane z wydaniem za Geoffa jednej ze swoich córek.

Z przedsionka weszliśmy do pokoju, na którego widok zaparło mi dech w piersiach.

Ściany obite były wspaniałą miękką tkaniną, która upięta wysoko w górze łączyła się z cudownym, pełnym misternych ozdób, wysokim sufitem. Ten z kolei przeglądał się w lśniącej dębowej podłodze, częściowo pokrytej bezcennymi perskimi dywanami. Pokój zaprojektowany był tak, żeby robić wrażenie, i istotnie spełniał doskonale swoje zadanie. Ale w największy zachwyt wprowadził mnie kominek.

Nigdy wcześniej, nawet w filmach, nie widziałam czegoś takiego. Zrobiony z cudownie białego kamienia, był tak ogromny, że dwóch dorosłych mężczyzn mogło z powodzeniem stanąć wewnątrz z rozpostartymi ramionami, nie dotykając się nawzajem bardzo bogato rzeźbiony. Różne postaci, które powstały w wyobraźni rzeźbiarza, pięły się do góry po bocznych ściankach ku masywnemu zwieńczeniu. Nad kominkiem wisiał równie bogato zdobiony herb.

– Sala Wielka – powiedział Geoff, stojąc za mną. – Robi wrażenie, prawda? Z tego, co wiem, to ściany pokryto bardzo rzadkim aksamitem genueńskim jeszcze w epoce elżbietańskiej. Zatrudniliśmy konserwatora, który nam to wszystko pozszywał i połatał. Aż dziw bierze, że się nie podarło na strzepy już wieki temu.

Bezwiednie podniosłam dłoń, ale szybko ją opuściłam. Wiedziałam, że lepiej tego nie dotykać. Jeden z moich londyńskich sąsiadów pracował jako przewodnik w British Museum i wciąż opowiadał mi o szkodach, jakie wyrządzają wśród eksponatów bezmyślne ręce zwiedzających i flesze aparatów fotograficznych. Splatając dłonie za plecami, rozejrzałam się zachwycona dookoła.

– Oczywiście kominek jest całkowicie unikatowy – ciągnął Geoff. – Białły kamień

pochodzi z miejscowości Compton Bassett, to zaledwie kilkanaście kilometrów stąd, a rzeźby wykonał miejscowy kamieniarz.

– Czy to twój herb? – zapytałam.

– Tak. No, w każdym razie rodzinny. Został przyznany Williamowi de Mornay młodszemu w XVII wieku. Jako jego krewny w prostej linii, mam prawo go używać, mogę na przykład umieścić herb na mojej papeterii czy coś w tym rodzaju. Ale zawsze wydawało mi się, że to trochę zbyt snobistyczne. Poza tym jest jeszcze jeden problem.

Spojrzałam pytająco, a on wyjaśnił:

– Mój przodek, Arthur de Mornay, był niewątpliwie wnukiem Williama, ale bez świadectw w księgach nie możemy stwierdzić na pewno, czy ojciec Arthura był pierwszym, czy drugim, a może nawet trzecim czy czwartym synem w rodzinie. Znaków na herbach używa się zależnie od kolejności urodzenia: są to albo róże, albo krzyże, albo księżyce. Tylko głowa rodziny ma prawo używać pełnego herbu.

– Nie wiedziałam o tym – przyznałam się, podchodząc bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. – Obawiam się, że nie mam zbyt wielkiego pojęcia o heraldyce. Ale w Szkole Sztuk Pięknych miałam wykładowcę, który pracował też w Akademii Wojskowej, więc trochę się od niego nauczyłam...

– No to sprawdźmy, jak sobie poradzisz. – Geoff uśmiechnął się szeroko. – Co możesz mi powiedzieć o tarczy?

To było wyzwanie, a ja nigdy żadnemu nie mogłam się oprzeć. Zacisnęłam mocniej dłoń i spojrzałam uważnie do góry. Wiedziałam, że tarcza jest tylko częścią herbu i że obydwie elementy zazwyczaj oznaczają co innego.

– A więc – zaczęłam – poziome wzory zostały namalowane w pobliżu środka tarczy. W języku heraldycznym znaczy to, że jest się członkiem jakiejś grupy społecznej albo stowarzyszenia, nieprawdaż?

– Tak, racja – potwierdził.

– Tło jest złote, ale nie widzę dobrze koloru, który nań nałożono.

– Szkarłat – powiedział Geoff. – Kolor krwi. Niezbyt często spotykany.

– No więc dolna część znaczy tyle co: „róża, roślina dobrze posadzona i pielęgnowana” – ciągnęłam, spoglądając równocześnie na czerwoną różę, jej zielone kolce i złoty środek, które odbijały od ciemniejszego tła. – Jak mi idzie?

– Nadzwyczajnie – przyznał. – A co z górną połową? Zmarszczyłam brwi, studiując dokładnie dwa zakapturzone sokoły, odbijające się swoim złotem od szkarłatnego tła. Ptaki miały szeroko rozpostarte skrzydła, zakrzywione szpony, ich kaptury lśniły srebrem.

– Mamy tu szkarłat, powiadasz? W takim razie mogłoby to znaczyć: „Bądź waleczny jak sokół, jeśli masz się poddać, to raczej zgin”.

Nie byłam zbyt pewna tego, co powiedziałam, ale ośmielił mnie zachęcający uśmiech Geoffa.

– Doskonale to ujęłaś – powiedział łagodnie. – Róża symbolizuje patriotyzm rodziny i wierność koronie. Sokoły z kolei ślepa wiarę i posłuszeństwo królowi. Teraz kaptury i szpony. No, spróbuj jeszcze raz – zachęcił. – Jak myślisz, co znaczy ten hełm zwieńczający

herb?

To akurat wiedziałam.

– Właściciel herbu był rycerzem albo baronem – powiedziałam pewnie, przekonana o słuszności swoich słów.

– A skąd to wiesz?

– Ponieważ hełm zwrócony jest przodem do nas, a przyłbica podniesiona.

– A sam hełm jest stalowy – dodał – nie złoty ani srebrny. Dobrze. A teraz – Geoff skrzyżował ręce na piersiach – jeśli powiesz mi, jak się nazywa wzór okalający cały herb, padnę przed tobą na kolana z zachwyty.

– Przepraszam – odparłam. – Nie pamiętam, jak się nazywa, ale wiem, że ma symbolizować to, czym rycerze osłaniali zbroję przed słońcem.

– To się nazywa lambrekin – powiedział z triumfalnym uśmiechem. – No, jest przynajmniej jedna rzecz, której ty nie wiesz, a ja wiem. „Nie mam zbyt wielkiego pojęcia o heraldyce” – zaczął mnie przedrzeźniać ze śmieszną miną. Był coraz bardziej rozbawiony. – Zamierzasz ubiegać się o posadę przewodniczki?

Zaczerwieniłam się lekko, kręcąc przecząco głową.

– Nie, po prostu mam bardzo dobrą pamięć do szczegółów. Widzę rzeczy albo o nich czytam, i od razu zapamiętuję.

– Nie chciałem cię urazić. – zapewnił. – To tylko żarty. Nie powinnaś czuć się zakłopotana z tego powodu, że potrafisz myśleć.

– Tak naprawdę, to...

– Lubię inteligentne kobiety – powiedział i mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Inteligencja jest szalenie seksowna.

Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej i skupiłam całą uwagę na herbie nad kominkiem.

– Co znaczy to zdanie? – zapytałam.

– Co, nie jesteś też zbyt dobra z łaciny? – zaśmiał się, podchodząc bliżej. Przez cienką bluzkę poczułam ciepło jego ciała. Niski głos Geoffa brzmiał bardzo przyjemnie.

– *Everti non potest* – przeczytał powoli i uroczyście. – To znaczy mniej więcej tyle co: „jestem niezniszczalny”.

Umilkliśmy na chwilę; z zamyślenia wyrwały nas dopiero zbliżające się głosy. Zbyt długo zabawiliśmy w Sali Wielkiej – za chwilę miała nadejść kolejna grupa.

– Do diabła! – zaklął Geoff, rozglądając się za jakąś drogą ucieczki. – Chodź – powiedział i chwycił mnie za rękę, pociągając za sobą. Niemal wepchnął mnie w drzwi na lewo od kominka i poprowadził wąskim korytarzem.

Rozdział 13

A to jest korytarz zachodni – objaśnił. Zamknął za mną drzwi i oparł się o nie z jakimś wilczym uśmiechem. – Nie mogłem się doczekać, żeby ci go pokazać.

– Jest cudowny – zaśmiałam się. – Czy wszystkie wycieczki są takie jak ta?

– Przeważnie – rzekł. – Niezbyt lubię tłum. Naprawdę masz szczęście; kiedy parę lat temu chciałem pokazać Vivien odrestaurowane pokoje, musieliśmy siedzieć przez dobre dwadzieścia minut zamknięci w kredensie.

„Szczęściara” – omal mi się nie wyrwało. W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Zamiast tego rzekłam niewinnie:

– Ta choroba jakoś się nazywa. Patologiczny lęk przed tłumem?

Skinął głową.

– Obsesja prywatności. – Roześmiał się i wskazał drzwi po przeciwnej stronie. – To pomieszczenia służby, ale ponieważ wycieczka zaraz tam dotrze, jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy pójść od razu do kuchni.

Szłam za nim obniżającym się korytarzem.

– Czy nie przeszkadzają ci – zapytałam – ludzie wałęsający się wciąż po twoim domu?

– Niespecjalnie. – Wzruszył ramionami. – Przecież już ci mówiłem, że najlepszą część dworu zachowałem dla siebie. Tam mieszkam i tam właśnie jest mój dom, w jego pokojach dorastałem. A to wszystko to po prostu... zbytek, chyba tak to trzeba nazwać. Dwór jest za duży, żeby mieszkała tu nawet cała rodzina, co dopiero jedna osoba. Zapewne większość z tych pokoi świeciłaby pustkami, gdyby nie turyści. Nie lubię przesady. Czy wyobrazasz sobie na przykład mnie jedzącego wieczorny posiłek w takim miejscu?

Zatrzymał się i zatoczył ręką łuk, pokazując mi kuchnię o naprawdę imponujących rozmiarach. Ściany były tu z cegieł i polerowanej miedzi, w środku zbudowano ogromnych rozmiarów palenisko. Staroświecki piec ustawiony w rogu mógł chyba pomieścić naraz co najmniej dwadzieścia piekących się indyków i jeszcze zostałyby dużo miejsca.

– Rozumiem cię – odpowiedziałam, unosząc brwi. Byliśmy jeszcze w gorzelni, mleczarni, maślarni, spiżarni i w końcu znaleźliśmy się w specjalnym pomieszczeniu, gdzie zmywało się naczynia. Urządzono tę myjnię wokół wykopanej w środku domu studni. Niskimi drzwiami wychodziło się stamtąd na małe podwórko, otoczone z trzech stron ścianami domu. Czwarta strona zamknięta była wysokim kamiennym murem, gęsto porośniętym bluszczem i najeżonym u góry potężnych rozmiarów żelaznymi szpikulcami.

To coś jakby niewielki prywatny park w środku domu, pomyślałam. Tyle że miejsce było okropnie zarośnięte. Nie widziałam nawet skrawka ziemi, a splątana masa chwastów i dzikich kwiatów skryła nawet biegnący środkiem kamienny chodnik. Byłam zaskoczona i zarazem rozczarowana, że Ian nie zrobił tu porządku.

– Myślisz, że można by z tego zrobić coś w rodzaju Tajemniczego Ogrodu? No cóż, kiedyś podsunąłem mu ten pomysł, ale jakoś się do niego nie zapalił. Nie podoba mu się to podwórko – powiedział Geoff. – Mówi, że czuje się tu jak w grobie.

Istotnie, po chwili namysłu przyznałam łanowi rację. Powietrze było tutaj nieruchome, cisza złowieszcza, a trawa pod moimi stopami smętna i bardzo zaniedbana.

– Ale jeśli naprawdę lubisz ogrody, to chodź – rzekł Geoff. Poprowadził mnie ścieżką do głównego budynku, potem znowu w kierunku zachodniego korytarza. Usytuowane po drugiej stronie kuchni małe schody wiodły do oranżerii. Było to niewielkie pomieszczenie w stylu wiktoriańskim, przeszklone, pełne światła i wikliny. Unosił się tu intensywny zapach lilii.

I znów odgłos zbliżających się kroków sprawił, że musieliśmy uciekać. Geoff poprowadził mnie następnym ciemnym korytarzem, w którym panował nieprzyjemny chłód i woń wilgotnych kamiennych murów. W połowie korytarza Geoff przystanął i odwrócił się, żeby pokazać mi coś u naszych stóp.

– Widzisz ten kawałek rzeźbionego kamienia koło boazerii? Dwunastowieczna robota. Pochodzi jeszcze z czasów, kiedy było tu opactwo. Poza paroma duchami i kilkoma gotyckimi lukami w zachodnim skrzydle to wszystko, co pozostawili nam w spadku zakonnicy.

Żeby przyjrzeć się lepiej, pochyliłam się, wodząc palcem po rzeźbionej powierzchni.

– Odziedzyczyłeś dużo duchów?

– No, może jednego albo dwa. Myślę, że są to jedyne dobrze wychowane duchy, jakie mam w swoim posiadaniu. Widma z Crofton Hall są raczej hałaśliwymi gośćmi – zaśmiał się.

– A więc w nie wierzysz.

– Przyjmuję możliwość, że istnieją – wyjaśnił. – W końcu jeśli więcej niż tuzin obcych sobie, nie znających domu osób twierdzi, że widziało to samo, coś w tym musi być. Wszyscy przecież nie mogli zwariować.

– A czy są jakieś duchy na górze? – zapytałam, spoglądając w sufit z natarczywą ciekawością.

Geoff się roześmiał.

– Ze trzynaście – odparł. – To jest skrzydło, w którym znajdują się sypialnie, a wydaje się, że duchy bardzo lubią sypialnie. W każdym razie moje duchy tak. Zwłaszcza jeden, ale to jest raczej uczucie, wrażenie, niż sam duch, oddziałujące na wiele osób... zresztą zaraz przekonasz się o tym sama.

– Och, dziękuję ci bardzo – powiedziałam z ironią. – Mam nadzieję, że to nie jest duch-morderca?

– Nie, nic podobnego – pokręcił przecząco głową i roześmiał się. – Właściwie trudno to zjawisko wyjaśnić, zwłaszcza że ja sam nigdy tego nie doznałem. No, już jesteśmy na miejscu. – Zatrzymał się na najwyższym stopniu, żeby otworzyć masywne dębowe drzwi. – Proszę bardzo, panie przodem.

Górne sypialnie były urocze, stały w nich piękne stylowe meble. Ciężkie haftowane baldachimy sprawiały, że ogromne łoża wydawały się jeszcze masywniejsze i bardziej kosztowne, a ja mniejsza i zupełnie niepozorna.

Najbardziej podobała mi się sypialnia króla Karola, w której nieszczęśnik spędził kilka nocy, prowadząc swoje wojska przeciwko Cromwellowi. Pokój ten znajdował się dokładnie nad Salą Wielką i zachowano w nim te same proporcje. Piękny sufit pokrywały misternie

rzeźbione ozdoby, pełne niezwykłego piękna.

– A to jest Sypialnia Rycerska – ciągnął Geoff, przeprowadzając mnie przez kolejne drzwi. – Kiedyś nazywano ją Sypialnią Purpurową, ale „rycerska” było słowem lepiej pasującym do przewodników, a poza tym nazwa jest trafna, jeśli się weźmie pod uwagę, że sąsiadowała z pokojem króla.

Pierwsza nazwa była jednak bardziej logiczna, uznałam na widok pokrytych czerwoną materią ścian i ciemniejszych od nich baldachimów nad ogromnym łóżem z czasów króla Jakuba. I wtedy właśnie poczułam przenikające mnie zimno.

Geoff kontynuował swoje wyjaśnienia, ale ja już nie słuchałam. Jakaś siła, jakaś przemożna i niepojęta siła zmusiła mnie, żebym podeszła do jedyne go okna pokoju, które wychodziło na szeroki trawnik i ogrodzony murem cmentarz.

Geoff przestał mówić, spojrział na mnie uważnie i wydaje mi się, że powiedział coś w rodzaju: „A więc ty też temu uległaś”. Moje ciało przeniknęła fala nagłych uczuć, których nie mogłam w żaden sposób opanować czy powstrzymać. Najpierw jakby oczekiwanie – rozziewająca duszę i przepelniającą ją tęsknotą, potem rodzaj chaotycznej modlitwy – rozpaczliwa litania, kołacząca się w mojej nieposłusznej głowie, a w końcu – nagła fala smutku, tak głębokiego, że zdawał się nie do zniesienia. Oparłam się ciężko o ramę okienną, łzy napłynęły mi do oczu.

– Jak się czujesz? – Geoff dotknął mego ramienia swoją silną dłoń. W jego głosie wyczuć można było prawdziwą troskę.

Zamrugalam oczyma, żeby wypędzić z nich łzy, i uśmiechnęłam się do niego nieco niepewnie.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – A więc to jest ten duch?

– Tak. Słuchaj, bardzo mi przykro. Zamiast być taki tajemniczy, powinienem cię był jakoś ostrzec, powiedzieć, czego możesz się spodziewać.

– Nic się przecież nie stało. – Odeszłam od okna, wygładzając nieświadomie fałdy spódnicy. – Tak jak powiedziałeś, to tylko uczucie... nic więcej.

– Rodzaj głębokiego smutku, nieprawdaż?

– Tak. – Otrząsnęłam się na samo jego wspomnienie. – Czy wiesz, co jest tego przyczyną?

Geoff pokręcił przecząco ciemną głową, zmarszczył brwi.

– Nie, ale jest to chyba rodzaj smutku „kobiecego”. Wydaje się, że tylko przychodzące tu kobiety go odczuwają. I zawsze w tym samym miejscu; pod oknem. Ale nigdy nie udało mi się wyjaśnić przyczyny tego zjawiska. W przeszłości rodziny nie znalazłem nic, na czym można by się oprzeć. Nikt, o kim wiemy, nie zmarł w tym pokoju ani nie wyskoczył przez okno. Żadnych podobnych zdarzeń.

– Nie sędzę, żeby to było związane z pokojem – odparłam z namysłem. Spojrział na mnie zdziwiony, a ja zaczerwieniłam się i spuściłam głowę, zażenowana.

– Przepraszam – powiedziałam. – Po prostu takie odniosłam wrażenie. Wydawało mi się, że ona, jeśli to naprawdę była ona, musiała coś zobaczyć przez to okno. Coś na zewnątrz... – Machnęłam ręką w stronę rozległej, świeżej zieleni trawnika, ciągnącego się aż do muru

cmentarnego, nad którym zwieszały się gałęzie ogromnych drzew. Wszystko to było czyste, niewinne i ciche – nawet cienie konarów na trawie nie poruszały się. – Coś strasznego. Coś, co złamało jej serce. I pozostawiło piętno na tym pokoju.

– Wydaje mi się to całkiem możliwe. – Geoff cały czas patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, z domieszką zaciekawienia i obawy zarazem. – Słuchaj, a może dokończymy zwiedzanie kiedy indziej?

– Nie, czuję się całkiem dobrze – zapewniłam go po raz kolejny i uśmiechnęłam się. Tym razem był to szczery uśmiech. Byłoby głupio, gdyby coś takiego zepsuło mi cały dzień. – Co teraz mamy w planie?

– Bibliotekę. – Odprężył się nieco. – Ale może to dla ciebie zbyt nudne?

– Absolutnie nie. Kocham biblioteki. Chciałabym cię ostrzec, że najprawdopodobniej porwę ci parę książek do przeczytania. Nie masz przypadkiem u siebie pierwszych wydań Dickensa?

– Nie, Dickensa nie – zaśmiał się.

– No tak. – Wzniosłam oczy ku niebu. – Wiedziałam. Zapewne będzie to jedna z tych zapierających dech w piersiach kolekcji białych kruków oprawnych w skórę, co?

– Coś w tym rodzaju – odparł, kwitując uśmiechem moją ironię. – Ale może poczujesz się lepiej, jeśli ci powiem, że co bardziej wartościowe egzemplarze przeniosłem do prywatnej części domu. Nie należy zanadto ufać turystom, prawda?

– To jedyna rzecz, za którą lubię bogaczy – oświadczyłam, idąc za Geoffem przesyconym wilgocią korytarzem.

– Co masz na myśli?

– To, że kupują książki, o których reszta śmiertelników nie mogłaby nawet zamarzyć.

– A więc jeśli zechcesz pożyczyć którąś z moich książek, daj mi tylko znać.

Westchnęłam głęboko.

– Pożyczać i mieć to nie to samo.

Zatrzymaliśmy się w szerokim przedsionku naprzeciwko Sali Wielkiej i kiedy Geoff otworzył drzwi, moje przypuszczenia się potwierdziły. Ujrzałam ściany pokryte od podłogi do sufitu mahoniowymi półkami, pełnymi tomów najróżniejszych kształtów, kolorów i wieku. Morze książek rozdzielały tylko trzy wąskie, wysokie okna, z ustawionymi pod nimi siedzeniami. Owe kanapki zawałone były dosłownie porzrzuconymi w nieładzie poduszkami – o czymś takim każdy miłośnik książek po prostu marzy, pragnie tego, pożąda...

Weszłam zachwycona do pokoju, wciągając w nozdrza zapach skórzanych opraw, starego papieru i polerowanego drewna.

– To jest absolutnie cudowne – powiedziałam tylko.

– Tak – zgodził się Geoff. – Powinnaś podziękować za to mojemu ojcu. Kochał książki, ich wyszukiwaniu i kolekcjonowaniu poświęcił całe życie. Zaczęło się od małego pomieszczenia przy południowym korytarzu, koło dawnej kuchni. Ale ojcu to nie wystarczyło. Urządził tę bibliotekę w dawnym pokoju do gier: bilardu i innych podobnych rozrywek. Jeszcze wcześniej była tu najprawdopodobniej spiżarnia. Tata uznał, że to miejsce jest po prostu wymarzone na bibliotekę.

– Miał rację. A skąd pochodzą półki?

– Z Domu Ludowego w West Sussex. Budynek rozbierano i za małą fortunę zgodzono się sprzedać tacie wszystkie półki.

– Były tego warte – podsumowałam krótko decyzję jego ojca. – Są po prostu cudowne. Brakuje tylko przenośnej drabinki z mosiężnymi uchwytami.

– Ach – uśmiechnął się Geoff – nie rozejrzałaś się jeszcze dobrze. – Wskazał ręką kątek pokoju. – Tata zawsze dbał o najdrobniejsze szczegóły.

Istotnie, stała tam wysoka drabina na kółkach, z mosiężnym uchwytem, sięgająca do najwyższych półek. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Właśnie miałam wyrazić swój zachwyt, kiedy moją uwagę przykuł inny przedmiot w rogu pokoju. Przebiegł mnie lodowaty dreszcz, głos odmówił mi posłuszeństwa.

– Richard – wyszeptałam dziwnie ochryple.

– Co powiedziałaś? – Geoff zbliżył się i spojrzał mi w twarz. Ale ja wciąż stałam, gapiąc się ponad jego ramieniem na wspaniały portret na przeciwległej ścianie. Portret wysokiego mężczyzny o mądrych oczach i aroganckim uśmiechu. Mężczyzny w ciemnym odzieniu, z peleryną zarzuconą na jedno ramię i błyszczącym mieczem w ręce...

Oblizalam wargi i spróbowałam jeszcze raz, starając się wypowiadać słowa wyraźniej:

– Ten obraz... – zaczęłam, wskazując głową w stronę portretu.

Odwrócił się i spojrzał w tamtych kierunku.

– A, to. Nazwaliśmy go „Playboy”. Został kupiony razem z domem. To może być sam stary Arthur de Mornay albo nawet jego ojciec. Podobieństwo jest uderzające, nie sądzisz?

Nie musiałam pytać, o jakim podobieństwie mówi. Przecież równie dobrze na tej ścianie mógł wisieć jego portret. Spojrzałam szeroko otwartymi oczyma na obraz, potem na Geoffa i jeszcze raz na portret.

– Jest pędzla Lely’ego – kontynuował, jakby oprowadzał wycieczkę. – Bardzo charakterystyczny styl malowania.

Delikatne, jakby przeproszające pukanie do drzwi przerwało ciszę i spowodowało, że obydwójce drgnęliśmy i odwróciliśmy się szybko, niczym przyłapana na gorącym uczynku para uczniaków. W drzwiach stanęła wysoka, siwa, starsza kobieta. Starannie wyprasowany fartuch włożony na prostą ciemnoniebieską suknię i skromne, gładkie uczesanie znamionowało osobę spokojną i dobrze zorganizowaną. Twarz o uśmiechniętych niebieskich oczach wydawała mi się dziwnie znajoma.

Ale kobieta nie patrzyła na mnie – spoglądała na Geoffa.

– Telefon do pana – powiedziała. Miała bardzo przyjemny głos. – Nie przeszkadzałabym panu, ale dzwoni pan McCandless z fabryki w Manchesterze i zdaje się, że ma jakąś bardzo pilną sprawę.

– Dobrze – odpowiedział Geoff, krzywiąc się z niezadowoleniem. – Odbiorę. Dziękuję, Fredo. Och – dodał, jakby sobie coś nagle przypominając – czy wy się już zdążyłyście poznać? Julia Beckett, Alfreda Hutherson, moja gospodyni.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, uścisnęliśmy sobie dłonie i wtedy wreszcie pamięć mi wróciła.

– Przecież już się spotkałyśmy – powiedziałam. – Jak tylko się wprowadziłam, przyszła pani, żeby mnie powitać.

– Zgadza się – odpowiedziała starsza pani. – Już się pani urządziła na dobre?

– Tak, dziękuję.

Geoff dotknął mojego ramienia.

– Słuchaj, odbiorę tylko telefon. Wracam za minutę. Pani Hutherson odsunęła się, żeby go przepuścić, i odwróciła głowę. Spojrzała najpierw na mnie, potem na portret.

– Całkiem ładny obraz, prawda? – zauważyła, a ja skinęłam potakująco głową.

– Bardzo.

– Niezwykle przystojny mężczyzna. – Tak.

Spojrzała jeszcze raz na mnie i przez chwilę miałam dziwne wrażenie, że jestem naga, a ona spogląda prosto w moją duszę. Ale to był tylko moment. Potem starsza kobieta znów spoglądała na mnie przyjaźnie swoimi niebieskimi oczyma.

– Jaka szkoda, że nikt nie wie, kto to był – powiedziała. – Niezwykle przystojny mężczyzna i tak pięknie zbudowany. Ktoś kiedyś musiał go kochać.

Przeniosła wzrok na mnie i uśmiechnęła się.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę jeszcze umyć okna na piętrze. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona ze zwiedzania dworu.

Musiałam odkasznąć, zanim odpowiedziałam:

– Na pewno, dziękuję.

Skinęła głową i wyszła – jej równe kroki odbijały się echem od drewnianej podłogi korytarza. Dziwne, że ani Geoff, ani ja nie usłyszeliśmy, jak nadchodziła, pomyślałam. Kiedy zostałam sama w tym zacisznym pokoju, spojrzałam jeszcze raz na portret.

Richard de Mornay patrzył na mnie z uśmiechem.

To był Richard, byłam tego pewna. Nie miałam żadnych wątpliwości – ta sama zniewalająca arogancja, ten sam cynizm w chmurnym spojrzeniu ciemnych oczu. „Ktoś kiedyś musiał go kochać” – powiedziała pani Hutherson. Po raz kolejny ten głos z wewnątrz odparł za mnie z bolesną pewnością: „Tak. Ja...”

Ale ja już wtedy o tym wiedziałam. Zdawało mi się, że jestem tego świadoma od pewnego czasu. I byłam głęboko przekonana jeszcze o czymś – chociaż owo przeświadczenie opierało się raczej na przeczuciu niż na jakimkolwiek realnym fakcie – że Alfreda Hutherson również wie.

Rozdział 14

Po raz pierwszy widziałam, żeby pub Pod Czerwonym Lwem był tak zatłoczony. Parę stołów okupowali stali niedzielni klienci, minęło więc sporo czasu, zanim Vivien udało się przedostać z powrotem do baru, żeby nas obsłużyć. Do pracy zwerbowano nawet Neda – przeszedł koło nas co najmniej dwa razy, niosąc z kuchni talerze kanapek i frytek.

– Dobra. – Vivien zajęła wreszcie miejsce za barem. Kosmyki jasnych włosów opadły jej na zarumienioną twarz. – Niech zgadnę – spojrzała na Geoffa. – Oprowadziłeś dziś Julię po dworze.

Geoff przytaknął.

– A w nagrodę za ten przywilej – ciągnęła Vivien – Julia pozwoliła ci postawić sobie drinka.

– Zgadza się. Vivien roześmiała się.

– Całkiem uczciwy interes, dziewczyno – zwróciła się do mnie. – Co ci podać?

– Dżin z tonikiem. – Ja też się do niej uśmiechnęłam.

Siedzący o dwa stołki dalej za Geoffem Ian Sumner pochylił się w naszym kierunku i zapytał mnie, nieprzyjaźnie marszcząc brwi:

– Jak nazywasz ten napój? – W ręce trzymał oszroniony kufel ciemnego piwa.

– Nie zwracaj na niego uwagi – pouczyła mnie Vivien. – Ma dziś jeden ze swoich trudnych dni.

Ian uniósł brew, słysząc jej słowa.

– Nic podobnego.

– Widzisz, to właśnie miałam na myśli – rzekła Vivien, przymrużywszy porozumiewawczo jedno oko. Podała mi drinka.

Geoff odwrócił się na stołku, żeby uważniej się przyjrzeć przyjacielowi.

– Ian, coś mi się wydaje, że jesteś dziś w jakimś dołku. Na pewno wszystko w porządku?

– Wszystko jest w cholernym porządku – odparł Ian – a ja jestem w cholernie dobrym nastroju, dziękuję. – Wyjął papierosa i zapalił.

Geoff i Vivien wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Vivien przeniosła uwagę na mnie. Oparła się o bar, żeby dać trochę odpocząć zmęczonym nogom.

– No więc – zapytała wesoło – jak ci się udała wycieczka?

– Było cudownie – odparłam. – Ktoś odwalił kawał dobrej roboty, odnawiając te stare pokoje. To tak, jakbyś się spotykała twarzą w twarz z przeszłością.

– I dosłownie, i w przenośni – wtrącił się Geoff. – Julia miała małe spotkanie z duchem w Sypialni Rycerskiej. Oczy Vivien zabłyśły.

– Naprawdę? A co czułaś?

– Byłam jakby w szoku – odparłam z namysłem. – Ale czułam też ból, smutek i... chyba usiłowałam się modlić.

– Tak jest, to dokładnie to – przytaknęła Vivien. – Interesujące przeżycie, co? Trochę przerażające, ale właściwie bardzo ciekawe.

Ian pochylał się znów w moją stronę, mierząc mnie badawczym spojrzeniem.

– W takim razie w nie wierzysz. Mam na myśli duchy.

– Tak – odparłam zdecydowanie, unosząc głowę. – Sądzę, że istnieje na tym świecie parę zjawisk, których nie można wyjaśnić w żaden naukowy sposób. Ale trudno je negować. Hamlet określił to najlepiej.

– „Są rzeczy w niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom” – zacytował. – Dobra, dobra. Hamlet był słodkim chłopcem.

– Nie wierzysz, że istnieją? – spytał go Geoff.

– Na Boga – siwe oczy Iana uśmiechały się ironicznie – przecież w końcu jestem Szkotem. W Szkocji nie możesz zrobić dwóch kroków, żeby nie nadepnąć na szatę jakiegoś ducha. Ale jeszcze nigdy nie widziałem żadnego w Crofton Hall.

– Musisz porozmawiać z ciotką Fredą – doradziła mu Vivien. – Ona, w przeciwieństwie do ciebie, widzi je cały czas. Twierdzi nawet, że w Sypialni Rycerskiej widziała kiedyś kobietę.

– Ta twoja ciotka Freda widzi wiele rzeczy – odpowiedział Ian, sięgając po papierosa. – Jeszcze pięćset lat temu spaliliby ją na stosie.

Vivien przechyliła się i uderzyła go żartobliwie po ramieniu.

– Oj, nieładnie. Uważaj, co mówisz, albo jej wszystko powtórzę! – zagroziła.

– Nie musisz. – Ian wzruszył ramionami. – Ona wie bardzo dobrze, co o niej sądę. Przecież nigdy nie twierdziłem, że to coś złego być czarownicą.

Geoff zaczął się śmiać.

– Jest naprawdę niezwykła – rzekł. – Musisz przyznać, Viv, że jej umiejętność brania mnie w karby, organizowania mojego życia jest swego rodzaju cechą nadprzyrodzoną...

– Och, dajcie spokój! – Vivien próbowała powstrzymać obydwu ruchem dłoni. Odwracając się do mnie, zapytała:

– Czy już poznałaś ciotkę Fredę?

Nie byłam tego całkiem pewna, więc Geoff odpowiedział za mnie:

– Tak, poznały się właśnie dzisiaj. Freda to moja gospodyni – wyjaśnił mi.

– Aha... – Zamyśliłam się na chwilę. – Masz na myśli panią Hutherson? Tak, spotkałam ją już dwukrotnie. Przyszła do mnie parę tygodni temu z wizytą powitalną. Przyniosła mi ciasteczka. Wydaje się bardzo miła.

– Widzicie? – zwróciła Vivien się do mężczyzn. – Julia sądzi, że jest miła.

– Oczywiście że tak – odparł Ian.

– Miła wiedźma – uzupełnił Geoff, bezskutecznie starając się ukryć uśmiech.

Zignorowałam ich obu.

– Więc mówisz, że widziała ducha w sypialni na górze?

– Tak – odpowiedziała Vivien. – Parę lat temu, kiedy po raz pierwszy przyszła do pracy. Najwyraźniej jest to, tak jak wszyscy sądzili wcześniej, duch młodej kobiety. Podobno całkiem ładnej. Ciotka Freda mówi, że miała długie jasne włosy.

– A nie nosiła przypadkiem zielonej sukni? – Staralam się, żeby zabrzmiało to jak żart.

– Nie, nie sądę. Jestem całkiem pewna, że ciotka powiedziała, iż jej suknia była ciemna.

Ale mówiła też, że cała postać ducha wydawała się jakaś szara i zamazana.

Geoff spojrział na mnie z uśmiechem.

– Sądysz, że twoja Zielona Dama ukrywa się w mojej sypialni? – zapytał.

– Raczej nudne miejsce dla takiej kobiety – zaczęła się z nim droczyć Vivien.

Nawet Ian uśmiechnął się na te słowa, wyglądało na to, że nastrój mu się poprawia. Zapalił drugiego papierosa i rozsiadł się wygodniej.

– A skoro mowa o Zielonej Damie – zwrócił się do mnie – jeśli chcesz, to z przyjemnością przekopię ci ten stary ogród za domem.

– Nie, nie, dziękuję – podniosłam dłonie na znak protestu. – Nie mogłabym go potem utrzymać. Zabijam rośliny samym patrzeniem na nie.

– Julia sądzi, że powinieneś coś zrobić z podwórkiem we dworze – powiedział Geoff. – Była zaskoczona, że dotychczas jeszcze się do tego nie wzięłeś.

– Masz na myśli ten grób? – Ian zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Może kiedyś się nim zainteresuję. – rzekł. – Nigdy nic nie wiadomo.

– Chciałabym wiedzieć, kiedy znajdziesz na to czas?

– Vivien spojrzała na niego złym okiem. – Wydaje mi się, że masz i tak dość dużo roboty ze swoim własnym ogrodem.

– Ogrodnictwo to żadna praca – sprostował Ian. – To wypoczynek. A zawsze przecież powtarzasz, że tego mi właśnie brakuje.

– Ale tego ci nie potrzeba – powiedziała, wskazując na papierosa. – Tyle że ty oczywiście mnie nie słuchasz.

Geoff uratował przyjaciela, zmieniając temat rozmowy:

– Słyszałem, że w następną sobotę zapowiada się koło Calne wielka wyprzedaż w jakiejś posiadłości. Zdaje się, że chodzi o dom lorda Ashburna. Czy ktoś wybrałby się tam ze mną?

– Czy na liście są jakieś książki?

– Tylko parę setek. Uśmiechnęłam się.

– W takim razie możesz na mnie liczyć.

– Cudownie. Vivien?

– Bardzo bym chciała, ale wyprzedaż jest w sobotę, a ja obiecałam Nedowi wolny dzień. Chce popatrzeć na swoich chłopców, jak grają w rugby.

Nie wiem, co zdziwiło mnie bardziej: czy to, że Ned jest żonaty, czy to, że jego potomstwo może mieć wystarczająco dużo energii, żeby uprawiać jakikolwiek sport.

– Szkoda. – Geoff spojrział na Iana. – A ty?

– Nie mogę – brzmiała odpowiedź Szkota. – W sobotę przyjeżdżają postrzygacze.

– Postrzygacze? – zapytałam.

– Aha. No, ludzie, którzy strygą owce. Muszą ostrzyć zwierzęta na wszystkich farmach w tym okręgu, więc terminy ustala się wcześniej.

– To nie strzyżesz owiec sam?

– Na Boga, nie! – zaśmiał się. – Nie potrafię utrzymać w dłoni maszynki, gdybym zaczął strzyć, owce wyglądałyby okropnie. Nie, postrzygacze przyjeżdżają z północy. Sami młodzi chłopcy. To zawodowcy. Potrafią ostrzyć całe stado w jedno popołudnie.

– A więc sobota jest ci nie na rękę – rzekł Geoff. Nie wyglądał na szczególnie zmartwionego odmową przyjaciół. – No cóż – dodał – wielka szkoda. Wobec tego pozostajemy tylko my dwoje.

– Mhm. – Ian spojrzął na mnie przyjaźnie. – Uważaj, Julio – powiedział. – Geoff może sobie wyglądać łagodnie i niewinnie jak baranek, ale pozory często mylą.

Geoff się zaśmiał – To zwykle oszczerstwo, naprawdę. Przecież wiesz, że zawsze zachowuję się jak prawdziwy dżentelmen.

– A więc dobrze, sir Galahadzie – powiedział Ian – czy sądzisz, że tak jak to obiecałeś, będziesz mógł poświęcić chwilę swojego cennego czasu i pomóc mi naprawić ogrodzenie od północnej strony sadu?

– Do diabła, całkiem o tym zapomniałem. Chyba naprawdę ci to obiecałem, co?

– Aha. Jeśli tego nie naprawimy przed nocą, to będziesz łąpał razem ze mną wszystkie owce gdzieś w połowie drogi do Beckhampton. – Machnął w stronę szklanki Geoffa, starając się nie śmiać za głośno na widok markotnej miny przyjaciela. – Wypij, wypij – poradził mu szczerze.

Geoff niechętnie skończył swój kufel i wstał.

– Drogie damy – powiedział dramatycznym tonem – muszę was opuścić. – Odwracając się do mnie, dodał: – Dzięki za dzisiejsze towarzystwo.

– Dzięki za wycieczkę – zrewanżowałam się. – Było wspaniale.

– Do usług. – Jego oczy były cudowne. – Zadzwoń w tygodniu i umówimy się na sobotę, dobrze?

– Oczywiście.

– Przynajmniej – powiedziała Vivien z ulgą, kiedy obaj mężczyźni wyszli – przynajmniej się śmiał, jak wychodził. Mam na myśli Iana. Mój Boże – pokiwała głową – ten mężczyzna i jego nastroje! Tkwił tu przez większą część popołudnia, pijąc, paląc i z każdą chwilą stając się coraz bardziej ponurym. Miałam nadzieję, że wreszcie przyjdzie Geoff i wyciągnie go z tego.

– Są dobrymi przyjaciółmi, prawda? – rzuciłam. Dziwne, ale nie myślałam w tej chwili o Ianie i Geoffie, tylko o mężczyźnie na siwym koniu, który obserwował innego mężczyznę, idącego lekko przez pola i niosącego na ramionach ciężki kufer podróżny, jakby to było piórko. „To Evan Gilroy – usłyszałam głos Racheli – mieszka we dworze...”

– Bardzo dobrymi – odparła Vivien. – Gdybyś słyszała, jak ze sobą rozmawiają, powiedziałabyś, że znają się całe życie.

Drgnęłam, dotykając lekko palcem szklanki.

– Ciotka Freda... – zaczęłam, starannie dobierając słowa. – Dlaczego Ian i Geoff nazywają ją... no, dlaczego obydwaj sądzą, że jest...

– Czarownicą? – Vivien dokończyła za mnie zdanie i uśmiechnęła się. – Nie wiem. Może naprawdę nią jest. Zawsze wydawało mi się, że jest niezwykłą osobą. Wiedziała od razu, kiedy spadłam z drzewa albo wpakowałam się w jakieś tarapaty. Po prostu nic się przed nią nie ukryje. Poza tym – nachyliła się w moją stronę, kiwając głową – posiada nadzwyczajne umiejętności. Potrafi leczyć zranione zwierzęta, odebrać poród, rozmawiać z ptakami i ... – tu

uśmiechnęła się znowu – ... wyhodować w swoim ogrodzie największe pomidory w całej wsi. O ile wiem, tym wszystkim trudniły się właśnie czarownice. Dolać ci?

Zerknęłam na swoją szklaneczkę i pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję. Powinam już zbierać się do domu. Muszę skończyć parę szkiców, bo jeśli nie wyślę czegoś nowego w tym tygodniu, mój wydawca gotów pomyśleć, że już dla niego nie pracuję. To życie na wsi – poskarżyłam się – odbiera mi całą energię. Całkiem się rozleniwiłam – Tak jak ci mówiłam – pokiwała głową – nie ma tu żadnych stresów czy powodów do zmartwień. Nie tak jak w Londynie. Nic się nigdy nie zdarza w miejscu takim jak Exbury.

Nie byłabym tego taka pewna, pomyślałam parę minut później, idąc powoli w kierunku domu, mijając pachnące ziemią pola i ciemniejące w mroku ogrodzenia domostw. Nie, nie powiedziałabym, że nigdy się tu nic nie zdarza...

Owca, najprawdopodobniej zbieg ze stada Iana, wałęsała się przy drodze, żarłocznie pozerając młode listki żywopłotów. Uniosła głowę, kiedy przechodziłam koło niej, i patrzyła na mnie pustymi, beznamiętnymi oczyma. Właściwie byłaby doskonałą ilustracją słów Vivien o życiu na prowincji, sennym i śmiertelnie nudnym.

– Nie oszukasz mnie – powiedziałam do niej.

W ciągu ostatniego miesiąca przydarzyło mi się tyle rzeczy, że jeśliby teraz to zwierzę stanęło na dwóch nogach i odpowiedziało mi ludzkim głosem, wcale bym się nie zdziwiła. Ale owca milczała jak zaklęta. Po prostu stała i przeżuwała, gapiąc się na mnie martwym, obojętnym wzrokiem, jakbym to ja, a nie ona była głupim, bezmyślnym stworzeniem.

Padało cały następny dzień – miarowy, monotony deszcz bębnił bez wytchnienia w okna mojej małej pracowni. Byłam wdzięczna, że przynajmniej dzięki temu nic nie może oderwać mnie od pracy – żadne kuszące powiewy łagodnego wiatru, przynoszące ze sobą woń wiosennych kwiatów, żadne ćwierkające ptaki, które potrafiłyby mnie wywabić za drzwi domu. Był tylko deszcz, ołowianoszare niebo i straszliwy wiatr, łomoczący okiennicami i szarpiący drzewa. Przed kolacją udało mi się skończyć szkice do koreańskich baśni – barwny kalejdoskop akwarelowych malunków. Odłożyłam farby, wymyłam pędzle ścierpiętymi i obolałymi rękoma i zbiegłam do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę z szynką i serem. Potem z kubkiem herbaty weszłam do biblioteki, wybrałam swój ulubiony kryminał i usadowiłam się wygodnie w skórzanym fotelu. Zasnęłam, zanim jeszcze detektyw zdążył odkryć trupa.

Obudziłam się tuż przed świtem ze ścierpiętym karkiem, moje ciało przenikał poranny chłód. Niebo było cały czas zachmurzone, we wschodnim oknie widziałam własne odbicie – dziwny zarys postaci w świetle małej lampki do czytania ustawionej za fotelem. Pusty kubek stał na stole za mną. Wzięłam go i z trudem podniósłszy się z fotela, poszłam do kuchni, pożądam w tej chwili jedynie ciepła bijącego od gwizdzącego czajnika i paru łyków gorącej herbaty.

Kiedy tak siedziałam z dłońmi oplecionymi dookoła parującego kubka, wsłuchując się w ciszę domu, po raz pierwszy przysłała mi do głowy ta myśl. Od soboty cały czas martwiłam

się, że nie jestem w stanie kontrolować tego, co się ze mną dzieje – że mogę, na przykład, w każdej chwili znaleźć się w miasteczku, widziana przez wszystkich, naprawdę jednak nieobecna. Problem polegał na tym, że moje „przejścia” następowały nagle, bez ostrzeżenia, nie pozostawiając mi żadnej szansy na przygotowanie się do nich.

Ale co, jeśli w jakiś sposób mogłabym się na nie przygotować? Co, jeśli potrafiłabym znaleźć jakiś sposób na świadome wywołanie przejścia, kiedy bym tego chciała, i zakończenie go w odpowiedniej chwili? Jeśli istotnie chodzi o wspomnienia, czyli sceny przechowywane w mojej pamięci, powinien istnieć jakiś klucz do tego, by w stosownym czasie to wszystko przywołać.

– Warto przynajmniej spróbować – powiedziałam na głos. A teraz właśnie była najodpowiedniejsza pora na taki eksperyment. Znajdowałam się przecież we własnym domu, zupełnie bezpieczna, a na wypadek gdybym wyszła na zewnątrz, miałam na sobie dzinsy i starą koszulę, które zazwyczaj wkładałam do pracy. Zachowywałam się zawsze przyzwoicie. Poza tym miną zapewne długie godziny, zanim ktokolwiek z sąsiadów się obudzi.

Przyzwyczajona do natychmiastowego wprowadzania swoich pomysłów w czyn, parę następnych minut spędziłam, przeczesując szafki kuchenne w poszukiwaniu świecy. Przeczytałam gdzieś kiedyś, że świece są niezbędne do wprowadzenia się w stan autohipnozy. W końcu znalazłam jakiś ogarek i umocowałam go w płytce sosjerce. Usiadłam przy stole, postawiłam świecę przed sobą i wstrzymując oddech, zapaliłam ją.

Płomień zajaśniał nieśmiało, tańcząc w rytm przepływających w pobliżu strumieni powietrza. Mój świat zdawał się pomniejszony do jednej plamy światła w ciemności, do tego cieniutkiego, chwiejnego i hipnotyzującego płomienia. Patrzyłam nań, starając się skupić, i po cichu powtarzałam słowa: „Chcę sobie przypomnieć. Chcę sobie przypomnieć”. Powtarzałam je monotonicznie, ale stanowczo. Brzmiało to niby słowa z „Mesjasza” Haendla. „Chcę sobie przypomnieć. Chcę powrócić...”

Wilgotny strumień powietrza przepłynął koło moich uszu, płomień świecy gwałtownie się zakolysał.

– Nie skończyłaś jeszcze śniadania? – zapytała zdziwiona Rachel. – Na targu już pełno ludzi, przegapimy najlepsze okazje.

Przechyliłam szybko kubek, niemal krztusząc się mocnym winem.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zamyśliłam się.

– Zbyt dużo rozmyślasz. W tym domu może ci to przynieść jedynie kłopoty – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie już przy drzwiach, narzucając ciężką pelerynę z kapturem, który nasunęła na jasne włosy.

– Przynajmniej deszcz przestał padać i niebo się przejaśnia. Zapowiada się ładny dzień.

Ja nie włożyłam kaptura. Lubiłam wiatr buszujący w moich włosach, a zwłaszcza wietrzyk, który nadlatywał po późnowiosennych deszczach. Moja ciemnoniebieska peleryna była już mocno znoszona i pocerowana w kilku miejscach, ale sukienka pod spodem – nowa. Czekałam niecierpliwie na to, żeby wyrwać się wreszcie z domu, spod wpływu wuja. Otwarcie drzwi kuchennych było dla mnie otwarciem drzwi więzienia, śmiałam się więc z całego serca, podążając za Rachelą przez ogród. Szłyśmy w stronę drogi, która miała nas

zaprowadzić daleko od domu, nawet od wioski – do miejsca, gdzie odbywał się targ i gdzie pełno było ludzi, gwaru i życia.

Rozdział 15

Miasteczko targowe, Wexley Basset, leżało cztery mile na wschód od Exbury, na drodze do Marlborough. Nie byliśmy jedynymi zmierzającymi w tę stronę – trzy razy mijaly nas wozy pełne ludzi i towarów do sprzedania. Chwilę potem wyprzedziłyśmy młodego chłopaka, prowadzącego na targ małą brązową krowę z cielaczkiem. Po tygodniach samotności pokusa porozmawiania z ludźmi była ogromna, ale za przykładem Racheli szłam skrajem drogi ze skromnie spuszczonej oczyma.

Najtrudniejsze było czekanie, aż wszyscy nieznajomi nas miną albo pozostaną w tyle i będę znów mogła podnieść wzrok, by upajać się cudownym krajobrazem dookoła. Wolność była dla mnie nowym doświadczeniem i uderzała do głowy jak wino, świeży zapach wilgotnych po deszczu kwiatów wypierał gorzką woń rozpacz i sprawiał, że zapomniałam na chwilę o mojej beznadziejnej sytuacji.

Droga wiodła prosto jak strzała, szłyśmy po wyflukanych wczorajszą ulewą głębokich koleinach. Po prawej stronie były pola świeżo obsiane zbożem i zagrody pełne owiec. Na lewo widać było rozległą dolinę Wexley i przylegające do niej łąki. Rachela powiedziała mi, że za czasów mojego dziadka król Karol I sam polował w tych okolicach ze swoją drużyną i sokołami. Było to wydarzenie tak doniosłe, że obserwowała je cała wioska.

Od razu zaczęłam to sobie wyobrażać, co tak mnie pochłonęło, że Rachela musiała powtórzyć dwa razy, zanim zwróciłam na nią uwagę:

– Już niedaleko. Z tego pagórka będziesz mogła zobaczyć targ.

W chwili gdy wchodziłyśmy na wzgórze, zza ciemnej zasłony chmur wyjrzało słońce i w tym właśnie słońcu po raz pierwszy ujrzałam Wexley Basset. Wszystkie targi, jakie dotychczas widziałam, były targami miejskimi, upchniętymi pomiędzy wąskie uliczki albo ciasno stłoczonymi na małych placzkach, pełnych przekupniów, którzy zachrypniętymi głosami wykrzykiwali ceny, i nieprzebranej ciżby kupujących. Wszędzie morze ludzi. Miłym zaskoczeniem był więc widok kolorowych straganów, ustawionych w równych rzędach, wysokiego krzyża i słońca świecącego jaskrawo nad placem. Tu też, oczywiście, falował tłum ludzi – ale byli weseli wieśniacy o miłych, osmaganych wiatrem twarzach.

– Jak ci się podoba? – zapytała Rachela.

Gapiłam się na rzeszę ludzką szeroko otwartymi oczyma jak małe dziecko, któremu nagle odebrało mowę z zachwyty. Rachela zaśmiała się swoim ciepłym śmiechem i ująwszy mnie za rękę, poprowadziła przez tłum. Ktoś nas co chwila popychał albo wpadał na nas, ale stwierdziłam, że wcale mi to nie przeszkadza, a kiedy uleciały wszystkie moje dotychczasowe obawy, usłyszałam ze zdziwieniem własny śmiech. Wiatr rozwiewał mi włosy, słońce grzało twarz i nagle poczułam, że znów żyję.

– To cudowne! – krzyknęłam do Racheli, ale mój głos utonął w morzu innych, więc nie usłyszała. Pociągnęła mnie dalej; w pewnej chwili nagle się odwróciła i zobaczyłam, że jej twarz płonie z emocji.

– Chodź, musisz koniecznie zobaczyć komediantów – powiedziała.

Popchnęła mnie w kierunku dużej grupy ludzi, która zgromadziła się w jednym rogu targowiska. Kiedy tam doszliśmy, Rachela uśmiechnęła się słodko do jakiegoś wysokiego mężczyzny, który odsunął się trochę, żebyśmy mogły stanąć przed nim. Stamtąd mogłyśmy obserwować, co się dzieje. Komediantów było ośmiu, ubranych w dziwaczne, śmieszne kostiumy we wszystkich barwach tęczy. Jeden z nich, młody mężczyzna koło trzydziestki, wygłaszał właśnie przemówienie wysokim i dźwięcznym głosem.

– Miałam nadzieję, że dziś przyjadą – szepnęła Rachela. – Często przyjeżdżają w dzień targowy, żeby trochę rozbawić ludzi.

Mężczyzna skończył mówić i wyczekujący wzrok widzów spoczął na pozostałej siódemce. Prolog był bardzo krótki – trwał najwyżej parę minut – ale zagrany naprawdę po mistrzowsku.

Do przodu wystąpił jeden z mężczyzn ubrany w czarny kostium, w purytańskim kapeluszu na głowie, ze słowem „Parlament” wypisanym na piersiach. Prawił długo o moralnym upadku narodu angielskiego, używając tak zawiłych i skomplikowanych zwrotów, że niemal sam już nie wiedział, o czym mówi. Robił z siebie w ten sposób durnia i pozwalał widzom śmiać się ze swojej głupoty. W końcu pojawili się też: sam Oliver Cromwell, żołnierz i chytry kaznodzieja, i wszyscy przyłączyli się do ogólnego lamentu, zaczęli również knuć różne przewrotne, nieczne plany, tak że tłum jął krzyczeć i gwizdać na znak protestu.

Teraz nadszedł anioł, który nie zauważony smutno przysłuchiwał się tej rozmowie; po chwili podszedł do Parlamentu i dotknął go delikatnie. Opadły czarne szaty, żeby ukazać nowy, lśniący złotem i bielą Parlament. Teraz z kolei aktor w czerwonym ubraniu i z mieczem sprawiedliwości w rękę, który symbolizować miał lud, podszedł do nowego, uświęconego Parlamentu i razem wyzwali na pojedynek i pokonali diabelskich konspiratorów. Radosny gwar podniósł się pośród zachwyconego tłumu, kiedy wyszedł aktor w masce króla Karola, żeby ogłosić swoją koronację.

W tłumie dały się słyszeć okrzyki: „Hura!”, i gdy komedianci zakończyli występ, na placu posypały się monety.

– To było świetne przedstawienie – powiedziałam do Racheli, kiedy opuszczałyśmy ten róg targowiska.

– Mhm – odparła tylko – chociaż myślę, że twój wuj na pewno by się z tym nie zgodził.

– Dlaczego?

Spojrzała na mnie i wydawało się, że zastanawia się nad czymś.

– Patrz – rzekła wreszcie, zmieniając temat. – Tam stoi sprzedawca pomarańcz. Kupimy sobie jedną. Mogę wydać trochę pieniędzy.

Miałam własne pieniądze – parę pensów zaszytych w szwie sukienki – ale pozwoliłam Racheli kupić owoc, który podzieliłyśmy później ostrożnie na dwie części. Delektowałyśmy się słodkim mięszem i egzotycznym zapachem skórki, zapachem, który czułyśmy na palcach jeszcze długo po zjedzeniu pomarańczy.

– A teraz – powiedziała Rachela, pamiętając o poleceniach, jakie otrzymałyśmy – mamy kupić gęś i kawałek wołowiny. Rzeźnicy są tam, po drugiej stronie drogi.

Zatrzymałam się z pewnym wahaniem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekłam – chciałabym się tu troszeczkę sama porozglądać.

Prawda była taka, że nienawidziłam zapachu straganów z mięsem i nigdy nie mogłam znieść widoku zwierząt prowadzonych na rzeź. Racheli chyba nie wydawało się to tak okropne.

– Rób, jak chcesz – powiedziała, lekko wzruszając ramionami. – Znajdę cię, kiedy już skończę zakupy.

Z lekkim poczuciem winy zapytałam:

– Nie potrzebujesz mojej pomocy? Mogę ponieść mięso.

– Nie ma o czym mówić. Nie trudź się – zaśmiała się głośno. – Przecież zwykle chodzę na rynek sama. Masz wolną rękę, zajmij się sobą. Będiesz mogła ponieść swoją część zakupów w drodze powrotnej.

Znalazłam się sama w otoczeniu niezliczonych cudów, świecidełek i innych wspaniałości. Widziałam eliksiry na poprawę samopoczucia, francuskie jedwabie, flamandzkie koronki, jabłka i cytryny spadające z wózków wprost na bruk, suszone ryby, cynowe rogi, drewniane wiadra i wytworną biżuterię. Zachwycona, szłam od jednego straganu do drugiego, zatrzymując się co chwila, żeby posłuchać nawoływań przekupniów albo popatrzeć, jak można za pomocą jakiejś tajemniczej, cudownej mikstury usunąć z lnianego obrusa plamy z wosku.

Na jednym ze straganów przykuła moją uwagę pięknie wykonana bransoleta i zatrzymałam się, żeby na nią popatrzeć. Była misternie rzeźbiona w błyszczącym metalu, małe rajskie ptaszki, połączone kulkami niebieskiego szkła, a wszystko razem wyglądało jak najprawdziwsze klejnoty. Zachwycona, zaczęłam delikatnie dotykać tego cacka. Wydawało mi się, że ukryte pensy gwałtownie domagają się uwolnienia, a sprzedawca, wyczuwając moją słabość, podszedł bliżej.

– Naprawdę piękna robota, panienko – rzekł, uśmiechając się przymilnie. – Dokładnie taka sama bransoleta, jakie noszą teraz damy na dworze. A kosztuje tylko dziesięć szylingów.

Dziesięć szylingów! Natychmiast cofnęłam rękę. Miałam przecież w kieszeni tylko sześć pensów i chyba nigdy nie mogłabym stargować tak niskiej ceny. Rozczarowanie nie trwało długo, zapomniałam o bransolecie, gdy tylko się odwróciłam i zobaczyłam wciśnięty w ciemny kąt targowiska wózek z książkami. Serce zabiło mi mocniej. Jakby to było cudownie, pomyślałam, znów potrzymać w rękach książkę; znów poczuć gładkość stron i zapach skóry i papieru.

Nasz dom w Londynie był pełen książek. Zapełniały wszystkie szafy, każda półka ugięła się pod ich ciężarem. Ale w domu mojego wuja był tylko jeden ciężki egzemplarz Biblii Króla Jakuba i nic więcej.

Byłam tak uszczęśliwiona tą różnorodnością książek, że prawie nie zwróciłam uwagi na sprzedawcę – chudego, milczącego mężczyznę, który pochylił się nad wózkiem, zapalił fajkę i patrzył, jak przeglądam jego towar. Było tu kilka książek, które bardzo chciałabym mieć, ale w końcu zdecydowałam się na „Obrazki z natury rysowane ręką Fancy”, pióra Margaret Cavendish, wielce poważnej księżnej z Newcastle. Książka nie była nowa – księżna napisała

ją jakieś dziesięć lat temu, przebywając na wygnaniu, ale mój ojciec ją czytał i wyrażał się o niej bardzo pochlebnie. Poza tym kosztowała tylko cztery pensy.

– Dobry wybór – powiedział sprzedawca z uśmiechem. – Zakładając, że cała ta romantyka nie przewróci ci w głowie. To kobieta jedyna w swoim rodzaju i zasługuje na szacunek, ale myślę, że nie należy jej naśladować.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Będę pamiętać o pana radzie – powiedziałam, głęboko przekonana, że nigdy nie będę czuła pokusy, by naśladować ekstrawagancki styl życia i stroje księżnej z Newcastle.

Podalam sprzedawcy pieniądze, ale mężczyzna pokręcił lekko głową, podsuwając mi mały talerzyk z jakimś płynem. Poczulałam ostry, kwaśny zapach octu.

– Zabezpieczenie przeciwko tej okropnej zarazie – wyjaśnił. – Możesz nie być z Londynu, dziecko, ale nigdy nie wiadomo, gdzie były twoje monety.

Drżącymi rękoma rzuciłam monety na talerzyk, pewna, że mężczyzna dostrzeże moje zmieszanie. Chwytną swoją paczuszkę, oddaliłam się szybko od wózka i nie zwolniłam kroku, dopóki nie zniknęłam w tłumie.

Trochę się zagubiłam, zaczęłam niepewnie krążyć w kółko, nie mogąc znaleźć ani Racheli, ani rzędu straganów z mięsem. Kiedy obeszłam jeszcze raz targowisko, chciałam zatrzymać się w bocznej uliczce, żeby trochę odpocząć. Skręciwszy w nią, stanęłam oko w oko z dziwnie znajomym olbrzymim siwym ogierem.

– Och – zdumiałam się.

Zawsze miałam słabość do koni. Nawet jako małe dziecko nie czułam lęku przed zwierzętami. Nabrałam też okropnego zwyczaju wybiegania na ulicę, żeby poklepać dorożkarskie konie. Teraz też wcale się nie bałam, podeszłam bliżej do ogromnego siwka i wyciągnęłam do niego rękę.

– Och – powtórzyłam – ty moje piękne stworzenie! Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Szerokie chrapy rozdęły się, wciągając mój zapach.

– No, mój kochany – mówiłam dalej tym łagodnym, uspokajającym głosem, którego używa się tylko w stosunku do dzieci i zwierząt – nie bój się. Przecież chcę cię tylko pogłaskać. No, pozwól.

Zamknęłam dłoń na chrapach zwierzęcia, poklepując go równocześnie delikatnie, i po chwili poczułam, jak ogier się odpręży i poddaje delikatnym pieszczotom. Zaśmiałam się triumfująco i pochyliłam, żeby pocałować konia, potem pogłaskałam kształtną szyję.

Nagle usłyszałam męski głos, który odezwał się za moimi plecami.

– Nisko cenisz swoje życie, panienko – powiedział kpiąco. – To diabeł o wyjątkowo paskudnym charakterze, bardzo często zmienia upodobania.

– Nonsens. Jest cudownym zwierzęciem – odparłam i odwróciłam się, żeby stanąć oko w oko z Richardem de Mornay.

Tak naprawdę to musiałam unieść głowę. Wydawał się równie wysoki, stojąc jak siedząc na koniu; sięgałam mu zaledwie do ramienia.

Wytwornym gestem zdjął z głowy kapelusz i uklonił się nisko. Oczy cały czas mu się śmiały.

– Znowu się spotykamy. Skinęłam mu głową w odpowiedzi.

Ma piękne włosy, pomyślałam. Kiedy się wyprostował i potrząsnął głową, zalśniły w słońcu niby focze futro i strasznie się zmartwiłam, gdy włożył znów duży kapelusz. Przyglądając mu się z bliska, stwierdziłam, że sprawia wrażenie znacznie młodszego, niż wcześniej mi się wydawało. Z pewnością nie był więcej niż piętnaście lat starszy ode mnie, tak więc nie mógł mieć jeszcze trzydziestu pięciu.

– Gratulacje z okazji zdobycia zaufania Navarre’a – powiedział, wskazując ruchem głowy swego konia.

– Navarre? Tak się nazywa? – Dotknęłam muskularnej szczęki konia. – Bardzo ładne imię.

Richard de Mornay wzruszył ramionami i włożył jakąś paczuszkę do jednej z sakw.

– Nie jestem zbyt pomysłowy, jeśli chodzi o imiona. Nazwałem go tak, ponieważ właśnie stamtąd go przywiozłem. Zgubiłaś gdzieś Rachelę czy po prostu masz już dość targowiska?

Uniosłam brwi w zdziwieniu.

– Skąd pan wie, że jestem z Rachelą?

– Widziałem was już wcześniej. Nietrudno zauważyć dwie blond piękności w takim miejscu jak to – powiedział i niespodziewanie chwycił moją rękę tuż ponad nadgarstkiem. – Wiesz co, powinnaś była kupić tę bransoletkę – orzekł nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Kamienie pasowałyby do twoich oczu.

Tylko duma powstrzymała mnie od wyjaśnienia, że świecidelko było za drogie na moją kieszeń. Odstąpiłam krok do tyłu, zmuszając go w ten sposób do puszczenia mojej ręki.

– Ale zamiast niej kupiłam to – pokazałam książkę.

– A więc umiesz czytać.

– Mój ojciec był pisarzem. Uważał nieumiejętność czytania i pisania za niewybaczalny grzech.

– Miałaś szczęście. Nie wydaje mi się, żebyś miała nadmiar lektury w domu swojego wuja.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Rzeczywiście.

– W takim razie musisz odwiedzić mnie we dworze. Mam naprawdę dobrą bibliotekę. Będziesz mogła pożyczyć, co tylko będziesz chciała. – Jego wzrok spoczął na mnie, potem przeniósł się na jakiś punkt na placu targowym.

– O, jest i Rachelą.

Odwróciłam się i spojrzałam. Otworzyłam oczy ze zdziwienia, ponieważ ujrzałam ją w towarzystwie mężczyzny... Był wysoki, miał szerokie bary, duże, silne dłonie i interesującą twarz. Spojrzałam jeszcze raz na jego ramiona i wtedy przypomniałam sobie, gdzie je widziałam.

– Czy to nie Evan Gilroy? – zapytałam.

– Aha. – Richard de Mornay spojrzał na mnie ze zdziwieniem. – Nie wiedziałem, że się znacie.

– Właściwie to nie. Po prostu przyniósł mój kuferek z zajazdu. Rachelą powiedziała mi,

jak ma na imię. Zdaje się, że jest pańskim przyjacielem.

To wcale nie było pytanie, ale i tak odpowiedział:

– Owszem. Jesteśmy przyjaciółmi. Twoja Rachela jest w dobrych rękach.

Nie wątpiłam w to, widząc, jak Evan Gilroy niesie za Rachelą kilkanaście paczek i pochyła się ku niej, mówiąc. Cokolwiek powiedział, na policzkach dziewczyny wykwiłał rumieniec, a kiedy skrzywił, żeby do nas podejść, patrzyła za nim tęsknym wzrokiem. Nie widziała mnie, ponieważ stałam pomiędzy ciemną ścianą domu a wielkim siwym koniem. Nie ukrywam, że poczułam z tego powodu ulgę.

– Evan! – Richard de Mornay skinął na swego przyjaciela. – To jest panienka Farr, która ostatnio przyjechała do Szarych Głazów.

Evan Gilroy zdjął kapelusz. Jego szczere i przyjazne oczy sprawiły, że uśmiechnęłam się do niego.

– Wydaje mi się, że już raz oddał mi pan przysługę – powiedziałam. – Jestem panu winna podziękowania.

– Ma pani na myśli dostarczenie kufra? Nie ma za co dziękować, zapewniam. A właściwie to powinna pani podziękować Richardowi, bo to on mnie poprosił...

– No, powinniśmy już wracać. – Richard de Mornay przerwał mu w pół zdania, rzucając jednocześnie przyjacielowi rozzłoszczone spojrzenie. – Musisz znaleźć swojego konia, mój drogi.

– Stoi w następnej przecznicy – powiedział mężczyzna, kłaniając mi się jeszcze raz przed odejściem. – Naprawdę było mi bardzo miło, panienko.

Richard de Mornay wskoczył na siodło i ściągnął uzdę, obracając konia w ten sposób, że wyglansowany but jeźdźca znalazł się dosłownie kilka milimetrów od mojej twarzy.

– Czy będziesz pamiętała – zapytał – żeby przyjść i obejrzeć moją bibliotekę?

Wyciągnęłam szyję, żeby na niego spojrzeć.

– Bardzo mi przykro – odparłam tylko. – Nie mogę.

– A to dlaczego?

– Mój wuj – rzekłam z całą szczerością – zabronił mi rozmawiać z panem.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, widziałam, jak oczy mu się zwęziły – chyba wpadł na jakiś pomysł.

– Dziwne – powiedział wolno. – Nie sądziłem, że jesteś tchórzem.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, szarpnął za lejce i odjechał, już po raz drugi sprawiając, że gapiłam się za nim, zmieszana.

– Mariano! – krzyknęła do mnie Rachela; ruszyłam w jej stronę wolnym krokiem.

– Już myślałam, że się zgubiłaś – powiedziała, podając mi zawinięty w papier kawał wołowiny, a sama przekładając pozostałe paczki, tak żeby je było wygodniej nieść. – Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Kupiłam książkę – skinęłam głową, pokazując jej swój nabytek.

Rachela uniosła brwi.

– W takim razie będziesz musiała ukrywać ją przed Jabezem – oświadczyła. – Nie lubi kobiet, które czytają książki dla przyjemności.

Chciałam już powiedzieć, że mój wuj nie lubi nic, co się robi dla przyjemności, ale ugryzłam się w język i ścisnęłam mocniej książkę. W milczeniu ruszyliśmy z powrotem do domu, obydwie zaprzątnięte własnymi myślami. Z każdym krokiem wydawało mi się, że kawał mięsa w moich rękach robi się coraz cięższy. Po przejściu około dwóch kilometrów omal go nie upuściłam.

– Jaka szkoda, że Evan Gilroy nie okazał się na tyle rycerski, żeby pomóc nam nieść do domu te wstrętne paczki – odezwałam się z żalem do Racheli, starając się inaczej ująć swój pakunek.

Odwróciła szybko głowę, spojrzała na mnie zdziwiona i zaniepokojona równocześnie.

– Widziałas nas?

Skinęłam głowę, zaskoczona jej zakłopotaniem.

– Jest przystojnym mężczyzną, Rachelo. Opuściła głowę, żeby nie patrzeć mi w oczy.

– Jestem zaręczona – powiedziała powoli, z rezygnacją. – Z Eliaszem Webbem, zastępcą szeryfa z Exbury.

Widziałam go. Był surowym, despotycznym mężczyzną o ponurej, wiecznie niezadowolonej twarzy, do której pasował jego ciemny ubiór.

– Och, Rachelo! – Byłam naprawdę zaskoczona. Ona zaś ze stoickim spokojem mówiła dalej:

– Jest przyjacielem twojego wuja, ale też uczciwym człowiekiem. Mamy się pobrać pod koniec lata.

Nic nie powiedziałam, a po chwili Rachela podniosła głowę i popatrzyła na mnie jeszcze raz, niemal błagalnie.

– A więc sama widzisz – rzekła – nie byłoby zbyt dobrze, gdyby ktoś widział mnie rozmawiającą z Evanem Gilroyem. A ja oczywiście na nic podobnego bym sobie nie pozwoliła.

Uścisnęłam jej dłoń porozumiewawczo.

– Przecież nic nie widziałam – rzekłam. Zauważyłam, że odetchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się do mnie i przymrużyła jedno oko.

– Ja też – odparła tajemniczo.

Nie rozmawialiśmy więcej, w milczeniu doszliśmy do Exbury i naszego samotnego szarego domu. Ciotka Karolina była w kuchni, siedziała przy palenisku, karmiąc małego Johna. Wyglądała na przygnębioną i zmęczoną, oczy miała zaczerwienione.

– Jabez pojechał na jakiś czas do Salisbury – poinformowała nas obojętnym tonem. – Ma tam do załatwienia jakieś interesy.

Była to bardzo dobra wiadomość. Karolina była osobą bezbarwną i słabą, ale miała bardzo łagodny charakter, i byłam pewna, że gdyby tylko dano nam na to dość czasu, na pewno byśmy się zaprzyjaźniły. Była mniej więcej w tym samym wieku co ja, mimo że wyglądała na znacznie starszą – najlepsze świadectwo jej nieszczęśliwego życia stanowiły siwiejące już gdzieniegdzie włosy.

Uśmiechnęłam się do niej, ale nie odpowiedziała mi uśmiechem.

– Przed chwilą przyszedł do domu jakiś mężczyzna – powiedziała do mnie. W jej głosie

nie było ani odrobiny zainteresowania. – Sługa ze dworu. Zostawił dla ciebie paczkę. Powiedział, że zgubiłaś ją na targu. Leży tam, na stole – poruszyła głową, ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiącego dziecka.

Spojrzałam. Była to mała płaska paczuszka, zawinięta w biały papier i przewiązana jaskrawą wstążką. Bardzo mnie to zdziwiło, ale nie chciałam, żeby obie – Rachelę, a tym bardziej jej starsza siostra – dowiedziały się, co w niej jest.

– Jak to cudownie! – wykrzyknęłam radośnie. – A już myślałam, że przepadła na zawsze. Dziękuję, Karolino.

Ciotka spojrzała z iskierką zainteresowania na paczuszkę, potem na książkę, którą trzymałam w rękach, uniosła w zdziwieniu jasną brew, ale nic nie powiedziała. Ku mojej uldze nie odezwała się słowem także Rachelę.

W kilka chwil później, kiedy byłam już sama w swoim pokoju, położyłam zawiniątko na łóżku i czując, jak krew pulsuje mi w skroniach, ostrożnie zaczęłam je rozpakowywać. Zanim jeszcze na dobre odwinęłam papier, zorientowałam się, że wewnątrz jest jakiś twardy przedmiot.

Mimo to jednak całkowicie mnie zaskoczył widok cudownej bransoletki z niebieskookich rajskich ptaków, która wypadła nagle z papieru na szare lniane prześcieradło.

Rozdział 16

– Julio.

Dygotałam cała albo przynajmniej zdawało mi się, że dygoczę. Może po prostu w pokoju było zimno. Ściany chwiały się, falowały i połyskiwały, tak jakby subtelne światło dnia załamywało się w tysiącach drobnych pryzmatów.

– Julio. – Znów usłyszałam ten głos. Z wielkim wysiłkiem odwróciłam głowę w stronę, z której dobiegał.

Z początku nie zobaczyłam nic oprócz otwartych drzwi do sypialni i dziwnego, szarego, zamazanego kształtu, który zasłaniał mi widok. Kształt ten z wolna stawał się wyraźniejszy, płynął w moim kierunku niby chmura i przemawiał do mnie męskim głosem, stopniowo przybierającym na sile.

– Julio.

Najpierw pomyślałam: „To przecież nie jest moje imię”, ale niemal jednocześnie stwierdziłam: „Znam ten głos”. Nagle mnie olśniło: och, to Tommy... I już byłam pewna, że to mój brat stoi nade mną z tym samym wyrazem twarzy, który zawsze widziałam u ojca, gdy któreś z nas zachorowało – obawa i zatroskanie, pomieszane z odrobiną bezradności. Moja reakcja była niemal automatyczna.

– Wszystko w porządku, Tom. Naprawdę – zapewniłam. A po chwili, kiedy dotarło do mnie wreszcie to, co się dzieje dookoła, zapytałam: – A co ty tu robisz?

Zignorował zupełnie moje pytanie i spoglądał na mnie wzrokiem, w którym widziałam teraz więcej ciekawości niż zatroskania.

– Nie było cię – rzekł nerwowo. – Prawda? Byłaś gdzieś indziej. I kim innym.

Cały czas klęczałam na podłodze. Teraz wstałam powoli czując, jak trzeszcza mi oporne stawy. Pokiwałam w milczeniu głową.

Nie miałam wątpliwości, co przed chwilą zaszło. Kiedy odgarnęłam włosy z twarzy, poczułam, że są mokre; na butach i podłodze było pełno błota, wyznaczyło ono wyraźną ścieżkę, kiedy szłam wcześniej przez pokój. Czułam, że ręce mam przemarznięte i zdrętwiałe; popatrzyłam na nie, dziwiąc się, że są częścią mojego ciała.

– Mój Boże – westchnął Tom, nie spuszczać ze mnie wzroku. Po raz pierwszy od przyjazdu z Oksfordu odezwał się w ten sposób. Przechylił głowę i przymknął oczy.

– Masz w domu brandy?

– Co? – Zaskoczona popatrzyłam na zegarek. – Dopiero wpół do dziesiątej, Tom. Nie sądzisz, że to zbyt wczesna pora, zwłaszcza jak na duchownego?

Mój brat uśmiechnął się beztrudnie.

– Jestem pewien, wzięwszy pod uwagę okoliczności, że nawet sam biskup wybaczyłby mi wypicie całej beczki brandy. Ale to nie ja, tylko ty jej potrzebujesz, kochanie. Wyglądasz cholernie źle.

– Duchowni nie powinni mówić „cholernie” – oświadczyłam surowo.

– W takim razie dobrze, że nie ma tu biskupa, który mógłby mnie słyszeć – odparł,

prowadząc mnie za ramię do schodów.

– Nie mam brandy – powiedziałam – ale wydaje mi się, że w szafce jest trochę Grand Marniera.

– Świetnie – odparł Tom. – To wystarczy.

Miałam pewne kłopoty z zejściem ze schodów, gdyż moje nogi były dziwnie sztywne; wtedy uświadomiłam sobie, że jako Mariana Farr musiałam przejść tego ranka chyba ze dwanaście kilometrów.

Tom posadził mnie bezceremonialnie przy kuchennym stole, postawił przede mną butelkę Grand Marniera i nalał mi do szklanki dużą porcję. Wypiłam, ponaglona jego stanowczym spojrzeniem. Czułam, jak alkohol rozlewa się wolno po moim ciele, sprawiając, że wracają mi naturalne rumieńce, a moje palce nie są już takie sztywne. Wypiłam jeszcze łyk, odrzucając mokre, skręcone włosy, które wchodziły mi do oczu, i popatrzyłam na brata.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, co tu robisz – przypomniałam mu.

– Odwiedzam cię – odparł po prostu. – Nie miałem dziś żadnych ważnych spraw do załatwienia, więc zostawiłem moją trzódkę pod dobrą opieką i przyjechałem do ciebie. Postanowiłem sprawdzić, jak sobie dajesz sama radę. A poza tym chciałem ci przywieźć to – dodał, pokazując gruby plik papierów leżących pomiędzy nami na stole. Tytuł artykułu na wierzchu świadczył o tym, że były to materiały, które wyszukał dla nas znajomy bibliotekarz. Tom patrzył na nie tak, jakby to, co przed chwilą widział, sprawiło, że nagle straciły dużo ze swej ważności – Kiedy przyjechałem – kontynuował – zobaczyłem, że drzwi są otwarte, a dom pusty. Wołałem, ale nikt mi nie odpowiadał, więc poszedłem na górę, do twojego pokoju, i stwierdziłem, że łóżko jest posłane. Mogło to znaczyć, że albo wstałaś wcześniej i sama je posłałaś – po jego oczach poznałam, że nie wierzy raczej w tę wersję – albo że w ogóle w nim nie spałaś. Wtedy się zaniepokoiłem, zszedłem tu, żeby się zastanowić, co mam robić dalej, kiedy ty akurat weszłaś do domu, zataczając się, patrząc na mnie oczyma owcy i chlapiąc dookoła wodą.

– Mówiłam coś?

– Nie – pokręcił głową. – Po prostu stałaś przez chwilę przy drzwiach, a potem minęłaś mnie i weszłaś na górę, do pracowni. Pewnie mogłem poczekać, aż sama się z tego ockniesz, ale chyba trochę spanikowałem. Czy przeszkodziłem ci w czymś ważnym?

Pomyślałam o cudownej bransoletce, prawie poczułam ją w swoich dłoniach i usłyszałam głos Richarda de Mornay, który mówił, że „powinnam była ją kupić”, oraz poczułam uścisk jego ręki, tam, na targu. Na mojej ręce. Ręce Mariany. Podniosłam dłoń do czoła i zamknęłam oczy.

– Nie. Nic ważnego – powiedziałam, ale usłyszałam żal w swoim głosie i zastanawiałam się, czy Tom też to zauważył.

– Całe szczęście, że kiedy się to wszystko stało, byłaś ubrana – rzekł tylko, patrząc na moją mokrą i wymiętą koszulę i dżinsy. Nie sądzisz, że widok kobiety idącej przez pola w koszuli nocnej i kapciach byłby trochę dziwny?

Uśmiechnęłam się.

– Och, byłam pewna, że mam na sobie ubranie. Przecież nie wiedziałam, czy będę mogła

otworzyć drzwi.

– Nie bardzo rozumiem.

– Zaplanowałam to – powiedziałam, nie ukrywając dumy w głosie. – Widzisz, to był rodzaj eksperymentu. Chciałam wiedzieć, czy potrafię spowodować powrót do przeszłości w miejscu i czasie, które sama wybiorę.

– I?

– I najwyraźniej zadziałało, tylko niezupełnie w taki sposób, jak to przewidziałam. Miałam nadzieję, że nie wyjdę z domu.

Tom spojrział przez ramię na wciąż jeszcze otwarte drzwi kuchenne, przez które wpadało do kuchni świeże i orzeźwiający wczesnomajowe powietrze.

– A, Mariana otworzyła drzwi – zgadł. – Rozumiem. Ale przecież to nie jest ten sam zamek, który był w drzwiach w siedemnastym wieku.

Popatrzyłam zdziwiona.

– Nie, ale jest w tym samym miejscu i ma podobną konstrukcję. Musisz po prostu odsunąć zasuwkę i drzwi się otwierają.

– Rozumiem. – Tom pokiwał głową. – Przecież to antyk. Nie stanowi żadnego zabezpieczenia. Potrzebujesz naprawdę dobrych zamków. Możemy dziś kupić kilka i jeśli chcesz, sam ci je zamontuję.

– Mówisz jak ten facet, który przewoził moje rzeczy – powiedziałam, marszcząc nos. – On też twierdził, że muszę zmienić zamki.

– Rozsądny człowiek.

– Zanadto się martwisz, Tom. Przecież tu nikt nie zamyka drzwi na noc, to bardzo spokojna okolica. Poza tym pomyśl, co by się stało, gdybym powróciła do przeszłości i próbowała otworzyć solidnie zamknięte drzwi. Przecież mogłabym sobie coś zrobić.

– W jaki sposób? Wydaje mi się, że to właśnie zatrzymałoby twoje przeżycia w tamtym świecie. Mariana z przeszłości po prostu otworzyłaby drzwi i wyszła, ale ty nie będziesz mogła tego zrobić. – Spojrział znów na moje przemoczone ubranie. – A dokąd zaprowadziła cię tym razem? – spytał zaciekawiony. Skończyłam pić i odstawiłam szklanekę stanowczym ruchem.

– Chodź – powiedziałam, wstając. – Pokażę ci.

– Co, teraz? – Zaskoczony spojrział w kuchenne okno. – W taką pogodę?

Znowu zaczęło padać, co prawda niezbyt mocno, ale nie zanosiło się na to, że w najbliższym czasie pogoda się zmieni. Słyszałam, jak bulgocze spływająca rynną woda, tworząc pod drzwiami prawdziwe jezioro błota.

– Możemy pojechać samochodem – wyjaśniłam z anielską cierpliwością. – Byłam już dziś rano na jednym spacerze. – Na dowód prawdziwości swoich słów uniosłam połę przemoczonej koszuli.

Tom się uśmiechnął.

– Istotnie, przepraszam. Nie pomyślałem. Chcesz się najpierw przebrać?

– Cóż, chyba powinnam. – Spojrzałam na siebie. – Poczekaj, za chwilę wrócę.

Włożenie suchej pary dżinsów i jasnoczerwonej bluzy, narzucenie kurtki i przyłączenie

się do mojego brata, który już czekał w dawnej stajni przerobionej na garaż, zajęło mi nie więcej niż pięć minut.

– W którą stronę jedziemy? – spytał Tom, cofając.

– Zaraz za podjazdem skręć w lewo, a potem, kiedy już przejedziemy przez rzekę, musisz na pierwszym skrzyżowaniu pojechać w prawo.

Tom posłusznie wykonywał moje polecenia, przejechał sportowym fordem przez mały mostek i skręcił z głównej drogi, wybierając węższą i mniej uczęszczaną trasę.

– „Stara droga do Marlborough” – przeczytał na drogowskazie. – Tędy szłaś?

Pokiwałam głową.

– Tak mi się wydaje.

W ciągu następnych kilku minut nabrałam całkowitej pewności – drzewa przeredziły się i po lewej stronie ukazała się dolina Wexley. Droga była wybrukowana i świeżo umyta deszczem. Jeśli szłam tędy rano, to nie mogłam zostawić żadnych śladów, ale przepiękny sielski krajobraz zapadł mi głęboko w pamięć.

Okolica zdążyła się bardzo zmienić od czasu, kiedy byłam tu po raz ostatni. Na miejscu, gdzie wcześniej pasły się owce, wznosiły się teraz nowoczesne domy. Drzewa rosły tam, gdzie ich przedtem nie było, równina zaś znajdowała się tam, gdzie przedtem był las. Ale mimo to droga bardzo przypominała tę z mojej przeszłości. W miarę jak zbliżaliśmy się do Wexley Basset, byłam coraz bardziej podniecona.

Było to czyściutkie małe miasteczko. Parę sklepów dookoła kwadratowego ryneczku; odnowione, oszalowane drewnem domy oraz kilka nowoczesnych budynków. Jak wiele angielskich miast, Wexley Basset było dziwnym połączeniem różnych stylów i upodobań, postępu powstrzymywanego przez tradycję – efektem końcowym zaś był całkiem przyjemny dla oka kompromis.

Wysoki krzyż, który zapamiętałam, zniknął – padł najprawdopodobniej ofiarą pożaru albo po prostu wichrów i deszczy. Na jego miejscu stał teraz ładny pomnik mężczyzny ubranego w stylu regencji, bez wątplenia jednego z ojców miasta z poprzedniego stulecia.

Tom zaparkował w cieniu statui.

– Niezły spacer – powiedział. – Prawie sześć kilometrów. Droga w jedną stronę musiała ci zająć więcej niż godzinę.

– Chyba tak. Oczywiście, czas mi się nie dłużył, bo miałam towarzystwo.

– Jakie?

– Rachełę.

– Kogo?

– Rachełę – powtórzyłam, zanim zorientowałam się, że przecież imiona ludzi z przeszłości nic Tomowi nie mówią. Dla niego byli jak mieszkańcy innego, odległego kontynentu.

A więc zaczęłam przekazywać mu wszystko, co wiedziałam o Szarych Głazach – jak przeszły na dziadka Mariany Farr i jak dostał je w spadku jego najstarszy syn – Jabez Howard. Opowiedziałam o pustockiej ciotce Karolinie i o Racheli, która mieszkała ze swoją siostrą i szwagrem od dnia ich ślubu. O mieszkańcach dworu zaledwie napomknęłam, ale

Tom nie zwrócił na to większej uwagi. Bardziej był zainteresowany moją poranną wyprawą na rynek.

– Więc przyszyście z Rachelą na targ i... co dalej?

– Stałyśmy tam – wskazałam ręką na sklepik z gazetami w pobliżu pomnika – i oglądałyśmy przedstawienie, potem się rozdzieliłyśmy. Ja kręciłam się po rynku, zatrzymywałam się przy straganach, zaglądałam we wszystkie kąty. Skończyłam wycieczkę na tej uliczce, między sklepem z herbatą a bankiem. Trudno ją właściwie nazwać ulicą – poprawiłam się. Mimo że została poszerzona, żeby mógł się tu odbywać normalny ruch, i tak była bardzo wąska i tylko wyasfaltowana, bez chodników.

Tom spojrział w tamtą stronę.

– Co tam robiłaś?

– Głaskałam konia.

– A potem poszłaś do domu?

– Tak. Rachelą mnie znalazła i wróciłyśmy tą samą drogą, którą przyszyłyśmy.

– Rozumiem.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Uważasz, że sobie to zmyśliłam, tak?

– Wcale nie. Nigdy nie mówiłem, że...

– Och, daj spokój – powiedziałam, podnosząc dłoń do czoła. – Przepraszam. To nie twoja wina. Chodzi o to, że... Po prostu wszystko wydaje mi się takie prawdziwe, kiedy się dzieje, a potem, kiedy jest już po wszystkim... czuję się kompletnie... kompletnie zagubiona. Wydaje mi się, że tylko to śniłam, sama nie wiem...

Urwałam. Tom, zanim otworzył drzwi samochodu, rzucił mi ciepłe, prawdziwie braterskie spojrzenie.

– W tej sytuacji – powiedział z ożywieniem – istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, czy naprawdę byłaś tu dziś rano.

– Jaki?

Rzucił mi pełne politowania spojrzenie.

– Kobieto! Przecież błędziłaś po rynku w strugach deszczu. Z pewnością ktoś musiał cię widzieć.

– Ale przecież o tej porze sklepy nie są jeszcze otwarte.

– Założę się, że przynajmniej jeden był – brzmiała zdecydowana odpowiedź mojego brata.

Obserwowałam, jak się oddala i znika we wnętrzu sklepiku z gazetami. Kiedy jakieś dziesięć minut później znów się pokazał, niósł ze sobą dwa plastikowe kubki i wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

– Kawy? – zapytał, podając mi kubek. Wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Cały czas padało, przyniósł więc ze sobą wilgoć, krople deszczu połyskiwały na jego ciemnych włosach i płaszczu.

– Nie mogę tego wypić – powiedziałam, patrząc na płyn. – Przecież to nie jest prawdziwa kawa.

– Jak chcesz – odparł, upijając duży łyk ze swojego kubka. – Istotnie, byłeś tu dziś rano. Widziała cię kobieta sprzedająca gazety. Albo, jak twierdzi, widziała „raczej drobną osobę z krótkimi, kręconymi włosami”, która stała na rynku około siódmej trzydzieści. Z początku sądziła, że przyglądasz się wystawie jej sklepiku, ale kiedy wyszła, żeby cię zagadnąć, odeszłaś. Zaobserwowała jeszcze, że parę razy obeszłaś plac dookoła. Wywnioskowała z tego, że na kogoś czekasz.

– A w jaki sposób nakłoniłeś ją, żeby ci to wszystko opowiedziała? – zapytałam uprzejmie. – Można wiedzieć?

– Nic prostszego – wzruszył ramionami Tom. – Powiedziałem, że jestem lekarzem ze szpitala psychiatrycznego i że zaginęła nam jedna pacjentka. Bardzo mi współczuła.

– Tom! – Byłam przerażona. – Chyba nie mówisz poważnie? Słuchaj, przecież to mała miejscina, wszystkie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. Nie będę mogła wyściubić nosa z domu!

– To by było zbyt prymitywne, moja droga – oświadczył z uśmiechem wyższości. – No, żeby wpakować cię w taką sytuację. Możesz spać spokojnie. Powiedziałem tylko, że mam szukać tej wariatki jeszcze z kimś i że byłem tu umówiony z tą osobą, ale problemy z samochodem spowodowały, że spóźniłem się na spotkanie. Zapytałem, czy cię widziała, powiedziała, że tak. Wtedy udałem bardzo zmartwionego i kupiłem kawę. Uznała zapewne, że miałas dość czekania i wróciłaś do domu, a ja pojechałem cię szukać. Wszystko w porządku? – Tak.

– To świetnie. W takim razie schyl się trochę, dobrze? Nie chcę, aby ta kobieta pomyślała, że jestem albo bigamistą albo łajdakiem, który zostawia swoje dziewczyny, by samotnie mokły na deszczu.

Schyliłam posłusznie głowę. Objechaliśmy pomnik dookoła i ruszyliśmy w drogę powrotną do Exbury.

– A więc – zapytałam, prostując się, gdy byliśmy już poza zasięgiem wzroku gazeciarki – jak chciałbyś spędzić resztę swojego pobytu u mnie? Cała ta farsa musi cię strasznie nudzić.

– Wcale nie. Prawdę powiedziawszy, nie bawiłem się tak dobrze od wieków. – Tom uśmiechnął się do mnie. – Ale muszę przyznać, że miałem znacznie bardziej przyziemne plany na popołudnie. Myślałem, że moglibyśmy zjeść obiad w tym twoim pubie...

– Gdzie, Pod Czerwonym Lwem? Przytaknął.

– Chyba najwyższy czas, żebym poznał twoich nowych przyjaciół. Chociażby z czystej ciekawości. A potem, kiedy już założę ci w drzwiach nowe zamki, na resztę dnia mógłbym zabrać cię do Swindon. Jeśli chcesz, pochodzimy trochę po sklepach, zjemy kolację przy świecach, a potem pójdziemy do kina. Pamiętasz, kiedy byłeś ostatni raz w Swindon?

– Nie.

– Ja też. – Spojrzał na mnie. – Co o tym sądzisz?

– Brzmi fantastycznie – przyznałam.

– Świetnie, w takim razie mamy już plany na popołudnie.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, w pewnej chwili jednak Tom zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

– Julio, tak się zastanawiam...

– Nad czym?

– Chodzi o te sprawy z przeszłości. Myślę, że nie powinnaś eksperymentować, próbując wywoływać powroty do niej.

Spojrzałam na niego.

– Ale przecież w zeszłym tygodniu mówiłeś...

– Wiem. Ale to było, zanim zobaczyłem... jak to wygląda. Jak ty wyglądasz, kiedy się to dzieje. Zmieniłem zdanie. Przemysł to – namawiał. – Przecież mógł cię potrącić samochód. A i sama przeszłość może być po prostu niebezpieczna. Skąd wiesz, czy Mariana na przykład się nie powiesiła albo nie skoczyła do rzeki czy z urwiska?

– W pobliżu Exbury nie ma żadnych urwisk.

– Przecież wiesz, o czym mówię. Nie sądzę, żeby takie eksperymentowanie było bezpieczne. Nie wywołuj tego. Wystarczy, że samo czasami przychodzi.

Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na migające za oknem drzewa. Nie odpowiedziałam, więc Tom ciągnął dalej:

– Julio. Chcę, żebyś mi obiecała, że nie będziesz próbować tego sama, zanim nie dowiemy się czegoś więcej o tym, co się właściwie z tobą dzieje. Możesz mi to przyrzec?

Gdzieś za mokrą od deszczu Wexley Chase wzbiło się w niebo stadko szpaków, unosząc się zbitą masą ponad rozmytymi w deszczu zielonymi polami. Odwróciłam się od okna i uśmiechnęłam słodko do mojego brata.

– Oczywiście, Tom – powiedziałam – przyrzekam.

Rozdział 17

Masz wspaniałego brata – orzekła Vivien. – Tak jakby wcale nie był pastorem.

Była dziewiąta trzydzieści rano następnego dnia, a ja zachwyciałam się cudownym wschodem słońca i ciepłym porankiem, próbując po amatorsku usunąć chwasty z zapuszczonego ogródka za domem. Vivien przysiadła na chwilę na kamiennym murku i popijając herbatę, dotrzymywała mi towarzystwa.

– Cóż, chyba masz rację. – Wyprostowałam plecy, odrzucając na bok garść czegoś, co – miałam nadzieję – było chwastami. – Niestety, muszę przyznać, że Kościół podziela twoją opinię. Uważa, że w Tomie nie ma nic z prawdziwego duchownego. Mimo to jego parafianie świata poza nim nie widzą. Ale kiedy chce, naprawdę potrafi być poważny. Jak myślisz, czy to kwiat?

Spojrzałam powątpiewająco na małą, delikatną roślinkę o postrzępionych liściach.

– Naprawdę nie potrafisz powiedzieć – odparła Vivien. – Jestem kompletnym zerem, jeśli chodzi o ogrodnictwo. Słuchaj, czy jesteś pewna, że powinnaś to robić? Ian wygarbuje ci skórę, jeśli wyrwiesz którąś z jego drogocennych południowoafrykańskich sadzonek.

Zostawiłam sporną roślinę w spokoju i wyrwałam zamiast niej coś, co wyglądało jak kępa trawy. Na mojej twarzy pojawił się wyraz, który mój brat bezbłędnie rozszyfrowałby jako pogardliwe lekceważenie.

– Nie boję się Iana Sumnera. Poza tym nie może przecież zrobić wszystkiego. Nie może równocześnie pomagać – we dworze, porządkować tego ogrodu i zajmować się swoimi owcami.

– Ma jeszcze oranżerię.

– No właśnie. – Dla podkreślenia swoich słów wyrwałam następną kępę trawy. – Chronię go przed załamaniem nerwowym.

Vivien roześmiała się głośno.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam. Nigdy jeszcze nie słyszałaś żadnej z jego sławetnych tyrad.

– Na pewno nie są uciążliwsze od tych, które wygłasza mój brat.

– Co? Ten cudowny, słodki człowiek, który siedział wczoraj przy moim barze i opowiadał cały wieczór dowcipy? Nie mów, że miewa humory.

– Ogień i siarka – zażartowałam. – W biblijnych proporcjach.

– Cóż. – Vivien zaczęła machać nogami. – Najlepsze jest to, że kiedy Ian zaczyna się denerwować, to wrzeszczy z okropnym szkockim akcentem i w ogóle nie można go zrozumieć... Nie, tego nie wyrwij – ostrzegła mnie nagle. – Tę roślinę akurat poznaję. To jakaś odmiana stokrotki czy coś takiego.

Cofnęłam dłoń i przykucnęłam, patrząc z satysfakcją na swoje dzieło. Ogród wygląda dużo porządniej, uznałam, i na pewno lepiej się czuje bez tych wstrętnych chwastów, wysysających soki ze ślicznych peonii i fioletowych irysów.

– To naprawdę śliczny ogród – powiedziałam głośno, a Vivien pokiwała głową.

– Posadzony na warstwie gołębic odchodów z paru wieków – dodała trzeźwo. – W ziemi muszą być całe tony azotu.

– Nie pomyślałam o tym. – Wstałam, składając bezładnie rozrzucone chwasty’ na jedną stertę. – Kiedy zlikwidowano tu gołębnik?

– Nie wiem. Muszę zapytać ciotki Fredy. Chyba jeszcze w poprzednim stuleciu. Niewielu ludzi jada teraz gołębie, jak sędzę.

– Ja w każdym razie nie. Te małe zagłębienia w murze to chyba pozostałość po ich gniazdach.

Vivien pochyliła się, żeby zobaczyć, wsuwając jednocześnie rękę w jedną z wąskich szczelin pomiędzy kamieniami.

– Tak, racja. Prawie ich nie widać, zarosły mchem i trawą. Ale trochę głębiej szczelina się poszerza i tam ptaki mogły... – Przerwała nagle, na jej twarzy odmalowało się zdziwienie. – Coś podobnego!

– Co się stało?

– Tu coś jest. – Ściągnęła brwi. – Niestety, nie mogę tego osiągnąć. Chcesz spróbować? To jakiś kawałek metalu. W głębi gniazda.

Wyjęła rękę, a ja podeszłam bliżej i wsunęłam dłoń w wilgotną, obrośniętą mchem szczelinę w murze. Wąski wlot skręcał najpierw w prawo, żeby potem rozszerzyć się w rodzaj miniaturowej jaskini, urządzonej najprawdopodobniej po to, żeby stworzyć ptakom przytulniejsze schronienie.

Zanim poczułam zimny metal, moje palce dotknęły nawarstwionego przez lata na dnie gniazda mchu i kurzu. Miałam raczej małe ręce, ale palce stosunkowo długie, i dzięki temu udało mi się, zadrapawszy jedynie nadgarstek o wąski wlot do gniazda, chwycić dwoma palcami przedmiot, który tam leżał.

Wyjęłam rękę i spojrzałam ze zdziwieniem na to, co trzymałam w dłoni.

– Klucz – powiedziała Vivien. – Trochę dziwne miejsce na jego przechowywanie.

Nagle usłyszałam cichy dźwięk, jakby odległe bzyczenie trzmiela, poczułam, że kręci mi się w głowie, zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Nie teraz, powiedziałam sobie w duchu stanowczo. To się nie może teraz zdarzyć.

Ziemia zakołysała się, potem uspokoiła. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Vivien pochyła się nad naszym znaleziskiem. Poczułam ulgę, a ona zapytała:

– Czy to Geoff nadchodzi?

Spojrzałam w stronę domu i ujrzałam znajomą postać, zmierzającą w naszym kierunku przez trawnik. Zastanawiałam się, w jaki sposób, odwrócona do niego plecami, mogła słyszeć, że idzie, stąpając po torfowym podłożu. Al

bo Vivien Wells ma bardzo dobry słuch, uznałam, albo ciotka Freda nie jest jedyną wiedźmą w rodzinie.

– Tak – powiedziałam tylko. – To on.

Miał na sobie ciemny sweter i dżinsy, a od czasu, kiedy go ostatni raz widziałam, zdążył odwiedzić fryzjera. Podeszedł do zniszczonego muru, oparł na nim ramiona i wystawił twarz do słońca.

– Dzień dobry – przywitał się. – Co ro... – Ujrzałam wyraz przerażenia na jego twarzy, gdy dostrzegł moje robocze ubranie i pryzmę chwastów u stóp. – Chyba nie robisz bałaganu w ogrodzie Iana, co?

Poczułam się nagle winna.

– Po prostu wyrwałam parę chwastów.

– Ostrzegałam ją – usprawiedliwiała się Vivien. – Nie chciała mnie słuchać.

– No cóż. – Geoff rzucił mi pełne ubolewania spojrzenie. – Co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie dopilnujemy, żebyś miała godny pogrzeb.

Już miałam mu odpowiedzieć, kiedy jego wzrok padł na zaśniedziałą kawałek metalu w mojej dłoni.

– A to co? – uniósł brwi w zdziwieniu.

– Klucz.

– Znalazłyśmy go w jednym z tych gniazd – wyjaśniła Vivien. – Bardzo ciekawe, nie sądzisz?

Wyciągnął do mnie rękę.

– Mogę zobaczyć?

Na jego dłoni klucz wydawał się jeszcze mniejszy. Geoff obrócił go w palcach parę razy i poskrobał paznokciem, marszcząc brwi.

– Bardzo interesujące. – Oglądał klucz jeszcze przez chwilę, potem oddał mi go z powrotem. – Nie wiedziałem, że gołębie mają zwyczaj porywania kluczy.

– Przecież ktoś mógł go tam położyć – rzekła Vivien.

– Ale po co? – zapytał Geoff.

Schowałam klucz do kieszeni i wzruszyłam ramionami.

– Pewnie się nigdy nie dowiemy.

Na chwilę wszyscy umilkliśmy, zastanawiając się nad różnymi możliwościami, ale nagle Vivien pokiwała głową i uśmiechnęła się szeroko.

– Więc co, zamierzacie pojechać na tę aukcję?

– Tak – powiedziałam. Odwróciłam się do Geoffa. – Chyba nie jestem jeszcze spóźniona? Pokręcił głową.

– Nie, to ja jestem za wcześnie.

– W takim razie muszę się przebrać. Poczekasz chwilę? Vivien pomachała do mnie ręką.

– Nie śpiesz się – powiedziała. – Będę go zabawiać w twoim zastępstwie. Do otwarcia Czerwonego Lwa zostało mi jeszcze jakieś pół godziny.

– Dzięki.

Przebiegłam przez podwórko, wpadłam do domu z bijącym sercem i zatrzymałam się w przedsiönku tylko po to, żeby zrzucić z nóg przydeptane buty. Byłam bardziej poruszona faktem, że udało mi się siłą woli powstrzymać nadciągające nieuchronnie „przejście”, niż tym, że znalazłam tajemniczy klucz.

Nie było wątpliwości, że ma on coś wspólnego z Mariana Farr, ale wiedziałam też, że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim odkryję tę tajemnicę. Na razie muszę oswoić się z myślą, że potrafię nie tylko prowokować swoje „przejścia”, ale także je powstrzymywać. W każdym

razie przez chwilę miałam nad całą sprawą absolutną władzę, i to było naprawdę niezwykle.

Niemal tak niezwykle, jak perspektywa spędzenia reszty dnia w towarzystwie przystojnego młodzieńca i rozkoszowania się wspaniałym słońcem wiosennego popołudnia. Kiedy weszłam na górę, schowałam klucz w szufladzie biurka i uśmiechnęłam się do siebie w lustrze.

Trochę później, wykąpana i przebrana w strój pasujący do niedbałego ubioru Geoffa, stałam na starannie przystrzyżonym trawniku wiktoriańskiej rezydencji, położonej na północ od Calne. Podniecała mnie atmosfera wyprzedaży.

Masywne kredensy, komody i półki stały wzdłuż podjazdu niby wojsko czekające na przegląd. Niezliczone mnóstwo drobniejszych przedmiotów ustawiono ciasno na ławach i kocach; puste pudła poupychano pod stołami. Sunęliśmy powoli z Geoffem pośród tych wszystkich cudowności, zatrzymując się co chwila, żeby się przyjrzeć staremu zegarowi, pozytywce czy jakiemuś sprzętowi.

Mój ojciec uwielbiał po prostu takie aukcje. Nawet kiedy byłam jeszcze mała, zabierał mnie ze sobą na wyprzedaże, ucząc rozpoznawać, czy stare krzesło to naprawdę rarytas dla kolekcjonera, i odróżniać handlarza antykami od zwykłych uczestników aukcji. Pamiętam, że kiedyś zobaczyłam małą figurkę psa myśliwskiego i zapragnęłam ją mieć. Nie było to nic specjalnego – gipsowy odlew, ale uparłam się i nic nie mogło tego zmienić. Miałam wtedy może siedem lat.

Stałam przy odkrytym przez siebie skarbie, dopóki licytator do mnie nie podszedł. Wtedy, tak żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć i usłyszeć, powiedziałam głośno swoją cenę. Pierwsza cena – pięćdziesiąt pensów – była oczywiście moja, ale tak bardzo pragnęłam kupić tę figurkę, że kiedy licytator zapytał, kto da więcej, znów podniosłam dłoń, będąc chyba pierwszą osobą w kraju, która przebiła sama siebie na aukcji. Gdyby licytujący nie miał poczucia humoru, sprzedałby mi ją co najmniej za dwa funty – całą sumę, jaką miałam tego dnia przy sobie. Ale on roześmiał się tylko i pozwolił mi kupić figurkę za pierwszą wymienioną sumę – pięćdziesiąt pensów.

Potem nachylił się nade mną i pouczył, żebym nigdy nie dała nikomu poznać, jak bardzo mi na czymś zależy.

– Jesteś jeszcze mała, dziecko – powiedział – i na razie nikt nie stanie z tobą do pojedynku. Ale kiedy dorośniesz, może cię to słono kosztować.

Zapomniałam już, co się stało z tym gipsowym psem, ale do dziś pamiętam ową radę. Pamiętałam o niej również teraz, przechodząc obok pudła z książkami, z którego, jak mi się wydawało, wystawał grzbiet pierwszego wydania „Hobbita” Tolkiena; upchnięto książkę niedbale pomiędzy bezwartościowymi, tanimi kryminałami. Od niechcenia, nie pozwalając, żeby drgnął mi chociaż jeden mięsień twarzy, zaczęłam przeglądać zawartość pudła, przerzucając poźółkłe strony.

– Więc powiadasz, że to wszystko należało do jednego człowieka? – spytałam Geoffa, starając się mówić opanowanym głosem.

– Tak. Do lorda Ashburna. Zmarł bodaj miesiąc temu. Staruszek miał już co najmniej dziewięćdziesiątkę. Nie widziałem go całe lata, ale kiedy byłem mały, grywał z moim ojcem w golfa.

Otworzyłam Tolkiena, przerzuciłam strony tytułowe, żeby sprawdzić rok wydania, potem odwróciłam książkę, by na zakurzonej okładce przeczytać notę od wydawcy. Wszystko wskazywało na to, iż mam w ręku rzeczywiście pierwsze wydanie. Moje podniecenie z wolna rosło. Zamknęłam książkę, spojrzałam na Geoffa i uśmiechnęłam się.

– Z pewnością lord Ashburn miał bardzo szczególne i zróżnicowane gusta – powiedziałam.

– Oraz mnóstwo pieniędzy – uzupełnił Geoff. – Był dziwakiem, żył niemal jak pustelnik. Mieszkał w tamtym domku. – Wskazał dach, widoczny pośród niedalekiej kępy drzew. – Rezydencję zamienił na coś w rodzaju muzeum, ale wyłącznie na własny użytek.

– Myślę, że powinniśmy być mu za to wdzięczni – oświadczyłam, spoglądając na przedmioty na trawniku i tłum oglądających i kupujących. – Wypatrzyłeś coś ciekawego?

Wzruszył ramionami.

– Parę rzeczy. Na przykład te globusy. – Wskazał ruchem głowy dwa globusy, stojące na lewo od nas. – Pochodzą z 1828 roku i są dość wartościowe. Zawsze staram się wyszukiwać rzeczy, które nadadzą trochę więcej charakteru mojemu domowi.

Uśmiechnęłam się na myśl, że mówił o Crofton Hall jak o trzypokojowym domku. Licytator chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę, i zaczął wzywać wszystkich ewentualnych nabywców. Geoff swobodnie objął mnie ramieniem i poprowadził tam, gdzie było trochę mniej ludzi. Mieliśmy dzięki temu bardzo dobry widok na wszystko, co działo się na aukcji. Pochylił się nade mną i szepnął mi do ucha:

– Chcesz go kupić? – Co?

– Tolkiena – powiedział rozbawiony. Wyczułam, że trochę go śmieszy moje podniecenie, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi. – To pierwsze wydanie, czyż nie?

– Tak – uśmiechnęłam się. – Owszem, mam zamiar kupić Tolkiena.

Ale skończyło się tylko na zamiarze. Kiedy doszło do licytacji książek z pudła, nie podałam zbyt wysokiej sumy. Wystarczyło jedno spojrzenie na mężczyznę, który też chciał je nabyć, żebym opuściła rękę i dała za wygraną. Geoff trącił mnie w ramię – Dlaczego nie licytujesz? – spytał.

– Ponieważ ten człowiek to handlarz – odparłam. – Wie doskonale, ile książki są warte, a ja nie mogę sobie pozwolić na zapłacenie takiej ceny.

Geoff spojrzał na niepozornego faceta stojącego wśród tłumu. Mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach, a w zębach wysłużoną starą fajkę. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zwykłego farmera.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Zamyślił się na chwilę.

– Chcesz, żebym ci kupił Tolkiena?

– Nie. – Zabrzmiało to chyba trochę niegrzecznie, ale nie chciałam, aby Geoff de Mornay

pomyślał, że lecę na jego pieniądze. – Nie – powtórzyłam spokojniej. – Dzięki, ale to naprawdę nie jest aż takie ważne.

Przygryzłam wargę i w milczeniu obserwowałam, jak cena rośnie, osiągając setki funtów. W pewnej chwili byłam już pewna, że handlarz wygra licytację, ale nagle – z mściwą satysfakcją – zobaczyłam, że z jego twarzy znika profesjonalny uśmiech. W ostatnim momencie do licytacji włączył się jakiś nieznajomy i za pięćset funtów sprzątnął facetowi pudło sprzed nosa. Kiedy przez tłum przepchnął się siwy mężczyzna z brodą, żeby odebrać swoją własność, pośród ludzi przebiegł szmer podniecenia. Handlarz, wściekły, pyknął nerwowo z fajki, wypuszczając w niebo obłoczki niebieskawego dymu.

Co do mnie, starałam się pocieszyć udziałem w licytacji o następny przedmiot – mały dębowy pulpit do pisania, który w końcu kupiłam za sumę nieco większą, niż był on naprawdę wart. Przycisnęłam go triumfalnie do piersi, podczas gdy licytator dalej prowadził aukcję.

– A teraz – powiedział – para globusów z 1828 roku. Drzewo różane i malowany buk. Kto da pięć tysięcy funtów na początek?

Handlarze podnieśli ręce, a stojący za mną Geoff skinął porozumiewawczo do licytującego – odniosłam wrażenie, że znają się bardzo dobrze. Kiedy cena doszła do dwudziestu jeden tysięcy funtów, cały tłum, i ja także, wstrzymał oddech i wiele głów zwróciło się w stronę przystojnego młodego mężczyzny, który zaproponował najwyższą cenę.

Geoff wyjął książeczkę czekową i poszedł zapłacić, a ja pozostałam na miejscu, myśląc o przepaści, która nas dzieli. Na Boga, przecież on jest panem na dworze, uprzytomniłam sobie. I choć może zabrzmiało to staroświecko – jego konto bankowe tak się ma do moich dochodów, że... cóż, dla niego mogłyby one znaczyć tyle co reszta otrzymana w sklepie spożywczym. Nie powinnam o tym zapominać.

Ale kiedy wrócił, wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, by prysły wszystkie moje obawy przedstawicielki klasy średniej. Geoffrey de Mornay nie wyglądał wcale jak dziedzic wielkiej fortuny, lecz jak mały chłopak – szczęśliwy, beztroski i ogromnie z siebie zadowolony.

– Coś się zdarzyło po moim odejściu? – zapytał.

– Niewiele. Parę starszych pań zemdlało, widząc, jak wypisujesz czek, ale poza tym zupełny spokój.

Zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu, i przytulił mnie lekko. Powiedział kiedyś, żebym nie przepraszała za to, że jestem inteligentna, a teraz sam ani myślał przepraszać za to, że jest bogaty. Za to właśnie go lubiłam. Ujął mnie za ramiona i odwrócił w stronę stojącego niedaleko kredensu.

– Nic niewart. Ale założę się, że te dwa dzbany, które na nim stoją, pójdą za co najmniej sześć tysięcy.

Spojrzałam.

– Dobra – przyjęłam zakład. – Stawiam pięćdziesiąt pensów.

Zostaliśmy na aukcji jeszcze mniej więcej godzinę – wystarczająco długo, żebym mogła stracić swoje pięćdziesiąt pensów i kolejne dwadzieścia pięć funtów na absolutnie

niepotrzebny obraz do holu. Dopiero wtedy niechętnie, ociągając się, obładowani zakupami, ruszyliśmy w kierunku samochodu.

Brodaty mężczyzna, który kupił moje pudło książek, opierał się o maskę wozu Geoffa, paląc papierosa i spoglądając obojętnie w stronę, gdzie wciąż jeszcze trwała aukcja. Wyprostował się, kiedy podeszliśmy bliżej.

– Przepraszam bardzo – zwrócił się do Geoffa. – Czekam właśnie na syna, który miał tu po mnie przyjechać. Dźwiganie tego pudła nie jest takie znowu przyjemne.

– Współczuję panu – odparł Geoff, starając się upchnąć globusy w bagażniku tak, by ich nie uszkodzić.

Uśmiechnęłam się do starszego człowieka.

– Dobrze pan zrobił, kupując te książki.

– Wiem – skinął głową z przekonaniem. – Większość tych kryminałów napisał mój ojciec. A na to nie ma ceny, nieprawdaż?

Geoff przestał na chwilę krzątać się przy bagażniku i posłał mi zachęcające spojrzenie, ale ja już weszłam w swoją rolę.

– Och, spójrz! – nachyliłam się i udając najwyższe zdziwienie, wyciągnęłam z pudła Tolkiena. – „Hobbit”! Kochanie, przecież to ulubiona książka naszego małego Jimmiego.

Geoff uśmiechnął się tylko do mnie, dając w ten sposób znać, że odmawia udziału w farsie. Ja natomiast spojrzałam błagalnie na starszego pana.

– Nie śmiem nawet prosić – powiedziałam przymilnie – nie śmiem nawet prosić, żeby pan...

– Może ją sobie pani wziąć – powiedział mężczyzna wspaniałomyślnie. – Zależy mi tylko na kryminałach. Niech pani weźmie tę książkę dla swojego synka.

Czułam się trochę winna.

– Ale proszę mi przynajmniej pozwolić za nią zapłacić – powiedziałam, wręczając mu banknot dziesięciofuntowy, który ku mojej wielkiej uldze przyjął. – W końcu jest przecież coś warta.

Geoff z dziwnym wyrazem twarzy zamknął bagażnik i otworzył drzwi samochodu.

– Wsiadaj, kochanie – powiedział. – Musimy już jechać. W samochodzie obrzucił mnie znaczącym spojrzeniem, po czym obydwójce zaczęliśmy się głośno śmiać.

– Nie masz wstydu – orzekł. – Nie masz za grosz wstydu, ale jesteś bezbłędna.

– Miałam wspaniałego nauczyciela – wyjaśniłam i przez następne kilkanaście kilometrów raczyłam go opowieścią – mi o aukcyjnych wyczynach mojego taty i żyłce poszukiwaczy skarbów, którą w sobie mamy.

– Z ogromną przyjemnością poznałbym twojego ojca – powiedział Geoff.

Bąknęłam coś na to pod nosem, myśląc w duchu, że jednak Geoff ma szczęście, iż ojciec jest akurat za granicą. Wszyscy moi dotychczasowi chłopcy kryli się po kątach, gdy tylko go ujrzeli. Czasami ojciec potrafił być naprawdę trudny, poza tym nie spotkał jeszcze młodego człowieka, który sprostałby jego wygórowanym wymaganiom. W końcu uznałam, że najlepszym sposobem unikania podobnych sytuacji w przyszłości będzie nieprzedstawianie moich wielbicieli ojcu. Zaoszczędziłam w ten sposób im i sobie wielu problemów.

Droga do Exbury wydała mi się zbyt krótka – jakby za szybko przyjechaliśmy do domu. Geoff sięgnął za siebie na tylne siedzenie i podał mi pulpit oraz lekkomyślnie kupiony obraz. Po raz pierwszy tego dnia wróciliśmy do oficjalnego tonu.

– Bawiłam się doskonale – powiedziałam. – Było cudownie.

– To miło. – Spojrzał na swoje dłonie na kierownicy. – Słuchaj, muszę znów wyjechać na kilka dni, może na tydzień, ale kiedy wrócę, chciałbym się z tobą zobaczyć. – Odwrócił się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Pozwolisz wtedy się zaprosić na obiad?

– Z przyjemnością – odparłam i uśmiechnęłam się; poczułam, że kręci mi się w głowie; był doprawdy czarujący.

Tym razem pożegnalny pocałunek wypadł znacznie lepiej niż poprzednio. W końcu, pomyślałam, znamy się dwa tygodnie dłużej i spędziliśmy razem naprawdę cudowny dzień. Kiedy nasze usta się rozłączyły, posłałam Geoffowi promienny uśmiech i sięgnęłam do klamki.

– Cześć.

Przechylił się i pomógł mi otworzyć drzwi.

– Poradzisz sobie z zakupami?

– Tak, dzięki – skinęłam głową, przyciskając do siebie pakunki.

– W takim razie – znów ten uśmiech! – zadzwonię do ciebie po powrocie.

Patrzyłam, jak odjeżdża, i czując się głupio szczęśliwa, szłam w stronę domu niemal tanecznym krokiem. O dziwo, klucz odmówił posłuszeństwa i nie chciał się obrócić w nowym zamku. Kiedy się z nim siłowałam, dębowy pulpit wysliznął mi się z rąk i upadł na ziemię z dziwnym brzękiem.

Masz ci los, pomyślałam, zła na mojego brata i jego zamek, i uklękłam w trawie, żeby podnieść pulpit, który się otworzył – kryty suknom blat leżał teraz z pokrzywionymi zawiasami. Zamknęłam pulpit i wycierając go z błota, zobaczyłam literę „H” wygrawerowaną na malutkiej tabliczce.

Kiedy podnosiłam swój nabytek, coś w środku zgrzytnęło, ale ja znów zaatakowałam drzwi, czując przypływ sił witalnych. Tym razem zamek się poddał. Pchnęłam drzwi ramieniem, po czym zamknęłam je za sobą nogą.

Położyłam zakupy na kuchennym stole i raz jeszcze otworzyłam pulpit, żeby po raz kolejny przyjrzeć się jego wnętrzu. Chyba nic nie popękało, ale kiedy go upuściłam, otworzyła się niewidoczna dotychczas sekretna szufladka. Zajrzałam do niej, zaciekawiona.

W środku leżała misternie rzeźbiona bransoleta. Cudowne rajskie ptaki łączyły się z kulkami niebieskiego szkła, a wszystko lśniło niby klejnoty najczystszej wody.

Rozdział 18

Lekko drżącymi palcami wyjęłam bransoletę z szufladki, w której leżała ukryta przez... no właśnie, jak długo? Stulecia? To ta sama bransoleta, byłam tego stuprocentowo pewna. Jej widok, jej dotyk, ciężar na dłoni były mi tak znajome – nie miałam wątpliwości, że kiedyś należała do mnie.

Ale jak znalazła się w tym pulpicie, który, jeśli wierzyć tabliczce, został zrobiony nie wcześniej niż w 1700 roku, a więc w kilkadziesiąt lat po przybyciu Mariany Farr do Exbury. Cały czas trzymając w ręku bransoletę, zamknęłam pulpit i przyjrzałam się raz jeszcze wygrawerowanej literze. Czy to możliwe, zastanawiałam się, że „H” znaczy Howard? Czy to możliwe, żeby ten przedmiot należał kiedyś do rodziny Howardów z Szarych Głazów?

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Wszystko wydawało mi się tak niesamowicie fantastyczne, że aż niemożliwe. Zbyt niezwykły przypadek, żeby to była prawda, uznałam. A może jednak?... Ścisnęłam bransoletę w dłoni. Gdy słońce padło mi na rękę, miałam wrażenie, że rajskie ptaki przyglądają mi się ciekawie. No bo, zastanawiałam się, jeśli wszystko, co dzieje się dookoła mnie, ma jakiś ukryty cel i jeśli rzeczywiście istnieje jakaś tajemna siła, która każe nam wypełnić swoje przeznaczenie, to znalezienie przeze mnie bransolety nie może być zwykłym zbiegiem okoliczności. Pewnie ma czemuś służyć...

Z zamyślenia wyrwało mnie krótkie, niecierpliwie pukanie do drzwi. Zanim poszłam otworzyć, schowałam bransoletę z powrotem do szufladki. Mój umysł nie wrócił jeszcze całkowicie do poprzedniego stanu i mężczyzna stojący w progu mógł się tego domyślić z wyrazu mojej twarzy.

Ian Sumner wypełniał swoim potężnym ciałem cały otwór drzwiowy, zasłaniając sobą nawet światło słoneczne. Patrzył na mnie tak, jakbym co najmniej zamordowała któregoś z członków jego rodziny.

– Pieliaś – powiedział beznamiętnie – prawda?

Bez wątpienia przygotowywał się już do wygłoszenia jednego ze swoich osławionych wykładów, przed którymi ostrzegała Vivien, ale uratowało mnie niewytłumaczalne zdarzenie – po raz drugi w ciągu paru ostatnich tygodni zaczęłam płakać.

Muszę przyznać, że nie był to szloch, jakim wybuchnęłam w domu Toma w Hampshire, ale oczy zaszyły mi łzami, a usta wykrzywiły się w podkówkę. Ian rozchmurzył się wtedy i przyjrzał mi się z z troskaniem; widziałam, że czuje się winny. Odebrało mu po prostu mowę, a było to tak komiczne, że nie mogłam powstrzymać małego uśmieszku triumfu.

– Przepraszam – powiedziałam, wycierając oczy – to nie z twojego powodu. Po prostu... – zawahałam się, szukając odpowiedniego wytłumaczenia, dopóki nie uznałam, że nie można wyjaśnić nikomu stanu, w jakim się znajduję. – W każdym razie – pociągnęłam nosem – tak, rzeczywiście pieliaś dziś twój ogród. Dokonałam tam jakiegoś spustoszenia?

Ian spojrział w zamyśleniu na trzymaną w rękach zwiędłą roślinę. Wydawało się, że po chwili zastanowienia podjął jakąś decyzję. Chowając rękę za siebie, upuścił roślinkę i spojrział mi prosto w oczy.

– W zasadzie nie jest tak źle – oświadczył.

Był naprawdę uroczym kłamcą, powiedziałam mu to. Śmiejąc się, pochylił głowę, zadowolony z tego, że odzyskałam już humor, i rzekł:

– Posłuchaj, jeśli tak bardzo uparłaś się, żeby mi pomagać, dlaczego nie pójdziesz ze mną teraz do ogrodu, żeby zapoznać się ze wszystkimi moimi roślinami?

– Myślałam, że nie lubisz ludzi szwendających się po twoich ogrodach?

– Podłe plotki – uśmiechnął się szeroko. – No chodź, nie zabawimy tam długo.

Podniosłam z wycieraczki zdeptaną roślinę, której Ian pozbył się w tak elegancki sposób.

– Mam nadzieję, że to nie była ta roślina z Południowej Afryki, co? – spytałam z nadzieją w głosie.

Spojrzał na mnie z lekką kpina.

– Nie była – zapewnił mnie. – Jeśli wyrwałabyś którąś z tych roślin, na pewno powiedziałbym ci o tym. I na nic zdałyby się łzy.

Wkrótce stwierdziłam, że wszystko, czego było mi dziś potrzeba, to właśnie pół godziny babrania się w ziemi i intensywnej woni rozgrzanych słońcem liści i kwiatów. Uspokoiło mnie to i sprowadziło na ziemię, Ian dowiódł, że jest całkiem dobrym nauczycielem. Cierpliwie pokazywał mi każdy kwiatek i roślinkę w ogrodzie, wyszukiwał nawet najdrobniejsze pędy. Powiedział, co tu trzeba zrobić i jak, więc gdy skończyliśmy lekcję, poczułam się w pełni zdolna, by samodzielnie wypielić ogród, nie niszcząc go.

– Będiesz w tym dobra – zapewnił. – Musisz tylko trochę poćwiczyć.

– Jesteś pewien, że mogę? – spytałam z niedowierzaniem.

Ian odwrócił się.

– Nie ufasz mi?

– No cóż, wydawało mi się, że Vivien i Geoff sądzą, iż robiąc to, ryzykuję...

Uśmiechnął się i oderwał uschnięte kwiaty z łodygi rosnącego w pobliżu irysa.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu – powiedział. – Poza tym taka praca na świeżym powietrzu dobrze ci robi. Wierz lub nie, ale ogrodnictwo utrzymuje człowieka w dobrej formie. – Spojrzał na zegarek i przeciągnął się. – Wobec tego zostawiam cię samą. Najwyższy czas iść do domu.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale słońce było już bardzo nisko na niebie, z czego wywnioskowałam, że musi być około siódmej.

– Dziękuję – powiedziałam. Tak naprawdę dziękowałam mu za wiele różnych rzeczy. Za to, że się na mnie nie gniewał, za to, że zrozumiał mój nastrój i że był tak okropnie miły...

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie.

– Nie ma o czym mówić.

Poszedł sobie. Odwróciłam twarz do słońca, opierając się o gładki kamienny mur i przymykając marzycielsko oczy. To był najcudowniejszy z cudownych zachodów słońca, jaki mogłam sobie wyobrazić.

Złotoczerwone puszyste obłoki wyglądały jak nieprawdziwe, jak wyjęte z jednej z moich ilustracji. Do całości obrazu brakowało mi jeszcze tylko jeźdźca stojącego pod dębem – romantycznego rycerza na potężnym koniu, wypatrującego smoków wśród pobliskich

pagórków. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę, ale nic nie dostrzegłam.

Ponad dębem krążył majestatycznie samotny jastrząb, jego głos brzmiał jak płacz.

Dni mijały szybko i spokojnie, pracowałam przy moich rysunkach z nie znanym dotychczas zapalem. I jednocześnie czekałam. W jakiś dziwny sposób przekonanie, że potrafię z własnej woli przenieść się w XVII wiek, sprawiło, że nie miałam ochoty tego robić. Wydaje mi się, że przez cały tydzień, kiedy malowałam i wykonywałam wszystkie swoje normalne zajęcia, potajemnie oczekiwałam, że coś się po prostu samo zdarzy.

Ale oczywiście nic się nie stało. Pod koniec tygodnia wszędzie wokół mnie schły akwarele, a ja czułam się jak osoba okropnie pracowita. W piątek zadzwonił Geoff, żeby mi powiedzieć, iż jego tydzień wydłużył się do dwóch, i żeby spytać, czy nie będę miała nic przeciwko dłuższemu czekaniu na obiecany obiad. Zapewniłam, że oczywiście nie.

Żeby być całkowicie szczerą – obiad był ostatnią rzeczą, która mnie w tej chwili zaprzętała. To, czym się obecnie zajmowałam, czyniło ze mnie niemal pustelnicę. Przez kilka dni tylko pracowałam i spałam, nie widując nikogo, żywiąc się konserwami i kładąc spać dopiero wczesnym rankiem. Kiedy Vivien zadzwoniła do mnie w następną środę po południu, nie mogła się powstrzymać od uwagi, że bardzo zardzewiał mi głos. Moje wyjaśnienia, że nie rozmawiałam przecież z nikim od trzech dni, sprawiły, że stała się jeszcze bardziej podejrzliwa.

– To nie mówisz nawet do siebie? – chciała koniecznie wiedzieć.

– Nie – uśmiechnęłam się do słuchawki. – Mam kuzynkę, która to robi, i za nic nie chciałabym być taka jak ona.

– Rozumiem. Czy nie miałabyś ochoty wyjść gdzieś dzisiaj? A może akurat masz przyływ weny twórczej?

– Chyba dam się przekonać, żeby się od tego wszystkiego na parę godzin oderwać. Co wymyśliłaś?

– Herbatę w Crofton Hall. Zmarszczyłam brwi.

– Chyba Geoff jeszcze nie wrócił?

– Nie, nie, jest cały czas we Francji. Właściwie to zaproszenie wyszło od ciotki Fredy. Już od paru dni namawia mnie, żebym cię zaprosiła na ploteczki, ale dopiero dziś udało mi się wygospodarować trochę czasu. Przez ostatnie parę dni Ned był chory.

A zatem czarownica z Exbury zapraszała mnie na herbatę. Brzmiało to bardzo zachęcająco.

– Przyjdę z wielką przyjemnością – powiedziałam.

– Świetnie. Może być o trzeciej? Jeśli chcesz, to możesz najpierw wpaść po mnie i pójdziemy razem.

– Dobrze. Przynieść coś ze sobą?

– Po prostu przyjdź. I musisz mieć dobry apetyt – ostrzegła. – Podwieczorkiem ciotki może się najeść do syta czteroosobowa rodzina, a my, niestety, bez grymasów będziemy musieli zjeść wszystko, co Freda nam poda.

O trzeciej po południu stwierdziłam, że zrobiłam dobrze, idąc za radą Vivien i nie jedząc lunchu. Zastanawiałam się, czy mój żołądek będzie w stanie to wszystko pomieścić. Stół przede mną ugiął się pod ciężarem niezliczonych talerzy z ciasteczkami, kanapkami, zimnym mięsem i piklami.

– Nie musisz zjeść tego wszystkiego, dziecko – zapewniła mnie pani Hutherson. Włała właśnie do czajniczka z herbatą świeżo zagotowaną wodę. – Niezależnie od tego, co ci naopowiadała Vivien, nie jestem tak surowa, żeby od ciebie tego wymagać.

Siedziałyśmy w kuchni Crofton Hall. Oczywiście nie w tej ogromnej, wspaniałej kuchni, którą widziałam podczas wycieczki po dworze, ale w mniejszym, bardziej funkcjonalnym pomieszczeniu w północnowschodnim, prywatnym skrzydle domu. Podłoga była z desek, w oknach zawieszono koronkowe firanki, z każdego okna zwieszały się kwiaty. Najwyraźniej Alfreda Hutherson spędzała w tym miejscu bardzo dużo czasu, a kuchnia promieniowała ciepłem, była przytulna i wygodna.

Zafascynowała mnie ta wysoka, czerstwa kobieta w prostej ciemnej sukni, o wesołych niebieskich oczach; dokładnie takie same miała Vivien. Podobieństwo było uderzające, aż zaczęłam się zastanawiać, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam. Ciotka Freda poruszała się z królewską niemal gracją i pomimo że miała siwe włosy, nie mogłam określić jej wieku. Podobnie jak jej siostrzenica, była urodzoną gawędziarką, osobą inteligentną i czytającą; z jej słów przebijała rozwaga i życiowa mądrość.

– Muszę przyznać – powiedziała, podsuwając nam już trzeci raz talerz z kanapkami – że miło jest mieć towarzystwo w tym domu. Czuję się zawsze strasznie osamotniona i bezrobotna, kiedy Geoff wyjeżdża.

– Za to dokarmiałś w tym tygodniu Iana, powiedział mi o wszystkim – rzekła Vivien oskarżycielskim tonem. – Przytyje.

– Przecież ciężko pracuje – odparła jej ciotka. – Szybko zrzuci wagę. A tak miło jest patrzeć na kogoś, kto lubi dobre jedzenie.

– Więc cały czas tu pani mieszka? – Wzięłam kanapkę. – We dworze?

Uśmiechnęła się.

– Nie, nie. Mam mały domek w wiosce. Po prostu tu pracuję. Sprzątam i nadzoruję pracę młodszych dziewcząt. Potem, zanim pójde do domu, wstawiam do piecyka kolację dla Geoffa, a on już sam zmywa. Jak widzisz, to bardzo nieformalny układ.

– Dom ciotki Fredy stoi tuż za starą plebanią – wtrąciła się Vivien. – Należał do mojej babci, kiedy jeszcze żyła. Mały kamienny domek z zielonymi okiennicami. Czy to telefon? – Pochyliła nagle głowę, nasłuchując. – Tak. Nie, siedź. Odbiorę – powiedziała do ciotki, odsuwając krzesło i znikając w korytarzu. Wróciła chwilę później, kiwając głową.

– Sytuacja kryzysowa – oświadczyła. – Dzwonił Ned. Krany od beczek przestały nagle działać i goście trzeźwieją. Lepiej pójde i sprawdzę, czy mogę jakoś pomóc. Wróce, jak tylko będę mogła.

– Bez pośpiechu, kochanie – uspokoiła ją Alfreda Hutherson, mrugając porozumiewawczo. – Jedzenia na pewno nie zabraknie. Schowamy dla ciebie parę herbatników.

Vivien zaśmiała się głośno.

– Nie wątpię.

Drzwi się za nią zamknęły, a siedząca naprzeciwko mnie kobieta podniosła swoją filiżankę i spojrzała na mnie uważnie.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną – powiedziała nagle. – Czy to wszystko tak wiele cię kosztuje?

Zawahałam się przez chwilę, zanim odpowiedziałam, nie będąc pewna, jak mam zrozumieć to pytanie. Sama też chciałam ją o coś zapytać. Spojrzałam niepewnie, a ona tylko uśmiechnęła się do mnie, stawiając filiżankę na spodeczku.

– Chcesz zapytać, czy wiem, co wiem i skąd wiem – rzekła cicho – ale myślę, że boisz się wystąpić z tym pierwsza. A zatem oszczędzę ci wysiłków. Tak, wiem o wszystkim. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, co ci się przytrafia od chwili przyjazdu tutaj. Właściwie bardzo się o ciebie martwiłam – wyznała szczerze. – Dlatego namówiłam Vivien, żeby cię tu zaprosiła. Chciałam się przekonać na własne oczy, jak sobie dajesz radę.

Po tej niezwykłej przemowie zamilkła, czekając na moją odpowiedź. Nie trwało to długo. Siedziałam bez ruchu na krześle, wpatrzona w nią, ale teraz uniosłam w zdziwieniu brwi i zaczęłam się śmiać.

– Ostrzegano mnie, że jest pani czarownicą.

Roześmiała się także, ale nie zaprzeczyła. Nalała mi filiżankę świeżej herbaty, oparła się wygodnie o poręcz krzesła i zrobiła zachęcający gest, mówiąc:

– A więc jednak masz pytania.

– Setki – przyznałam. – Ale nie jestem do końca pewna, czy chcę znać na nie odpowiedzi. Skinęła głową.

– Ani ja. To rodzaj podróży, którą właśnie zaczęłaś, Julio, i nikt nie może pokazać ci końca tej drogi. Musisz dotrzeć tam sama.

– Ale z pewnością mogłaby pani...

– Oczywiście, mogę powiedzieć ci o pewnych rzeczach. Ale moja pomoc bardziej by ci zaszkodziła, niż pomogła.

– Och! – Byłam rozczarowana, dostrzegła to i uśmiechnęła się do mnie.

– Nie załamuj się, dziecko – odparła. – Dajesz sobie dotychczas doskonale radę beze mnie. Wiesz już coś o Marianie i zaakceptowałaś to „podwójne” życie, zrobiłaś coś, czego nie potrafiliby albo nie chcieliby zrobić inni ludzie. A co ważniejsze, wydaje mi się, że zaczynasz rozumieć, że możesz całkowicie panować nad sytuacją, nieprawdaż?

Przytaknęłam ruchem głowy.

– W takim razie – rozłożyła ręce – musisz być cierpliwa, Julio, i zaakceptować to, co się dookoła dzieje. Niedługo poznasz odpowiedzi na swoje pytania. Nie będzie ci do tego potrzebna moja pomoc.

– Zeszłej soboty coś kupiłam – powiedziałam.

– Pulpit, wiem. Podniosłam głowę.

– Był na nim inicjał „H”.

Pokiwała głową, w taki sposób, jak to robią ptaki, i popatrzyła na mnie.

– „H” jak Howard, oczywiście. Domyśliłaś się, prawda?

– Tak, ale...

– Który z nich? Nie sędzę, bym wyrządziła ci krzywdę, mówiąc to. – Jej uważne spojrzenie prześliznęło się po mnie. – Należała do Johna Howarda.

– Johna? – Staralam się przypomnieć sobie to imię. – Johna? Syna Karoliny? – Przed oczyma stanęło mi drobne, różowiotkie dziecko, a potem bransoletka pieczołowicie przechowywana w sekretnej szufladce. – Ale jak on... Przerwała mi gestem dłoni.

– Tego musisz się dowiedzieć sama – powiedziała. – I na pewno się dowiesz. Jeszcze jedno ciasteczko?

Podsunięła mi talerz, wzięłam czekoladowy wafelek. To naprawdę dziwne, pomyślałam, siedzieć sobie tak w tej miłej, czyściutkiej kuchni i rozmawiać z prawdziwą czarownicą o reinkarnacji. To tak jakby gawędzić na pogrzebie o fasonach sukienek. Siedziałam przecież i jadłam wafelek nie dalej niż kilkadziesiąt centymetrów od kobiety, która potrafiła czytać w moich myślach tak łatwo, jak ja czytałam zapisaną kartkę papieru. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła, zorientowałam się, że robi to także teraz.

– Przepraszam – rzekła cicho – że wiem to, czego ty jeszcze nie wiesz. Ale widziałam, jak upływa czas, i nauczyłam się, że człowiek nie ucieknie od swego przeznaczenia. Usiadła wygodniej na krześle i spojrzała mi w oczy. – Życie jest jak wielkie koło – ciągnęła dalej. – Zaczynasz w jednym miejscu i wybierasz sobie ścieżkę, którą będziesz podążać. A kiedy kończysz, zauważasz, że znalazłaś się w ty samym miejscu, z którego wyszłaś. I właśnie to teraz robisz życiem Mariany. Kiedy pokonasz całą drogę, gdy zatoczysz już koło, dopiero wtedy cel twojej podróży stanie się dla ciebie jasny.

– Czy jest pani absolutnie pewna – zapytałam – że jestem nią... no, że ona jest... że Mariana Farr i ja to ta sama osoba?

– O tak – spojrzała na mnie łagodnie. – Rozpoznałam cię od razu.

– Rozpoznała mnie pani?

– Widziałam cię już przecież – wyjaśniła. – Oczywiście, nie w takiej postaci, w jakiej jesteś teraz, ale naprawdę byłaś taka sama.

– Rzeczywiście – powiedziałam. – Zielona Dama.

– I kobieta w Sypialni Rycerskiej – dodała. – Przez długi czas Mariana przebywała w obydwu tych miejscach.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale myślałam, że duch jest cały czas na górze. Przecież to niemożliwe, żeby jedna dusza była równocześnie w dwóch miejscach?

Alfreda Hutherson pokiwała spokojnie głową.

– Na górze nie ma żadnego ducha – oświadczyła. – Już nie. To, co poczułaś, wchodząc do pokoju, to tylko jakby odbicie tego, co było tam wcześniej. Widzisz, ona to pozostawiła po sobie, tak jak ktoś zostawia cień na ścianie.

Przez chwilę rozmyślałam w milczeniu.

– Czasami widuję mężczyznę – powiedziałam wolno. – Mężczyznę na siwym koniu...

– Richarda – skinęła głową. – On też jest rodzajem cienia z przeszłości. Widujesz go pod

starym dębem, prawda? Tak, spędził tam dużo czasu. To naturalne, że coś z niego pozostało w tym miejscu. Musisz też zrozumieć, że część tego wszystkiego jest jakby odbiciem zrodzonym w twoim mózgu. Kiedy patrzysz zbyt długo na słońce, potem widzisz je wszędzie.

Wobec tego moje podejrzenia były słuszne, pomyślałam. Jeśli Richard de Mornay nie jest duchem, w takim razie, podobnie jak Mariana, najprawdopodobniej żyje gdzieś w Exbury. Może nawet mieszkać w Crofton Hall. Co mówił Tom? Że ludzie, którzy chcą się narodzić ponownie, otaczają się osobami znanymi z poprzednich wcieleń. W jakiś sposób jesteśmy więc wszyscy ze sobą połączeni. Vivien, Ian, Geoff i ja... i może nawet...

– Czy my się już kiedyś spotkałyśmy? – spytałam panią Hutherson z zaciekawiona. – Mam na myśli wtedy... czy była pani kimś, kogo znałam?

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa, ale wydało mi się, że był to uśmiech raczej smutny, a jej oczy, kiedy spojrzała na mnie, dalekie i zamyślane.

– No cóż – westchnęła, odwracając wzrok do okna – wszyscy kiedyś kimś byliśmy. – Pochyliła głowę, nasłuchując. – Idzie Vivien – powiedziała. – Muszę nastawić czajnik i zaparzyć świeżą herbatę.

Ja nie słyszałam nic oprócz wiatru i cichego ćwierkania ptaków. Nie zdziwiłam się jednak, gdy zobaczyłam Vivien, która weszła do kuchni akurat w chwili, gdy zaczął gwizdać czajnik.

Rozdział 19

W nocy śniła mi się moja mama. Śniłam, że jestem znów małym dzieckiem, mam podrapane kolana i mysie ogonki i bawię się na podwórku przed naszym domem w Oksfordzie. Mama siedzi przede mną na trawniku i czyta książkę. We śnie oczy mamy są niebieskie. Ma taką samą ciemną karnację jak ja i myślę, jakie to dziwne, że jej oczy z brązowych zrobiły się nagle niebieskie. Kiedy ją o to pytam, uśmiecha się tylko i każe mi się dalej bawić.

Nasze podwórko jest bardzo małe, ale kiedy zaczynam iść w kierunku ogrodu, wydaje mi się, że ono się oddala ode mnie. Wkrótce jestem już na łące pełnej kwiatów, czuję, jak ciepło słoneczne grzeje mi ramiona, słyszę też pszczoły i inne owady krążące w powietrzu. Gdybym tylko wyciągnęła dłoń i dotknęła nią lekko kwiatowych płatków, poczułabym ich słodycz i zapach.

Jestem teraz daleko od domu. Kiedy się odwracam, widzę tylko mały punkcik w oddali. Mimo że łąka jest cudowna, wiem, że mama będzie się niepokoić, jeśli zostanę tu zbyt długo. Zawracam niechętnie. Wydaje mi się, że teraz mam do pokonania drogę znacznie dłuższą niż poprzednio; żeby wejść na podwórko, muszę się też wspinać po murze. Kiedy w końcu wracam, słońce stoi nisko na niebie, powietrze jest zimne i wilgotne. Nie widzę już mamy na trawniku.

Wchodzę do domu, ale tam też nie ma nikogo. Dom jest kompletnie pusty i smutny; panująca w nim cisza drażni moje uszy bardziej niż jakikolwiek hałas. Oszołomiona i przerażona, biegnę do domu mojej przyjaciółki i zaczynam walić w drzwi. Otwiera mi, ale nie jest już dzieckiem jak ja, lecz dorosłą kobietą. Stoi i patrzy na mnie współczująco.

– Tak mi przykro – mówi. – Nikt ci nie powiedział? Twoja matka zmarła całe lata temu...

Gdy się obudziłam, byłam zalana łzami. Kiedy tak leżałam w ciemności, słuchając wody kapiącej z kranu w łazience i patrząc na cień topoli tańczący na kołdrze, czułam, jak bardzo moje łzy są słone. Starłam się uspokoić, zwolnić rytm trwożliwie bijącego serca. Kiedy znów mogłam normalnie oddychać, zapaliłam światło, usiadłam i roztrzełam mokre od łez włosy, które opadły mi na twarz.

To tylko sen, mówiłam sobie. Nie jesteś już dzieckiem, masz prawie trzydzieści lat, a twoja matka żyje. Podniosłam z podłogi szlafrok, niecierpliwie wsunęłam ręce w rękawy, związałam pasek i pobiegłam do holu. Wiedziałam, że nie będę mogła zasnąć, dopóki nie wyzwolę się z wrażenia tego snu. W takich chwilach żałowałam, że nie mam telewizora, tak jak inni. Ale niestety, oddałam go komuś dawno temu. Teraz by się przydał, bo w tym stanie nie mogłabym zająć się pracą.

Zaczęłam więc słuchać nocnego programu w radiu i zrobiłam sobie kubek kakao. Kiedy i to nie pomogło, wzięłam książkę. Godzinę później, niezdolna otrząsnąć się z niezrozumiałego lęku, który ścisnął mi serce, podniosłam słuchawkę i drżącą ręką wykręciłam numer w Nowej Zelandii.

Mama odebrała telefon dopiero po ósmym dzwonku, miała zaspany głos. Dopiero po

kilku sekundach oprzytomniała na dobre.

– Julio, czy coś się stało?

Musiałam przyznać ze skruchą, że nie i że dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć im dzień dobry i sprawdzić, czy u nich wszystko w porządku.

– O czwartej rano? – Mama dokonała szybkiego obliczenia różnicy czasu i nie wydawała się przekonana moimi wyjaśnieniami.

Westchnęłam głęboko, z ulgą.

– Miałam koszmar. Śniło mi się, że umarłaś.

– Och, kochanie... – Jej głos był kojący, łagodny. – To straszne. No cóż, jak słyszysz, żyję i w najbliższej przyszłości nie mam zamiaru umierać. Możesz przestać się martwić. – Dobięło mnie ciche skrzypnięcie w słuchawce i wiedziałam, że mama siada w fotelu, układając sobie poduszki pod plecami. – Jak ci się żyje w twojej wiosce? – spytała. – Tommy mówi, że masz cudowny dom, chociaż ma pewne wątpliwości co do instalacji hydraulicznych...

Nie czekając na odpowiedź, mama, wspomagana przez ojca mamroczącego coś za jej plecami, zaczęła mi szczegółowo relacjonować, jak oboje dogadują się z różnymi krewnymi w Auckland.

– Co mówisz, Edwardzie? – zapytała tatę łagodnie. – Ach tak, całkiem o tym zapomniałam. Więc wtedy, Julio, ona pokazała się w najbardziej nieprawdopodobnym kapeluszu, jaki kiedykolwiek widziałam... – przekazywała mi kolejną porcję rodzinnych ploteczek, by oderwać mnie od myśli o moim koszmarze.

Mam naprawdę wspaniałych rodziców, pomyślałam, kiedy prawie godzinę później odłożyłam wreszcie słuchawkę. Terapia mamy rzeczywiście podziałała. Nie bałam się już, ale niestety nie chciało mi się też spać.

No cóż, powiedziałam sobie, skoro mam nie wracać do łóżka, przynajmniej się ubiorę. Weszłam na górę i w przewidywaniu ładnej pogody włożyłam dzinsy i luźną trykotową bluzkę. Kiedy czesałam się przed lustrem, mój wzrok padł na mały poczerniały kluczyk, który cały czas leżał na szafce. Powoli odłożyłam szczotkę i wzięłam klucz, ważąc go na dłoni.

Jakie tajemnice ma przede mną otworzyć? – zastanawiałam się. Przypomniałam sobie subtelną, pełną zrozumienia twarz pani Hutherson, która uśmiechała się do mnie wczoraj przy stole w Crofton Hall. To rodzaj podróży, jaką zaczęłaś, powiedziała. Zaciskając palce na kluczu, spojrzałam na siebie w lustrze. Nie było sensu odwlekać tego, co nieuniknione, pomyślałam. Przyszedł czas na kolejny etap mojej podróży. Najwyższy czas, żeby znów wrócić.

Na dole zapaliłam świecę, której użyłam do mojego ostatniego eksperymentu, i ustawiłam ją dokładnie pośrodku stołu. Na dworze zaczynało już świtać, płomień był przez to mniej widoczny, ale przy odrobinie wysiłku udało mi się na niej skupić, na wpół przymykając oczy. Czas się zatrzymał. W cichym pokoju słychać było tylko mój głośny oddech.

– Mariano! – Głos Karoliny był ostry. Uniosłam głowę, wystraszona. Ciotka uśmiechnęła się lekko, widząc moją reakcję, jej głos złagodniał. – Zaraz sobie coś zrobisz – ostrzegła – drzemiac przy tym zajęciu. Zbudziłeś cię za wcześnie?

– Nie spałam najlepiej – wykręciłam się drobnym kłamstwem, nie chcąc wyjawic, że moje roztargnienie spowodowane jest myślami o pewnym ciemnowłosym sąsiedzie. Ścisnęłam mocniej nóż i zaczęłam znów kroic warzywa do zupy, którą gotowała Rachela.

– Jest bardzo gorąco – powiedziała Rachela na moją obronę. – To może rozleniwic każdego. – Odsunęła się od ognia. Miała zarumienioną twarz, spojrzala na Karolinę. – Widziałam, że nawet ty, siostrzyczko, zasypiałaś dziś rano podczas modlitwy.

– Nigdy nie śpię podczas modlitwy – zaprzeczyła natychmiast Karolina, ale w jej oczach widać było radosne iskierki. Odpierając zaczepki Racheli, wyglądała prawie młodo. – Byłam po prostu zatopiona w modlitwie.

Rachela na pewno znalazłaby odpowiedź i na to, ale zanim zdążyła się odezwać, drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł wuj. Z oczu Karoliny w jednej chwili zniknęło życie, tak jakby jej twarz przykryła jakaś niewidzialna dłoń. Wuj nie zauważył tej przemiany. Był czerwony, spocony od gorąca. Miał kwaśną minę.

– To najbardziej upalny dzień w moim życiu – narzekał, ścierając pot z karku. – Po prostu ogień piekielny. Mariano, dziecko, przynieś mi kubek wody, pośpiesz się.

Wykonałam polecenie bez słowa. Podałam wujowi kubek i wróciłam do pracy. Wypił wodę tak, jak to robią zwierzęta, chlepcząc głośno, potem, orzeźwiony, odstawił kubek na stół. Spojrzał na mnie.

– Wyglądasz na zmęczoną, Mariano. Karolina drgnęła w swoim kącie przy palenisku.

– Po prostu źle spała, Jabez. Nie ma się czym martwic. Jego oczy zwęziły się.

– Musi się więcej ruszać. Spacer na świeżym powietrzu wyleczy ją z wszelkich dolegliwości. – Zwrócił się do mnie niemal przyjaźnie. – Kiedy skończysz pracę – powiedział – pozwalam ci spędzić resztę dnia na dworze. Idź nad rzekę, tam na pewno jest chłodniej.

Staralam się ukryć, jak bardzo poruszyły mnie jego słowa. Z trudem mogłam uwierzyć w swoje szczęście – spędzę parę godzin poza domem! Zdumiałam się, gdyż wuj rzadko pozwalał mi się oddalać od domu. Nawet Karolina uniosła brwi w zdziwieniu, ale przezornie nie odezwała się słowem.

Wuj Jabez zwrócił się teraz do Racheli.

– Będziemy mieć gości na obiedzie – oznajmił. – Cztery osoby. Masz upiec gołębic, nie mniej niż po dwa dla każdego, i przynieść z piwnicy dzban dobrego wina. Mariana, zanim pójdzie nad rzekę, może ci pomóc przyrządzić ptaki.

Wydałam cichy okrzyk protestu, oczy rozszerzyły mi się z przerażenia. Rachela spojrzala na mnie znad garnka zupy.

– Sama to zrobię – powiedziała. – Mariana ma zbyt miękkie serce. Nie lubi skręcać im karków.

Wuj wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi mnie, kto je będzie zabijał, pod warunkiem, że znajdą się na moim talerzu podczas dzisiejszego obiadu. – Rzucił spojrzenie na żonę. – Mam nadzieję, że zajmiesz się dzieckiem – powiedział – i sprawisz, że będzie cicho. Nie życzę sobie, żeby wrzeszczący bachor odebrał moim gościom apetyt.

Karolina wymamrotała w odpowiedzi kilka niezrozumiałych słów ze spuszczoną

pokornie głową. Wiedziałam, że brutalna uwaga męża zraniła ją głęboko. Rachela opowiedziała mi o wielkich kłopotach siostry z zajściem w ciążę, o nieszczęśliwych latach bez dziecka i w końcu o ogromnej radości Karoliny po jego przyjsciu na świat. Kobieta bolało bardzo, że Jabez nie podziela tego uczucia.

– Johnnie to dobre dziecko – usłyszałam swój głos. – Nie wydaje mi się, żeby mógł komukolwiek przeszkadzać.

Zimne niebieskie oczy wuja znowu spoczęły na mnie.

– Możesz iść, jak tylko będziesz gotowa – powiedział lodowatym głosem. – I pamiętaj, żeby dobrze wypocząć. Nie chcę cię tu widzieć wcześniej niż koło szóstej.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, Karolina ruszyła za nim niczym wierny cień. Rachela spojrzała na mnie zdziwiona i rzekła:

– Nie powinnaś tak do niego mówić. Nie ma sensu stawać w obronie mojej siostry, Mariano. Przecież widzisz, że idzie na rzeź posłusznie jak owieczka.

– Wiem – odparłam. – Ale nie mogłam się powstrzymać.

– Cóż... – Rachela przeszła przez kuchnię i stanęła koło stołu. – W końcu nic się nie stało. Będziesz miała prawie cały dzień, żeby wypocząć i ochłonać. To musi być bardzo miłe.

Byłam naprawdę zachwycona perspektywą spędzenia kilku godzin poza domem, ale złość psuła mi przyjemność. Było jasne, że wuj nie chciał, żebym była w domu, kiedy przyjadą jego goście. Nie mogłam powstrzymać ciekawości.

– Rachelo – spytałam – o jakich gościach wuj mówił? Znasz ich?

Wiedziałam, że Rachela nie umie kłamać. Jeśli nie chciała czegoś powiedzieć, usiłowała zmienić temat rozmowy. Próbowała to zrobić również teraz, pochyliła głowę, a kaskada jasnych włosów zupełnie zakryła jej twarz. Oświadczyła jednak, ważąc każde słowo:

– Czasami, zamiast zadawać pytania, lepiej jest zamknąć oczy i zasłonić uszy.

Wiedziałam, że nie powie już nic więcej, więc zrezygnowałam z dalszych pytań. Wzięłam miskę pełną warzyw i wrzuciłam je do gotującej się wody.

– Mogę już iść? – spytałam, wycierając wilgotne ręce o spódnicę.

Rachela wzruszyła ramionami.

– Chyba że chcesz przynieść gołębce – powiedziała, po czym się roześmiała, patrząc na moją twarz. – Leć już – zezwoliła, naśladowując doskonale sposób mówienia wuja – i pamiętaj, masz dobrze wypocząć.

Byłam zbyt szczęśliwa, żeby narzekać. Niebo było czyste, trawa pod moimi bosymi stopami chłodna i orzeźwiająca; wszystko wydawało mi się cudownie piękne, kiedy tak szłam w stronę rzeki przez falującą łąkę. Od brzegu dzieliło mnie około mili, ale nie śpieszyłam się. zbytnio, upajając się cudownym uczuciem lekkości i swobody.

Nawet lejący się z nieba żar nie mógł mnie zniechęcić. Upał działał na mnie wręcz zbawiennie, wypalając jakby wszelkie słabości organizmu i sprawiając, że zaczynałam czuć się zdrowsza i silniejsza niż poprzednio. Im bliżej rzeki, tym więcej było cienia dzięki drzewom rosnącym tutaj gęściej.

Słyszałam jedynie odgłosy natury – ptaki ćwierkały na najwyższych konarach, zwierzęta przemykały cicho w pobliskim lesie, ryby wyskakiwały ponad powierzchnię płytkiej wody.

Było to jakby wstąpienie do rajskiego ogrodu po okresie przymusowego pobytu w lochach. Dżuma i Londyn wydawały się daleko stąd, ciemne izby Szarych Głazów nieco bliżej.

Uniosłam skraj spódnicy i weszłam do wody, starając się nie zmoczyć ubrania. Przyjemny chłód objął moje nogi powyżej kostek. Ruszyłam pod prąd, rozkoszując się dotykiem gładkich, zimnych kamieni pod stopami.

Uszłam już spory kawałek, rozchlapując wodę i nucąc pod nosem piosenkę, którą sama przed chwilą ułożyłam. Kiedy zbliżyłam się do miejsca, w którym rzeka skręcała i drzewa rosły jeszcze gęściej, zatrzymałam się na chwilę i weszłam na głębszą wodę.

Nagle zaskoczyły mnie ptaki, które bez żadnego ostrzeżenia rozćwierkana, gwarną chmarą zerwały się z pobliskich drzew, wzbily w niebo i zniknęły gdzieś w górze. W tym cichym zakątku zabrzmiało to niemal jak wystrzał armatni. Przestraszona, straciłam równowagę i z głośnym pluśnięciem wpadłam do wody. I chociaż to nie przystoi panience, zakląłam ze złości. Odgarniając mokre włosy z oczu, z bijącym mocno sercem spojrzałam, żeby sprawdzić, co tak bardzo przeraziło ptaki.

Z początku ujrzałam tylko nieruchome cienie. Potem jeden z nich się poruszył, a ściana zieleni się rozstąpiła, ukazując ciemnego jeźdźca na siwym koniu. Jechał brzegiem w moim kierunku.

Rozdział 20

Richard de Mornay zatrzymał Navarre'a o pół kroku od leniwie płynącej wody, oparł się łokciem o łęk siodła i spojrzał na mnie z zainteresowaniem sponad końskiej szyi.

– Dzień dobry, panno Farr. – Zdjął z głowy ogromny kapelusz i uklonił się. – Nie wiedziałem, że wśród twoich licznych umiejętności znajduje się również pływanie.

Żeby stanąć na nogi, musiałam wykonać parę śmiesznych ruchów. Poza tym byłam na niego wściekła, bo zaczął się ze mnie śmiać. Wstałam i uniosłam dumnie głowę.

– Posiadam niezliczone mnóstwo talentów, mój panie – odparłam zimno, otrzepując się z wody.

– Nie wątpię w to – rzekł poważnie. Zeskoczył z konia, trzymając lejce w ogromnej dłoni.

– Przemoczyłaś się – oświadczył, jakby to była w tej sytuacji jakaś nadzwyczajna nowina.

– Musisz przejść się trochę po słońcu, żeby wyschnąć.

Uparcie stałam w miejscu.

– Nie mam ochoty na spacer w słońcu, panie. Sądzę, że cień drzew jest bardziej orzeźwiający.

– W takim razie musisz przejść się po lesie. Chodź, pomogę ci.

Wyciągnął do mnie rękę, patrząc mi prosto w oczy. Po chwili namysłu położyłam na niej swoją dłoń i pozwoliłam sobie pomóc przy wyjściu na brzeg. Musiałam przyznać, że było to potrzebne, ponieważ mokra suknia oblepiała mi nogi, co groziło ponownym upadkiem do wody. Kiedy wreszcie wydostałam się na brzeg, wyrwałam swoją dłoń z jego ręki, jakby była ona jadowitym wężem.

– Dzięki, panie – powiedziałam. – To nader uprzejme z pańskiej strony. – Ruszyłam znów w górę rzeki, tym razem już po ładzie, czując się w swojej mokrej sukni bardziej niż upokorzona.

– Proszę bardzo. – Richard de Mornay dołączył do mnie, prowadząc za sobą konia. – Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko mojemu towarzystwu. Żołnierz nie pozwala damie spacerować samotnie po lesie.

Złamałam trochę zasady dobrego wychowania i powiedziałam:

– Nie wiedziałam, że jest pan żołnierzem.

– Wywodzę się z takiej rodziny. – Uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech radosny. – Waleczni rycerze, zręczni szermierze, no i ja, który zostałem, by bronić honoru rodziny.

– W takim razie nie muszę się martwić, że w pana towarzystwie stracę swój. – Stwierdzenie to było bardzo śmiałe i wiedziałam o tym. Spojrzał na mnie zdziwiony i wybuchnął śmiechem, który odbił się echem po lesie.

– Jesteś bezwstydną młodą kobietą – zaśmiał się. – Nie, nie musisz się martwić. Nie będę się domagał swoich pańskich przywilejów. Jeszcze nigdy nie zmusiłem kobiety, by uczyniła coś wbrew własnej woli.

Spojrzałam w jego szczerą, miłą twarz i nie miałam wątpliwości, że Richard de Mornay mówi prawdę. Być może niepokoiły mnie bardziej moje własne zamiary niż to, co on mógł

zrobić.

– Powiedz mi – ciągnął dalej, zmieniając temat rozmowy – jak traktuje cię wuj? Chyba nie lubi, kiedy przechadzasz się samotnie. Widzę cię samą dopiero drugi raz. Powiedz, co sprawiło, że pozwolił ci dziś wyjść z domu?

Uśmiechnęłam się.

– Właściwie to sam mnie stamtąd wyprawił – wyjaśniłam. – Oświadczył, że obawia się o moje zdrowie.

– Ach – wtrącił złośliwie – istotnie to bardzo litościwy człowiek. Pewnie dlatego tak wykorzystuje swoich bliskich.

Spojrzałam na niego.

– Zdaje mi się, że nie bardzo lubi pan mojego wuja.

– Uważam, że jest okrutny i antypatyczny – oświadczył, wzruszając ramionami. – Nie kochamy się zbyt.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Powiedział mi kiedyś, że siedzi w tobie diabeł, panie. Uśmiechnął się znowu.

– Nie wątpię, że w to wierzy. A co ty sądzisz na ten temat, Mariano Farr?

Istotnie, z tym urzekającym uśmiechem, w swoim czarnym stroju, z ciemnymi włosami i błyszczącymi oczyma, wyglądał trochę diabelsko. Przyglądałam mu się chwilę, potem wzruszyłam ramionami.

– Przecież mam oczy i potrafię oceniać ludzi, panie. Patrzę uważnie i na razie nie widzę rogów.

Szliśmy dalej, w pewnej chwili spojrzał na mnie i nagle spowaźniał.

– Musi być ci strasznie trudno w tym domu – powiedział. Wyprostowałam się dumnie.

– Jestem sierotą, panie, i żyję na łasce krewnych. Nie zastanawiam się zbyt nad swoim losem.

Widziałam, że wątpi w szczerość moich słów, ale nic nie odpowiedział. Szliśmy dalej w milczeniu. Kiedy zbliżyliśmy się do następnego zakola rzeki, idący za nami ogier wstrząsnął głową, pociągnął za lejce.

– Wydaje mi się, że Navarre chce pić – wyjaśnił Richard. – Chodź, usiądź przy mnie, zaczekajmy, aż się napije. To naprawdę miły zakątek.

Pozwoliłam się zaprowadzić na porośniętą wysoką trawą polanę i usiadłam na zwałonym pniu, starając się odpędzić poczucie winy, które mnie nagle ogarnęło. Pomyślałam, że przecież wuj nigdy się o tym nie dowie, a jeśli nawet tak, to czy to grzech? W końcu wcale nie pragnęłam, żeby Richard de Mornay towarzyszył mi w przechadzce. Ale przecież, z drugiej strony, nie mogłam powiedzieć panu tych ziem, żeby sobie po prostu poszedł. Tyle że tak naprawdę wcale nie chciałam, żeby Richard sobie poszedł.

Usiadł u moich stóp na ziemi, opierając się plecami o chropowaty pień drzewa. Obserwował, jak jego siwy koń łapczywie pije wodę.

– Powiedział pan, że jest ostatni ze swojego rodu – odezwałam się, usiłując podtrzymać rozmowę. – Nie ma pan braci?

– Pięciu – odparł – ale wszyscy są już w grobie. Zginęli za Karola I.

Spojrzałam na niego wzrokiem pełnym podziwu.

– W takim razie ojciec pana opowiedział się przeciwko parlamentowi?

– Aha! – Zabrzmiało to bardzo gorzko. – A co gorsza, wszyscy moi bracia stracili nie tylko głowy, ale też ziemie oraz wszystko, co kiedykolwiek mieli i kochali.

– Rzeczywiście nie kłamał pan – rzekłam.

– Nie – uśmiechnął się blado. – Najmłodszy z nas, kiedy kładł głowę pod topór, liczył zaledwie osiemnaście lat i był świeżo po ślubie. Ja miałem wtedy około dwudziestu. Po egzekucji wyjechałem do Francji i schroniłem się u rodziny mojej matki, na dworze francuskiego króla. Nie miałem ochoty tu zostawać, zresztą i tak na nic bym się nie przydał mojemu ojcu, który siedział już wtedy uwięziony w Tower.

Spojrzałam na niego.

– Pański ojciec był w Tower?

– Został pojmany w czterdziestym szóstym roku podczas obrony Exeter. Potem przez czternaście lat trzymano go w więzieniu bez procesu i wyroku. Można powiedzieć, że zestarzał się w tym okropnym miejscu. Dożył jeszcze chwili, kiedy go zwolniono i zwrócono mu wszystkie posiadłości. Niestety, nie doczekał mojego powrotu z Francji. – Urwał źdźbło trawy i zaczął się nim bawić. Na jego twarzy dojrzałam koszmarnie cienie przeszłości.

– Przepraszam. – Zrobiło mi się go żal. – Wiem, co to znaczy stracić ojca. A więc nie ma pan już nikogo?

– Niezupełnie. Mam bratanek, Arthura, syna mojego młodszego brata. Mieszka ze swoją matką w Holandii. Liczy dopiero piętnaście lat. To przyszły piękniś i lekkoduch, niemniej mój bratanek. No i jest jeszcze Evan. To mi w zupełności wystarczy.

Powiedział mi, że Evan Gilroy to jego przyjaciel z czasów, kiedy wojna w kraju pozostawiła za sobą jedynie śmierć. Gdy Richard de Mornay przed pięciu laty wrócił do Anglii, Evan zaofiarował nowemu panu tych włości swoje usługi. Od tego czasu opiekuje się końmi i ziemiami poddanych.

Mężczyzna siedzący u moich stóp uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– Powrót do pustego domu i splądrowanej posiadłości nie jest zbyt przyjemny – rzekł. – Gdyby nie Evan, nie wiem, czy zdecydowałbym się tu zostać.

W duchu pomyślałam, że mam wobec Evana dług wdzięczności. Gdyby nie przemoczone ubranie, czułabym się absolutnie szczęśliwa, siedząc tak w słońcu i gawędząc z Richardem, niepomna na to, że dzieli nas dobre kilka stopni drabiny społecznej. Pomyślałam, że mój ojciec na pewno by go polubił, skoro wuj Jabez tak go nienawidzi.

Oparłam się o pień drzewa i spłótłam ręce wokół kolan, zaciskając mocno palce.

– Czy spotkał pan króla?

– Oficjalnie? Jeden raz. Ale poza tym widywałem go dość często. W latach swojego wygnania przebywał bardzo chętnie na dworze francuskim.

– A ja widziałam go tylko raz. Podczas koronacji. Pamiętam, że zrobił na mnie wtedy ogromne wrażenie – opowiadałam. – Z tymi swoimi długimi kręconymi włosami, mądrą twarzą i łagodnymi ciemnymi oczyma wyglądał naprawdę po królewsku. Jest chyba rzeczywiście dobrym i mądrym człowiekiem.

– Tak, jest mądry – potwierdził moje słowa Richard de Mornay – i znacznie wartościowszy od innych ludzi. Ma wielkie serce, ale nie jest wielkim władcą. Czasy wielkich królów minęły bezpowrotnie.

Potarłam brew w zamyśleniu.

– Mówią, że w głębi serca jest katolikiem. Richard wzruszył ramionami.

– Moja matka też była katoliczką – odparł. – To chyba nie grzech.

Udałam, że jest mi to obojętne. Nigdy jeszcze nie spotkałam katolika.

– A pan? – zapytałam. – Jakiego pan jest wyznania? Richard de Mornay pochylił głowę, spoważniał.

– Nie mam żadnego pożytku z Boga – rzekł poważnie. – I On nie ma go ze mnie.

Odrzucił źdźbło trawy i ujął moje dłonie, podnosząc je do góry.

– Nie nosisz bransolety – powiedział.

Oblałam się rumieńcem, starając się równocześnie wyrwać ręce z jego uścisku.

– Przecież nie mogę – odparłam. – Naprawdę nie mogę jej przyjąć, nie byłoby to dobrze widziane. Zamierzałam właśnie ci ją zwrócić, panie.

– Nie przyjmę jej. – Wyglądał na naprawdę rozgniewanego. – Ofiarowałem ci tę bransoletę i chcę, żebyś ją nosiła.

– Z pewnością nie spodoba się to mojemu wujowi – powiedziałam tylko, ale on niemal się wzdrygnął, puścił moje dłonie i wstał, żeby przyprowadzić puszczanego luzem konia.

– Nie obchodzi mnie to – rzucił. – Jakim prawem twój wuj wtyka nos w moje sprawy?

– Żadnym, ale bardzo interesuje się wszystkim, co dotyczy mojej osoby, a ja nie chciałabym dać mu powodów do gniewu.

Odwrócił się rozzłoszczony i powiedział surowo:

– Jeśli Jabez Howard odważy się prześladować cię w jakikolwiek sposób, na pewno się o tym dowiem.

Teraz i ja wstałam i stając naprzeciwko niego, spojrzałam mu w oczy.

– Pochlebiasz mi, panie, ale nie powinieneś się tym tak przejmować. Nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

– Mylisz się, panienko – odparł. – Właśnie że jestem. Tak postanowiłem. – Skinął na mnie, kładąc jedną rękę na siodle. – Chodź, odwiozę cię.

Popatrzyłam na niego z lękiem.

– Nie wsiądę na konia z żadnym mężczyzną, panie.

– W takim razie jedź sama – zaproponował, rozbawiony moimi uprzedzeniami.

Spojrzałam w niebo, szukając tam jakiegoś wsparcia, i zauważyłam z ulgą, że słońce wciąż świeci wysoko nad horyzontem.

– Jeszcze za wcześnie na powrót – wyjaśniłam. – Wuj nie pozwolił mi wrócić do domu wcześniej niż koło szóstej.

Richard de Mornay zmrugał oczy, jakby nie całkiem dowierzając moim słowom.

– Miła rodzinka, nie ma co. Ale to nic – możesz przecież pojechać ze mną do Crofton Hall i spędzić tam resztę popołudnia jako mój gość.

Była to bardzo kusząca propozycja, pokręciłam jednak głową i odstąpiłam krok do tyłu,

potykając się niemal o przewrócony pień.

– Jestem bardzo wdzięczna – powiedziałam cicho – ale myślę, że nie powinnam, panie.

– Twoja wola – rzekł, wskakując lekko na siodło. Podjechał bliżej, wiedząc, że leżący za mną pień uniemożliwia mi jakikolwiek ruch. – Powiedziałem ci już, że do niczego nie będę cię zmuszał – rzekł i uniósł moją brodę, by popatrzeć mi w twarz. – Jeśli zostaniemy kochankami, to tylko dlatego, że będziesz tego pragnęła tak mocno jak ja. – Zanim machnął kapeluszem na pożegnanie, dotknął palcami moich warg – miała to być namiastka pocałunku.

Siwy koń mimo swej potężnej postury ruszył z szybkością młodego ogiera. Patrzyłam, jak gęstwina drzew pochłania ich obydwu; przez parę następnych minut stałam, słuchając cichnącego tętentu kopyt. Nie miałam ochoty się ruszyć, pragnęłam zatrzymać tę chwilę tak długo, jak tylko to możliwe, ale czułam, że sekundy są niczym ziarnka piasku przesypujące się przez palce...

Nagle wszystko stało się niewyraźne, jakby rozmyte, i zniknęło.

Stałam sama na brzegu leniwie płynącej rzeki; na miejscu dawnego lasu rosły teraz niskie krzewy i gdzieniegdzie samotne wierzby. Brzegi były strome, wysokie, ponad nimi mogłam ujrzeć jedynie trawę i błękitne niebo w górze. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem.

Wdrapałam się więc na skarpę i rozejrzałam po pobliskich polach, żeby się zorientować w okolicy. Na lewo, w dosyć dużej odległości, zobaczyłam ogrodzone łąki i dachy małej osady; to mogło być Exbury, ale nie miałam pewności, czy tak jest. Parę kroków od siebie ujrzałam nagle kamienne ogrodzenie, a za nim mały, pomalowany na biało dom ze skrzynkami pełnymi kwiatów w każdym oknie.

Z tyłu, za domem, rosły gęste jabłonie o starannie przyciętych pędach. Kilka pasących się koło muru owiec popatrzyło na mnie ze zdziwieniem.

Wiedziałam już, czyj to dom, zanim Ian Sumner nadszedł, pogwizdując, i zaczął wyjmować z szopy jakieś narzędzia, których z tej odległości nie mogłam rozpoznać. Stał odwrócony do mnie plecami, na jego trykotowej koszulce odznaczały się napięte mięśnie, rude włosy wyburzały już całkiem od silnego słońca.

Przysięgam, że kiedy przeskoczyłam ogrodzenie i zaczęłam się przedzierać przez stado owiec, moim jedynym zamiarem było poprosić Iana o filiżankę kawy. Ale kiedy podeszłam bliżej, a on wciąż nie wiedział, że tu jestem, przyszedł mi do głowy diabelski plan.

Pomyślałam, że właśnie teraz nadarza się okazja, żeby odpłacić mu pięknym za nadobne. Nigdy chyba nie będzie do tego lepszej sposobności. Zwolniłam, żeby nie słyszał odgłosu moich kroków.

Kiedy byłam już całkiem blisko, dojrzałam wreszcie, czym jest tak bardzo zajęty. Obrabiał ciężką drewnianą belkę, taką, jakie widuje się często pod dachem w stodołach. Obłoczek niebieskiego dymu z papierosa wzbijał się nad jego pochyloną głową.

Dzielił mnie od Iana dosłownie jeden krok. Jeśli go zrobię, będę mogła wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia. I kiedy moja dłoń znajdowała się już w pół drogi, Ian uniósł głowę, obrócił ją lekko i wyjął papierosa z ust.

– Dzień dobry, Julio – powiedział.

Rozdział 21

Na szczęście nie potrafił długo utrzymać miny niewiniątka. Roześmiał się głośno, zaciągnął papierosem i stanął wyprostowany.

– Królestwo za aparat fotograficzny – rzekł rozbawiony, mrużąc oczy. – Naprawdę żałuj, że nie możesz teraz siebie zobaczyć.

Zamknęłam półotwarte ze zdumienia usta i pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Skąd, na Boga, wiedziałeś, że tu jestem? – spytałam, Ian splótł dłonie i przeciągnął się, rozprostowując kości.

– Bynajmniej nie jestem jasnowidzem – zapewnił mnie z poważną miną. – Widziałem, jak przeskakujesz przez ogrodzenie, i pomyślałem, że na pewno wymyśliłaś coś ciekawego. Poza tym – dodał, wskazując na cienie na murze – jeśli kiedykolwiek chciałybyś zaskoczyć Szkota, to nigdy nie rób tego, mając słońce za plecami. – Spojrzał na mnie uważniej. – Nurkowałeś – zauważył.

Zdziwiłam się, że nie zwróciłam wcześniej uwagi na swoje ubranie. Być może tak przyzwyczaiłam się do przemoczonej, ciężkiej od wody sukni Maryany, która oblepiała mi nogi, że teraz nie zauważyłam różnicy. Zdziwiona, popatrzyłam po sobie. W tej samej chwili poczułam, że jest mi bardzo zimno w mokrych dżinsach i bluzie. Przesunęłam ręką po włosach i stwierdziłam, że wprawdzie są suche, ale kompletnie rozczochrane. Musiałam wyglądać jak nieboskie stworzenie.

– Przewróciłam się w wodzie – odparłam. – Już prawie wyschłam. Chyba.

Ian spojrział na moje bose stopy i podrapaną twarz.

– Jeśli będziesz tak tu stała, to na pewno się przeziębisz – ostrzegł mnie. – Wejdz do środka i wysusz się. Jeśli chcesz, to pożyczę ci jakieś ciuchy.

– Cóż – zawahałam się – skoro to nie będzie dla ciebie kłopot...

– Absolutnie nie – odpowiedział. – Cieszę się, że będę miał towarzystwo przy śniadaniu.

O mój Boże, pomyślałam, to dopiero pora śniadania? Wydawało mi się to niemożliwe, ale po chwili przypomniałam sobie, że przecież wyszłam z domu około piątej rano. Kiedy weszliśmy do środka, zegar na ścianie wybił ósmą, potwierdzając moje obliczenia.

– Muszę się umyć – powiedział, pokazując brudne ręce. – A ty, jeśli chcesz, możesz się tymczasem przebrać. Szafa jest w sypialni, to ten pokój na prawo.

Dziwne, pomyślałam, stojąc kilka minut później boso przed szafą Iana, jak wiele garderoba mężczyzny może o nim powiedzieć. Wszystkie koszule Iana wisiały równiutko na wieszakach, wszystkie były starannie wyprasowane. Pomiędzy nimi ujrzałam kilka par dżinsów i nie pasującą do reszty elegancką marynarkę. Zrzuciłam z siebie mokre rzeczy, zostawiając dla przyzwoitości jedynie bieliznę, po czym włożyłam suche dżinsy i koszulę w szkocką kratę.

Spodnie były za duże, odstawały sztywno od moich bioder, niby kostium klauna; dopiero kiedy podwinęłam nogawki i zapięłam luźną koszulę, która zamaskowała źle leżące dżinsy, uznałam, że wyglądam całkiem modnie. W tym stroju mogłabym się znaleźć nawet na

okładce pisma młodzieżowego, Ian jako dżentelmen nic nie powiedział na temat mojego wyglądu, kiedy weszłam do kuchni. Dom zaprojektowany był bardzo prosto i przez to praktycznie. Z dużego pokoju wchodziło się do kuchni i do salonu, z holu natomiast drzwi prowadziły do sypialni i łazienki. Pokój umeblowany był raczej skromnie. Gdybym wystrzeliła z łuku przy drzwiach wejściowych, strzała na pewno przeleciałaby przez cały dom, nie czyniąc większej szkody.

– Gdzie mogę to rozwiesić? – spytałam, unosząc kłęb mojej mokrej odzieży.

– Suszarka jest w komórce – powiedział, wskazując ruchem głowy na tylne wyjście. – To niemal zabytek, ale działa, pod warunkiem, że dasz jej odczuć, kto tu jest panem. Musisz użyć trochę siły.

Kiedy odnalazłam wreszcie suszarkę pod stertą innych rzeczy, zrozumiałam, co miał na myśli. Musiałam próbować cztery razy i na dodatek ją kopnąć, żeby pozwoliła się rozstawić, ale wróciłam do kuchni z bardzo zadowoloną z siebie miną.

– Wszystko w porządku? – Ian spojrzał na mnie z ciekawością, a kiedy przytaknęłam, odwrócił się i zajął stojącą na kuchni patelnią. Zauważyłam, że przygotowuje śniadanie dla dwóch osób, na stole stał też dla mnie kubek aromatycznej kawy. – Uprzedzam, że może być trochę za mocna – ostrzegł, kiedy uniosłam kubek do ust. – Zaparzyłem ją już parę godzin temu. Lubisz jajecznicę na kiełbasie?

Upiłam ostrożnie pierwszy łyk kawy. – Tak.

– Studenckie żarcie – powiedział, zdejmując patelnię z kuchni i zsuwając jej zawartość na dwa talerze. – To wszystko, co potrafię zrobić. Grzanek?

– Z przyjemnością.

Położył na moim talerzu cienki tost posmarowany masłem i siadł naprzeciwko mnie.

– A więc – spojrzał na mnie pytająco – co sprowadza cię w te strony o tak wczesnej porze?

Wzruszyłam ramionami.

– Po prostu miałam ochotę na spacer. Jeszcze nigdy nie byłam nad rzeką, chciałam zobaczyć, dokąd płynie.

– Teraz już wiesz.

– Tak – uśmiechnęłam się do niego, pijąc kawę i zajadając jajecznicę.

– Jeśli szłaś wzdłuż rzeki, to zrobiłaś chyba ze sześć kilometrów. Stąd do twojego domu jest około półtora. Ale droga przez pola jest znacznie krótsza.

– W takim razie osada, którą tam widziałam, to Exbury? – Machnęłam ręką w prawo, a on przytaknął.

– Aha. Myślałaś, że się zgubiłaś?

– Nie śmieję się – odparłam – wiedziałam, że tak będzie. Nie mam za grosz orientacji w terenie.

– Na pewno nie mniej niż moja matka – powiedział. – Kiedy wybiera się na rynek, zanim na niego trafi, obchodzi chyba wszystkie góry dookoła domu.

Zaśmiałam się.

– Czy twoi rodzice też są farmerami?

– Na Boga, nie. – Napił się kawy, żeby łatwiej przełknąć kęs grzanki. – Żadne z nich nie potrafiłoby odróżnić końca motyki od jej uchwytu. Nie, mój ojciec jest księgowym w Balloch. Matka, zanim przeszła na emeryturę, pracowała jako prawniczka.

Co wyjaśnia, dlaczego ich syn studiował w Cambridge, pomyślałam. Rozejrzałam się ponownie po domu, tym razem dokładniej, i ujrzałam świadectwo dość dostatniego życia. Pod ścianami stały solidne meble, na ścianach wisiały dobre obrazy, biblioteczka pełna była oprawionych w skórę starych książek...

– W wolnym czasie nie kradnę – odparł, z łatwością czytając w moich myślach. – Część tych rzeczy dostałem od rodziny, resztę kupiłem, gdy pracowałem w Paryżu w firmie ojca Geoffa.

– Pracowałeś w jego firmie?

– Tak, przez dobrych kilka lat. Ale to mnie doprowadzało do rozpaczki – wyznał, śmiejąc się cicho. – Stwierdziłem, że wolę już chyba grzebać się w ziemi. Więc rzuciłem fabrykę i jakieś pięć lat temu, tuż po swoich trzydziestych urodzinach, kupiłem ten kawałek gruntu. Bardzo blisko Geoffa.

Starałam się wyobrazić go sobie siedzącego przy biurku w jakimś nowoczesnym biurze, ale jakoś nie potrafiłam.

– Vivien mi mówiła, że poznaliście się z Geoffem w Cambridge.

– Mhm. To były cudowne czasy. – Uśmiechnął się do swojej filiżanki. – Odkąd się zaprzyjaźniliśmy, zacząłem mieć coraz gorsze oceny. Aż dziw, że nas obu stamtąd nie wyrzucili.

– Studiowałeś angielskich poetów? Skinął głową.

– Bardziej z ciekawości niż z potrzeby. Trudno wyżyć z pisania wierszy.

Rzeczywiście jakoś nie mogłam wyobrazić sobie Iana piszącego wiersze. W ogóle był człowiekiem raczej trudnym do zdefiniowania. Także niezbyt przystojnym, bo miał za mocno zarysowaną szczękę i stanowcze, uparte spojrzenie. Ale mimo to było w nim coś... Pomyślałam, że jest bardzo silny. Silny, ale równocześnie życzliwy, przyjazny i godny zaufania. Czulałam się w jego towarzystwie doskonale. Odsunął talerz na bok i rozparł się wygodnie na krześle.

– Masz coś przeciwko temu, że bym zapalił? Pokręciłam głową.

– Nic.

Zapalił papierosa, zgasił zapałkę i odłożył ją na brzeg talerza.

– Słyszałem, że byłaś wczoraj na podwieczorku we dworze?

– To był raczej obiad z pięciu dań – poprawiłam go. – Ciotka Vivien jest naprawdę wspaniałą gospodynią.

– Istotnie – potwierdził. – Przez ostatni tydzień pracowałem w ogrodzie różanym, więc Freda dla mnie gotowała. Jeśli potrwałoby to jeszcze trochę, nie zmieściłbym się w spodnie.

– Ona twierdzi, że na pewno zrzucisz tę drobną nadwagę.

– Tak? – Wydmuchnął dym i uśmiechnął się. – Freda chyba wie najlepiej. Zazwyczaj tak jest. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale właśnie takie znaczenie ma imię Alfreda: „nadmaturalnie mądra” czy coś w tym rodzaju. Kiedyś Vivien sprawdziła to w księdze imion.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Wzięłam talerze ze stołu i wstawiłam je do zlewu. – Imiona potrafią być czasami bardzo dziwne, prawda?

– Aha. Mimo to ja otrzymałam jedno z pospolitszych.

– Dlaczego? Według mnie, jest bardzo ładne.

– Pospolite – powtórzył. – Szkocka odmiana Jana. Żadnej magii, żadnych czarów, Ian, Evan, Sean, Hans, wszystkie są odmianą imienia Jan.

Talerze wypadły mi z rąk, a Ian odwrócił się, żeby sprawdzić, co się stało.

– Przepraszam. Chyba stłukłam jeden. – Spojrzałam na skorupy, czułam, jak serce mi wali. Evan...

– Nic sobie nie zrobiłaś?

Wróciłam do rzeczywistości i pokręciłam przecząco głową.

– Nie. Zbiłam tylko talerz.

– Nic się nie stało – powiedział uspokajająco. – Będę miał mniej do zmywania. Chcesz jeszcze kawy?

– Nie miałabym nic przeciwko temu. Wstał i napelnił obydwie kubki.

– Nie chciałybyś się przejść po moich włosciach? – spytał. – Oczywiście, nie robią takiego wrażenia jak dwór, ale jest tego spory kawałek.

Odeszłam od zlewozmywaka.

– Tak, chętnie.

– Lepiej by było, żebyś nie wybierała się boso – zauważył – bo mogłabyś jeszcze w coś wdepnąć. Za kuchennymi drzwiami stoi jakaś zapasowa para butów.

Znalazłam buciory i włożyłam je na nogi. Teraz czułam się jak istny klaun, Ian spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem.

– Trochę za duże, co? – rzekł. – Nie bój się, będę szedł powoli.

Uśmiechnęłam się.

– W porządku. Po prostu tylko dopilnuj, żeby nikt nie zobaczył mnie w tym przebraniu.

– Najwyżej owce – obiecał. – A zapewniam cię, że one widziały już znacznie dziwniejsze rzeczy.

Odsunęłam się, żeby go przepuścić, i jednym ze śmiesznych buciorów zahaczyłam o glinianą miskę.

– Nie wiedziałam, że masz psa – powiedziałam, spoglądając na podłogę.

– Teraz już nie – wyjaśnił, poważniejąc. – Zdechł kilka miesięcy temu. Nie miałem serca, żeby wynieść stąd wszystkie jego rzeczy.

– W takim razie musisz kupić sobie drugiego.

– W końcu chyba będę musiał to zrobić. Pasienie owiec bez psa nie jest wcale takie proste. Na razie sąsiad pożycz mi swojego collie.

Otworzył drzwi i wyszliśmy na dwór. Ian ruszył przodem, stawiając z łatwością wielkie kroki, a ja niemal biegłam za nim w swoich za dużych butach. Obejście całej posiadłości zajęło nam ponad godzinę, a kiedy wróciliśmy do domu, okazało się, że moje ubranie jest już całkiem suche.

– Przebierz się, a jeśli chcesz, mogę cię potem podrzucić do miasta – zaproponował Ian. –

Samochodem będzie szybciej, no i po co masz iść drogą na bosaka?

– Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu... – zaczęłam, ale nawet nie chciał tego słuchać.

– To żaden problem, i tak muszę wpaść na chwilę do Czerwonego Lwa. Potem odwiozę cię do domu.

Dopiero po paru próbach udało mu się zapalić silnik wysłużonego samochodu, z czego wywnioskowałam, że chyba bardzo rzadko go używa. Przecież zawsze widywałam Iana pieszo. Rzeczywiście, tak jak powiedział, do Exbury było niedaleko, niepotrzebnie uruchamiał wóz. Za oknami migały pola i płoty, ale zanim zdążyłam się porządnie rozejrzeć, już parkowaliśmy przed Czerwonym Lwem.

Vivien stała na zewnątrz, myjąc okna, więc podeszła, żeby się z nami przywitać.

– Właśnie rozmawiałam telefonicznie z twoim bratem – poinformowała mnie.

– Z Tomem? – Uniosłam brwi w zdziwieniu. – Czego chciał?

– Wydaje mi się, że usiłował cię znaleźć – wyjaśniła, śmiejąc się wesoło. – Czeka na twój powrót u ciebie w domu, tymczasem pustosząc ci lodówkę.

– To ten pastor? – upewnił się Ian. Przytaknęłam.

– Nie poznaliście się, kiedy tu bawił ostatnio, prawda? – Vivien spojrzała na niego. – Wydaje mi się, że byłeś wtedy w Marlborough. Uważam, że to wspaniały facet. – Odwróciła się do mnie, uderzona jakąś nagłą myślą. – Dlaczego do niego nie zadzwonisz i nie powiesz, żeby tu do nas przyszedł? Nie muszę otwierać jeszcze przez najbliższe dwie godziny. Możemy usiąść i zrobić sobie małe przyjęcie.

– Nie sądzisz, że jest zbyt wcześnie na picie? – Ian spojrzał na nią zdziwiony.

– Jeszcze nie znasz brata Julii – odparła. – Chodź, telefon jest w głębi domu, trzeba wejść od tyłu.

Mój brat wspaniale opanował zaskoczenie, gdy do niego zadzwoniłam, prosząc o przywiezienie mi do Czerwonego Lwa pary butów.

– Wyjściowe czy na co dzień? – zapytał tylko. – Co?

– Buty – wyjaśnił. – Wyjściowe czy na co dzień?

– Och – uśmiechnęłam się do słuchawki. – Zwykle.

– Dobra, będę za pięć minut.

Kiedy przekazałam Vivien tę informację, uśmiechnęła się promiennie, jak dziecko, które dostało cukierka.

– Cudownie – powiedziała. – Chodźcie wszyscy do baru. Zaraz otworzę butelkę wina.

Przeszliśmy przez drzwi łączące pokoje Vivien z pubem, Ian szedł z tyłu, do głębi zdumiony.

– Duchowny, który pije wino o dziesiątej rano – mruczał. – Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Okazja nadarzyła się zaledwie pięć minut później, kiedy to, zgodnie z obietnicą, Tom zaparkował przed Czerwonym Lwem. Vivien otworzyła mu drzwi, a on stał na schodkach, trzymając przed sobą na dłoni jeden z moich adidasów, jakby to był szklany pantofelek.

– Proszę, oto obuwie – oznajmił emfaticznie. – Czy upoważnia mnie to do przekroczenia tych progów?

– Idiota – powitałam go życzliwie. – Wchodź. – Wzięłam od niego but. – Przywiozłeś tylko jeden?

– Udało mi się znaleźć tylko ten – odparł poważnie. – W twojej szafie panuje kompletny chaos.

– Mogę pożyczyć ci swoje – powiedziała rozbawiona Vivien. – Mam ich setki.

Znalazła mi jakieś klapki, po czym spędziliśmy cudownie czas, siedząc przy barze i obserwując, jak obniża się poziom wina w kolejnych butelkach. Byłam bardzo szczęśliwa, widząc, że Tom i Ian przypadli sobie do gustu. Wystarczyło jedno słowo na temat polityki i obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie, przeskakując od jednej kwestii od drugiej w błyskawicznym tempie.

Ja i Vivien siedziałyśmy na stołkach i piłyśmy wino w błogiej ciszy.

– Bardzo polubiłem Iana Sumnera – oświadczył mój brat, kiedy już wyszliśmy z Czerwonego Lwa, by wsiąść do samochodu.

– Świetnie – odparłam. – Słuchaj, czy ty aby powinieneś prowadzić?

Tom posłał mi spojrzenie starszego brata.

– Wypiłem tylko szklaneczkę, nie tak jak niektórzy. Spojrzałam na niego z wyższością.

– Czy sugerujesz, że jestem pijana?

– Zawiana – skinął głową. – I to przed południem – cmoknął z udaną dezaprobatą. – Jestem do głębi wstrząśnięty.

– Daj spokój – odparłam szybko, odwracając się na siedzeniu, żeby mu się lepiej przyjrzeć. – Dobrze cię znów widzieć. Nie odwiedzałeś mnie tak często, kiedy mieszkałam w Londynie. Wygnieciesz koleiny na autostradzie.

Uśmiechnął się.

– Tym razem jestem tu przejazdem. Udaję się właśnie na konferencję do Bristolu. Przyszło mi do głowy, że skoro już jestem w pobliżu, to wpadnę i powiem ci dzień dobry.

Popatrzyłam na niego uważnie.

– Mama przysłała cię, żebyś sprawdził, co u mnie słychać, prawda?

– Bingo!

– W takim razie możesz jej powiedzieć, że mam się dobrze – odparłam, patrząc w okno. Wjeżdżaliśmy właśnie na drogę, mijając ostatnie domy miasteczka.

– Trudno, byś winiła ją za to, że się o ciebie martwi – rzekł Tom. – Przecież od tego właśnie są matki. Kiedy przyjechałem dziś rano i stwierdziłem, że cię nie ma, sam zacząłem się martwić.

– Nie mogłam już zasnąć po rozmowie z mamą – wyjaśniłam. – Więc poszłam na spacer.

Tom zwolnił, pozwalając przejść przez drogę małemu jeżowi.

– Nie zamknęłaś drzwi za sobą.

– Nie jestem zadowolona z tego nowego zamka – powiedziałam. – Nie działa dobrze, czasami nie mogę go otworzyć. Więc nie zamykam, chyba że wyjeżdżam gdzieś dalej. Poza tym – dodałam trzeźwo – Ian pracuje prawie zawsze w tym małym ogródku za domem i może mu się na przykład chcieć pić.

– To się nazywa życie na wsi – uśmiechnął się mojbat. – No proszę, a mało brakowało,

bym sobie pomyślał, że wyruszyłaś na jedną ze swoich wycieczek w wieki średnie.

– W siedemnaste stulecie – poprawiłam go.

Gdyby mnie zapytał wprost, powiedziałabym mu. Nigay nie udawało mi się skłamać przed Tomem, zawsze umiał mnie rozszyfrować. Ale nie zapytał.

– Aha – wzruszył ramionami i znów dodał gazu. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

Rozdział 22

Czerwiec tego roku był naprawdę cudowny – dni długie i wypełnione słonecznym światłem, noce przepojone zapachami roślin, woniami, które letnie wiatry przynosiły do domu z pobliskich pól, a noce głośnie od treli zakochanych słowików. Nawet deszcze padały jakby mniej obfite, przez co dawny gołębnik, zamieniony w ogród, pokrył się kwiatami. Irysy przekwitły, ustępując miejsca odważnym czerwonym szaławiom, jasnoniebieskim canterburyjskim dzwonkom, różowawym liliom oraz statecznym purpurowym lwim paszczom.

Zmieniający się wciąż ogród zafascynował mnie. Pożyczyłam od Iana książki i nauczyłam się nazw wszyściuteńkich nowych kwiatów; już wkrótce zaczęły się one pojawiać na moich ilustracjach, dodając radości i barw mrocznym lasom z baśni. Wydawca był zachwycony próbkami, które mu wysłałam, i jeśli nawet zauważył, że wszystkie księżniczki są do siebie bardzo podobne, to pominął tę sprawę milczeniem.

Ja również rozkwitałam, pławiąc się w słodkim odrętwieniu, które oznacza początek każdego nowego romansu.

Geoff wrócił do domu dwa dni po moim spacerze nad rzekę i tak jak obiecał wcześniej, zabrał mnie w sobotę do bardzo eleganckiej restauracji w Swindon na kolację i dancing.

Była to magiczna noc, jakby żywcem wyjęta z jednej z owych baśni, które z taką przyjemnością ilustrowałam. Restauracja mogłaby służyć za tło do filmu – wszędzie kwiaty, świece i kelnerzy, którzy się nigdy nie śpieszyli. Myślę, że zanim wypiliśmy poobiedni koniak, zdażyłam się już zakochać w Geoffreju de Mornay. Musiałabym być chyba nadczłowiekiem, żeby mu się oprzeć.

Właściwie nie padły wówczas ani później żadne słowa, ale w miarę jak upływały dni, stało się oczywiste, że coś się pomiędzy nami zmieniło. Za przyjacielskimi uśmiechami i miłą rozmową kryło się zdecydowanie więcej niż na początku. Zostałam usidlona.

Moje dni wypełniały praca i rozrywki, miałam więc bardzo niewiele czasu na dalsze eksperymenty z podróżami, w przeszłość. Za każdym razem, kiedy czułam, że nadchodzą niepokojące zawroty głowy, zamykałam oczy i z całej siły starałam się przekonać samą siebie, że to nie jest odpowiednia chwila. Wmawiałam sobie, że później przyjdzie na to czas. Ale każdego ranka, kiedy dotykałam bransolety Mariany, oczy rajskich ptaków spoglądały na mnie jakby z wyrzutem. „Nie zapomniałam – mówiłam do swojego odbicia w lustrze. – Po prostu na razie chcę się trochę zabawić”.

Istotnie, czułam się, jakbym była na wakacjach. Chodziliśmy z Geoffem na długie spacerki, spędzaliśmy godziny, szperając po sklepach z antykami, wieczorami grywaliśmy w strzałki i wysłuchiwałam opowieści Vivien Pod Czerwonym Lwem. Trzydzieste urodziny obchodziłam również w jej pubie, nie nadążano donosić nam drinków, ponieważ każdy ze stałych bywalców chciał osobiście życzyć mi wszystkiego najlepszego i wypić za moje zdrowie. Mimo że zapowiedziałam, by nikt nie kupował prezentów, dostałam róże od Geoffa, kolczyki od Vivien, a od Iana łopatkę do przesadzania kwiatów przystrojoną wielką ko –

karda.

– Żebyś przestała wciąż gubić moje – rzekł oschle. Chyba już z dziesięć takich łopatek leży gdzieś w polu i rdzewieje.

Pod koniec miesiąca moi rodzice przylecieli wreszcie z Auckland i pojechaliśmy po nich z Tomem na lotnisko. Uparli się, żeby przed powrotem do domu w Oksfordzie zobaczyć moją siedzibę. Ich reakcja była prawie dokładnie taka, jak się tego spodziewałam. Mama, wciąż obmyślająca, jak by upiększyć każde miejsce tapetami i firankami, chodziła niemal nieprzytomna po wszystkich pokojach, ojciec natomiast postukał raz czy dwa butem w podłogę, żeby w ten sposób sprawdzić jej jakość. Nie wyjmując rąk z kieszeni, skinął lekko głową.

– Bardzo ładny – powiedział tylko. Omal nie pękłam z dumy, bo wiedziałam, że to najwyższa ocena, jaką mógł wystawić memu ukochanemu domowi.

Moje szczęście sięgało zenitu. Tego pamiętnego popołudnia w pierwszym tygodniu lipca Geoff namówił mnie na jazdę konną. Nie chciał słuchać wykrętów, że ostatni raz jeździłam jeszcze w szkole. Na szczęście chyba tylko koń zauważył mój brak umiejętności jeździeckich, więc postanowiłam pójść na całość, prostując się w siodle z poważną miną, niczym doświadczony dżokej.

– No widzisz? – Geoff odwrócił się do mnie z zachęcającym uśmiechem, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby na chwilę odpocząć. – Nie trzeba było się tak denerwować. Jeździsz wspaniale.

Pochyliwszy się w siodle, poklepałam moją klaczkę, dziękując jej po cichu, że nie zrzuciła mnie z grzbietu.

– No cóż – rzuciłam od niechcienia – najwyraźniej istnieją umiejętności, których się nigdy nie zapomina.

Uszy klaczy poruszyły się, jakby wyłapując to drobne kłamstewko, ale na szczęście Geoff już patrzył w inną stronę.

– To, co widzisz – powiedział – to krańce mojej posiadłości.

– Gdzie? – Zaczęłam się rozglądać za jakimś płotem czy ogrodzeniem.

– Tuż za tamtymi drzewami. Oczywiście, kiedyś ziemi było znacznie więcej, ale przez lata znaczna jej część została sprzedana. Wydaje mi się, że byłoby głupie w obecnych czasach mieć tak wielki majątek. Głupie i zarozumiałe.

To zależy, pomyślałam, od skromności lub pychy właściciela. W końcu dworskie ziemie dochodziły niegdyś prawie do drzwi mego domu, a dojechanie do zachodniej granicy posiadłości zajęło nam całe pół godziny.

Po chwili Geoff skręcił i ruszył wzdłuż linii drzew, a moja klacz podążyła za jego koniem, stąpając tak ostrożnie i delikatnie, jakby była kucykiem wiozącym małe dziecko. Puściłam lejce i rozkoszowałam się widokami.

– Tu jest naprawdę cudownie, Geoff – powiedziałam, patrząc na jastrzębia, leniwie zataczającego koła nad naszymi głowami. – Jak znosisz tak częste rozłąki z tym miejscem?

Wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie.

– Nie wiem. Chyba bardzo lubię zmiany wokół siebie. Mój dom we Francji jest również

piękny. Nie zniósłbym uwiązania do jednego miejsca przez całe życie. Poza tym ten dom był zawsze bardziej domem mojego ojca niż moim.

Milczałam, zastanawiając się nad czymś, co przed chwilą powiedział.

– Dlaczego we Francji? – zapytałam. Znow się odwrócił.

– Słucham?

– Dlaczego kupiłeś dom we Francji? Masz tam jakąś rodzinę?

– Właściwie nie – odparł. – Chociaż gdybym solidnie zagłębił się w historię naszej rodziny, na pewno znalazłbym tam całą armię de Mornayów. Przecież protoplasta naszego rodu pochodził z Normandii. Ale ja kupiłem ten dom, bo mi się podobał. Z okien jest przepiękny widok, w pobliskiej zatoce trzymam swój jacht. A słońce świeci tam przez cały czas – dodał z uśmiechem – co stawia to miejsce dużo wyżej niż Exbury.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż lubisz zmiany? – przypomniałam mu rozbawiona, ale on pokręcił głową przecząco.

– Nie jeśli chodzi o pogodę.

Kątem oka dostrzegłam z prawej strony jakiś cień, przesuwający się pomiędzy drzewami. W ostatniej chwili udało mi się zawołać na Geoffa, żeby popatrzył, jak na polanę wychodzi ogromny, majestatyczny jeleń. Kiedy już zniknął pomiędzy drzewami, odwróciłam się do swego towarzysza z błyszczącymi podnieceniem oczyma i stwierdziłam, że obserwuje mnie z pewnym zdziwieniem.

– Kto to jest Richard? – spytał cicho.

– Co takiego?

– Właśnie przed chwilą nazwałaś mnie tym imieniem. Mój uśmiech był raczej wymuszony.

– Naprawdę? Nie wiem, jak to się stało. Przepraszam.

– Dawna miłość, co? – ciągnął.

– Coś w tym rodzaju – skinęłam głową, starając się obrócić to w żart. – A co, jesteś zazdrosny?

Zamiast się uśmiechnąć, jak się tego spodziewałam, spojrział na mnie z powagą i milczał przez chwilę.

– Nie jestem pewien – powiedział wreszcie powoli. Po chwili jednak twarz rozjaśniła mu się takim uśmiechem, na jaki czekałam. – Jedźmy – rzekł, zawracając konia. – Zostawimy konie w stajni.

Niebiosa chyba zlitowały się nade mną, bo jakimś cudem udało mi się nie spaść z konia podczas szybkiego galopu z powrotem. Kiedyśmy przyjechali na miejsce, zsiadłam z godnością, ale kolana mi się trzęsły. Omal nie wyładowałam głową w kupie gnoju, kiedy zatrzymywaliśmy wierzchowce przed stajniami.

– Jesteś poobijana? – spytał mnie Geoff, podczas gdy chłopiec stajenny zabierał konie.

– Troszeczkę. – Było to doskonale widoczne. Wiedziałam, że poruszam się jak kowboj, który ma nogi z waty.

– Nie jeździłam naprawdę długo.

– Dałaś sobie wyśmienicie radę – orzekł z uśmiechem. Ujął mnie pod łokieć i skierował

w stronę domu. – No chodź, zobaczymy, co się da znaleźć w kuchni Fredy.

Zupełnie niespodziewanie zastaliśmy tam Iana huśtającego się na krześle i palącego papierosa z wyrazem prawdziwej błogości na twarzy.

– Co to było? – spytał Geoff, wskazując na pusty talerz stojący przed przyjacielem.

Ian uśmiechnął się szeroko.

– Stek i wątróbka – odparł. – Z frytkami domowej roboty i sałatą. Plus ciasto z czarną porzeczką.

– Ty draniu – powiedział Geoff z uśmiechem – jak ci się to udało?

Ian pokiwał głową.

– No cóż, mój drogi, pracowałem ciężko przez cały dzień, nie wałęsałem się światami, jak niektórzy. Ale a propos, jak tam przejażdżka?

– Udało mi się utrzymać na końskim grzbiecie – odparłam. – To wielki sukces.

Ostatnio nie widywaliśmy Iana zbyt często. Teraz, kiedy zrobiło się naprawdę ciepło, był zajęty pracą na farmie i w oranżerii i nie pokazywał się często w miasteczku. Stwierdziłam, że brakuje mi go i jego niewymagającego towarzystwa.

– A jak twoje owce? – zapytałam.

– Głupie jak zawsze. Pomyślałem, że zrobię sobie dziś przerwę i dla odmiany popracuję trochę tutaj.

Geoff rzucił w jego stronę zatroskane spojrzenie.

– Ian, wiesz przecież, że po to mamy ogrodnika, żeby zajmował się wszystkim. Nie musisz się tym martwić. Przpracowujesz się.

– Przeszanę się martwić, kiedy twój ogrodnik nauczy się porządnie tego, co powinien robić – obiecał Ian. – Poza tym doszedłem do wniosku, że w tym roku warto by spróbować czegoś innego. Jeśli masz chwilę wolnego czasu, chciałbym, żebyś się wypowiedział na ten temat.

– Kiedy?

Ian wzruszył szerokimi ramionami.

– Może teraz? Nie zajmie nam to dużo czasu.

Geoff spojrział na zegarek, a potem na mnie, czekając na przyzwalające skinienie głowy.

– W porządku – powiedział. – Możemy iść, jeśli jesteś pewien, że będziesz się w stanie ruszyć po tym, co tu zjadłeś. A gdzie się podziewa Freda?

– Odkurza bibliotekę. – Ian odsunął z hałasem krzesło. – Wyszła stąd jakieś piętnaście minut temu.

– Dobrze. – Geoff odwrócił się do mnie. – Czy mogłabyś ją znaleźć?

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

– Mam wejść tamtędy, któredy chodzą wycieczki?

– Jasne. Nie będziesz z tym miała problemów – zapewnił mnie. – O tej porze nie ma zbyt wielu turystów. Wiesz, gdzie jest przejście? Świetnie. Ciekawe, czy uda ci się przekonać Fredę, żeby upichciła nam coś, co by choć w przybliżeniu przypominało ucztę Iana.

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecałam.

Zanim poszedł za łanem, mrugnął do mnie i przesłał mi radosny uśmiech. Kiedy

przechodzili pod oknami, usłyszałam ich wesołe głosy.

Gdy już sobie poszli na dobre, skierowałam się w stronę ciemnego, nie uczęszczanego korytarza. Tam otworzyłam ciężkie drzwi, które łączyły prywatną część domu z udostępnioną do zwiedzania. Pchnęłam następne drzwi i znalazłam się w Sali Wielkiej. Chwilę gapiłam się na ogromny kominek i wieńczący go herb. Zdawało mi się, że sokoły wyglądają teraz na znacznie bardziej drapieżne, niż kiedy je zobaczyłam po raz pierwszy. Niezniszczalni. To właśnie oznaczał łaciński napis na herbie. Jeszcze raz spojrzałam na szpony sokołów i zadrżałam.

Tak jak przewidział Geoff, wielki dom był pusty. Żadne inne kroki oprócz moich nie zakłócały ciszy komnat, kiedy je przemierzałam. Właściwie nie spodziewałam się, że zastanę jeszcze panią Hutherson w bibliotece, ale doszłam do wniosku, że przecież nic się nie stanie, jeśli najpierw tam zajrzę. No i przez parę minut pooglądałam sobie książki. Tym bardziej że w pobliżu nie ma zwiedzających ani nikogo, kto mógłby zakłócić mi te piękne chwile.

Oczywiście, zapomniałam o portrecie. Jego portrecie. W chwili gdy weszłam do cichego pomieszczenia, poczułam na sobie wzrok Richarda de Mornay, tak jakby był on żywym człowiekiem. Zaczęłam usilnie wpatrywać się w półki z książkami, ale moje spojrzenie co chwila wracało do ciemnej postaci, spoglądającej na mnie z kąta pokoju.

W końcu poddałam się i ruszyłam w tamtym kierunku, żeby stanąć naprzeciwko portretu, zdając sobie doskonale sprawę, że oczy Richarda widzą, jak się powoli zbliżam. Splotłam ręce za plecami i podniosłam głowę, żeby móc mu się lepiej przyjrzeć; jakże wspaniale malarz potrafił oddać ten dumny wyraz twarzy, rękę wspartą na biodrze i zagadkowy półuśmiech...

Co się stało z tym człowiekiem, zadałam sobie w myślach pytanie, że następne pokolenia o nim zapomniały?

„Nazwaliśmy go «Playboy»», – powiedział Geoff, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ten obraz. Dla nikogo nie jest to zbyt pochlebne określenie. Szukałam imienia Richarda de Mornay w opasłych księgach chrztów, ślubów i pogrzebów u proboszcza kościoła Świętego Jana. Sam pastor mi pomagał, cierpliwie przebiegając oczyma rzędy zapisanych drobniutko linijek.

– Nie mam już takiego wzroku jak dawniej – przepraszał mnie uprzejmy staruszek. – Takie poszukiwania to dla mnie nie nowina – powiedział. – Robiłem to całymi godzinami na prośbę Amerykanów, uparcie szukających swoich korzeni. Nie – rzekł w końcu – nie ma tu żadnego Richarda. – Oczywiście – dodał, jakby się usprawiedliwiając – nie mamy wszystkich ksiąg. Musisz wziąć pod uwagę, że część z nich zaginęła podczas okresu bezkrólewia, kiedy do rządów doszedł Cromwell. Obawiam się, że nie był to zbyt korzystny okres dla Kościoła – uśmiechnął się lekko. – Ci, którzy nas zastąpili, często niszczyli wszystkie księgi, a jeśli prowadzili je dalej, to zapisy były przypadkowe i niekompletne. Proszę bardzo, na przykład ta kończy się na roku 1626, a następna zaczyna bez mała trzydzieści lat później – w 1653. Ale może uda ci się jeszcze coś znaleźć w księgach z późniejszych lat...

Powinam była wiedzieć, że to strata czasu. Ojciec Geoffa, znany miłośnik historii rodzinnej, już dawno przewertował te księgi w poszukiwaniu następców Williama de Mornay

i nic nie znalazł.

Śmierć Mariany Farr 3 października 1728 roku została tu odnotowana czyjąś obojętną ręką. Ale los Richarda de Mornay pozostał tajemnicą.

Spojrzałam znów na portret. Podniosłam rękę i pozwoliłam moim palcom przemknąć po chropowatej powierzchni farby na ramionach Richarda. To był błąd. Kiedy już odjęłam dłoń od obrazu, ściany dookoła zaczęły falować, kolory na portrecie zamazały się, jakby malarz niechcący przeciągnął pędzlem obraz od góry do dołu, zamazując twarz modela. Cofnęłam się, o krok i zacisnęłam mocno powieki.

„Nie mogę – błagałam cichutko, ale stanowczo. – Nie widzisz, że nie mogę? Nie ma na to teraz czasu...”

Gdy otworzyłam znów oczy, zawroty głowy ustąpiły, a falujące ściany powróciły do pionu. Oddychałam ciężko chwytając powietrze szybkimi, krótkimi haustami, które raniły mi płuca. Odwróciłam się gwałtownie od obrazu i ruszyłam ku drzwiom. Zimna klamka ochłodziła moje rozpalone dłonie. Z ciemnego przejścia pomiędzy obydwoma częściami domu dobiegł mnie cichy dziewczęcy śmiech, zobaczyłam, że frontowe drzwi są uchylone. Skierowałam się szybko w ich stronę, niczym więzień łaknący świeżego powietrza i ciepła słońca.

Ale zdążyłam ująć zaledwie parę kroków, kiedy znów mnie dopadło. Tym razem zawroty były tak silne, że czułam w głowie jakby lodowate ukłucia i w obawie przed upadkiem musiałam się oprzeć o ścianę. Próbowałam z tym walczyć, ale tym razem nie udało się. Pulsowanie w mojej głowie stawało się coraz głośniejsze i w pewnej chwili poczułam, że się pogrążam w ciemności. Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim wszystko się uspokoiło. Stałam samotnie w cichym korytarzu, ręce mi się trzęsły. Czekałam na to, co miało nastąpić.

W przejściu, za moimi plecami, usłyszałam odgłos kroków. Odwróciłam się szybko, zamiatając lśniąca podłogę długą spódnicą. Richard de Mornay zatrzymał się parę kroków ode mnie. Czekałam na jego reakcję.

Przychodząc tu, wykazałam wielką odwagę i właściwie sama nie wiedziałam, dlaczego to uczyniłam. Być może dlatego, że wujostwo pojechali do Salisbury, a ja pragnęłam zakosztować wreszcie wolności. Albo też dlatego, że pamiętałam to, co Richard powiedział wtedy na targu: że nie wyglądam na tchórza. Wyczytałam wówczas w jego oczach wyzwanie, dojrzałam je również teraz, gdy podszedł bliżej i skłonił mi się uprzejmie.

– Witam w Crofton Hall – powiedział.

Rozdział 23

Na twarzy miał ujmujący uśmiech.

– A jednak nie jesteś tchórzem – przyznał z satysfakcją. – Przyszłaś spotkać się z diabłem na jego własnym terytorium.

Akurat tego dnia nie wyglądał jak diabeł. Zamiast zwykłego czarnego ubrania miał na sobie ciemnozieloną pelerynę, białą kryzę i żółtą jedwabną kamizelkę. Biodra przepasywała wspaniała szeroka szarfa. Byłam mile zaskoczona, że nie naśladuje przesadnego stylu ubierania się londyńskich dżentelmenów. Miał wąskie spodnie, które wspaniale uwydatniały jego umięśnione nogi i wpuszczone były w wysokie buty, jak to u człowieka mieszkającego na wsi. Pan tego dworu nie nosił na szczęście żadnych bucików na obcasach z kokardkami i innymi ozdobami.

Przesunęłam dłońmi po swojej prostej sukience i spojrzałam mu odważnie w oczy.

– Przyjęłam jedynie zaproszenie dżentelmena – poprawiłam go – żeby przyjść i pożyczyć od niego parę książek.

– W takim razie masz szczęście, że nim jestem – jego oczy śmiały się do mnie – bo przecież ryzykujesz wiele, przychodząc tu bez przyzwoitki. Nie mam wątpliwości, że moi służący mdleją właśnie w tej chwili na samą myśl, że uczyniłaś coś takiego.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie minę lokaja, który otworzył mi drzwi, i jego święte oburzenie, gdy poleciłam mu, by odszukał swego pana. Nagle jednak przyszła mi do głowy pewna myśl, podniosłam głowę i zapytałam z przejęciem:

– Czy oni nic nie powiedzą? No, czy mój wuj...

– ... nigdy nie dowie się o twojej wycieczce – dokończył Richard de Mornay za mnie. – Moi służący mogą mieć purytańskie przekonania, ale są lojalni. Rozumiem, że wuja nie ma teraz w domu.

Skinęłam głową.

– Razem z ciotką Karoliną pojechali do Salisbury.

– Naprawdę? – Zdawało mi się, że na moment jego oczy stały się bardziej czujne, ale trwało to krótko i zaraz o tym zapomniałam. – W takim razie nie musimy się śpieszyć – dodał. – Chciałabyś najpierw zobaczyć bibliotekę czy obejrzeć resztę domu?

Odpowiedź była zbyt oczywista, żeby się nad nią zastanawiać.

– Bibliotekę.

– A więc niech będzie wedle twego życzenia. – Nie wydawał się nazbyt zdziwiony.

Poprowadził mnie ciemnym korytarzem, którym później wyszliśmy na ciche i cieniste podwórko. Nie rosły tu żadne kwiaty oprócz tych, które pięły się po małym kwadratowym nagrobku z jasnego kamienia.

– To grób mojej matki – powiedział, kiedy zapytałam go, kto tu jest pochowany. – Była katoliczką i odmówiono kategorycznie pochowania jej na naszym cmentarzu.

– To dlatego nie chodzisz do kościoła? – chciałam się dowiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Wolę raczej modlić się sam i pozostać w zgodzie z własnym sumieniem – odparł. – Nie mógłbym należeć do żadnego Kościoła, który w ten sposób traktuje ludzi innej wiary.

Otworzył ciężkie skrzypiące drzwi i wpuścił mnie do kolejnego ciemnego korytarza, gdzie powietrze przepelniała intensywna woń skóry. Często marzyłam o pomieszczeniu wypełnionym wyłącznie książkami, ale nigdy dotąd nie widziałam tego na własne oczy, tak więc pierwszy rzut oka na bibliotekę Richarda de Mornay odebrał mi mowę.

– To wszystko twoje? – spytałam zachwycona, rozglądając się po półkach mieszczących niezliczone mnóstwo książek. Roześmiał się, widząc na mojej twarzy wyraz nieklamanej zazdrości, której nie udało mi się w porę ukryć.

– Aha. Kiedyś zbuduję większą bibliotekę, ale na razie ta musi wystarczyć. Możesz stąd pożyczyć, co tylko będziesz chciała.

Samo przeczytanie choćby wszystkich tytułów zajęłoby mi pewnie z miesiąc. Podeszłam bliżej i szybko wyjęłam małą, ale grubą książkę z jednej z niższych półek.

– Mogę wziąć tę? – zapytałam.

– Szekspir? – rzucił okiem na autora, unosząc w zdziwieniu jedną brew. – Weź, jeśli chcesz. To drugie wydanie, opatrzone je bardzo zabawnym tekścikiem w formie epitafium, pióra tego starego grzesznika Milтона.

Zachwycona, przesunęłam delikatnie palcami po okładce książki.

– Mój ojciec wyrażał się bardzo pochlebnie o poezji Milтона, mimo że nie pochwalał jego poglądów.

– Istotnie to okropny człowiek, ale naprawdę dobry poeta – zgodził się Richard. – Słyszałem, że skończył właśnie pracę o upadku człowieka, ale nie może znaleźć środków, żeby ją opublikować. W czasach restauracji Stuartów popadł w niełaskę i oto autor, który wystąpił tak śmiało w obronie zamordowanych królów, żyje teraz w biedzie i zapomnieniu.

Dokonałam wyboru, więc opuściliśmy bibliotekę, przecięliśmy jeszcze raz zamknięte z czterech stron podwórko i weszliśmy przez kolejne drzwi do głównej części domu. Szłam za moim gospodarzem przez długą galerię, z której ścian patrzyły na mnie oczy starych portretów. Wszystkie były niezadowolone. Wszystkie oprócz jednej pary, patrzącej na mnie z wizerunku wiszącego na samym końcu galerii.

– To twój portret? – Przystanęłam, żeby przyjrzeć mu się lepiej. – Niewiarygodne podobieństwo.

– Namalował go Lely – powiedział, spoglądając na swoją podobiznę – krótko przed moim powrotem z Francji. Pozwoliłem sobie na tę drobną próżność.

– A ten? – Przeszłam do kolejnego portretu, z którego spoglądał na mnie tłuściutki i zadowolony z siebie chłopiec o blond lokach i bezmyślnych oczach.

Richard popatrzył na obraz.

– Mój bratanek Arthur. Wygląd odziedziczył po swoim ojcu, ale obawiam się, że niestety nie charakter.

Zostałabym tu chętnie jeszcze trochę, popchnął mnie jednak leciutko do kolejnych drzwi, które prowadziły do wielkiej sali z błyszczącymi w słońcu oknami i sufitem niemal tak wysokim, jak sufit katedry.

– Och! – westchnęłam, wznosząc do góry zachwycony wzrok. To jest komnata, myślałam w zachwycie, odpowiednia dla księżniczki. Ściany pokryte były aksamitną materią i szkarłatno-złotymi gobelinami, pełnymi ciemnookich satyrów, bladych nimf, bogów, jak Wulkan i Wenus, i antycznych herosów. Dookoła wisały srebrne kandelabry, gotowe w każdej chwili rozświetlić pokój tysiącem światła.

Pomyślałam od razu, że światło dawałby też oczywiście kominek, który z łatwością by pomieścił polana wielkości dorosłego mężczyzny...

– Całkiem miły pokój – rzekł Richard, stojąc za moimi plecami. – Przepraszam, że umeblowanie jest tak skromne, ale większość sprzętów została sprzedana, gdy mój ojciec był w więzieniu.

Istotnie wokół wygaszonego kominka stało tylko kilka krzeseł i małych stolików, ale nie miało to znaczenia. Podeszłam bliżej, wyciągając szyję, żeby przyjrzeć się dokładnie oznaczeniom heraldycznym na umieszczonym wysoko herbie.

– Herb mojej rodziny – wyjaśnił Richard. – Sokoły mają na głowach kaptury, aby przypomnieć nam, żeby w bitwie nie ufać własnym oczom, tylko być ślepo posłusznym rozkazom króla. Kierujemy się porywami serca – dodał – a nie rozumu. Niestety, płacimy za to wysoką cenę.

– Ale przecież nie można was zniszczyć – powiedziałam. – Jesteście niezniszczalni. Dobrze i to.

– Znasz łacinę? – Był tak zaskoczony, że zawstydzona spuściłam oczy.

– Ojciec mnie nauczył – usprawiedliwiłam się. – Mówił, że skoro królowa ją zna, to i ja powinnam.

– Twój ojciec musiał być niezwykłym człowiekiem. Dawno temu zmarł?

Pokiwałam głową.

– Dziewięć lat temu. Dostał nagle bardzo wysokiej gorączki i już nie odzyskał przytomności. Miałam wtedy jedenaście lat.

– Zatrzymałaś dla siebie jakieś jego książki?

– Spalono je – powiedziałam ze smutkiem. – Po śmierci mojej matki z obawy przed zarazą spalono wszystko, co było w naszym domu.

Spojrzał na mnie.

– Twoja matka zmarła na dżumę?

Skinęłam tylko głową, nie czując się na siłach potwierdzić tego słowami.

– Straszne – powiedział. – Słyszałem, że tylko w tym tygodniu dżuma zabrała w Londynie ponad pięćset osób. A to jeszcze nie koniec.

– Zemsta Pana nad grzesznikami, tak mawia o zarazie mój wuj.

Na twarzy Richarda pojawił się wyraz niechęci i gniewu.

– Twój wuj to stary dureń. Zemsta siedzi w jego własnej głowie, nigdzie indziej. Ci, których popierał, przegrali, dlatego z satysfakcją patrzy teraz na cierpienia zwycięzców.

Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc, ale on uśmiechnął się tylko; z jego twarzy zniknęła już złość.

– Nasza rozmowa zaszła trochę za daleko – usprawiedliwił się. – Przepraszam. Chodź,

zanim usiądziemy do obiadu, pokażę ci dom z zewnątrz.

– Nie mogę z tobą jeść, panie – zaprotestowałam, gwałtownie kręcąc głową.

– Ależ nalegam. Nieczęsto miewam gości. Omal nie tupnęłam nogą.

– Nie mogę – powtórzyłam. – Rachela będzie się martwić, jeśli nie wrócę na czas do domu.

Uśmiechnął się zagadkowo.

– Mógłbym posłać do Szarych Głazów Evana, żeby uprzedził ją, że się spóźnisz – powiedział. – A wtedy nie chciałaby, żebyś wróciła zbyt wcześnie.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie.

– O, panie, nie zrobiłbyś tego.

– Z tego, co wiem, Evan już chyba tam jest.

– Ale Rachela jest zaręczona – powiedziałam. – z Eliaszem Webbem.

– I cóż z tego? – wzruszył ramionami. – Przecież to jasne, że ona nie kocha tego chciwego starca. Założę się, że Evan z łatwością może zagrozić pozycji owego człowieka bez serca.

– Przecież Rachela nie może sprzeciwić się woli wuja – powiedziałam cicho.

– W takim razie nie jest warta miłości mojego przyjaciela. Na krew Chrystusa, jakże ja nienawidzę słabych i bojaźliwych kobiet! – Rzucał mi wyzwanie i zdawałam sobie z tego sprawę. Postąpił o krok bliżej, przyciskając mnie niemal do kominka.

– Zjesz ze mną czy nie?

Przytaknęłam gestem, nie wiedząc, czy głos nie odmówi mi posłuszeństwa.

– W takim razie musimy zatańczyć – powiedział. Widziałam, jak w oczach skrzą mu się radosne iskierki. – Przecież muszę otrzymać jakieś podziękowanie za moją gościnność.

– Nie tańczę.

– To będzie bardzo prosty krok – obiecał i zachęcił mnie ruchem głowy.

Niesłychane, pomyślałam, żeby kobieta tańczyła sama z mężczyzną, który w dodatku nie jest jej mężem! Taki postępek na pewno nie byłby dobrze widziany. To przekonanie sprawiło, że krew w moich żyłach poczęła żywiej krążyć.

– Nie ma muzyki – zauważyłam, cofając się o krok. Richard de Mornay uśmiechnął się.

– Czy mam zawołać mojego chłopca stajennego? Umie grać na lutni i jestem pewien, że wyświadczy nam przysługę i zagra dla nas.

– Nie – odparłam szybko. Nie chciałam żadnych świadków swojego upadku.

– Więc musimy się obejść bez muzyki. Albo jeśli chcesz, ja mogę zaśpiewać. – Wyciągnął do mnie rękę. – No chodź, przecież nie jesteś tchórzem. Jeden taniec, prosty krok, i dług wdzięczności będzie spłacony.

Osaczona, podałam mu dłoń.

Zaczął śpiewać jakąś francuską piosenkę. Miał niski i bardzo przyjemny głos; gdy tańczyliśmy dookoła pustego pokoju, moje policzki muskał jego ciepły oddech. Czułam się jak prawdziwa grzesznica.

Chrzaknęłam lekko.

– Co to za piosenka?

– *Aux plaisirs, aux delices bergeres...* – odparł. – Moja matka śpiewała mi ją, kiedy byłem małym chłopcem.

– Wydaje się wesoła.

– Bo jest. Mówi, żebyśmy spędzali życie w miłości, gdyż czas nieubłaganie przemija, a nam zostaje jedynie smutek i żal. – Okręcił mnie w tańcu. – *A l'amour, aux plaisirs, aux boccage...* – zacytował znów i od razu przetłumaczył: „W miłości, w szczęściu, w lasach spędzajcie dni swego szczęścia... „

Spoglądając na niego, czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Nie zauważyłam nawet, kiedy przestaliśmy tańczyć, a on zwrócił na mnie swoje zielone oczy. Poglądził mnie po twarzy.

– Oto nadchodzą dni twojego szczęścia, Mariano Farr – powiedział cicho i jego ramiona zasłoniły mi słońce, kiedy nachylił się, żeby mnie pocałować.

Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że jest to pierwszy pocałunek w moim życiu. Nie miałam pojęcia, jak się zachować i co znaczy fala nieznanych uczuć, które nagle przepełniły całe moje ciało. Dotyk jego warg był niezwykle i boleśnie cudowny, ale kiedy się skończył, poczułam się jakby obrabowana.

Richard spojrział na mnie i zaśmiał się, a potem ujął moją twarz w swoje dłonie i powiedział coś cicho po francusku. Zanim pochylił się, żeby znów mnie pocałować, jego rysy zamazały mi się nieco przed oczyma...

Mgła znikła. Stałam przy jednym z wysokich okien Sali Wielkiej, spoglądając na trawnik, na którym kładły się już cienie drzew. Zobaczyłam Iana i Geoffa, którzy cały czas stali w ogrodzie różanym. Ciemna głowa pochylała się w kierunku rudej, kiedy Ian tłumaczył coś przyjacielowi, oparty na swojej łopacie.

Widziałam ich tylko przez chwilę i obraz znów stał się niewyraźny, tym razem z powodu łez, które napłynęły mi do oczu. Zaczęłam szybko mrugać powiekami, ale łzy płynęły cały czas, jakby z jakiegoś niewyczerpanego źródła wewnątrz mnie, znajdując ujście w moich udreńczonych oczach. Cóż za głupota tak płakać, powiedziałam sobie w duchu. Straszna głupota. Przecież to był tylko pocałunek, do którego doszło bardzo dawno temu... och, jak dawno...

Usłyszałam za plecami ciche kroki, a za chwilę ktoś odezwał się niepewnie:

– Przepraszam panią, ale... czy mogę w czymś pomóc? – To był dziewczęcy głos i nagle przypomniałam sobie o przewodniczkach wycieczek.

Odwrociłam się i ujrzałam wyraz ulgi na twarzy dziewczyny, kiedy mnie rozpoznała.

– Ach, to pani, panno Beckett. Nie byłam pewna kto... – powiedziała, marszcząc lekko brwi. – Czy wszystko w porządku?

Podniosłam rękę do rozpalonej twarzy i przerażona poczułam, że łzy wciąż płyną mi po policzkach. Uspokoiliłam się nieco, słysząc niski głos pani Hutherson dobiegający od drzwi pokoju naprzeciwko.

– Wszystko w porządku, Sally – powiedziała kobieta. – Pani Beckett przeżyła właśnie mały szok, nic więcej. Możesz już powoli zamykać.

Kiedy ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do kuchni, cały czas ze mną wesoło

rozmawiając, pomyślałam, że mogłaby być moją matką. Właściwie nie słyszałam nic z tego, co do mnie mówiła, ale ton jej głosu uspokajał mnie, i kiedy obie usiadłyśmy w kuchni, łyzy obeschły. Teraz tylko od czasu do czasu pociągałam nosem.

– Bardzo dobrze – powiedziała pani Hutherson, poklepując mnie uspokajająco po ramieniu. – Jedyne, czego potrzebujesz, moja droga, to filiżanka mocnej herbaty.

Mocna herbata była lekarstwem, które Alfreda Hutherson stosowała we wszelkich okolicznościach.

Postawiła czajnik na kuchni i spojrzała na mnie ze współczuciem.

– To musiał być straszny szok, jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób do tego wszystkiego doszło.

– Pocałował mnie – powiedziałam, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Tak kochanie, wiem. No, ale teraz wytrzymaj twarz – powiedziała, podając mi mokry ręcznik. – Mężczyźni mogą w każdej chwili wrócić z ogrodu.

Wytarłam twarz, potem ją osuszyłam i z trudem wzięłam się w garść. Nagle przypomniałam coś sobie i zwróciłam się do Alfredy, zaniepokojona pewną myślą.

– Nie mogłam tego powstrzymać – wyznałam. – Wcześniej mi się to udawało, ale tym razem nie.

– No cóż, myślę, że wyciągniesz z tego odpowiednie wnioski, nieprawdaż? Nie możesz oszukać swojego przeznaczenia, Julio. Jeśli nie będziesz szukała nauki w przeszłości, to przeszłość znajdzie cię sama.

Rozdział 24

Przez następnych kilka dni przypominałam sobie często te słowa i zastanawiałam się długo nad ich znaczeniem. Nie wiedziałam tylko, co miało znaczyć szukanie nauki w przeszłości. Byłam natomiast pewna jednego – że nie mogę zignorować przeszłości, mojej przeszłości, i że im dłużej będę odkładała powrót, tym będzie on dla mnie boleśniejszy. Po mojej ostatniej przygodzie nie byłam pewna, czy chcę dłużej zwlekać. Muszę bowiem wyznać, że wspomnienie tego od dawna nieżyjącego człowieka było znacznie silniejsze niż wszystkie bodźce w obecnym życiu.

Jeśli ta myśl nie dawała mi spokoju, to Toma wręcz przerażała. Nawet rozmawiając z nim przez telefon, czułam, jak bardzo jest jej przeciwny.

– To zbyt niebezpieczne – twierdził z uporem.

– Słuchaj, przecież w tej chwili przestała to już być moja własna decyzja, czyż nie? – przekonywałam go. – Niezależnie od tego, czy tego chcę, czy nie, i tak się samo zdarzy.

– Mówiłaś, że potrafisz nad tym zapanować. Że znalazłaś jakiś sposób na powstrzymanie swoich powrotów.

– To nie zawsze działa – przyznałam. – Słuchaj, Tom, obiecuję, że będę ostrożna. Jeśli chcesz, zamknę wszystkie drzwi i schowam klucze. Zostanę w domu. I będę to robić tylko raz w tygodniu, przyrze...

– Nie, nie przyrzekaj. – W końcu zaczął się śmiać. Słyszając to, odetchnęłam z ulgą. Kiedy znów się odezwał, mówił już mniej stanowczym tonem: – Nie podoba mi się sam pomysł. Cały czas wydaje mi się, że zbyt wiele ryzykujesz. Ale jeśli będziesz ostrożna, odpowiedzialna i będziesz się starała przewidzieć pewne rzeczy, nie mogę cię powstrzymać. Tak jak powiedziałaś, nie ma chyba innego wyjścia.

Teraz ja się uśmiechnęłam.

– Egzorcyzmy pewnie nie pomagają w takich sytuacjach, co?

– Nie – zaczął się śmiać. – A poza tym wszystko w porządku?

– W najlepszym – zapewniłam go. – Robota idzie mi świetnie i na razie nie mam żadnych zastrzeżeń co do domu.

– Rozumiem, że nadal spotykasz się z tym Geoffem? Odpowiedziałam twierdząco, ale byłam zadowolona, że dłużej mnie o to nie wypytywał. Nie zdradziłam się jeszcze Tomowi z moimi podejrzeniami, że Geoff to Richard. Nie powiedziałam mu też nic o pani Hutherson. Chyba bałam się, że gdybym oświadczyła bratu, iż widuję się z obecnym wcieleniem siedemnastowiecznego kochanka Mariany, straciłabym zaufanie Toma. Po prostu przestałby mi wierzyć. A jego wiary potrzebowałam najbardziej. Na razie jednak mi wierzył.

– Uważaj na siebie – to była jedyna rada, jaką mi dał, zanim odłożył słuchawkę. Zapamiętałam to.

Wybrałam poranną godzinę, kiedy większość ludzi jeszcze śpi. Zsunęłam wszystkie meble w jeden róg pracowni, żeby nic nie przeszkadzało Marianie w jej wędrówkach od drzwi do łóżka i okna. Zamknęłam drzwi wejściowe od środka na obydwie zamki i schowałam

klucze w biurku pomiędzy rachunkami i listami. Dopiero wtedy usiadłam przy kuchennym stole i zapaliłam świecę.

Pierwsza podróż w przeszłość trwała krócej niż pół godziny, co – zważywszy na przygotowania – trochę mnie rozczarowało. Poza tym uznałam, że była bardzo nudna. Prawie przez cały czas Mariana krajała warzywa przy kuchennym stole, Karolina zaś bawiła małego Johna. Żadna z nich nic nie mówiła. Kiedy wróciłam do teraźniejszości, poczułam się zniechęcona.

Za to kolejne wysiłki okazały się bardziej owocne. Zaciekawiona, jaki to przyniesie rezultat, spróbowałam tym razem wycieczki nie z kuchni, lecz z salonu. A zatem siedziałam w pokoju gościnnym, wyszywałam i przysłuchiwałam się, jak Rachelę z Karoliną omawiają przygotowania do ślubu. Właściwie był to monolog Karoliny. Rozprawiała podniecona o kwiatach, sukniach i gościach, podczas gdy Rachelę siedziała skulona nad swoją robótką i od czasu do czasu mruczała coś niewyraźnie. Chowała twarz przed siostrą, ale ja wiedziałam, że za zasłoną włosów kryje się blada i wymizerowana buzia.

Przyjęcie miało się odbyć w Szarych Głazach, ponieważ dom pana młodego był zbyt mały. Z tego, co mówiła Karolina, wywnioskowałam, że chyba wszyscy mieszkańcy wioski zostali zaproszeni na wesele. Państwo młodzi mieli spędzić noc poślubną pod dachem mojego wuja, a potem przenieść się do wsi, do domu Eliasza. Trudno było wyobrazić sobie Rachełę mieszkającą z mężem w tym ciasnym, smutnym domku o ciemnych kominach i szarych oknach, podobnie jak wszystkich zaproszonych gości, tańczących w salonie mojego wuja. Próbowałam wywołać w myślach taki obraz, ale w moje fantazje wdarł się głos ciotki:

– ... i oczywiście będziemy też musieli zaprosić lorda de Mornay, ma się rozumieć, dla przyzwoitości. W żadnych innych okolicznościach Jabez nie zniósłby obecności tego człowieka. Nie wątpię, że lord przyprowdzi ze sobą chłopaka Gilroyów, chociaż on wcale nie jest zaproszony. To są problemy, których przysparzają możni – narzekała. – Mogą robić, co chcą, na nic nie zważając.

Usłyszałam, jak Rachelę syknęła i westchnęła głęboko, gdy igła boleśnie wbiła jej się w palec. Widziałam też, jak czerwona kropla krwi spłynęła na białe płótno, na którym haftowała...

W tym momencie zakończyła się moja wycieczka i postanowiłam odczekać kilka dni, zanim znów spróbuję. Ograniczając się tylko do swojego domu i powtarzając eksperyment ze świecą w różnych pomieszczeniach, uzyskałam naprawdę pełny obraz życia codziennego Mariany i jej bliskich. Wraz z upływem czasu rosło moje współczucie dla Karoliny. Rachelę powiedziała mi pewnego dnia, że Karolina niegdyś była równie żywą dziewczyną, jak ona sama. Powoli narastało we mnie podejrzenie, że Jabez dręczył ją powoli, ale systematycznie. Potwierdzeniem tego były siniaki na jej bladej twarzy albo strach pojawiający się w oczach, kiedy tuliła płaczące dziecko. Jego zresztą też mi było szkoda. W spojrzeniu Jabeza, kiedy spoglądał na swojego syna, nie było miłości ani przywiązania. Widziałam w jego oczach tylko złość i nienawiść. W takich chwilach myślałam o własnym ojcu i o tym, czego mnie nauczył. Wtedy serce mi się ścisnęło w przewidywaniu losu małego Johna.

Wobec mnie Jabez pozostawał wciąż tak samo oschle uprzejmy, nie interesował się

moimi sprawami, zachowywał się jednak niekiedy bardzo tajemniczo. Bywały dni, gdy wyjeżdżał w interesach, i takie, kiedy rozlegało się czyjeś pukanie do drzwi – wówczas byłam natychmiast odsyłana na kilka długich godzin do swojego pokoju. Nie miałam nic przeciwko temu, bo mogłam wtedy czytać Szekspira, wydobywszy uprzednio książkę z tajemnego schowka pod łóżkiem.

Kiedyś jednak, gdy przyjechali goście mojego wuja, wiedziona ciekawością, odważnie podkrađłam się do szczytu schodów. Podglądając przez balustradę, zobaczyłam jedynie plecy wuja i twarz czarnookiego Eliasza Webba, narzeczonego Racheli. Na szczęście ich głosy dochodziły do mnie bardzo wyraźnie. Po wymianie grzeczności przeszli do pokoju gościnnego, zamykając za sobą drzwi, i nie słyszałam ich więcej. Zawiedziona, wróciłam do swojego pokoju.

Ponieważ podczas tych powrotów w przeszłość nigdy nie opuściłam Szarych Głazów, nie spotkałam się też z Richardem de Mornay. Widziałam go tylko kilka razy jeżdżącego konno po polach za naszym domem. Wiedziałam jednak, że Mariana musiała powtórnie odwiedzić Crofton Hall, ponieważ teraz czytała już nie Szekspira, lecz Fletchera. Pamiętałam także, jak doszliśmy z Richardem do samego środka ogromnego, pachnącego jeszcze niedawnym deszczem labiryntu; oczywiście zgubiliśmy się i śmiejąc się głośno, szukaliśmy wyjścia.

Wtedy również mnie pocałował, tak samo jak owego Pamiętnego dnia w Crofton Hall; wspomnienie tego pocałunku sprawiało, że się rumieniłam. Całą drogę powrotną biegłam w strugach deszczu i jedno spojrzenie na moją roześmianą twarz i roziskrzone oczy wystarczyło Racheli, żeby się domyślić, skąd wracam. Uśmiechnęła się do mnie smutno, a ja od razu zrozumiałam, że nic nikomu nie powie.

– Przynajmniej jedna z nas zasłużyła na trochę szczęścia – rzekła.

Ale gdy Richard de Mornay pocałował Marianę po raz kolejny, nie byli jeszcze kochankami. Ponieważ jednak byłam święcie przekonana, że jest im to pisane, zaczęłam coraz częściej wracać do przeszłości. Podróże, które odbywałam raz na tydzień, stały się teraz codziennym nawykiem. Pod koniec lipca spędzałam już w XVII stuleciu dwie albo trzy godziny dziennie.

Poranną „nieobecność” tłumaczyłam wszystkim pracą nad ilustracjami, miałam zresztą wrażenie, że nikt się tym zbytnio nie interesuje. Geoff rzadko wstawał przed jedenastą, tłumacząc się nawykiem czytania do późnej nocy, Tom zajęty był sprawami swojej parafii, a Ian ziemią. Rzadko go teraz widywałam. Również Vivien zaczęła gdzieś znikać rankami, nikt jednak nie był pewien, dokąd chodzi. Pewnego dnia, gdy jej nieobecność przeciągnęła się do godzin popołudniowych, wybraliśmy się akurat z Geoffem do Czerwonego Lwa. Za barem stał Ned we własnej osobie.

– Nie pytajcie mnie o nic – powiedział ze złością, nalewając nam piwa. – Nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd poszła. Nikt nie troszczy się o to, żeby poinformować mnie o czymkolwiek. – Wrócił do swojej gazety, a ja i Geoff, ponieważ rozmowa się urwała, przenieśliśmy się do stolika pod oknem.

Jerry Walsh nie był tak małomówny jak jego syn. Pomachał do mnie radośnie od swojego stolika.

– Hej, mała! Jak życie? – zapytał mnie, trochę już zawiany.

Uśmiechnęłam się do niego, zapewniając go, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Wpadłaś, co? – Wskazał kciukiem Geoffa i pokiwał głową z udanym ubolewaniem. – Musisz na niego uważać, kochanie. To prawdziwy pożeracz niewieścich serc.

Geoff zaśmiał się cicho.

– Uważaj, Jerry – ostrzegł go żartobliwie – bo inaczej opowiem tej dziewczynie historie, które słyszałem o tobie.

– Dobra. Jesteśmy kwita – odparł Jerry. Mrugnął do mnie i odwrócił się do kiwających się kompanów, którzy wypiwszy już swoje piwo, spoglądali na nas co chwila, z lubością wymieniając najnowsze ploteczki na nasz temat. „Widziałem dziś rano w pubie młodego de Mornaya z tą artystką...” – mogłabym pójść o zakład, że tak zaczynać się będzie tego popołudnia większość rozmów przy podwieczorku.

– A więc – zwróciłam się do Geoffa, kontynuując naszą rozmowę, rozpoczętą w drodze do pubu – w sierpniu znów wyjeżdżasz do Francji?

– Na sześć tygodni – potwierdził. – Niestety, część tego czasu spędzę, załatwiając interesy w naszym paryskim biurze, ale potem jadę prosto do Antibes i zaszywam się na jachcie. Moja matka będzie zapewne w tym czasie w Hiszpanii. Nie wiem, może wybiorę się tam, by ją odwiedzić. – Odkąd go poznałam, bardzo rzadko wspominał o swojej matce.

– Czy ma w Hiszpanii dom? – spytałam najuprzejmiej, jak mogłam.

– Nie – pokręcił głową. – Większość czasu spędza we Włoszech. Ale ostatnim razem, gdy do niej dzwoniłem, wspominała coś o Hiszpanii, chyba o Pampelunie. Tak mi się zdaje.

– Odbywają się tam walki byków.

– Tak – skrzywił się. – Moja matka tam właśnie bywa najczęściej. Poza tym zawsze stara się zapoznać mnie z córkami swoich przyjaciół i zmusić, żebym ożenił się z którąś z nich. Oczywiście, wiem, że ma najlepsze intencje, ale to jest cholernie męczące, przynajmniej dla mnie. – Uśmiechnął się i zmienił temat: – Jaki ci przywieźć prezent?

– Niczego nie potrzebuję.

– Coś małego. No, co byś chciała? Zastanawiałam się przez chwilę.

– Wiesz – powiedziałam – mógłbyś mi przywieźć parę takich dużych filiżanek do kawy, których się tam używa. No wiesz, ogromne filiżanki, które mogą pomieścić hektolitry kawy. Zawsze chciałam mieć coś takiego.

– W takim razie – przyrzekł Geoff uroczyście – dostaniesz je. Czy dwanaście wystarczy? Zaśmiałam się.

– Wystarczą dwie, dziękuję. Poza tym obawiam się, że nie pozwoliliby ci wsiąść do samolotu z taką ilością porcelany.

– Nie latam przecież zwykłymi samolotami, kochanie – przypomniał mi, wybacząc moją ignorancję. – Mogę zabrać, co mi się tylko spodoba. Poza tym masz w domu olbrzymi kredens i nic w nim nie trzymasz, a więc sprawa postanowiona. Niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie, dostaniesz dwanaście filiżanek. Jeszcze jakieś prośby?

Uśmiechnęłam się z przewrotną złośliwością.

– Mam wrażenie, że to najlepsza okazja, aby poprosić cię na przykład o komplet walizek od Vuittona, o których zawsze skrycie marzyłam. Ale nie będę kusić losu.

– Dlaczego? Spróbuj.

– Lepiej nie, bo obawiam się, że Bóg mógłby piorunem pokarać mnie za chciwość.

– No cóż, chciwość nie zawsze jest grzechem – odparł. Obrzuciłam go długim, zatroskanym spojrzeniem.

– Musisz porozmawiać z moim bratem – doradziłam mu. – Masz diabła w duszy.

Vivien wpadła do pubu pełna energii i roześmiana, z burzą rozwianych wiatrem loków wokół twarzy.

– Kto ma diabła w duszy? – zapytała, przystając z ciekawością przy naszym stoliku.

– Ja – oświecił ją Geoff. Vivien pokiwała głową.

– Zgadza się – odparła.

– W takim razie nie zaszkodzi mi jeszcze jeden drink. – Wysączył resztki alkoholu ze swojej szklanki i podał ją Vivien. – Oczywiście tylko pod warunkiem, że osobiście nas obsłużysz.

– Mógłbyś chociaż pozwolić biednej dziewczynie zdjąć okrycie – zaśmiała się Vivien, biorąc od niego szklankę. – Naprawdę aż tak za mną tęskniliście? Myślałam, że Ned was zabawia – droczyła się z nami, a barman spojrzał na nią leniwie znad gazety.

– Nie było cię akurat gdy wykonywałem taniec na beczkach – rzekł poważnie.

– Ned, daj spokój – powiedziała Vivien, klepiąc go po ramieniu. – Przecież obydwójce wiemy, że gdybyś tylko spróbował to zrobić, dostałbyś ataku serca.

Nalała szklankę piwa dla Geoffa i przyszła, żeby z nami przez chwilę posiedzieć przy stoliku.

– Jesteś dziś w bardzo dobrym humorze – zauważyłam, a ona uśmiechnęła się i spojrzała na nas tajemniczo.

– Nie bez powodu. – To było wszystko, co nam powiedziała, i chociaż nalegaliśmy, nie udało nam się jej namówić, żeby zdradziła swoją tajemnicę.

– Pewnie była na randce z jakimś żonatym mężczyzną – zażartował Geoff, kiedy w godzinę czy dwie później szliśmy z powrotem w kierunku mojego domu.

Spojrzałam na niego, zaniepokojona raczej przewidywaną reakcją Iana Sumnera niż wizją skandalu.

– Mam nadzieję, że nie.

– Żartowałem – wyjaśnił, przytulając mnie ze śmiechem. – Wkrótce sama nam o wszystkim powie. Jakie masz plany na resztę dnia? Będiesz pracowała?

Skinęłam głową.

– Jeśli nie przygotuję dla wydawcy następnych ilustracji, moja głowa poleci. A co ty planujesz?

– Myślę, że przejdę się i zobaczę, co porabia Ian – odparł, spoglądając w górę rzeki. – Zadzwoń później, dobrze? – Nachylił się i pocałował mnie szybko, po czym rozeszliśmy się. Geoff skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą w prawo, ja dalej szłam główną drogą.

Wiatr uspokajał się powoli i kiedy dotarłam do domu, powietrze było niemal nieruchome, a ciężkie obłoki wisiały nad moją głową. Mimo że było ciepło, cała się trzęsłam. Podeszłam do drzwi i wsunęłam klucz do zamka.

Kuchnia była ciemna, opuszczona i zimna, więc zostawiłam uchylone drzwi, żeby wpuścić do niej trochę nagrzanego

go powietrza. Gdzieś w głębi domu usłyszałam płacz dziecka, niezbyt głośny, ale bardzo przenikliwy. Rzuciłam klucze na stół i przyłożyłam dłonie do czoła, gdyż moim ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz.

Płacz dziecka przerodził się w bolesne zawodzenie. Przesunęłam ręką po skroniach. Rachela patrzyła na mnie zatroskana.

– Boli cię głowa?

Uznałam, że mam do tego prawo. Johnnie płakał bez przerwy przez okrągłą godzinę i na nic się zdały wysiłki Karoliny, żeby go uciszyć. Tak naprawdę wcale nie bolała mnie głowa, próbowałam tylko zebrać myśli. Miałam to właśnie powiedzieć Racheli, kiedy drzwi się otworzyły, a do kuchni wszedł rozzłoszczony wuj Jabez.

Przez ostatnie kilka dni był nie w humorze i wszyscy przez to cierpieliśmy. Teraz całą swoją złość postanowił wyładować na żonie.

– Chyba nie jesteś zbyt dobrą matką, skoro nie potrafisz uciszyć własnego dziecka.

Nie myśląc, co robię, stanęłam w obronie Karoliny.

– Johnniemu wyrzynają się ząbki – poinformowałam wuja. – Nic na to nie można poradzić.

Równie dobrze mogłabym być niewidzialna. Jabez Howard pochylił się niżej nad żoną i powiedział bardzo spokojnie.

– Albo zamknij mu gębę, albo przysięgam, że sam to zrobię.

Wystraszona Karolina przycisnęła dziecko mocniej do piersi i zaczęła je kołysać ze zdwojoną energią. John nagle przestał płakać, jakby wyczuł niebezpieczeństwo. Zadowolony z obrotu sytuacji, wuj wyprostował się i spojrzał na mnie. Jego oczy przerażały mnie dzikim, bezlitosnym okrucieństwem.

– Mariano – powiedział. – Chciałbym dziś na obiad gołębia. Idź do gołębnika i przynieś mi jednego.

Spojrzałam na Rachelę, która podniosła się szybko od swojego zajęcia, wycierając ręce o fartuch.

– Ja pójdę – powiedziała, ale wuj powstrzymał ją, unosząc dłoń.

– Nie mówiłem do ciebie – rzekł – tylko do Mariany. Chcę, żeby przyniosła mi ptaka, i to martwego. Tym razem nauczy się, jak odebrać komuś życie.

Ręce zaczęły mi się trząść i żeby wuj nie dostrzegł mojej słabości, musiałam ukryć je za plecami. Znikąd nie mogłam liczyć na żadną pomoc. Rachela spoglądała na mnie ze smutkiem, ale nic nie mogła poradzić, a Karolina była zbyt zajęta dzieckiem. Ponaglana surowym wzrokiem wuja, odwróciłam się i wyszłam na rozpalone słońcem podwórze, czując, jak serce kamienieje mi z przerażenia.

Rozdział 25

Gołębnik stał na tyłach ogrodu. Była to spora kwadratowa budowla z chropowatego kamienia z dachem z drewnianych deszczulek, który zwieńczony był jakby małym domkiem. Gołębie wychodziły i wchodziły do gołębnika przez ten właśnie domek. Trafiały tu zawsze z bezbłędnym wyczuciem, żeby w ciasnych i ciemnych gniazdach wychowywać kolejne pokolenia młodych. Było to bardzo zmyślne urządzenie – łatwe w użytkowaniu przez człowieka, za to bardzo niebezpieczne dla samych gołębi.

Wystarczyło pociągnąć zwisającą z sufitu linę, żeby zamknąć wszystkie wyloty z domku na górze. Wówczas ptaki mogły jedynie kłębić się w panice, niszcząc swoje gniazda i zabijając co słabsze sztuki. Nigdy nie potrafiłam zgadnąć, dlaczego po każdej takiej rzezi zostawały w tym strasznym miejscu. Dlaczego nie uciekały, kiedy wyjścia były znów otwarte? I dlaczego nie czekały spokojnie na śmierć, jak to robiły króliki, które trzymaliśmy w klatkach za domem? Czy nie przeczuwały, jaki los je czeka, zastanawiałam się, czy po prostu okropne warunki, w których żyły, zabiły w gołębiach całkowicie instynkt samozachowawczy? Być może, przyzwyczajaiwszy się na dobre do swojego więzienia, nie wiedziały, dokąd odlecieć?

Pomyślałam nagle, że przecież i ze mną może być podobnie. Jeśli nie będę się bronić, stanę się taka sama, jak te ogłupione ptaki. Jak biedna Karolina o martwych oczach, z włosami siwiejącymi od zmartwień w wieku dwudziestu pięciu lat. Jeśli gołębnik to śmiertelna pułapka,

bez wątpienia taką samą pułapką są Szare Głazy i wuj w każdej chwili może pociągnąć za linę i uwięzić mnie niby bezwolnego ptaka.

Nawet teraz czułam na sobie jego wzrok – na pewno patrzył na mnie przez okno – więc zanim otworzyłam małe drewniane drzwi i weszłam do gołębnika, wyprostowałam się dumnie. Najpierw słyszałam tylko skrzypienie drzwi. Oparłam się o nie, żeby je zamknąć. Wtedy melodyjne gruchanie dobywało się z setek małych gardziołek gołębi grzejących się w ciepłe swoich gniazd.

Gołębnik miał wygląd grobu – był ciemny i zaniedbany. W kątach leżały głębokie cienie i z miejsca, w którym stałam, mogłam jedynie z trudem dostrzec zarysy ścian. Trochę światła dochodziło jedynie z domku na dachu, tworząc niewielki krąg na środku pomieszczenia. W promieniach słonecznych przenikających do wewnątrz wirował kurz.

Przesunęłam dłonią po murze w poszukiwaniu jakiegoś zajętego gniazda i namacałam młodego gołębia, odpoczywającego na żerdzi. Zdjęłam go bez trudu, trzymałam teraz ptaka w rękach. Nie bał się zbyt; spoglądał na mnie nieruchomymi oczyma. Czułam, jaki jest drobnutki, jak serce bije mu szybko w kruchej piersi.

– Jezu, pomóż mi – szepnęłam, zamykając oczy. – Nie mogę.

Głęboki głos, który odpowiedział z ciemności na moje błaganie, tak mnie przeraził, że aż podskoczyłam, przyciskając gołębia do piersi.

– Wszyscy, którzy ważą się kraść moje ptaki, muszą zostać ukarani – odezwał się znów

głos.

Zanim słowa ucichły, rozpoznałam, kto je wypowiedział. Moje serce z wolna zaczynało bić w normalnym rytmie. Richard de Mornay podszedł bliżej w kierunku światła, ale jego uśmiechnięta twarz nadal pozostawała w cieniu.

– Jak się tu dostałeś, panie? – zapytałam niemal szeptem.

– Tylnymi drzwiami – odparł, wskazując na małe, rzadko używane drzwi w zachodniej ścianie gołębnika. – Twój wuj mnie nie widział, jeśli o to ci chodzi.

– Skąd ta pewność?

– Bo go śledziłem. Zapewniam cię, że jest bardzo zajęty w stajni. Byłem żołnierzem, Mariano – przypomniał. – Wiem, jak się skradać.

– Zaczaiłeś się tu, panie?

– Właściwie to przywiódł mnie tu głód. – Wyciągnął rękę, żeby pokazać mi dwa martwe ptaki, niestety, nie udało mu się mnie przekonać.

– Przecież masz służących – powiedziałam – którzy mogli ci je przynieść.

– Mhm – usłyszałam z ciemności. – Ale wtedy ominęłaby mnie przyjemność spotkania z tobą.

Odwróciłam wzrok od martwych ptaków, przyciskając równocześnie mocniej do piersi żywego, którego wciąż trzymałam w dłoniach.

– Pochlebiasz mi, panie.

– Tak. Tym razem tak. – Zamilkł na chwilę, a ja poczułam na sobie jego wzrok. – Podoba ci się książka? – zapytał w końcu.

– O tak, bardzo – skinęłam głową. – Niedługo chciałabym pożyczyć następną, tę już prawie skończyłam.

Uśmiechnął się.

– Obawiam się, że będziesz musiała poczekać parę dni. Muszę teraz wyjechać.

– Na jak długo? – spojrzałam na niego, sama się dziwiąc, jak bardzo zmartwiła mnie myśl o jego wyjeździe.

– Może na tydzień. Nie dłużej. Muszę pojechać do Portsmouth, żeby towarzyszyć królowi w drodze do Salisbury.

Moje oczy rozszerzyły się w dzieciennym zdumieniu.

– Król przenosi się do Salisbury?

– Obawia się pozostać w Londynie. W ostatnim tylko tygodniu zmarło tam na dżumę ponad tysiąc osób. Doradcy przekonali go, że znacznie bezpieczniej będzie przenieść się na wieś.

– Ale dlaczego musisz mu towarzyszyć?

Wzruszył ramionami.

– Obowiązkiem moim i mojej rodziny jest ochranianie go. Mamy przecież nadal niespokojne czasy. Nasi przeciwnicy kryją się po wioskach i zapewniam cię, że jest wielu takich, którzy chcieliby widzieć, jak głowa Karola spada. Życzą mu losu jego ojca.

– A twoim zadaniem jest ich powstrzymać?

– Mój miecz jest tak ostry, jak każdy inny.

– A twoja skóra tak samo cienka. – Moje słowa zabrzmiały gorzko. Podeszedł bliżej, nachylając się, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Boisz się o mnie? – Dotknął delikatnie mego policzka.

– Nie ma potrzeby.

Byłam zakłopotana.

– Nie boję się niczego, mój panie – odparłam – oprócz nudy bez twojego towarzystwa.

– Bardzo dyplomatyczna odpowiedź – pochwalił mnie, śmiejąc się cicho. – W takim razie pozwalam ci korzystać z biblioteki w czasie mojej nieobecności. Dzięki temu nie będziesz się nudzić. – Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd mały klucz. Pokazał mi go. – To jest klucz od bramy podwórzowej po zachodniej stronie domu. Kiedykolwiek będziesz chciała, możesz tamtędy wejść do biblioteki.

– Nie mogę go wziąć – zaprotestowałam.

– Dlaczego?

Zaczęłam gorączkowo szukać wymówki.

– Nie mam gdzie go schować – powiedziałam. – Wszędzie może znaleźć go wuj.

– To trzymaj go tu – rzekł, bez trudu rozwiązując mój problem. Pochylając się tak, że jego ramię dotknęło mojego, włożył klucz do jednego z pustych gniazd. – Widzisz, leży w gnieździe z wyszczerbionym brzegiem. Nie będziesz miała kłopotu z odszukaniem go. – Wyprostował się, ale nie cofnął. – Teraz pozostaje jeszcze kwestia zapłaty – powiedział wolno.

– Zapłaty?

– Za kradzież jednego z moich gołębi – przypomniał mi.

– Nie ukradłam tego ptaka, panie – rzekłam niepewnie.

– Wydawało mi się, że gołębnik jest własnością mojego wuja.

– Z pewnością twój wuj z niego korzysta, ale został zbudowany przez moich przodków i stoi na mojej ziemi. Moje prawo do niego jest niezaprzeczalne.

Próbowałam protestować, ale podeszedł jeszcze bliżej kręcąc przecząco głową.

– Nie ma sensu wypierać się przestępstwa – powiedział – jeśli dowód rzeczowy znajduje się wciąż w twoich rękach. To kradzież. I mam prawo wymierzyć karę.

Chwytał w swoje dłonie moją twarz, wsuwając palce we włosy, i pocałował mnie. Kiedy znów unióś głowę, serce biło mi tak samo szybko, jak małe serduszko ptaka, którego cały czas przyciskałam do piersi. Pomyślałam, że ukradnę jeszcze tuzin gołębi, jeśli Richard za każdego wymierzy mi taką karę, ale nie powiedziałam tego na głos.

On jednak czytał w moich myślach.

– Czy chciałabyś może jeszcze jednego ptaka? – spytał ze śmiechem.

– Nie potrafię zabić nawet tego, którego złapałam. Wuj chciał mnie w ten sposób ukarać. Wiedział, że nie będę w stanie tego zrobić.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– A co zrobiłaś, że zasłużyłaś na karę?

– Próbowałam bronić jego żony – odpowiedziałam. – Nie spodobało mu się to.

– Istotnie, to straszne przestępstwo – rzekł Richard ironicznie. Spojrzał na mnie,

poważniejąc nagle. – Twoje miękkie serce cię rozgrzesza, Mariano. Nie ma nic złego we wzbranianiu się przed zabiciem zwierzęcia. W takim razie pozwolimy temu tutaj ptaszekowi pożyć jeszcze trochę, prawda? – Delikatnie wyjął gołębia z moich rąk i posadził go na powrót w gnieździe. – Zamiast niego możesz wziąć te dwa. – Podał mi ptaki, które zabił wcześniej.

Spojrzałam na sztywne, martwe ciała, wzdragając się przed ich dotknięciem.

– A co z twoim obiadem? – spytałam. Richard de Mornay uśmiechnął się smutno.

– Mam znacznie twardsze serce od twojego. Nie boję się odbierać życia. – Zaciśnął moje palce dookoła szyjek martwych gołębi. – Weź te i zanieś je swojemu wujowi – powtórzył. – Ja i tak mam więcej, niż potrzebuję.

Chciałam już odejść, ale on, zamiast mnie przepuścić, znów ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie. Trwało to 16. Mariana długą, zapierającą w piersiach dech chwilę. Kiedy uwolnił mnie z objęć, mój krótki, urywany oddech zagłuszyła kakofonia głosów gruchających gołębi.

– Przecież – wytłumaczył się – udało ci się ukraść dwa spośród moich najlepszych ptaków.

Gruchanie stało się jeszcze głośniejsze, a krąg światła słonecznego u naszych stóp począł się stopniowo rozszerzać. Po chwili wszystko ucichło, w górze świeciło słońce. Stwierdziłam, że jestem sama i stoję, opierając się o niski mur, wśród połamanych i zniszczonych kwiatów.

Idąc przez pola i omijając szerokim łukiem stajnie, dotarłam nie zauważona do zachodniego skrzydła Crofton Hall. Szłam teraz zarośniętą, mało uczęszczaną ścieżką, biegnącą tuż pod wysokim kamiennym murem. Bez kłopotów znalazłam wejście na podwórze. Było niższe niż otaczające je ogrodzenie, nie było też nad nim daszku, zarosło jednak całe bluszczem, zwieszającym się ze szczytu ściany niczym ogromna zielona zasłona.

Pomimo bluszczu znalazłam drzwi od razu. Zrobiono je z dębowego drewna, prawie nie różniły się barwą od wyblakłych od deszczy i słońca murów. Zasłona z bluszczu rozerwała się, kiedy próbowałam odsłonić klamkę i zamek.

Gdy już to zrobiłam, wyjęłam z kieszeni klucz i wstrzymałam oddech. Klucz pasował doskonale... ale nie chciał się przekreślić. Dziesiątki, może setki lat wilgoci sprawiły, że zardzewiał.

Pozwoliłam bluszczowi znowu przykryć drzwi i spoglądając na nie z rozczerowaniem, ruszyłam z powrotem do domu przez puste pola. Przypomniałam sobie wtedy, że przecież na początku nie miałam bodaj nadziei na to, że klucz będzie pasował. Nie byłam nawet pewna, co dałoby mi otworzenie drzwi. Teraz jednak wiedziałam przynajmniej, do jakiego zamka klucz pasuje i dlaczego został schowany w gołębniku.

Poczułam się dziwnie, spoglądając na mur w kształcie litery L, który po nim pozostał. Cały czas widziałam stojący na tym miejscu mały kwadratowy budynek. Kiedy zbliżyłam się do ogrodu, ogarnęła mnie z kolei obawa.

Wszystko kwitło wspaniale. Szkarłatne floksy strzelały do góry kiściami drobnych kwiatów, poniżej kłębiły się szalwie i niezapominajki. Nawet róża, ta cudowna pnąca róża,

którą Ian zasadził pod murem, wypuściła świeże pędy i strzeliła grubymi pąkami. Ale piękny ogród został brutalnie zniszczony. Moje własne nogi wydeptały ścieżkę od muru aż do środka ogrodu i tam właśnie kwiaty były kompletnie stratowane.

Stąpając ostrożnie pomiędzy tymi, które jakoś przetrwały, podeszłam do muru, wpatrując się w rzędy dawno już opuszczonych gołębich gniazd. To z wyszczerbionym brzegiem było cały czas doskonale widoczne; uśmiechnęłam się lekko, dotykając go palcem. Pomyślałam, że już nie potrzebuję klucza. Równie dobrze może znaleźć się tam, gdzie tyle lat temu położył go Richard. Wyjęłam klucz z kieszeni i włożyłam do gniazda. Uderzenie metalu o kamień wydawało mi się ostateczne.

Wciąż tam stałam, zagubiona w swoich myślach, gdy nadszedł Geoff. Stąpił powoli i ostrożnie. Szedł w taki sposób, jakby stopy paliły go żywym ogniem.

– Znalazłaś więcej skarbów? – spytał, a ja pokręciłam tylko przecząco głową i uśmiechnęłam się.

– Niestety, nie. Co słyhać u Iana?

– W porządku, udało mi się przekonać go, żeby przestał na chwilę pracować – powiedział Geoff, opierając się o mur. – Wyglądał jakoś podejrzanie radośnie. – Zmusiłem go nawet do tego, żeby otworzył butelkę swojej dwunastoletniej szkockiej. Spędziliśmy naprawdę miłe popołudnie.

– Widzę – odparłam. – Dobrze, że przynajmniej możesz chodzić.

– Niezupełnie w linii prostej – przyznał – ale jakoś mi się udaje. O mój Boże! – Nagle zauważył, w jakim stanie znajdował się mój ogród. – Kto stratował twoje krwawiące serduszka?

Podążyłam za jego wzrokiem.

– Tak się nazywały? – mruknęłam niewyraźnie. „Krwawiące serduszka”. Bardzo odpowiednia nazwa, pomyślałam.

– Chyba jakieś zwierzę, prawda? – rzekł, kiwając głową. – Ian się wścieknie.

– Nie – odparłam zdecydowanie. – Nigdy jeszcze się nie złościł, gdy chodziło o ten ogród. Nawet wtedy gdy powyrywałam nie te rośliny, które powinnam. Jest znacznie bardziej opanowany, niż sądzicie obydwój z Vivien.

– Być może – wzruszył ramionami Geoff. – Ale nie przyszedłem tu, żeby dyskutować o Ianie i ogrodzie.

– A jaki miałeś powód?

– Właściwie przyszedłem z dwóch powodów. – Oparł się chyba trochę za mocno o kamienny mur, ale zaraz się wyprostował. – Po pierwsze chciałem ci powiedzieć, że nie będę mógł być na sobotnim obiedzie. Muszę wyjechać na parę dni do Londynu. Przepraszam.

– Znów interesy, prawda? – zapytałam, a on twierdząco skinął głową.

– Nie jesteś rozczarowana?

– Na Boga, nie – spojrzałam na niego. – Dlaczegoż miałabym być? Przecież nic nie możesz poradzić na to, że musisz pracować. Nie ma to jak być prawdziwym bogaczem, co?

Geoff uśmiechnął się.

– Daj spokój. To będzie pierwsza prawdziwa praca w tym miesiącu. Bogaty i bezrobotny

będę dopiero w sierpniu.

– A drugi powód? – spytałam. – Co?

– Druga przyczyna, dla której tu wpadłeś – przypomniałam mu, a jego twarz się rozjaśniła.

– Och, chciałem po prostu zapytać, czy mogłabyś mi zrobić filiżankę kawy. – Uśmiechnął się jak dziecko. – Szkocka Iana jest strasznie mocna, on okropnie hojny przy nalewaniu, a ja zbyt dumny, żeby powiedzieć mu, że już dość wypilem. Lubi mi wciąż przypominać, jakie to Anglicy mają słabe głowy. Ale nie sądzę, żebym był teraz w stanie iść do domu – wyznał – bez wywalenia się do rowu.

– Istotnie, nie możemy na to pozwolić – przytaknęłam. – Przy twoim szczęściu na pewno znalazłby cię tam Jerry Walsh i stałbyś się obiektem plotek całego miasteczka. No chodź – powiedziałam, stąpając ostrożnie pomiędzy roślinami – zrobię ci kawę.

Rzeczywiście, przechodząc przez trawnik, nie był chyba w zbyt dobrej kondycji. Chwiał się niczym statek podczas silnej burzy. Udało mu się jakoś dojść do drzwi, ale widocznie źle ocenił ich rozmiary, bo zanim niepewnie wszedł do kuchni, uderzył się o futrynę. Szłam za nim i kiedy stanęłam już na wycieraczce, kątem oka dostrzegłam jakiś cień pod starym dębem.

Odwróciłam głowę, ale najwyraźniej nie dość szybko. Miejsce pod drzewem było puste, dookoła panowała cisza, słychać było jedynie wiatr, szepczący cichutko w pustym ogrodzie.

Rozdział 26

Lato przez następne cztery dni i noc. Deszcz padał równo i monotonicznie, jakaś melancholia spowijała całą okolicę niczym posepna mgła. Świat widziany z okien mojej pracowni był szary i nieciekawym.

Dziwne, ale lubiłam deszcz. Lubiłam patrzeć, jak pada z nieba, spacerować w jego strugach i słuchać, jak krople uderzają o ramy okienne, podczas gdy ja, owinięta w ciepły koc, siedzę w domu i czytam książkę. Ale po czterech dniach nawet moje nerwy nie wytrzymały.

Wyprawy w przeszłość też nic nie pomogły. Udało mi się zagościć tam trzykrotnie, ale za każdym razem siedziałam sama w domu i wykańczałam wyprawę Racheli. Nie było wokół nikogo, kto przerwałby tę rozpaczliwą nudę. Kiedy wróciłam do rzeczywistości, byłam jeszcze bardziej podenerwowana niż przedtem. Nienawidziłam szyć.

W końcu nuda wypchnęła mnie z domu i zawiodła Pod Czerwonego Lwa w poszukiwaniu bardziej towarzyskiej atmosfery. Najwyraźniej nie byłam jedyną osobą, która wpadła na ten pomysł. Wszystkie stoliki były zajęte, wszyscy mówili jednocześnie. Powietrze było gęste od dymu papierosowego i zapachu mokrych ubrań.

Ian prawdopodobnie przyszedł tu prosto z pola. Pachniał niczym owca skropiona płynem po goleniu. Przesunął się, żeby zrobić dla mnie miejsce przy barze, i zapalił papierosa.

– Dawno cię nie widziałam – zaczęłam rozmowę.

– I właściwie nie powinnaś mnie tu widzieć również teraz. Mam masę roboty, ale ten deszcz doprowadza mnie do szaleństwa, więc postanowiłem wpaść na jedno albo dwa piwa. Poza tym musiałem odebrać pocztę.

Wyciągnęłam szyję, żeby przyjrzeć się małej paczuszce leżącej obok niego na barze.

– Czy to przypadkiem nie pismo mojego brata? – spytałam, Ian skinął głową.

– Mhm. Kiedy tu był ostatnio, zgadało się o poezji Roberta Herricka i Tom obiecał, że przyśle mi książkę z jego wierszami, żebyśmy mogli je sobie odświeżyć w pamięci. Spodziewam się, że to właśnie ten tomik – To jeszcze nie otworzyłeś przesyłki? – Vivien spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Ian, nie masz w sobie za grosz zwykłej ludzkiej ciekawości. Przecież to może być wszystko...

– Proszę bardzo – zachęcił ją, wskazując głową na paczkę. – Otwórz, jeśli tak ci na tym zależy.

– Dobra, zaczynam. – Rozerwała brązowy papier i wyjęła małą książeczkę. – Robert Herrick, „Poezje” – przeczytała na głos.

Ian nie odezwał się słowem, ale kiedy wydmuchiwał dym z papierosa, widać było, że jest bardzo zadowolony.

– Nie sądzę, żebyś czytała kiedykolwiek coś Herricka – powiedziałam.

– A powinnaś – rzekła Vivien. – Napisał o tobie strasznie dużo wierszy.

– O mnie?

– No, o Julii. Całe mnóstwo. Jest tu nawet jeden o jej sukniach.

– Fascynujące – orzekłam, nachylając się, żeby lepiej się przyjrzeć książce. Vivien wolno

odwracała kartki, wodząc palcem po linijkach tekstu.

– Pewnie dlatego twój brat ją kupił – zastanawiała się głośno. – Jest do ciebie bardzo przywiązany, prawda? O, patrz, tu jest coś dla ciebie: „A wtedy, Julio, przyjdź do mnie, bo pragnę cię, Julio, ogromnie; gdy stanę u srebrnych stóp Pana, oddam ci duszę, kochana”. – Przeczytała ten fragment z odpowiednią intonacją, po czym, marszcząc lekko brwi, spytała: – Jak myślicie, co on miał na myśli, pisząc o „srebrnych stopach”?

Ian posłał jej leniwe spojrzenie.

– Czy pomógłby ci to zrozumieć fakt, że spotykają się przy świetle księżyca? – spytał.

– Aha, teraz rozumiem.

– Większość z nich jest naprawdę cudowna – rzekł, wyciągając rękę po książkę. – Nie czytałem Herricka od czasów Cambridge. To miło ze strony twojego brata, że pożyczył mi tę książkę.

Nie odpowiedziałam natychmiast. Wezwanie kochanki do spotkania z poetą cały czas rozbrzmiewało w moich uszach niby jakiś dobrze znajomy głos. Potrząsnęłam lekko głową, żeby wyrzucić z niej te wersy, i uśmiechnęłam się do Iana.

– Musiałeś zrobić na nim duże wrażenie – oświadczyłam. – Zazwyczaj bardzo się boi o swoje książki. To zresztą najprawdopodobniej moja wina. Wciąż trzymam u siebie parę książek, które pożyczyłam od niego, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Dotąd mu ich nie oddałam.

– Masz też kilka moich książek o ogrodnictwie.

– Aha. Wiem o tym. – Upiłam duży łyk dzinu z tonikiem i uśmiechnęłam się przepraszająco. – Przywłaszczanie sobie książek to mój nałóg. Biblioteki w całym kraju drżą w posadach na sam dźwięk nazwiska Beckett. Przyrzekam, że oddam ci je w najbliższej przyszłości.

– Bez przesady – wzruszył ramionami. – Mnie nie są potrzebne, a wydaje się, że ty czegoś się jednak z nich uczysz. Ogród wygląda naprawdę wspaniale.

– Zaglądałeś tam ostatnio? – spytałam ostrożnie.

– Parę dni temu.

– Och, przepraszam. Krwawiące serduszka są nie do odratowania – odparłam, ale Ian mnie rozgrzeszył:

– To nie twoja wina. Przecież ich nie ścięłaś. Takie rzeczy się zdarzają. Mogę dostać jeszcze trochę, złotko? – spytał Vivien, unosząc pustą szklanę.

– Ależ oczywiście. Julio? – spojrzała na mnie pytająco, ale pokręciłam głową odmownie. Moje rozleniwienie pierzchło gdzieś bezpowrotnie i teraz chciałam się trochę poruszać.

– Właściwie – powiedziałam – myślę, że wpadnę na chwilę do twojej ciotki. Jak myślisz, czy jest jeszcze we dworze?

Vivien spojrzała na zegarek.

– O wpół do czwartej? Chyba tak. Nawet jak nie ma Geoffa, zawsze tam siedzi przynajmniej do kolacji. Ma dużo sprzątanina.

– Jak myślisz, powinnam najpierw do niej zadzwonić?

– Do kogo, do Fredy? – Ian wyraźnie się zdziwił. – Nie musisz. Zobaczysz, kiedy tam dojdiesz, będzie już na ciebie czekał dzbanek świeżej herbaty.

Istotnie, okazało się, że miał rację. Cudownie było wejść do ciepłej i przytulnej kuchni, gdzie głośno gwizdże czajnik, a słodki zapach pieczonego ciasta unosi się po całym pomieszczeniu.

– Co za miła niespodzianka – rzekła Alfreda Hutherson, stawiając na stole filiżankę i talerz z gorącymi jeszcze herbatnikami prosto z pieca. – Spodziewałam się, że ktoś mnie wreszcie odwiedzi.

– Tak naprawdę, to miałam w tym ukryty cel – rzekłam, chrupiąc ciastko. – Czy przewidziano na dziś jakieś wycieczki?

– Nie, w środy nie przyjmujemy wycieczek. – Pochyliła głowę i spojrzała na mnie, jej oczy zwężyły się. – Chciałabyś wejść do jednego z pokoi. – To nie było pytanie.

– Tak – potwierdziłam. – Chcę wiedzieć, co zobaczyła Mariana przez okno Sypialni Rycerskiej. Wszystkie moje powroty związane są z konkretnymi miejscami i jeśli chcę się znaleźć w sypialni, tam właśnie muszę rozpocząć swoją podróż.

– Tak, wiem. Ale czy jesteś pewna, że już teraz chcesz powrócić do tamtej chwili? Przecież wchodząc do tego pokoju, odczułaś straszny ból.

Milczałam przez chwilę.

– Muszę to wiedzieć – powiedziałam w końcu. – Pani mnie przecież rozumie. Ci wszyscy ludzie wydają mi się tacy realni... Muszę to wiedzieć.

– Czy chcesz, żebym z tobą poszła?

– Nie, dziękuję – rzuciłam szybko, uśmiechając się zaraz, żeby złagodzić trochę swoje słowa. – Czułabym się zażenowana, gdyby mnie ktoś obserwował.

– W takim razie – powiedziała, stawiając filiżankę na spodeczku – idź na górę, kiedy tylko będziesz gotowa. Chyba nie zrobisz sobie nic złego. Wydaje mi się, że meble nie były przestawiane od tamtego czasu.

– Jeśli były, to powiem pani o tym – odrzekłam, śmiejąc się cicho. – Przecież wkrótce będę już wiedziała. – Przyszła mi do głowy nagła myśl, zmarszczyłam brwi. – Te... doświadczenia – zaczęłam wolno – trwają czasami nawet parę godzin. Jeśli nie skończę do czasu, kiedy będzie pani już chciała iść, proszę...

– Zostawię zapalone światła i zamknę drzwi – obiecała. – Wiesz, jak je otworzyć, prawda? Świetnie. Skoro już zaczniesz, nie chciałabym ci przerywać. Jak będziesz wychodzić, po prostu przekręć zamek w prawo. Zamknie się sam, kiedy zatrzaśniesz drzwi.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

– Dziękuję. No cóż – wstałam, lekko zdenerwowana – proszę życzyć mi szczęścia.

Ogromne pokoje dworu wydawały mi się dziś jeszcze bardziej rozległe, puste, a jednak zatłoczone. Kiedy wchodziłam po schodach na górę, czułam mnóstwo niewidzialnych osób tłoczących się dookoła. Dusza Crofton Hall czekała na mnie, obserwując, jak zbliżam się do Sypialni Rycerskiej.

Kiedy nie świeciło słońce, wydawało się, że pokój jest ponury. Krople deszczu spadały jedna za drugą z parapetu i kapały na trawnik. Wieża kościoła rysowała się za oknem jako mały kwadratowy cień, unoszący się nad jaśniejszą plamą murów cmentarza. Trawnik i ogród różany miały kolor ciemnobrązowy. Podświadomie zacisnęłam pięści.

To uczucie nadeszło niespodziewanie i uderzyło mnie niemal z siłą prądu morskiego. Twarz wykrzywił mi nagły grymas. Strach, ból, panika – wszystkie te emocje kłębiły się wewnątrz mnie z niezwykłą intensywnością. Nie, błagało całe moje jestestwo, drżąc straszliwie, nie, nie, nie...

Dzwonienie w uszach było coraz głośniejsze, aż w końcu stało się nie do zniesienia. Wszystkie moje nerwy wibrowały w jego rytmie, aż nagle, tak jakby zamknęły się za nim jakieś drzwi, ustało. Dookoła zapanowała cudowna cisza. Otworzyłam oczy.

Rozciągający się przede mną trawnik, skąpany w świetle słonecznym, był cudownie zielony i płaski, przecięty jedynie z prawej strony linią zakurzonej drogi, z drugiej natomiast ograniczony ogrodem różanym. Pośród gałęzi niedalekiego dębu śpiewał ptak, powtarzał wciąż i wciąż tę samą słodką melodię.

Z tyłu, za mną, Richard uniósł się na łóżku. Czułam na sobie jego wzrok.

– O czym myślisz? – Głos miał niski, trochę zaspany. Głos kochanka. Ściągnęłam mocniej szal wokół nagich ramion i lekko się wzdrygnęłam.

– O wszystkim – odparłam – i o niczym.

– A czym ja jestem?

Powinam mu powiedzieć, że wszystkim, ale słowa uwięzły mi w gardle. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego; leżał z rękami założonymi nad głową. Miał szeroką, smagłą pierś, która odbijała od jasnego płótna pościeli. Mimo że wyglądał na zadowolonego z siebie samca, patrzył na mnie jakoś niepewnie.

To spojrzenie mnie zmyliło.

– Czy twoim życzeniem jest, abym sobie poszła?

– Dlaczego tak sądzisz? – Uniósł brwi w zdziwieniu, niepewność znikła. – Mariano, nie jesteś służącą, żeby czytać rozkazy z moich oczu.

– Nie – przyznałam, patrząc w ziemię – nie jestem służącą. Jestem kochanką. Zapewniam cię, że to mała różnica.

Cały czas wpatrywał się we mnie.

– Jesteś moją jedyną miłością – poprawił mnie delikatnie – co nie przynosi ci żadnego wstydu. Żałujesz, że to się w ogóle wydarzyło?

Podniosłam głowę.

– Nie – przyznałam uczciwie.

– Nie będę cię do niczego zmuszał – odparł. – Nie chcę mieć w łóżku wystraszonej i niezdecydowanej kobiety. Chcę takiej, która da mi miłość, ponieważ sama będzie tego chciała. Jeśli nie składam ci żadnych obietnic, to dlatego że świat jest bardzo niepewnym miejscem, a słowa nic nie znaczą. Ale jeśli wątpisz w moją miłość, to chodź – wyciągnął ku mnie dłoń – udowodnię jeszcze raz to, co ci już udowodniłem.

Ruszyłam w jego stronę bezwiednie, niby kwiat pnący się do światła słonecznego. Szal upadł gdzieś zapomniany, kiedy Richard objął mnie mocno. Kochaliśmy się długo i namiętnie, nie tak gwałtownie i niecierpliwie, jak za pierwszym razem. Kiedy skończyliśmy, przytulił mnie do siebie, trzymałam głowę przy jego piersi, on wicherzył dłonią moje włosy.

– I co myślisz teraz? – zapytał od niechcienia. Uśmiechnęłam się.

– Obawiam się, że wyjazdy wuja mogą się okazać zbyt rzadkie.

Zaśmiał się głośno, zwijając w loki pasma moich włosów.

– Mówiłaś, że wraca jutro? Skinęłam głową.

– Wyjechał tuż po twoim odjeździe. Aha, zapomniałam spytać, czy wszystko w porządku? Jak się czuje król?

– Kiedy go wczoraj opuszczałem, miewał się całkiem dobrze – odparł Richard. – Nie bardzo mógł sobie przypomnieć mojego ojca, ale zaprosił mnie na kolację. Nie poszedłem jednak, bo byłem zbyt zmęczony i chciałem już wracać do domu. Poza tym dwór królewski to nie miejsce dla dżentelmena. – Wyczułam, że się uśmiecha. – Założę się, że martwi cię fakt posiadania jednego zaledwie kochanka. Na dworze uważana byłabyś za osobę wielce pruderyjną.

– Jeden mi wystarczy – powiedziałam, wtulając się mocniej w jego ramiona.

– I jednego tylko będziesz miała.

– A jeśli wuj każe mi wyjść za mąż za jakiegoś kupca? – Uniosłam głowę, zaciekawiona.

– Co wtedy zrobisz?

– Nie pozwolę na to. Sam się z tobą ożenię. – Objął mnie mocniej. – Nie chcę cię stracić.

To wszystko mrzonki, powiedziałam sobie w duchu. Oczywiście nigdy nie mógłby mnie poślubić, dzieli nas zbyt duża przepaść. Ale miło o tym pomarzyć. Przez jedną cudowną chwilę czułam, że moje serce wypełnione jest szczęściem po brzegi.

Położyłam dłoń na piersi Richarda, a on przykrył ją swoją, odgarniając drugą ręką włosy z mojego czoła.

– Śpij – powiedział. – Mamy jeszcze parę godzin, żeby nacieszyć się sobą.

Z początku nie czułam się wcale zmęczona, leżałam po prostu, nasłuchując jego równego oddechu i wyczuwając mocne bicie serca. Chciałam zachować tę chwilę na zawsze. Ale wkrótce sen zmorzył również mnie, nakrywając nas oboje jakby niewidzialnym, ciepłym pledem.

Kiedy się obudziłam, w pokoju było już ciemno, za oknem wysoko na niebie świecił jasno księżyc. Byłam sama w łóżku.

Byłam sama w łóżku, ale nie w pokoju. Ktoś stał w rogu. Szary cień o połyskujących w mroku oczach. Kiedy uniosłam głowę, postąpił naprzód i światło księżyca padło na niego. Nie mogłam dostrzec wyrazu twarzy Geoffreya de Mornay, ale czułam jego zdenerwowanie.

– Chyba musimy porozmawiać – powiedział.

Rozdział 27

końcu jednak przez prawie cały czas to ja mówiłam. Geoff siedział naprzeciwko mnie w salonie, gdzie tego dnia, gdy się poznaliśmy, rozmawialiśmy po raz pierwszy. W świetle lampy widać było wyraźnie zmęczenie na jego twarzy, ale oczy miał cały czas uważne i skupione. Od czasu do czasu przerywał moją bełładną gadaninę jakimś pytaniem, by dalej słuchać z zaciekawieniem. Poza tym napełniał szklanki winem z butelki stojącej pomiędzy nami na stole. Gdy kończyłam opowiadać swoją historię, zaczęło już świtać, skowronek śpiewał w gałęziach pobliskiego drzewa, a butelka była pusta.

Geoff nie powiedział od razu, co o tym wszystkim sądzi. Splótł tylko palce i marszcząc brwi, wpatrywał się w czubki butów.

– Myślisz, że zwariowałam – próbowałam odgadnąć.

– Oczywiście że nie.

– Nie szkodzi – zapewniłam, trąc czoło drżącą ręką. – Czasami mnie samej się zdaje, że wariuję.

– Nie o to chodzi. Nie wątpię, że to wszystko ci się rzeczywiście przytrafiło. No – uśmiechnął się – może tylko troszeczkę, ale nie wątpię, że ty sama wierzysz w to, co widziałaś. Po prostu nie jestem całkiem pewien, jak powinienem to wszystko traktować. – Pochylił się na krzesło i znów zmarszczył brwi. – Richard... – myślał głośno. – Gdybyśmy tylko mieli jakieś dowody, że Richard de Mornay naprawdę żył...

– Może znajdzie się coś w papierach twojego ojca?

– Z całą pewnością nie. Jeśli chcesz, mogę to jeszcze raz sprawdzić, ale jestem przekonany, że pamiętałbym o tym... – Wstał i wziął z biurka teczkę z papierami. Kiedy rozłożył je na stole, zobaczyłam, że są to te same dokumenty, które pokazywał mi tamtego wieczora u Vivien. Przerzucał je teraz w milczeniu, potem zamknął teczkę i powtórzył:

– Nic. Czy jesteś pewna, że on miał na imię Richard? Skinęłam stanowczo głową.

– Absolutnie. Jego ojcem był William de Mornay.

– No cóż, mój ojciec nie znalazł żadnej wzmianki o dzieciach Williama, istnieje tylko parę portretów, które być może je przedstawiają. Gdzieś pewnie są ich dokumenty, ale ja ich nie mam.

– A nie możesz dotrzeć na przykład do testamentu Williama?

– Nie zostawił go. – Geoff skrzywił się lekko. – Rzecz najbardziej lekkomyślna z genealogicznego punktu widzenia. Wiem tylko, że po śmierci Williama następnym znanym z zapisów właścicielem Crofton Hall był jego wnuk, Arthur.

– Arthur... – Próbowałam przypomnieć sobie to imię. – Richard pokazywał mi jego portret wiszący w waszej galerii. Niezbyt miłe dziecko. Wydaje mi się, że Arthur mieszkał wtedy w Holandii ze swoją matką. A jak miał na imię jego ojciec? – sama sobie zadałam pytanie, przyciskając palcami powieki. – Richard kiedyś je wymienił... zaczynało się też na „R”... Robert? Tak, Robert – powiedziałam tym razem już pewniej. – Robert był młodszym bratem Richarda.

Geoff jeszcze raz zajrzał do swoich notatek i wzruszył ramionami.

– Cóż, może masz rację, ale w żaden sposób nie mogę dostarczyć ci na to dowodów.

– Może jednak coś się znajdzie – powiedziałam. – A co z portretem w bibliotece? Czy nie znajdziemy tam jakichś wskazówek?

Znów wzruszył ramionami.

– Możemy spróbować.

Nerwowo próbowałam podtrzymać rozmowę, kiedy przechodziliśmy przez Salę Wielką.

– Skąd wiedziałeś, że jestem na górze?

– Zobaczyłem w kuchni twój płaszcz. Wiedziałem, że musisz się gdzieś tu kręcić. Freda pewnie cię zamknęła, prawda?

– Tak – skinęłam głową. Wcześniej nie powiedziałam mu nic o pani Hutherson. Z jakiegoś powodu nie byłam jeszcze gotowa, żeby dzielić się wszystkim, co się pomiędzy nami dwiema zdarzyło. Więc wyjaśniłam po prostu: – Piłyśmy razem herbatę, a potem ja weszłam na górę. Jeśli zamknęła, to pewnie jej się wydawało, że poszłam już do domu.

Mruknął coś i otworzył drzwi do biblioteki.

– Panie przodem – zaprosił mnie gestem. Szedł za mną przez ogromny dywan, aż w końcu stanęliśmy przed portretem Richarda.

– Jakie wskazówki chciałaś tu znaleźć? – spytał, podnosząc głowę.

– Nie wiem. Cokolwiek, co mogłoby mi pomóc w udowodnieniu ci, że to naprawdę Richard.

– Czy kiedy... kiedy go widzisz, ma na sobie to samo ubranie?

– Nie. – Przyjrzałam się bliżej portretowi. – Oczywiście, wszystko też jest czarne, ale to inne rzeczy. Przecież w końcu portret został namalowany prawie pięć lat przed naszym spotkaniem.

Poczułam na sobie uważne spojrzenie Geoffa.

– Rozumiem.

– Na małym palcu lewej ręki nosi pierścień – powiedziałam. – Bardzo duży. Srebrny. Jest na nim pióropusz i zakapturzona głowa sokoła. Jeśli się dobrze przyjrzysz, to nawet tu widać ten sygnet.

Wskazałam go na obrazie, a Geoff przyjrzał się dokładniej.

– Nie jest to naturalnie żaden dowód – ciągnęłam dalej. – Pierścień świadczy jedynie o tym, że sportretowany mężczyzna jest głową rodziny, a nie że ma na imię Richard.

– Nie – przyznał Geoff, kiwając głową – ale może stanowić dowód, że ktoś był w posiadaniu Crofton Hall pomiędzy śmiercią Williama a odziedziczeniem dworu przez Arthura. Naturalnie, jeśli to właśnie nie jest Arthur.

Pokręciłam głową przecząco.

– Wykluczone. Arthur miał pyszczek wydry i wyglądał jak prawdziwy dupek.

– Uważaj – ostrzegł mnie Geoff, śmiejąc się głośno. – Jestem bezpośrednim spadkobiercą tego wydrowatego dupka.

– Przepraszam.

Zbliżył się jeszcze bardziej, nosem prawie dotykał płótna.

– Jaka szkoda, że matka nie wyszyła mu monogramu na marynarce – zażartował.

– Właśnie!

– Co? – Odwrócił głowę, zaciekawiony.

– Matka Richarda – powiedziałam z rosnącym podnieceniem. – Słuchaj, załóżmy, że udowodnię, iż wiem o czymś, o czym mogłam się dowiedzieć, jedynie będąc wtedy w Crofton Hall. Czy wtedy uwierzysz w Richarda?

– Już w niego wierzę.

– Nieprawda. Nie widać tego po tobie. Ale jeśli ci dowiodę, że przynajmniej część mojej opowieści da się naprawdę potwierdzić, wówczas może uznasz, że w całości jest prawdziwa.

– Masz na myśli logiczną dedukcję – uśmiechnął się lekko. – Dobrze, Sherlocku. Mów, o co chodzi.

– Najpierw będzie mi potrzebna łopata – odparłam.

– Łopata? – Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Coś, czym mogłabym kopać.

Słońce stało już wysoko; na małym zamkniętym z czterech stron podwórzu nie było żadnego cienia. Stałam po kolana w gęstej trawie i chwastach, patrząc na narzędzia, które przyniósł Geoff.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczy – wyraziłam głośno swoje powątpiewanie, a Geoff spojrział na lekko zardzewiałą łopatkę i szpikulec do lodu.

– No cóż, musi – odparł. – Nic nie poradzę, Ian chowa gdzieś swoje narzędzia. Trzyma łopaty, grabie i motyki wszelkiego rodzaju, poupychane w jakichś zakamarkach, ale nie mam zielonego pojęcia gdzie.

– Dobrze. – Zrobiłam jeszcze parę kroków i zatrzymałam się w pewnej odległości od muru. – Wydaje mi się, że to było gdzieś tutaj.

– Co?

– Nagrobek – stwierdziłam. – Grób matki Richarda. Nie chcieli jej pogrzebać na cmentarzu, bo była katoliczką, więc William de Mornay musiał ją pochować właśnie tu.

– Chyba żartujesz.

– Ani trochę. Nagrobek zrobiony jest z białego kamienia, tej szerokości – rozpostarłam ręce – i wypisano na nim imię. – Widziałam, że Geoffowi też udziela się moje podniecenie.

– W tym miejscu, mówisz?

– Wydaje mi się, że tak. Może być przysypany grubą warstwą ziemi – powiedziałam, rozglądając się dokoła. – Kiedy patrzę na ten mur, wydaje mi się, że teraz grunt jest trochę wyżej. Ale może to tylko złudzenie.

– Spójrz na te drzwi i spróbuj określić, jaki był wtedy poziom gruntu. – Wskazał głową w stronę domu.

– Te drzwi jeszcze wtedy nie istniały. Całe zachodnie skrzydło było otwarte z jednej strony, tak jak to bywa w klasztorach.

Geoff przyjął moje stwierdzenie z filozoficznym spokojem.

– W takim razie miejmy nadzieję, że nam się uda. Szpikulec do lodu ma jakieś czternaście centymetrów długości, to powinno wystarczyć.

Patrzyłam, jak Geoff się schyla i zaczyna badać grunt dookoła, zagłębiając szpikulec powoli i ostrożnie w ziemię. Wciąż miałam nadzieję, że Geoff uwierzy w to, iż kiedyś był Richardem. Wyobrażałam już sobie tę chwilę, gdy – jak wszystkie te pary z telewizji – biegniemy, by paść sobie w ramiona, uszczęśliwieni faktem, że odnaleźliśmy się po ponad trzystu latach rozłąki...

Oczywiście stało się całkiem inaczej. Nie spodziewałam się jednak, że terażniejszość przerośnie moje najśmielsze fantazje. Uznałam, iż powinnam przynajmniej przekonać Geoffa, że nie zwariowałam i że Richard de Mornay naprawdę istniał. Gdyby przyjął to do wiadomości, może zdałby sobie sprawę z tego, kim naprawdę jest.

W pewnej chwili niemal odpowiedział na moje myśli:

– Myślisz, że to ja jestem Richardem, co?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Prosta dedukcja – rzekł z uśmiechem. – Jeśli ty byłaś Mariana, to... – Wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że przyszło mi to do głowy – przyznałam, dobierając starannie słowa.

– Spotykamy się bardzo często, poza tym nosisz przecież nazwisko de Mornay i kochasz Francję prawie tak mocno jak on.

– To skąd wiesz, że nie odrodził się jako Francuz? Spojrzałam na jego ciemną głowę, pochyloną nisko nad ziemią.

– Poza tym wyglądasz dokładnie tak samo – dokończyłam cicho.

Nie skomentował tego, dalej badając szpikulcem grunt.

– Może już go tu nie ma. No, grobu. Może został zniszczony albo w późniejszych czasach ktoś wykopał szczątki i po prostu je wyrzucił. Bądź też znajduje się głębiej, niż sięga mój szpikulec. – Spojrzał na mnie i zachichotał. – Ale oczywiście zamierzasz mnie tu trzymać dopóty, dopóki go nie znajdę, co?

Spojrzałam na niego karcąco.

– To naprawdę bardzo ważne.

– W takim razie – odparł – będę jednak musiał go znaleźć.

Zamachnął się energicznie i wbił szpikulec w ziemię. Obydwoje usłyszeliśmy ostre zgrzytnięcie, kiedy metal natrafił na twardy kamień.

Przez minutę żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Po chwili klęczałam już przy Geoffie. Razem zaczęliśmy rozgrzebywać rękoma darń, aż ukazał się pod nią gładki biały kamień.

– Louise de Mornay – przeczytał na głos. Odgarnął leżące na kamieniu resztki ziemi, usiadł na trawie i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Mój Boże – powiedział tylko.

– Wiem. Witaj w klubie. – Odgarnęłam włosy z oczu. – Teraz spróbuj spojrzeć na to wszystko z mojego punktu widzenia.

Przez chwilę patrzył na słońce, potem wytarł o dzinsy ubrudzone ziemią ręce i wstał.

– Może byśmy trochę odpoczęli? – zapytał. – Zjedzmy coś. Będę miał przynajmniej czas, żeby się z tym wszystkim oswoić.

– Dobrze.

Kiedy wróciliśmy do zachodniego skrzydła, automatycznie skierowałam się w stronę kuchni, ale Geoff chwycił mnie za łokieć.

– Nie tu – powiedział. – Chciałbym raczej wyjść stąd na jakąś godzinę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chodźmy do Lwa.

To był bardzo krótki i milczący spacer. Byłam tak zatopiona w myślach, że o mało nie przeszłam obok własnego brata, siedzącego na jednym ze stołków przy barze, w ogóle go nie zauważając, gdyby nie Vivien.

– Popatrz tylko, kogo tu mamy! – wykrzyknęła. – Nie mógł się do ciebie dodzwonić, więc przyjechał, żeby dotrzymać nam towarzystwa.

– Wiedziałem, że wcześniej czy później i tak się pojawisz – przywitał mnie Tom. Jego pocałunek pachniał szkoocką, więc usiadłam i zwróciłam oskarżycielski wzrok na Iana.

– Czy upijasz mi brata? – spytałam go.

– Miej litość – odpowiedział, mrugając do mnie porozumiewawczo. – Próbuję za nim nadążyć.

– Hm. Jeszcze jeden wolny dzień? – spytałam Toma, a on tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– Tak. Czyż wikary nie jest cudownym wynalazkiem? – Jego wzrok prześliznął się po mnie. – A tu mamy owego Geoffa, co? – powiedział, wyciągając na powitanie rękę. – Miło cię spotkać. Czy mogę ci postawić drinka?

Oto cały mój brat, pomyślałam, tylko on potrafił sięgnąć do swojej pustej kieszeni, żeby postawić piwo milionerowi. Geoff z wdzięcznością przyjął propozycję i już po paru minutach cała nasza czwórka siedziała przy barze, a Vivien opierała się na nim z drugiej strony, Ian podniósł swoje piwo, trącając Toma w ramię.

– No więc co mówiłeś o Morriseyu? – spytał go.

– Że nigdy nie będzie w stanie pokonać Connera. Geoff spojrzał z zaciekawioną na Vivien, a ona wyjaśniła:

– Mecz szachowy.

Przez następną godzinę poruszyliśmy chyba z setkę tematów.

Tom nas nie słuchał.

– Ned! – krzyknął. – Co piszą o szansach Morriseya? Ned przerzucił strony gazety i odpowiedział, nie podnosząc głowy:

– Nie ma najmniejszych szans. Tom spojrzał na nas z triumfem.

– Widzisz?

– Nieprawda. – Ian pokręcił głową. – Przecież w końcu Morrisey jest Szkotem.

– Otóż to. – Tom uśmiechnął się do swojego piwa, a w oczach Iana pojawiły się przewrotne błyski.

– W takim razie może mały zakładzik?

W tym momencie do rozmowy włączył się Geoff, unosząc ostrzegawczo dłoń.

– Uważaj – doradził mojemu bratu. – Przegrałem do niego tyle pieniędzy, że nigdy nie odważę się przyznać.

Tom się zawahał, ale trwało to tylko chwilę. Nigdy nie mógł oprzeć się „małym zakładzikiem”.

– Pięć funtów – powiedział.

– Stoi.

Przypieczętowali zakład uściskiem dłoni, a Ian mrugnął porozumiewawczo do Geoffa i zapalił papierosa.

– Wyglądasz strasznie – powiedział przyjacielowi szczerze. – Co, u diabła, robiłeś?

– Właściwie to sprawka Julii – odparł Geoff, zrzucając całą winę na mnie. – Nie pozwoliła mi zasnąć od czasu mojego powrotu z Londynu.

Skrzywiłam się. Nie było to najszcześniejsze sformułowanie.

Trzy pary oczu skierowały się podejrzliwie w naszą stronę. Nawet Ned popatrzył na nas znad gazety. Do Geoffa dotarł chyba wreszcie sens tego, co właśnie powiedział, bo uśmiechnął się szeroko.

– Hej, ludziska, wyrzucie ze swych umysłów grzeszne myśli. Po prostu poznawaliśmy następną kawałek historii Crofton Hall.

Niezupełnie jest to kłamstwo, pomyślałam, gratulując mu w duchu umiejętności omijania faktów. Siedzący naprzeciwko mnie Tom uniósł pytająco ciemną brew, a ja skinęłam nieznacznie głową. Bez słowa przekazaliśmy sobie wiadomość: Tak, powiedziałam mu. Wtedy Tom spojrział znów na Geoffa z wielkim zainteresowaniem.

– Znaleźliśmy coś bardzo interesującego – mówił Geoff, bawiąc się swoją szklanką. Spojrzął na Iana. – Pamiętasz, jak mówiłeś, że moje podwórko to grób?

– Mhm.

– No więc okazuje się, że tak jest naprawdę. Znaleźliśmy tam grób żony Williama de Mornay.

– Pierwszego czy drugiego? – spytała Vivien, a Geoff zmarszczył brwi.

– Co? Z pierwszego czy drugiego małżeństwa?

– Nie! Williama syna czy ojca.

– Ach! – Twarz mu się rozjaśniła. – Syna. Vivien uniosła brew w zdziwieniu.

– Ale dlaczego pochowali ją na podwórzu? Czy normalnym miejscem pochówków nie był cmentarz?

– Nie wiadomo – odparł Geoff. – Może była katoliczką. Nazywała się Louise, to przecież francuskie imię.

Brawo, zachwyciłam się w myślach. Był nawet lepszy ode mnie.

Ian nie wydawał się zbyt zdziwiony naszym odkryciem.

– W każdym razie – powiedział – lepiej wypielimy zielsko, może znajdziemy tam coś jeszcze. Wpadnę jutro rano z kosiarką i zobaczymy, co się da zrobić.

Vivien spojrzała na niego zniecierpliwiona.

– A co masz jeszcze na liście swoich obowiązków? – spytała. – Co jest pod numerem sto pierwszym?

– Lubię pracować – usiłował się bronić.

– Pomogę mu – rzekł Geoff i Vivien umilkła.

Tom siedział, zastanawiając się nad czymś głęboko.

– To bardzo przykre – powiedział wreszcie – że odmówiono komuś pochówku w poświęconej ziemi. – Wypił łyk szkockiej. – Niestety, Kościół musi jeszcze odpowiedzieć za wiele swoich czynów.

– Mów tak dalej – zaczęłam się z nim przekomarzać – a na pewno do świąt Bożego Narodzenia zostaniesz ekskomunikowany.

Mój brat uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma mowy. Arcybiskup i ja znamy się całkiem dobrze. Poza tym trzeba przecież wziąć pod uwagę moje nazwisko. Przeznaczenie wybrało mnie do tego, żebym przywdział sukienkę duchowną, zresztą ty sama wiesz chyba bardzo dużo o jego zawiłych ścieżkach.

Spojrzałam na Geoffa, nasze oczy spotkały się i uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo. Kiedy Tom i Ian zagłębili się w dyskusji na temat etyki chrześcijańskiej, Geoff pochylił się, żeby zamówić kolejnego drinka, i położył rękę na moich plecach. To był dotyk dający poczucie bezpieczeństwa, przepraszający i równocześnie pełen nadziei. Serce zabiło mi mocniej.

Pomyślałam sobie, że przecież mogę jeszcze trochę poczekać. Zrobię to dla Richarda.

Rozdział 28

– Tak, mamó. – Przycisnęłam słuchawkę telefoniczną do ramienia i wyciągnęłam rękę, żeby poprawić przekrzywiony rysunek na ścianie nad schodami. – Tom mi wszystko opowiedział. Zdaje mi się, że to miła niespodzianka.

– Mhm. – Głos mojej matki był jakby nieobecny, nie wydawało się też, żeby była całkiem przekonana. – Chyba tego właśnie należało się spodziewać. Przecież wiesz, że twój ojciec nigdy nie zrezygnuje z rozwiązywania krzyżówek. Nie wiem też, czy tydzień w Brighton może być rzeczywiście uznany za wielką nagrodę. Ale przynajmniej ojciec chodzi dumny jak paw. Gdybyś go usłyszała, pomyślałabyś, że nigdy nie byliśmy na żadnych wakacjach. A przecież wróciliśmy niecały miesiąc temu.

Mimo to nie mogła ukryć zadowolenia. Znałyśmy ojca zbyt dobrze, żeby wiedzieć, że najbardziej cieszy go nie nagroda, ale fakt jej wygrania. Był zachwycony tym, że może dostać coś właściwie za darmo.

– Czy tata jest w domu?

– Nie, wyszedł kupić sobie kąpielówki. Masz pojęcie – powiedziała, chichocząc cicho – z tymi jego nogami! Będę chyba musiała chodzić dziesięć kroków za nim, i to w ciemnych okularach, żeby nikt nie pomyślał, że jesteśmy razem.

Zaśmiałam się.

– Słyszałam, że w Brighton są plaże dla nudystów.

– Chcesz mnie rozśmieszyć czy doprowadzić do tego, żebym nie pojechała?

– Och, mamó, na pewno będziecie się doskonale bawić. Przecież to w końcu tylko tydzień. Kiedy wyjeżdżacie?

– W przyszłą sobotę. Zatrzymamy się na jedną noc u Toma, więc pomyśleliśmy, że jeśli nie będziesz miała nic lepszego do roboty, może chciałabyś się tam z nami spotkać?

– Przepraszam, mamó, ale naprawdę nie mogę. Nie w następną sobotę. Rachela wychodzi za mąż i byłaby bardzo rozczarowana, gdybym nie przyszła.

– Rachela? – dobiegł mnie zdziwiony głos matki. Zacisnęłam mocniej rękę na słuchawce, uświadamiając sobie, co właśnie powiedziałam.

– Rachela Evers – dodałam, starając się, żeby mój głos nie drżał – koleżanka ze szkoły.

– Aha.

Z ciszy, która zapadła, wywnioskowałam, że mama myśli intensywnie, starając się dopasować imię i nazwisko do twarzy. Postanowiłam jak najszybciej zmienić temat.

– Tom mówił, że tata ma znów problemy z kręgosłupem – rzuciłam i odetchnęłam z ulgą, gdy mama podjęła temat. Zawsze była gotowa do omawiania problemów zdrowotnych ojca, spowodowanych, jej zdaniem, zbyt wieloma wieczorami spędzonymi przez niego w klubie przy winie i bilardzie.

Dalszych wywodów słuchałam jednym uchem i włączałam się do monologu mamy jedynie od czasu do czasu, chrząkając lub pomrukując.

– Czy jesteś pewna, że się dobrze czujesz? – spytała mnie w końcu, kiedy nie

zareagowałam śmiechem na jakiś szczególnie długi dowcip.

– Oczywiście, a dlaczego?

– Przez ostatnie dziesięć minut nie odezwałam się słowem.

– Naprawdę? Przepraszam. Bardzo wcześnie dziś wstałam i chyba brak snu zaczyna dawać o sobie znać.

– W takim razie odpocznij trochę – odparła mama tonem, który znałam aż za dobrze. – odżywiaj się odpowiednio. Może brakuje ci żelaza w organizmie? Czy cały czas bierzesz witaminy? Dobrze. Przecież nie chciałybyś się rozchorować właśnie teraz, co?

– Czuję się dobrze – powtórzyłam, ale wydało mi się, że mówię te słowa dziś już po raz setny. To kłamstwo, przyznałam się w duchu, kiedy odłożyłam już słuchawkę. Powiedziałam tak dziś rano Geoffowi, wczoraj wieczorem Tomowi i teraz mamie, ale to nie była prawda. Wcale nie czułam się dobrze. Właściwie byłam straszliwie przygnębiona i wiedziałam, że w miasteczku jest tylko jedna osoba, która zna przyczynę tego stanu rzeczy.

Dom pani Hutherson stał za zbudowaną z czerwonej cegły plebanią. Był bardzo mały i wyglądał, jakby miał się zapaść w miękką ziemię pod ciężarem dachu. Wokół rosła lawenda, ze skrzynek w oknach spływał gąszcz innych kwiatów, odbijających ładnie od świeżo pomalowanych na zielono okiennic. Jeśli nawet Alfreda Hutherson nie stałaby w ogrodzie, podwiązując krzaki pomidorów, i tak wiedziałabym, że dom należy do niej.

Gdy weszłam przez małą furtkę, wyprostowała plecy i przywitała mnie uśmiechem.

– Spodziewałam się ciebie dużo wcześniej – powiedziała. – Ale chyba byłaś dziś bardzo zajęta. Oczywiście jesteś rozczarowana.

Jak to cudownie nie musisz niczego wyjaśniać. – Tak.

– Chciałaś czegoś więcej.

– Chciałam bajki – przyznałam. – Byłam głupia.

– Wcale nie – odparła spokojnie. – Przecież nawet kochankowie z bajki, zanim zaczną żyć długo i szczęśliwie, muszą trochę powalczyć z przeciwnościami losu. Bądź cierpliwa. Zaufaj temu, co się dzieje dookoła ciebie. Zobaczysz, że w końcu wszystko rozwiąże się samo. Jadłaś już kolację?

– Nie – pokręciłam głową. – Nie byłam głodna.

– W takim razie wejdź do środka. Poczujesz się znacznie lepiej, jak coś zjesz.

Domek od wewnątrz sprawiał tak samo miłe i przytulne wrażenie jak z zewnątrz. Czyniły go takim zasłony w duże jasne kwiaty, białe ściany i koronkowe firanki, które przepuszczały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wcale się nie zdziwiłam, gdy zobaczyłam siedzącego na parapecie kota. To, co mnie zdziwiło, to chyba jakieś dziecięce przekonanie, że kot powinien być czarny, a nie ognistorudy. Ale po chwili uświadomiłam sobie, że i w tym nie ma nic dziwnego...

– Wydaje mi się, że kiedyś już widziałam pani kota, jak spacerował w pobliżu mojego domu.

– Tak, jest prawdziwym łazęgą. Jego matka była raczej domatorką, ale obawiam się, że odziedziczył charakter po swoim dziadku.

Pani Hutherson zaprosiła mnie do małej kuchenki i zajęła się przygotowywaniem

kanapek i herbaty. Jeśli nie mogła odpowiedzieć na moje pytania, to przynajmniej udało jej się sprawić, że trochę się rozluźniłam.

– Czy ten mężczyzna, którego widziałam razem z Geoffem i Ianem przy stajniach, to twój brat? – spytała mnie w pewnej chwili.

Skinęłam głową.

– Postanowili mu pokazać posiadłość.

– Jesteście do siebie bardzo podobni. Vivien mówiła mi, że jest pastorem.

– Ma parafię w Hampshire. Kiedy znów przyjedzie, przedstawię go pani – obiecałam. – Wpada co parę tygodni, żeby sprawdzić, co u mnie słychać.

– Wydaje mi się, że się o ciebie martwi. – Pokiwała głową, wpatrując się uważnie w moją twarz. – Może ma jakiś powód?

Zaprzeczyłam.

– Nie, nie... naprawdę czuję się dobrze – zapewniłam, ale pod jej badawczym spojrzeniem nie można było kłamać. – No cóż, ostatnio mam małe problemy z samokontrolą, wie pani, o co chodzi. Nie zawsze mogę sama wybrać czas, w którym chcę się przenieść do przeszłości, niekiedy zdarza się to samo, jakby bez udziału mojej woli.

– Przenosisz się teraz codziennie, prawda?

– Prawie – skinęłam głową. – Strasznie trudno się od tego powstrzymać. Widzi pani, bardzo mi na nich zależy. Interesuję się tym, co się im przydarzy. Oni wszyscy wydają się tak realni...

– Może nawet bardziej niż my? – Pani Hutherson pokiwała głową. – Rozumiem. Gdy w grę wchodzi przeszłość, nie ma czasu dla teraźniejszości. Ale, Julio, nie możesz też stracić kontaktu z rzeczywistością – ostrzegła mnie. – Przeszłość może nas czegoś nauczyć, może nas w jakiś sposób chronić, ale nie może stać się dla nas wszystkim. Istotą życia są zmiany i nasz własny rozwój. Musimy iść naprzód, bo jeśli tego zaniechamy, nasza dusza umrze.

Następnych kilka dni spędziłam samotnie, pracując w ogrodzie. Kiedy otworzył się pierwszy pąk pnącej róży, rosnącej przy starym murze, ścięłam kwiat delikatnie i postawiłam w wazonie obok deski do rysowania. Bardzo dokładnie przeniosłam na papier każdy płatek, słupek i pręciki, tak że kwiat wyglądał jak żywy. Ta samotna róża na moim obrazku stała się skarbem, Piękną, którą ukradziono z ogrodu Bestii. Dzięki mnie na papierze stała się nieśmiertelna. W dusznym powietrzu pracowni ta prawdziwa przekwitła bowiem już po trzech dniach. Zmobilizowałam się wreszcie i zabrałam do czytania tekstów, które przywiózł mi swego czasu Tom. Fragmenty pochodziły z książek i gazet. Były różne – od zawitych i niezrozumiałych po bardzo nowoczesne, prawdziwe rozprawy naukowe. Szczególnie zaciekało mnie, w jaki sposób ludzie przypominali sobie doświadczenia z poprzednich wcieleń.

Do niektórych z nich, tak jak do mnie, wszystko przyszło nagle. Niektórzy już w dzieciństwie świadomi byli postaci, w jakiej występowali w poprzednich wcieleniach, ale z upływem lat starzeli się i powoli o wszystkim zapominali. Czasami wspomnienia nadchodziły dopiero po jakimś głębokim wstrząsie albo seansie hipnotycznym. A niektórzy... niektórzy nie

przypominali sobie nigdy.

– Nic nie czuję – rzekł Geoff po tygodniu, zasmucony. Staliśmy na podwórzu, wpatrując się w oczyszczony i obsadzony kwiatami nagrobek. Płatanina chwastów zniknęła dzięki wprawnej ręce Iana i wyrzała spod nich zielona trawa i drobne kwiatki. Geoff wcisnął ręce do kieszeni i zmarszczył brwi. – Przecież na pewno bym coś czuł, gdyby...

Bardzo mało rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło przed tygodniem. Wydawało mi się, że Geoff próbuje sobie to wszystko poukładać w głowie i jakoś się do tego ustosunkować. Cały czas jednak pozostawaliśmy tak samo daleko czy może blisko siebie. Spotykaliśmy się, jego uściski były równie gorące jak przedtem, oczy się śmiały, ale miałam uczucie, że opuściła mnie jakaś jego część. Pozwoliłam na to, ponieważ, po pierwsze, wiedziałam, że wróci, a po drugie, życie Mariany Farr przyćmiło wszystkie moje problemy związane z dniem dzisiejszym.

Kiedy nadszedł dzień ślubu Racheli, nie miałam wątpliwości, że muszę tam być. Zanim na niebie błysnęły pierwsze promienie słońca, zdążyłam już wstać, wyłączyć telefon i usiąść wygodnie w oczekiwaniu na nieuniknione.

A nieuniknione decydowało się bardzo długo. Cudowny letni dzień powoli zaczął uciekać. Godziny mijały, a czyste dotąd niebo zaczęło zasnuwać się gęstymi chmurami i wkrótce po słonecznym blasku zostało już tylko wspomnienie. Ziemia okryła się ponurą szarością. Do popołudnia ciemności stały się prawie nieprzeniknione, jedynie słaby wietrzyk wpadał do domu przez okno, szepcząc coś niby zalotna kobieta.

Znalazłam Rachelę w małym pokoiku, który jeszcze tak niedawno należał do niej. Wąskie łóżko było zasłane, nie pozostał tu już żaden ślad jej obecności. Miała spędzić noc poślubną w dużej narożnej sypialni, w ogromnym łóżu, które należało kiedyś do mojego dziadka.

Nie wiedziałam, jak sobie bez niej poradzę, na samą myśl o tym czułam ciężar na sercu. Mimo że nie mówiła tego głośno, byłam pewna, że jej myśli są jeszcze czarniejsze od moich. Nie widzącym wzrokiem patrzyła przez okno na odległą drogę.

– Przed wieczorem zacznie padać – powiedziała, wyczuwając, że stoję w drzwiach. – Nasi goście trochę zmokną.

– Wydaje mi się, że nawet tego nie zauważą. – Weszłam do pokoju, zamykając drzwi, żeby odizolować nas od grającej na dole muzyki i radosnego gwaru. – Ku wielkiemu niezadowoleniu wuja wypili już prawie dwie beczki piwa.

Uśmiechnęła się blado. Wciąż miała na sobie swoją najlepszą sukienkę z jasnego jedwabiu, bogato wyszywaną i zdobioną, w przeciwieństwie do Eliasza Webba, który w szarym stroju wyglądał naprawdę ponuro. Nawet dziś rano w kościele, patrząc na piękną, młodą dziewczynę i posępnego starca u jej boku, sam kapłan jakby się zawahał podczas wypowiedzenia słów przysięgi małżeńskiej.

– Założę się, że mój mąż nie pije – odezwała się Rachel. – Jest przecież purytaninem w każdym calu. Czy nie wiesz przypadkiem, która godzina?

Pokręciłam głową przecząco.

– Zbliża się czas kolacji, ale nie mam pojęcia, która jest dokładnie. Czy zejdiesz niedługo na dół?

– Oczywiście. Mam zamiar... – Urwała nagle, przyciskając dłoń do szyby. Stałam tuż za nią, wystarczająco blisko, żeby zobaczyć, kogo dojrzała przez okno. Nie można było nie rozpoznać ogromnego ciemnego konia i jego jeźdźca. Za nimi jechał na swoim wierzchowcu wyprostowany Evan Gilroy, wiodąc za sobą klacz, która wydawała się niemal tańczyć na wyboistej drodze.

– Przyjechał. – Rachelę odetchnęła głęboko, jakby z ulgą. – Naprawdę przyjechał. – Odwróciła się do mnie. W jej oczach dostrzegłam szaleńcze szczęście i nie mogłam pojąć tej nagłej zmiany. – Mariano, chwytaj szczęście garściami – powiedziała Rachelę drżącym głosem – i trzymaj mocno, bo nigdy nie wiadomo, kiedy można je stracić.

Chciałam ją przytulić, pocieszyć, ale zanim uczyniłam jakiegokolwiek ruchu, ona już przemknęła obok mnie ze spuszczonej oczyma i usłyszałam tylko jej lekkie kroki po schodach. Na trawniku Navarre pochylił głowę i Richard zsiadł. Evan poprowadził wszystkie trzy konie pod gruszę, żeby je tam uwiązać. Odgłosy zabawy przycichły trochę, żeby po chwili znów się wzmóc. Nikt nie zwracał uwagi na nowych gości.

Słyszając donośny głos Richarda, przenikający sufit i podłogę, zeszłam na dół.

– Witaj, panie. – Głos Rachelę był jasny i pewny. Uśmiechała się do przybyszów, podchodząc bliżej, żeby ich powitać. – Uczyń nam, proszę, ten honor i przyłącz się do naszego towarzystwa.

Richard zdjął kapelusz i uklonił się uprzejmie.

– Twoje towarzystwo, pani, byłoby zaszczytem dla każdego mężczyzny – odparł z galanterią.

Uśmiechała się cały czas, nawet wtedy, gdy zwróciła się do mężczyzny stojącego za plecami Richarda.

– Witam, panie Gilroy. – Wyciągnęła rękę na powitanie. Evan ucałował dłoń Rachelę, cały czas patrząc jej prosto w oczy.

– Życze ci szczęścia, pani – powiedział cicho.

Pojawił się też mój wuj, oblekając twarz w maskę chłodnej zyczliwości.

– Witamy, witamy, panowie. Wejdźcie do domu i częstujcie się.

Richard skinął głową.

– A gdzież to poczciwy pan Webb? – spytał. – Chciałbym z nim chwilę porozmawiać.

Wuj Jabez zawołał pana młodego i Eliaszb Webb podszedł do stojących mężczyzn, spoglądając na nich z rezerwą. Zdawało się, że Richard nie zwrócił uwagi na jego chłodne powitanie.

– Pozwól, panie, że ci pogratuluję – rzekł przyjaźnie – z okazji najlepszego z twoich małżeństw.

– Dziękuję, lordzie – wymamrotał cicho w odpowiedzi Webb.

Richard uśmiechnął się.

– W związku z tak ważnym wydarzeniem chciałbym ofiarować ci coś na pamiątkę. Na podwórku stoi piękna czarna klacz. Jest to koń raczej dla kobiet, uznałem więc, że doskonale będzie podkreślał wspaniałą urodę twojej żony. Proszę, żebyś wyświadczył mi, panie, ten honor i przyjął mój skromny prezent.

Eliasz Webb, zanim odpowiedział, spojrzał na zarumienioną nagle Rachełę.

– W imieniu mojej żony przyjmuję z wdzięcznością twój ślubny podarunek – odparł. Ale było jasne, że nie jest z tego upominku zadowolony.

Grajkowie zaczęli grać, Richard pochylił głowę, nasłuchując.

– Bardzo ładna melodia – orzekł. – Co byś powiedział, panie, gdybym teraz poprosił twoją żonę do tańca?

Brzydka twarz pana młodego zastygła w wyrazie oburzenia.

– Żałuję, panie, że nie mogę zabronić tańców na własnym weselu. Muzykę i picie jeszcze jakoś znoszę, ale tańce to według mnie diabelska rozrywka.

Odkąd zesłam z góry, Richard nie spojrzał jeszcze na mnie ani razu, więc sądziłam, że po prostu nie wie, iż tu jestem. Teraz jednak jego oczy znalazły mnie bez trudu. Stałam oparta plecami o zimną ścianę i modliłam się, żeby nie ośmielił się poprosić mnie do tańca w obecności wuja.

Z uśmiechu, jaki pojawił się na jego twarzy, odgadłam, że przeszło mu to przez myśl, ale odwrócił głowę, przeprosił uprzejmie Rachełę i jej męża, po czym wmieszał się w tłum innych gości, pociągając za sobą Evana Gilroya.

Kilka minut później, kiedy przechodziłam wśród cizby, żeby napełnić winem szklanki gości, spostrzegłam, że nagle pojawił się tuż obok mnie.

– Ranisz moją dumę – ostrzegł mnie łagodnie – ignorując mnie w ten sposób.

Spojrzałam na niego zniecierpliwiona.

– Zgodnie z poleceniem wuja nie wolno mi z tobą rozmawiać.

– A od kiedyż to jesteś posłuszna jego poleceniom? – Podał mi do napełnienia swoją szklankę, spoglądając na mnie zachwyconymi oczyma. – Poza tym twój wuj jest teraz zajęty rozmową ze swoim najważniejszym gościem. Jeśli spojrzysz w tę stronę, po prostu odwróć głowę.

– Jesteś niemożliwy, mój panie.

– Mhm. A ty zaczynasz tracić dobry humor. Co cię tak zmartwiło?

Schyliłam głowę, marszcząc brwi.

– Przepraszam, ale boli mnie żołądek. Jak mogłeś przyprowadzić tu Evana?

Odpowiedział spokojnie:

– Byliśmy zaproszeni.

– Rachel jest dość nieszczęśliwa i bez przypominania sobie o tym, co utraciła. Poza tym widzę, że on się wcale nie przejął jej małżeństwem z tym potworem.

Wzrok Richarda podążył za moim ku śmiejącemu się beztrudnie Evanowi, który stał, opierając się stopą o wygasły kominek.

– Małżeństwo nie jest ważne – rzekł Richard z zagadkowym uśmiechem – dopóki nie zostanie skonsumowane.

W tej chwili mój wuj spojrzał w naszą stronę i Richard de Mornay, mimo swej wcześniejszej obietnicy, nie odwrócił głowy. Zamiast tego podniósł szklankę i donośnym głosem zawołał:

– Za jego królewską mość Karola!

– Za króla! – Wszyscy zgromadzeni unieśli szklanki, opróżniając je do dna. Wuj również przyłączył się do toastu, ale kiedy opuścił szklankę, miał zmrużone oczy i zaciętą twarz.

– Za nowożeńców! – krzyknął ktoś z tłumu i znów uniosły się wszystkie szklanki.

– Za miłość! – wzniosł toast Evan Gilroy, nie ruszając się z miejsca. Wszyscy mu zawtórowali i wypili kolejkę. Richard nie spuszczał przy tym ze mnie wzroku, potem odstawił szklankę i mrugnął porozumiewawczo.

– Pamiętaj, w jaki sposób wypilem wino – powiedział przed odejściem.

Wniesiono teraz kolejny napój – ciepłą mieszaninę mleka, hiszpańskiego wina i korzeni. Kiedy został już prawie w całości wypity, w pokoju zapalono lampy, w sypialni natomiast, gdzie stało wielkie łóżko oczekujące na nowożeńców, zapłonęły świece.

Poszliśmy razem z Karoliną do sypialni, żeby pomóc Racheli się rozebrać. Za parę minut, jak nakazywał obyczaj, przyjść tu mieli wszyscy goście, żeby zdjąć pannie młodej pończochy i pożegnać młodą parę w małżeńskim łóżu. Rachela najwyraźniej nie była zachwycona tym, co miało wkrótce nastąpić, ale bez słowa poddała się naszym zabiegom.

– Musisz wyglądać radośnie – mówiła Karolina do młodszej siostry, szczypiąc delikatnie jej policzki, żeby były bardziej różowe. – Przecież Jabez wydał cię za bogatego i powszechnie szanowanego człowieka, więc powinnaś okazać swoją wdzięczność.

– Przecież jestem wdzięczna – odparła Rachela obojętnie.

Karolina zaczęła układać jej włosy.

– Nie wygląda na to. Musisz się uśmiechać i mówić...

– Och, zostaw ją w spokoju, Karolino! – wybuchnęłam, bo już dłużej nie mogłam znieść tej beznadziejnej gadaniny. Spojrzałam w szklane oczy Racheli. – Chcesz, żebyśmy tu z tobą zostały?

Pokręciła powoli głową.

– Jeśli nie miałybyście nic przeciwko temu, to chciałabym przez chwilę побыć sama. Pozwoli mi to zebrać myśli i... – uśmiechnęła się do siostry – pomodlić się do Boga, żeby uczynił mnie dobrą i uległą żoną.

Wstała i objęła nas mocno. Wyglądała ślicznie w białej nocnej koszuli.

– Będę za tobą tęskniła – szepnęła mi do ucha, drżąc całą niczym przerażone dziecko.

– Będę cię często odwiedzać – obiecałam łamiącym się głosem. – Nie będziesz musiała tęsknić.

Znów pokręciła przecząco głową, rozplakała się i przytuliła do mnie jeszcze raz. Wyszedłam z pokoju. Na dole zabawa osiągnęła punkt kulminacyjny i goście szykowali się, żeby odprowadzić pana młodego do małżeńskiego łóża. Nie miałam serca im towarzyszyć i kiedy w końcu weszli na schody, oparłam się o ścianę w nadziei, że nikt mnie nie zauważy.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że głosy i wrzawa na górze zmieniły się nagle, przybierając jakby złowróżbne tony. Zdziwiło mnie, że goście zbiegają po schodach jakoś dziwnie rozgorączkowani i niespokojni. Wujka nigdy jeszcze nie widziałam tak rozgniewanego i wściekłego jak teraz. ‘

– Wsiadajcie na koń! – polecił stojącym najbliżej niego. – Nie uda im się umknąć. Na Boga! – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem. – Nie uda im się umknąć!

Powietrze dookoła mnie wypełniło się podnieconymi szeptami.

– Uciekli... czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby?... Oczywiście przez okno... Gilroy, moja droga, ten ze dworu... Nikt nic nie podejrzewał...

Eliasz Webb, dygocząc z wściekłości, przedzierał się w moim kierunku przez ciżbę ludzka.

– Otwórz drzwi! – rozkazał a ja automatycznie wykonałam polecenie, przyciskając się do ściany, żeby go przepuścić.

Kilku mężczyzn wyszło z nim przed dom i rozbiegło się w różnych kierunkach. Instynktownie spojrzałam w tę stronę, gdzie Evan wcześniej przywiązywał konie. Navarre, samotny w świetle księżyca, spoglądał ku odległym wzgórzom.

Odwróciłam się i spojrzałam za siebie. Richard de Mornay stał w połowie schodów oparty o ścianę, ze splecionymi na piersiach rękoma. Nasze oczy spotkały się ponad morzem obcych twarzy. Uśmiechnął się.

Rozdział 29

Pani Hutherson uśmiechnęła się do mnie ponad filiżanką w kwiatki.

– Jak sądzisz, co się z nimi później stało? – spytała.

– Nie wiem – odparłam, przygryzając wargę. – Wydaje mi się, że chciałabym, żeby im się udało i żeby żyli długo i szczęśliwie – uśmiechnęłam się blado. – I znów bajka.

To była już niemal tradycja – my dwie siedzące przy kuchennym stole w Crofton Hall, światło słoneczne wpadające przez okna i woda bulgocząca w czajniku.

– Byłam dziś rano w kościele – powiedziałam – i jeszcze raz sprawdziłam księgi. Nie ma żadnej wzmianki ani o pogrzebie Racheli, ani Evana, ani o małżeństwie przez nich zawartym. Natomiast zapis o ożenku Racheli i Eliasza Webba wciąż tam figuruje. Nikt go nie skreślił.

– Najprawdopodobniej uznano, że nie jest to konieczne – wyjaśniła pani Hutherson. – Eliasz wkrótce zmarł. Ale, ale – uśmiechnęła się, przykładając nagle dłoń do ust – już ci to i owo zdradziłam, a przecież przyrzekłam sobie, że nie będę tego robić.

– Nie powie mi pani również, co się stało z Evanem i Rachelą?

– Nie.

– W tamtych czasach to było niemal przestępstwo, prawda? No, ucieczka z innym mężczyzną. Wydaje mi się, że gdyby ich złapano, na pewno obydwójce by zawisli.

Nie dała się złapać na moją subtelną przynętę.

– Nalać ci jeszcze jedną filiżankę?

– Nie, dziękuję. – Przyłożyłam rękę do żołądka. – Zaraz utonę.

– Czy powiedziałaś już o tym wszystkim Geoffowi?

– Nie. Widziałam go dziś tylko przez chwilę, wybierał się na przejażdżkę konną. On nadal nic nie pamięta. Nic z życia Richarda.

Dodałam to ostatnie zdanie całkiem niepotrzebnie, ale ona i tak skinęła ze zrozumieniem głową.

– Wiem.

– Czy kiedykolwiek sobie przypomni?

– Weź jeszcze ciasteczko. – Podsunęła mi talerz.

– Na to pytanie też mi pani nie odpowie, prawda? Dobrze, w takim razie spróbujmy inaczej. Czy jest *coś*, co mogłabym powiedzieć albo zrobić, żeby pomóc Geoffowi w przypomnieniu sobie tego wszystkiego?

– Nic – zaprzeczyła energicznie. – Nie możesz zmienić ścieżki przeznaczenia, Julio.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Nie ma sensu próbować?

– Mogłabyś tylko narobić zamieszania. – Pochyliła głowę i spojrzała na mnie uważnie. – Czy będziesz bardzo zła, jeśli ci *coś* zasugeruję?

– Nie.

– Kiedyś powiedziałaś, że nie potrafisz już kontrolować czasu i miejsca swoich powrotów. Że czasami zdarza się to całkowicie bez udziału twojej woli.

– Zgadza się.

– W takim razie zrobisz dobrze, jeżeli na kilka dni opuścisz dom i wyjedziesz na jakieś krótkie wakacje. Nie żebyś znajdowała się w jakimś szczególnym niebezpieczeństwie, ale pamiętaj, że wuj Mariany był człowiekiem gwałtownym. A ucieczka Racheli nie złagodziła bynajmniej jego usposobienia. Wydaje mi się, że powroty mogą być akurat teraz szczególnie bolesne. Rozumiesz?

Pomyślałam przez chwilę o siniakach na twarzy Karoliny i jej wystraszonego spojrzeniu.

– Tak – odparłam. – Chyba ma pani rację.

– Nie musisz wcale wyjeżdżać na długo. Powiedzmy, do następnego czwartku. Wydaje mi się, że do tego czasu wszystko powinno się jakoś ułożyć. Przecież wiesz, że humory Jabeza Howarda nigdy nie trwały długo. Spojrzałam na nią zaciekawiona.

– Widzę, że wie pani o nim bardzo dużo.

– Tyle, ile powinnam – odparła cicho, patrząc mi prosto w oczy. – Jabez Howard był moim...

Drzwi otworzyły się nagle i ukazała się w nich Vivien.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam – powiedziała – ale wszędzie cię szukam, Julio. Pilnie potrzebuję rady, jak mam się dziś wieczorem ubrać.

Alfreda Hutherson uśmiechnęła się pobłaźliwie do swojej siostrzenicy.

– A co to za okazja?

– Nieważne – odparła Vivien uśmiechnięta. – Muszę po prostu pożyczyć Julię na kilka minut. To wszystko.

– A nie chcesz, żebym ja też wyraziła swoją opinię?

– Nie, dziękuję. – Teraz się naprawdę roześmiała. – Znam twoją garderobę. A poza tym Julia jest artystką. Ma oko do kolorów, dodatków i tak dalej. – Spojrzała na mnie z nadzieją. – Masz minutkę czy naprawdę przeszkadzam wam w czymś ważnym?

– W niczym, co nie mogłoby poczekać – odpowiedziała pani Hutherson i machnęła ręką. – Lepiej idź z nią, Julio. Przecież nie możemy pozwolić na to, żeby nasza Vivien wyglądała niemodnie, spowita w jakiś lniany obrus. I nie pozwól jej włożyć nic czarnego, w czerni wygląda po prostu okropnie.

– Nawet nie mam nic czarnego – wyznała Vivien, kiedy szłyśmy drogą w kierunku Czerwonego Lwa. – Już nie. No cóż, czasami słucham też rad mojej ciotki. – Otworzyła furtkę do ogrodu na tyłach pubu.

Kiedy byłyśmy już w domu, rzuciła klucze na kuchenny stół i pokiwała głową.

– A, proszę bardzo, spójrz jeszcze na to – powiedziała.

Spojrzałam. Na dywanie w salonie leżał wyciągnięty wygodnie Ian. Miał zamknięte oczy, jedną rękę podłożył pod głowę, skrzyżował nogi.

– Takie są właśnie w dzisiejszych czasach problemy z robotnikami – powiedziała rozbawiona. – Wystarczy, że się na chwilę odwrócisz, a oni już zasypiają na twoim dywanie.

Ian, kiedy spał, wyglądał inaczej niż zwykle. Zniknęły gdzieś zmarszczki, które nadawały jego twarzy wyraz uporu i siły. Wyglądał dużo młodziej. To twarz marzyciela, marzyciela i poety, a nie rolnika, pomyślałam. Ale właśnie wtedy otworzył jedno oko i spojrzał na nas.

Moje złudzenia przysły.

– Nie śpię – powiedział. – Chciałem chwilę odpocząć.

– Jeśli dobrze pamiętam, zdaje się, że miałeś mi naprawić umywalkę.

– Tak jest, proszę pani. Już się robi, proszę pani. – Uśmiechnął się i jego szare oko spojrzało teraz na mnie. – O Boże, jeszcze sobie pomyślisz, że ona mi za to płaci.

– Nie wiedziałam, że jesteś też hydraulikiem – zdziwiłam się.

– Nie jestem, ale daję sobie radę z drobiazgami. – Usiadł i zaczął rozcierać kark. – Viv zrobiła duży błąd, że wspomniała kiedyś w pubie o cieknącej rurze, i ojciec Neda zaofiarował się, że ją naprawi. Więc wpadła w panikę i ubłagała mnie, żebym to zrobił, zanim on się do tego weźmie.

– A jeśli jest na świecie coś, czego bardzo nie chciałabym doświadczyć – uzupełniła Vivien – to z pewnością hydrauliczna partanina Jerry’ego Walsh’a.

Zaśmiałam się.

– Wiem. Mam w łazience kran, który cieknie już bodaj od trzydziestu lat.

– To i tak masz dużo szczęścia – odpowiedziała. – Kiedy przyszedł pierwszy raz, żeby coś u mnie naprawić, zalał mi kuchnię. Chyba jednak bezpieczniej poprosić o przysługę amatora..

– Och, dziękuję ci bardzo – rzekł Ian z goryczą, wstając z dywanu. – Twoje zaufanie sprawia, że serce mi rośnie.

– Przecież wiesz, co mam na myśli.

– Aha. Jak myślisz, mogę wziąć ze sobą jedno piwo? Czy też picie w czasie pracy jest zabronione?

– Ależ proszę bardzo. – Odsunęła się, żeby miał dostęp do lodówki. Kiedy światło słoneczne padło na jego twarz, oznaki zmęczenia stały się bardzo widoczne.

– Powinieneś czasami pospać trochę dłużej, wiesz? Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– No cóż, mogłaś o tym pomyśleć, zanim mnie obudziłaś. A tak w ogóle, jakie macie plany?

– Julia zgodziła się mi pomóc wybrać jakiś ciuch na dzisiejszą kolację.

Ian wzruszył ramionami.

– Powiedziałem ci już, co mi się podoba – powiedział, zamykając lodówkę. Otworzył wyjętą butelkę piwa. – Ta zielona sukienka z guziczkami.

– Ale ja chciałam zasięgnąć opinii eksperta.

Godzinę później, kiedy obejrzałam już niezliczone mnóstwo strojów, musiałam przyznać, że Ian ma rację.

– Zielona – orzekłam stanowczo. – Jest świetnie skrojona, a poza tym podkreśla twoją urodę.

– Nadaje się na skromne przyjęcie i na wystawny bankiet, prawda?

– Jasne. A propos, dokąd się wybierasz?

– Do Londynu – powiedziała, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. – Zostałam zaproszona na przyjęcie w Belgravii.

– Przez Iana?

– Na Boga, nie, Ian nie znosi Londynu. – Spojrzała krytycznie na dół sukni. – Nie wydaje ci się, że jest trochę za krótka? Nie? Zatem skoro oboje doradzacie mi właśnie tę, to posłucham waszych rad i ją włożę. – Rzuciła okiem na zegarek i skrzywiła się. – O mój Boże, już tak późno? Obiecałam Nedowi, że zanim pojedę, jeszcze na chwilę zastąpię go przy barze.

Osobiście nigdy nie podejrzewałam Neda, że ma w sobie tyle energii, iż mógłby się domagać przerwy, ale nic nie powiedziałam. Vivien zrzuciła z nóg szpilki, włożyła codzienne ubranie i przeczesała palcami włosy.

– To nie potrwa długo – powiedziała. – Jeśli chcesz, przyjdź do baru, jeśli nie masz ochoty, pokręć się trochę tutaj.

– Zostanę tu. Przecież ktoś musi pilnować hydraulika. Uśmiechnęła się.

– Racja. Jak już woda będzie ci sięgała po kolana, możesz mnie zawiadomić.

Z tego, co zdążyłam zobaczyć, Ianrdził obie doskonałe. Usiadłam na brzegu wanny i zaczęłam go obserwować” I znów, jak zwykle, jego towarzystwo sprawiło, że poczułam się rozluźniona, zrelaksowana. Stwierdziłam, że Vivien jest prawdziwą szczęściarą.

– Zdecydowałyśmy się w końcu na zieloną – poinformowałam go.

– No cóż – odparł z uśmiechem – chyba nie była to trudna decyzja. W tej sukni wygląda po prostu cudownie.

Spojrzałam na Iana.

– Wiesz, że robisz wrażenie naprawdę zmęczonego?

– I kto to mówi! – Podniósł oczy. – Czy ostatnio przeglądałaś się w lustrze? To raczej ty naprawdę potrzebujesz wakacji.

Uśmiechnęłam się.

– Szczerze mówiąc, zaczynam je od jutra.

– Ach tak? A dokąd się wybierasz?

– Do Brighton.

Spojrzał na mnie jeszcze raz i uśmiechnął się szeroko.

– Do Brighton? Tego z kolorowych pocztówek? To miejscowość nie w twoim stylu.

– Masz rację. Ale jadą tam moi rodzice i pomyślałam, że na kilka dni do nich dołączę.

– A rzeczywiście. Tom coś wspominał. Zdaje się, że twój ojciec wygrał główną nagrodę w jakimś konkursie?

– Krzyżówkowym – przytaknęłam. – Mama nie jest zachwycona tym wyjazdem, ale myślę, że moje towarzystwo trochę ją rozweseli. Poza tym już od lat nie byłam nad morzem.

– W takim razie jedź i baw się dobrze. Jeśli chcesz, przypilnujemy trochę twojego domu. No i proszę. – Po raz ostatni przekreślił żabkę i usiadł, oceniając swoją pracę. – Wydaje mi się, że zasłużyłem na co najmniej jedno dodatkowe piwo. A może pójdziemy i zobaczymy, co porabia Vivien?

Uznałam, że Brighton jest dokładnie tak samo tłumne i hałaśliwe, jak zapamiętałam to z dzieciństwa. Ale pogoda była wspaniała, a rodzice zachwyceni moim przyjazdem.

Spędziłam w ich towarzystwie cztery absolutnie beczynne dni, spacerując po plaży,

fotografując Pawilon Królewski i śmiejąc się głośno na wystawianych tam spektaklach.

Wróciłam do domu w czwartek, zadowolona i wypoczęta, zostawiłam nie rozpakowaną walizkę w holu i ruszyłam na poszukiwania Geoffa. Znalazłam go przy barze Pod Czerwonym Lwem. Bawił się szklanką piwa i rozprawiał z Nedom o rugby.

Chyba pierwszy raz widziałam Neda tak ożywionego.

– Zobaczysz, że w sobotę Pewsey pobije Calne o dziesięć punktów. Spróbowaliby nie!

– A może jednak nie?

– Stawiam dziesiątaka, że się mylisz.

– Dobra. – Mężczyźni podali sobie dłonie i Geoff mógł wreszcie odwrócić się do mnie i poprosić, żebym usiadła przy nim.

– Gość, który u mnie pracuje, jest prawoskrzydłowym drużyny z Calne – wyjaśnił. – Przemawia przeze mnie po prostu lojalność.

Ned zachichotał.

– To proste jak świński ogon – orzekł.

Posłałam Geoffowi karcące, macierzyńskie spojrzenie.

– To tak się zabawiasz, jak tylko na chwilę zniknę? – spytałam. – Pijesz i uprawiasz hazard?

– Strasznie się nudziłem – zaczął się bronić. – Nie miałem do kogo ust otworzyć, Ian był zbyt zajęty, a Vivien... – Spojrzał na Neda i zmarszczył brwi. – A właśnie, gdzie jest Vivien?

Małomówny barman uniósł jedną dłoń i pokręcił głową.

– Milczę jak grób. Nawet mnie nie pytaj.

– No cóż – ciągnął Geoff. – Vivien chodzi jakimiś własnymi drogami. Sam musiałem znaleźć sobie rozrywkę.

– Na szczęście właśnie wróciłam. Co byś chciał robić? Zastanawiał się chwilę.

– Może na dobry początek zabiorę cię na kolację, a potem wrócimy razem do dworu i pomożesz mi się pakować.

– Pakować? Dlaczego?

– W niedzielę jadę do Francji – powiedział. – Zapomniałaś?

– W najbliższą niedzielę? Wydawało mi się, że zamierzasz wyjechać dopiero pod koniec sierpnia.

Uśmiechnął się.

– Przecież koniec sierpnia właśnie się zbliża. Nie patrz na mnie w ten sposób! Nie będzie mnie tylko sześć tygodni.

Sześć tygodni! Wydawało mi się to niemal wiecznością. Wciąż jeszcze czułam niezadowolenie, nawet gdy opuściliśmy już pub i szliśmy cienistą ścieżką w stronę Crofton Hall. Czułam, jak ramię Geoffa dotyka mojego. Po paru chwilach ciszy rzekł nagle:

– Czemu nie pojedziesz ze mną? Spojrzałam na niego zaskoczona. – Co?

– No, do Francji. Czemu ze mną nie pojedziesz? W samolocie jest dużo miejsca, w domu też, nie będzie żadnego problemu. Będę się naprawdę cieszył z twojego towarzystwa.

– Och, Geoff, nie mogę. – Spojrzałam na niego błagalnie. – Naprawdę nie mogę.

Zrozumiał.

– Z powodu Mariany?

– Wiem, po prostu czuję, że wydarzy się tu coś bardzo ważnego. To może pomóc w wyjaśnieniu tego, co się ze mną dzieje. Dlatego muszę zostać w Exbury. Jeśli chcę się dowiedzieć, jak się to wszystko skończy, muszę tu zostać. Nie mogę teraz wyjechać.

Dochodziliśmy już prawie do miejsca, gdzie ścieżka skręcała przy cmentarzu. Zza kościoła widać było bramy Crofton Hall, ale zanim zdążyłam zrobić następny krok, Geoff nagle objął mnie mocno i pociągnął pod osłonę drzew. Tam, w zielonym cieniu, ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie niecierpliwie.

– O co chodziło? – spytałam, kiedy znów mogłam odetchnąć normalnie.

– Nie jestem pewien. Chyba chciałem sprawdzić, czy zwracasz jeszcze uwagę na to, co do ciebie mówię.

– Zdecydowanie tak.

Uśmiechnął się i pocałował mnie jeszcze raz, nieco delikatniej, a potem odgarnął mi z twarzy opadające uparcie włosy.

– Będziesz za mną tęskniła?

– Oczywiście że tak.

– Zastanawiam się... – Uśmiech zniknął z jego twarzy, Geoff spoważniał.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Nad czym?

– Kiedy patrzysz na mnie, kogo widzisz? – spytał. – Geoffa czy Richarda?

Odpowiedź nie powinna była mi sprawić żadnego kłopotu, a jednak nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Patrzyłam tylko na niego, jakby zahipnotyzowana jego spojrzeniem. Przestał się bawić moimi włosami i zanim opuścił rękę, musnął jeszcze lekko mój policzek.

– Którego z nas, Julio? – powtórzył łagodnie. – Wydaje mi się, że przez ten czas, kiedy mnie tu nie będzie, powinnaś się nad tym zastanowić.

Rozdział 30

Wrzesień był szarym i smutnym miesiącem, przesiąkniętym deszczem i nudą. Ogród różany we dworze nie rozkwitł w całej swej krasie, delikatne główki kwiatów zwisały smętnie na wyschniętych łodygach, wśród liści poznaczonych pleśnią. W moim małym ogródku natomiast czerwone anemony rozkwitły wspaniale ponad morzem stokrotek, ale wkrótce je także zniszczył deszcz. Świat wokół zrobił się jednostajny – widać było tylko zieleń traw i nudną szarość nieba oraz kamieni.

Kolorowe pocztówki, które przysyłał mi Geoff z południa Francji, były mgnieniem radości w tym nudnym świecie; poustawiałam je rzędem na parapecie, żeby móc na nie patrzeć podczas pracy. Znowu znajdowałam się w absolutnie nietowarzyskim nastroju, ale miałam wrażenie, że to nikomu nie przeszkadza.

Ian był zajęty zbieraniem jabłek, które miał później sprzedać jakiemuś producentowi wina w Somerset. Od czasu do czasu widziałam wypieloną ścieżkę w ogrodzie, co znaczyło, że musiał tam być. Nigdy go jednak nie zauważyłam. Pewnie pracował późnymi wieczorami. Vivien dzwoniła do mnie z rzadka, żeby poplotkować, a pani Hutherson wpadła któregoś ranka sprawdzić, co się u mnie dzieje. Ale przez większość czasu pracowałam i nic nie zakłócało mi spokoju.

Po trzech tygodniach nie potrafiłam jeszcze odpowiedzieć na pytanie Geoffa. Nie wiedziałam, czy bardziej zależy mi na nim, czy na Richardzie – ale tęskniłam za nimi obydwojema. Ostatnie dni Mariana spędzała tak samo beznadziejnie jak ja i od czasu, kiedy postanowiłam, że powroty będę odbywała tylko w domu, Richard de Mornay nie pojawił się w moich wspomnieniach. Kusiło mnie, żeby poeksperymentować jeszcze raz we dworze, odłożyłam to jednak na później; chyba jakiś głos wewnętrzny podpowiedział mi, że nie jest to potrzebne. Cokolwiek się stanie, zacznie się w Szarych Głazach. Dlatego też czekałam.

Sobota dwudziestego trzeciego września zaczęła się tak samo jak każda inna. Obudziłam się rano, słysząc bulgoczący w rynnach deszcz. Widząc ścianę wody za oknem, uznałam, że napełnienie wanny będzie po prostu zabójcze. Niemniej jednak wykapałam się i zeszłam na dół, żeby zjeść śniadanie.

W porannej poczcie znalazłam kolejną kartkę od Geoffa, tym razem z widokiem cudownie ośnieżonych szczytów Pirenejów. Tekst był krótki: „Kraj Basków. Plaże mnie znudziły, dlatego na kilka dni pojechałem do matki, do Pampeluny. Może nawet spróbuję znaleźć Roncevalles, gdzie zginął dobry stary Roland, wierny rycerz Karola Wielkiego. Mam bogaty plan zwiedzania. Całuję, Geoff”.

Navarre...

Przed oczami stanął mi ogromny siwy koń o łagodnych oczach, widziałam też dosiadającego go jeźdźca. Posmutniała, dołączyłam widokówkę do rzędu stojących już na oknie kartek, pocieszając się myślą, że będę jej mogła użyć jako wzoru do kolejnych ilustracji. Tym razem chodziło o bajki szwajcarskie.

Postanowiłam, że rano posprzątam jadalnię. Właściwie nie zrobiłam tego od czasu

przeprowadzki i pomieszczenie było po prostu zastawione pustymi kartonami, pudłami, meblami, których jeszcze nie ustawiłam jak należy, i stosami dokumentów oraz innych papierów, które odłożyłam do uporządkowania na później. Drzwi do jadalni otwierałam właściwie tylko wtedy, kiedy chciałam dołożyć coś do stosu rupieci. Mając w pamięci złotą zasadę mojej mamy, że uporządkowany dom to uporządkowane życie, weszłam do pokoju.

Zawroty głowy pojawiły się przed obiadem. Najpierw pomyślałam, że to może z głodu, ale potem w uszach zaczęło mi coraz głośniejsz dzwonić i obraz rozmył się przed oczyma. Dzwonienie narastało, a później raptem ucichło, jakby ktoś zatrzasnął w mojej głowie jakieś niewidzialne drzwi.

– W takim razie dziś w nocy – powiedział głos.

– Aha – odparł mój wuj.

Nie stali ode mnie dalej niż na wyciągnięcie ręki, byli tak blisko, że ich cienie zasłaniały mi światło słoneczne w szparze pod drzwiami. Wstrzymałam oddech, nie mogąc się poruszyć, odetchnęłam głęboko, dopiero kiedy znów zaczęli rozmawiać.

– Dziś w nocy wyruszy do Oksfordu. Jeden z naszych z nim pojedzie i wymyśli coś, żeby opóźnić całą kawalkadę i zatrzymać ją w umówionym miejscu.

– Hu to będzie ludzi?

– On i pięciu innych, razem z naszym człowiekiem.

– A nas jest siedmiu.

– Mhm. Musi się udać. – Aż się wzdrygnęłam na te słowa wuja. Mężczyźni odeszli od drzwi, ale wciąż było wyraźnie słychać ich rozmowę.

– Jakie wieści z Holandii? – zapytał nieznajomy.

– Richard Cromwell nie chce zaakceptować naszego planu, ale wydaje mi się, że to tylko ostrożność z jego strony. Kiedy zobaczy, że ma wolną drogę i może wracać, na pewno uzna, że mieliśmy słuszość.

– Słyszałem, że podupadł trochę na zdrowiu i stracił właściwie nadzieję na zwycięstwo.

Wuj parsknął zniecierpliwiony.

– Słaby obrońca jest zawsze lepszy niż stu króli, którzy się łajdaczą, grają w karty i wzywają imienia Boga nadaremno. Tak – dodał – mieszkańcy Sodomy muszą się obawiać dnia przyjścia Pana. – Zamilkł na chwilę. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie brzmiała nuta zadowolenia. – Czy już ci mówiłem, że moja siostrzenica zna doskonale Biblię?

– Tak. Może powinieneś dać tę dziewczynę biednemu Eliaszowi Webbowi, żeby mu wynagrodzić stratę?

– Zrobiłbym tak, gdyby to było możliwe. Jeśliby moja siostra nie uciekła z tym pisarczykiem, to Eliasz byłby ojcem Mariany. A teraz Rachela okryła nas hańbą i zaprzepaściła zbawienie swojej duszy. Wydaje mi się, że Eliasz jest głęboko dotknięty i już nigdy nie przyjmie swatanej przeze mnie żony.

– Wie o naszym spotkaniu?

– Eliasz? O tak, wie doskonale i mimo swych lat potrafi jeszcze całkiem dobrze utrzymać szablę. Ostrzeż pozostałych i czekajcie na nas o trzeciej na skrzyżowaniu dróg.

– Będę się modlił o powodzenie naszej wyprawy – powiedział nieznajomy, ale wuj

zaprotestował.

– Nie ma potrzeby. Pan opowiedział się już po naszej stronie, oddając nam w ręce tego diabła wcielonego. Zobaczysz, jutro wszyscy wypijemy toast za przywrócenie do władzy Cromwella.

Odeszli od drzwi, a ja poczułam, że cała dygoczę. Krew pulsowała mi w skroniach, ścierka leżała rzucona gdzieś w kąt, ręce trzęsły mi się niemiłosiernie. To nie był sen, powiedziałam do siebie, ani żaden wymysł mojej bujnej wyobraźni. Chcą zabić króla. Zabić go i osadzić na tronie Cromwella. Wydawało się to prawie niemożliwe, a jednak...

Dotknęłam policzka i poczułam ból posiniaczonej twarzy.

Mój wuj był w stanie zabić.

Uznałam, że muszę ostrzec króla... dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, jak niemądra to była myśl. Ja – ostrzec króla? To nie tylko głupie, ale niemożliwe. Coś jednak przecież trzeba zrobić. Richard, postanowiłam. Powiem Richardowi, a on już znajdzie jakiś sposób, by zawiadomić króla. Wstałam i byłam już w połowie drogi do kuchennych drzwi, kiedy brzęk talerzy przypomniał mi, że w kuchni krząta się Karolina. Wuja i jego gościa nie było już w salonie, ale ja wciąż słyszałam ich głosy dochodzące z holu. Nie miałam żadnej drogi ucieczki.

Co robić? Odwróciłam się i mój wzrok padł na okna wychodzące na ogród. Jedno z nich było uchylone. Po chwili udało mi się je otworzyć na tyle, że mogłam się przez nie precyzyjnie. Zeskoczyłam na miękką ziemię i znów przymknęłam okno, na wypadek gdyby w czasie mojej nieobecności ktoś zajrzał do pokoju. Jeśli będę miała trochę szczęścia, pomyślałam w duchu, nikt nie zauważy, że mnie nie ma. Po ucieczce Racheli w domu zrobiło się bardzo cicho; wuj i jego żona nie zwracali na mnie szczególnej uwagi.

Biegając wzdłuż muru, potem przez trawę i gęsty las, modliłam się w duchu, żeby żadne z nich mnie teraz nie potrzebowało. Biegłam na oślep jak przerażony zając, nie zwracając uwagi na bosa stopy i ubranie. Zatrzymałam się dopiero pod wielkimi dębowymi odrzwiami Crofton Hall. Pięścią załomotałam w nie z całej siły.

Drzwi otworzyły się powoli, ukazał się w nich lokaj Richarda, Mimo że jego twarz pozostała nieruchoma, błysk w jego oczach zdradził mi, że jest zaskoczony moim widokiem.

– Muszę rozmawiać z panem de Mornay – wyszeptałam prawie bez tchu. – Stało się coś strasznego.

Lokaj skinął uprzejmie głową i odsunął się, żeby mnie przepuścić.

– Pan jest w małym saloniku, panno Farr. Wydaje mi się, że zna pani drogę.

– Tak – uśmiechnęłam się z wdzięcznością. – Dziękuję.

Richard siedział przy biurku, przeglądając jakieś papiery. Kiedy weszłam, odwrócił głowę i wydał okrzyk radosnego zaskoczenia.

– Mariano! Jakim cudem się tu zjawiłaś? – Jego reakcja była tak serdeczna, że uznałam, iż powinnam odwiedzać go częściej. Ale kiedy zobaczył moją poranioną twarz i podarte ubranie, jego uśmiech zniknął.

– Co się stało?

– Zdrada, Richardzie. – Podeszłam bliżej, chwiejąc się na nogach po długim biegu. –

Chcą zabić króla. Słyszałam, jak rozmawiali...

– Kto? Wuj? – Skinęłam głową, twarz Richarda spoważniała jeszcze bardziej. – Z kim rozmawiał?

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Nie widziałam ich, nie słyszałam też nigdy dotąd tego głosu. Ale mówili, że jest ich siedmiu. Jeden 19. Mariana z nich to Eliaszb Webb. Chcą zabić króla i osadzić na tronie Cromwella.

– Richard Cromwell nie zamierza się już mieszać do polityki.

– Są przekonani, że gdy zabiją króla, zmieni zdanie. – Podeszłam jeszcze bliżej, ale nogi uginały się pode mną, tak że omal nie upadłam. Zanim zdołałam uczynić jakikolwiek ruch, Richard był już przy mnie. Podprowadził mnie do stojącego pod oknem krzesła i posadził na nim.

Zawstydzona swoją słabością, próbowałam się do niego uśmiechnąć, ale on nie zwracał na to uwagi. Kiedy spojrzał na mój policzek, jego oczy zapłonęły nagle straszliwym gniewem. Ciepłe promienie słońca padły mi na twarz, a Richard dotknął jej delikatnie, przesuając palcami po sińcach.

– Kto to zrobił?

– Richardzie – odpowiedziałam – musisz ostrzec króla. Znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ponieważ jeden z jego strażników jest zwolennikiem Cromwella.

Opuścił rękę, jego zielone oczy spojrzały na mnie.

– Kiedy chcą się na niego zacząć?

– Dziś w nocy. Wiedzą, że wieczorem król będzie wyjeżdżał z Salisbury do Oksfordu, ochraniający jedynie przez czterech strażników, z których jeden jest zdrajcą.

– Jezu! – Richard podniósł rękę do oczu, spoglądając przez okno w stronę, gdzie na horyzoncie niknęła zamglona linia pagórków.

Spojrzałam na niego badawczo.

– Ostrzeżesz go?

– Tak. Możesz być pewna, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Już raz krew króla splamiła ten kraj, nie pozwolę, żeby doszło do tego po raz drugi. Poza tym – dodał z bladym uśmiechem – Karol Stuart jest bardzo dobrym i hojnym człowiekiem. Nie chciałbym, żeby teraz zginął.

– W takim razie musisz natychmiast jechać – ponagliłam go. – Wuj ma się spotkać ze swoimi ludźmi już za kilka godzin.

– Zaczekaj tu aż do mojego powrotu – poprosił. – Moi służący się tobą zajmą.

Znow pokręciłam głową.

– Nie mogę, Richardzie. Jeśli odkryją, że uciekłam, będzie to ostrzeżenie dla wuja, który tym łacniej zechce wprowadzić w życie swój plan. A poza tym nie mogę zostawić Karoliny i dziecka samych w tym okropnym domu. Od czasu kiedy uciekła Rachel, wuj stał się jeszcze brutalniejszy, wiem, że może im wyrządzić wielką krzywdę. Muszę wracać.

– Zanim tydzień minie, uwolnię cię od Jabeza Howarda – obiecał Richard, dotykając znów mojego policzka. – Nie śmieję się. Powiedziałem, że to zrobię, a więc tak się naprawdę

stanie. Chyba że perspektywa małżeństwa ze mną nie bardzo ci odpowiada?

Uśmiech zamarł mi na ustach.

– Przecież nie możesz się ze mną ożenić.

– Naprawdę? – Teraz on zaśmiał się gorzko. – Pamiętaj, kochanie, że jestem znany z tego, iż dokonuję rzeczy niemożliwych. Zapewniam cię, że najdalej za tydzień nie będziesz już w to wątpić.

Pocałował mnie, a później podał mi rękę i pomógł wstać.

– Chodź – powiedział. – Odprowadzę cię do domu.

– Nie ma na to czasu – zaprotestowałam. – Król...

– ... zaczeka, dopóki cię nie odprowadzę – zakończył stanowczo. Wiedziałałam, że na nic się zdadzą sprzeciwy. – Twoje bezpieczeństwo jest dla mnie ważniejsze niż bezpieczeństwo Karola Stuarta. Jego życie wisiało na włosku zbyt długo, by jedna chwila robiła jakąkolwiek różnicę. Ale jeśli tak bardzo zależy ci na czasie, to pojedziemy. Navarre utrzyma nas oboje.

Krótkich dziesięć minut jazdy z Richardem było naprawdę czymś cudownym. Siedziałam przed nim, przytulona do niego, i trzymałam się mocno jego płaszcza. Zimna szabla uderzała mnie po udzie.

– Powiedziałaś kiedyś, że nigdy nie wsiądziesz z żadnym mężczyzną na konia, – rzekł, drocząc się ze mną. – A jednak musiałaś to zrobić.

Przygryzłam wargę.

– Jeśli ktokolwiek nas widział...

– ... to jesteśmy zdemaskowani – rzekł, nachylając się, żeby pocałować mnie we włosy. – Musisz się nauczyć nie dbać o to, co myślą o tobie inni.

Ale zatrzymał konia w łaskawym cieniu dębu i pomógł mi zeskoczyć na ziemię.

– Jak wejdiesz do domu? – spytał.

– W taki sam sposób, jak z niego wyszłam. Przez okno. To bardzo proste.

– Które to okno?

– Tamto – pokazałam mu. – Drugie od drzwi.

– Kiedy już wejdiesz do środka i będziesz bezpieczna, zamknij je. Pamiętaj, nie rób tego wcześniej – dodał z naciskiem. – Jeśli okno pozostanie otwarte, będę wiedział, że twoja nieobecność została wykryta, i przyjdę, żeby cię uwolnić.

Dotknęłam jego wysokiego buta.

– Richardzie?

– Tak?

– Będziesz na siebie uważał?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Pamiętaj o motcie mojej rodziny – powiedział. – Jestem niezniszczalny i o takich ludzi jak ja nie trzeba się martwić. Idź już i zatroszcz się o siebie. Zaczekam tu, aż będę pewien, że jesteś bezpieczna.

Przedarłam się przez krzewy i najszybciej, jak potrafiłam, pobiegłam w stronę ogrodu. Zdawało mi się, że spoglądają na mnie setki oczu, modliłam się jednak, żeby był to jedynie wytwór mojej wyobraźni. Musiałam próbować parę razy, żeby wejść przez okno do pokoju,

ale w końcu udało mi się i znalazłam się znów w ciemnym pomieszczeniu, pachnącym mocno pastą do podłóg. Obciągnęłam suknię i odeszłam od okna. Gdy tylko usiadłam znów przy stole, drzwi od kuchni skrzypnęły i zajrzała przez nie Karolina.

– Zachowywałaś się tak cicho – powiedziała z uśmiechem. – Myślałam, że zasnęłaś.

Uśmiechnęłam się i ja do niej, mając nadzieję, że nie zauważyła, jak drżą mi ręce.

– Otworzyłam okno – wyjaśniłam. – Zapach pasty jest tak silny, że rozboleła mnie głowa.

Nic nie odpowiedziała, spojrzała tylko na moją robótkę i wydawała się zadowolona.

– Możesz popilnować przez chwilę Johnniego? – poprosiła. – Muszę iść do twojego wuja.

– Oczywiście.

Skinęła głową i wycofała się do kuchni. Odetchnęłam głęboko. Z zachowania Karoliny wywnioskowałam, że nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Jednakże świadomość tego, że byłam o włos od wpadki, sprawiła, iż dygotałam jak liść na wietrze.

Wstałam, podeszłam do okna i spojrzałam w stronę dębu. Richard wciąż tam stał, tak jak mi obiecał – wysoki ciemny cień na ogromnym siwym koniu. Bardzo wolno zamknęłam okno. Widziałam, jak uniósł dłoń w porozumiewawczym geście. Zrobiłam to samo, ale już tego nie widział – zawrócił konia i ruszył w stronę drzew nad rzeką. Widziałam, jak wierzchowiec przechodzi w galop. Obaj zwrócili głowy w stronę Salisbury.

Rozdział 31

Ten wieczór zawisł nad nami niczym cień śmierci. Johnnie płakał i marudził, bolały go dźwięki wokół wyrzynających się ząbków i wcale nie miał zamiaru zasnąć. Uspokajał się tylko trochę, kiedy kołysałam go przytulonego do piersi, stojąc w pobliżu ciepłego paleniska. Jeśli Karolina wiedziała, dokąd pojechał jej mąż i w jakim celu, to nie dała nic po sobie poznać. Rozmawialiśmy o błahostkach, ale napięcie między nami było wprost nie do zniesienia, cała nasza trójka męczyła się z tego powodu.

Zbliżała się już północ, gdy za oknem usłyszałyśmy tętent końskich kopyt i krzyki mężczyzn w ogrodzie. Potem wszystko ucichło. Drzwi się otworzyły i w holu rozległy się ciężkie kroki wuja. Siedziałyśmy z Karoliną sztywno wyprostowane na krzesłach, spoglądając w milczeniu na drzwi kuchenne. Byłam pewna, że ona także wstrzymała oddech.

Drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem i uderzyły o ścianę. Ukazał się w nich mój wuj. Wyglądał, jakby właśnie wrócił z piekła. Johnnie, wciąż w moich objęciach, znów zaczął płakać.

– Eliaszb Webb nie żyje – powiedział wuj cicho tonem pełnym wściekłości. – I poczciwy Bill Pogue i Edmund Harrap. Wszyscy zabici.

Nie czekał nawet na naszą reakcję. Nie miałyśmy zresztą czasu, by się opamiętać. Podszedł do stołu, kopnął go i przewrócił.

– Niech diabli porwą ten przeklęty ród de Mornayów! – krzyknął, a twarz posiniała mu z nienawiści. – Nie zniosę tego dłużej!

Johnnie zaczął płakać jeszcze głośniejszym z przerażenia, chowając główkę na moich piersiach i chwytając się mojej sukni rączkami. Objęłam go mocniej i zaczęłam kołysać, nie pozwalając, by strach sparaliżował mnie samą.

– A cóż ci zrobił lord de Mornay, wuju? – spytałam cicho, ale on był tak rozszoszczony, że mnie nie słyszał. Pełne wściekłości oczy błyszczały złowroźnie w świetle padającym z paleniska.

– Może inni pogodzą się z przegraną – mówił dalej – i pozwolą zatriumfować diabłu. Ale ja widziałem jego krew i wiem, że on jest człowiekiem. – Uderzył dłonią w rękawicy o uchwyty miecza, zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

– Nie możesz uciszyć tego dziecka? – warknął, a ja przycisnęłam niemowlę jeszcze silniej do piersi.

– Wuju Jabez – zapytałam, zwilżając językiem suche wargi – co masz zamiar teraz zrobić?

Uśmiechnął się szatańsko.

– Mam zamiar poczekać na powrót twojego lorda z przejażdżki i powitać go tak, że nigdy tego nie zapomni.

Dodałam jeszcze ciszej:

– Masz zamiar go zranić, wuju?

– Mam zamiar go zabić. Karolina zbladła.

– Ależ, Jabez, na pewno...

– Sprzeciwiasz mi się? – Odwrócił się w jej stronę, ogromny i przerażający, kiedy tak stał nad moim krzesłem. – Na Boga! Jak śmiesz mi się sprzeciwiać! – Nim jeszcze się poruszył, dojrzałam złowieszczy błysk w jego oku. Nie miałam jednak siły stawić mu oporu. Wyrwał gwałtownie dziecko z moich rąk i z rozmachem cisnął je o kamienne palenisko. Upadło jak stara zabawka, zgięta i połamana.

– Jestem panem w swoim domu! – ryknął wuj. – I, na Boga, nie będziesz tego kwestionować!

Krzyk uwiązał mi w gardle. Przez chwilę wuj stał nieruchomo, spoglądając dookoła władczy wzrokiem, potem nagle odwrócił się i wypadł z kuchni. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Chwilę później usłyszałam tętent konia galopującego w stronę wsi i Crofton Hall.

Ten odgłos wyrwał mnie z osłupienia. Oszołomiona podniosłam głowę i spojrzałam w stronę Karoliny, która miotła się bezsilnie po kuchni, trzymając na rękach martwe ciało syna. Potem usiadła pod piecem, kołysząc się miarowo i śpiewając dziecku kołysankę, ale ono nie reagowało.

Popatrzyłam na jej twarz, ale nie miałam siły uczynić tego po raz drugi.

W jej oczach nie zostało już nic, umarły. To co przed chwilą się stało, sprawiło, że z żywej do niedawna kobiety pozostała jedynie martwa skorupa. Nie mogłam znieść tego widoku. – Karolino – powiedziałam cicho. Karolino, nie możemy tu zostać. Nie odpowiedziała ale mimo to nalegałam.

Jabez postradał zmysły, Karolino. Czekanie na jego powrót jest bardzo niebezpieczne.

Musimy iść i poszukać gdzieś pomocy.

Puste oczy zwróciły się ku mnie, nie rozumiejąc moich słów.

– Zaczekaj tu na mnie – rzekłam z naciskiem. – Zaraz wracam. – Nie byłam pewna, czy słyszała, co do niej przed chwilą powiedziałam. Zerwałam z haka pelerynie i pognałam w noc.

W gołębniku było strasznie ciemno, ciche gruchanie gołębi wtórowało oszalałemu biciu mojego serca. Drzwi od nadbudówki na dachu były zamknięte. Pociągnęłam linę i z ulgą poczułam, że do środka wdziera się świeże powietrze i blask księżyca, dając dość światła, żebym mogła zobaczyć przynajmniej zarysy ścian.

Kiedy tak macałam dookoła, moje palce natrafiły na wyszczerbione gniazdko.

Jeśli Bóg istnieje, pomyślałam, to klucz cały czas musi tu być. Klucz, który pozwoli mi się dostać na podwórze Crofton Hall. Wiedziałam, że tam Karolina będzie bezpieczna, zatroszczą się już o to służący Richarda. A jeśli chodzi o mnie, nie uspokoję się dopóki nie zobaczę, jak on sam wraca z wyprawy

Widziałem krew diabła, powiedział wuj, i teraz sobie te słowa przypominałam. Czy to miało znaczyć, że Richard został ranny? Ależ oczywiście że nie, przekonywałam się w duchu. Jeśliby tak było, mój wuj na pewno by się tym pochwalił. Być może Richard pojechał razem z królem aż do Oksfordu. Och, proszę, modliłam się, daj mu, Panie, tyle rozumu, żeby został u boku władcy. Nie pozwól mu dziś wracać do domu...

Zacisnęłam klucz w dłoni tak mocno, że aż zbieleły mi kostki, i pobiegłam do domu.

Karolina siedziała na krześle, czekając na mnie. Miała na sobie pelerynę. Bardzo ostrożnie owinęła szale nieruchome ciało dziecka, które cały czas trzymała na rękach.

– Może zmarznąć – wyjaśniła szeptem, jakby się bała, żeby synka nie zbudzić.

Serce ścisnęło mi się boleśnie, ale nic nie powiedziałam. Nie było sensu wyprowadzać jej ze świata uludy.

– W takim razie chodź. – Wzięłam ją za ramię i razem wyszliśmy z tego smutnego domu, zamykając za sobą drzwi.

Ani razu Karolina nie spytała mnie, dokąd idziemy, nie okazała też żadnego zainteresowania światem wokół. Posłusznie jak dziecko, w milczeniu szła za mną, przytulając do piersi swojego martwego synka. Noc była chłodna, rześka, księżyc świecił jasno na rozgwieżdżonym niebie. To była noc, której najbardziej boją się dzikie zwierzęta – noc, podczas której ściga cię twój własny cień i nawet las nie stanowi osłony przed czujnymi oczyma myśliwych.

Dotarliśmy do Crofton Hall, omijając z daleka kościół i stajnie, żeby dojść do dworu od zachodniej strony. Gdy przechodziłyśmy obok stajen, zza muru wyłonił się jakiś cień. Przerazona wstrzymałam oddech, ale okazało się, że to po prostu bejszarski pies z podkulonym ogonem. Wydawało mi się, że za plecami słyszę czyjś oddech, złożyłam to jednak na karb mojej wyobraźni i silnie wiejącego wiatru.

Bez trudu znalazłam małe, niskie drzwiczki w murze, ale ponieważ ręce mi się trzęsły, dopiero za trzecim razem trafiłam kluczem do zamka. Kiedy już to zrobiłam, przekręciłam go całkiem łatwo. Drzwi się otworzyły, a ja popchnęłam lekko Karolinę do środka i zamknęłam je szybko za sobą. Przycisnęłam ją do ściany, gdzie było najwięcej cienia, po czym położyłam palec na ustach, ostrzegając w ten sposób, żeby się nie odzywała.

– Poczekaaj tu – wyszeptałam.

Objęła mocniej dziecko i odruchowo skinęła głową.

Nagle żółty strumień światła z biblioteki zalał podwórko, a ja, unosząc skraj sukni, żeby mi nie przeszkadzała, ruszyłam w tym kierunku. Gdy wchodziłam w otwarte drzwi, serce miałam w gardle. Potem musiałam stanąć, bo chwyciły mnie czyjeś żelazne ramiona, a na szyi poczułam zimny metal. Ktoś pociągnął mnie do światła.

Gdybym tylko mogła oddychać, na pewno bym krzyknęła, ale wszystko odbyło się zbyt szybko. Jakaś ogromna dłoń zasłoniła mi nos i usta, niemal mnie dusząc. Najpierw byłam przerażona, potem ucieszyłam się, rozpoznawszy napastnika. Ręka cofnęła się równie szybko, jak na mnie spadła.

– Panienska Farr! – Przynajmniej raz na twarzy lokaja malowało się bezgraniczne zdziwienie. – Najmocniej przepraszam! Wziąłem panią za złodzieja.

Roztarłam szyję, uśmiechając się z wysiłkiem.

– Szukam tylko schronienia w zaciszu tego domostwa – wyjaśniłam. – Powiedz, czy jest tu mój wuj?

Lokaj przecząco pokręcił głową.

– Nie. Nikt nie odwiedził domu od czasu pani porannej wizyty.

– Bardzo dobrze. Panie, błagam cię – chwyciłam go za rękaw – pod żadnym pozorem nie wolno ci wpuścić tu mojego wuja. Chce zrobić krzywdę twojemu panu, a jest tu ktoś, kto może zaświadczyć, że to prawda.

Odwrociłam się i zawołałam Karolinę, która cały czas stała przytulona do zacienionej ściany.

– Chodź, Karolino! Ten człowiek to przyjaciel. Z nim będziesz bezpieczna.

Podeszła powoli, chwiejąc się i przyciskając żalosalne zawiniątko do piersi. Kiedy znalazła się w kręgu światła padającego przez okno z biblioteki, jasność padła na martwą, jakby woskową twarz dziecka, ukazując wyraźnie strużki zakrzepłej krwi.

Lokaj spojrzął i podniósł na mnie przerażone oczy.

– Gdzie jest teraz twój wuj, panienko? – spytał.

– Obawiam się, że gdzieś tu się ukrywa, czekając na powrót twojego pana – odparłam szybko. – Czy jest tutaj jakiś człowiek, któremu można zaufać?

– Oprócz mnie jeszcze trzech ludzi – odparł lojalnie. – Czy chcesz, żebym posłał po Webba?

Pokręciłam przecząco głową. Serce miałam boleśnie ściśnięte.

– Nie byłoby z niego zbyt wielkiego pożytku, po pierwsze dlatego, że nie żyje, po wtóre, że to zdrajca. Przysięgam, że nie wiem już, komu ufać. Wilki są znakomicie ukryte pomiędzy owcami.

Lokaj skrzyżował dumnie ramiona.

– W takim razie wszystko zostaje w naszych rękach – rzekł. – Poślę ludzi, żeby czuwali na drodze, w razie gdyby nadjechał nasz pan. Ostrzegą go przed niebezpieczeństwem.

Uśmiechnęłam się do niego. Kamień spadł mi z serca.

– Dziękuję ci, panie. Gdzie mogę zaprowadzić ciotkę, żeby trochę odpoczęła?

– Kominiek pali się w Sali Wielkiej, możecie się tam obydwie ogrzać. Przyślę pokojówkę, żeby towarzyszyła wam i... dziecku. – Spojrzął ze współczuciem na Karolinę, ale ona tylko popatrzyła na niego swoimi pustymi oczyma i poszła za nami.

Czekałam do czasu, aż przyszła pokojówka i usadowiła nieszczęsną wygodnie na krześle przed kominkiem, gdzie mogła kołysać Johnniego, śpiewając mu cichutko. Nie mając sił na to patrzeć, wyszłam i pobiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Bez Richarda sypialnia wydawała się zimna i pusta. Jasna księżycowa poświata sprawiała, że baldachim wyglądał wręcz upiornie. Wolałam jednak nie zapalać świecy z obawy, że mógłby to zobaczyć wuj. Wiedziałam, że czai się gdzieś za drzewem albo krzakiem, czekając na dogodną chwilę.

Wyjrzałam przez okno. W dali, za trawnikiem, widać było szeroką drogę. Miałam nadzieję, że służby Richarda zdążyli go już ostrzec i zawrócić. Stałam tak bardzo długo, ale nie wiedziałam właściwie, co spodziewam się zobaczyć. Nie wiem, która mogła być godzina, kiedy coś mnie zaalarmowało. Natychmiast obudziłam się jakby z półsnu.

Najpierw zauważyłam tylko jakiś jasny cień przemykający pomiędzy drzewami. Potem dostrzegłam, że to Navarre wiozący do domu Richarda. Poruszali się w ciemności cicho niczym duchy, a przybierający na sile wiatr zagłuszał stukot końskich kopyt.

Z pewnością ostrzeżono już Richarda, ale on mimo to jechał cały czas w kierunku domu.

Wrócił po mnie, pomyślałam z bólem. Wie, że Jabez Howard żyje i w swoim gniewie będzie chciał się zemścić. Byłam głupia, sądząc, że Richard mógłby zawrócić i uciec od niebezpieczeństwa. Pomimo to jego brawura dziwnie mnie zasmuciła. Nie wiedziałam dlaczego.

Kiedy jednak koń się nieco zbliżył, zobaczyłam, czemu ostrzeżenia sług nie dotarły do uszu Richarda. Ogier biegł bardzo szybko. Nikt nie byłby w stanie go zatrzymać. Jeździec leżał bez czucia na jego szerokiej siwej szyi. Navarre zwolnił w końcu i zatrzymał się, jego unoszące się w szybkim oddechu boki pokrywała gęsta piana. Przerazona zobaczyłam, jak Richard osuwa się bezwładnie z siodła, uderzając całą siłą ciała o ziemię. Nie ruszał się.

Znów przypomniał mi się złowieszczy uśmiech wuja i jego słowa. „Ale widziałem krew diabła i wiem, że jest człowiekiem”.

Już po raz drugi tej nocy czułam, że niemal tracę zmysły. Zobaczyłam jakiś cień biegnący w stronę leżącej na trawie nieruchomej postaci i zaczęłam szeptać żarliwą, gorącą modlitwę. Wstań, błagałam ciemną, skuloną postać na trawie. Proszę, wstań. Proszę... proszę... proszę...

Cień był coraz bliżej, a wtedy poderwałam się ze swojego miejsca przy oknie i z jakąś nadnaturalną szybkością zaczęłam biec w kierunku ciemnego korytarza.

Cisza, jaka zapadła nagle w Crofton Hall, powinna była mnie ostrzec. Tylko wiatr cały czas głośno zawodził w wysokich oknach, w domu nie było słyhać żadnego innego odgłosu. Zanim odkryłam swój błąd, było już za późno. Zdażyłam, niestety, wbiec do ogromnego pokoju.

Karolina i pokojówka cały czas siedziały przed kominkiem. Obydwie były sztywno wyprostowane i wpatrywały się w stojącą przed kominkiem postać. Mężczyzna wyciągał dłonie, żeby ogrzać je przy ogniu. Drzwi znajdowały się za nim, a za tymi drzwiami leżał na trawniku Richard – bezbronny, może nawet umierający. Ale postać wuja zagradzała mi do niego drogę.

Stojąc cały czas tyłem do mnie, odwrócił głowę i rzucił przez ramię:

– Ach, Mariana. Cóż za miłe spotkanie! Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Nic nie odpowiedziałam. Jakaś cząstką mojej udręczonej jaźni zauważyłam, że wuj zdjął pas i rękawice, ale za to wciąż ma miecz u boku. Mój wzrok padł na pas, który leżał na krześle, i zobaczyłam, że tkwi w nim sztylet. Była to wystarczająco skuteczna broń.

Jabez Howard podążył za moim wzrokiem i zmarszczył złowieszczo brwi. Mój ruch był szybki, ale nie dość szybki. Ledwie zdażyłam podbiec i zacisnąć palce na rękojeści, kiedy wuj dopadł mnie, wrywając mi sztylet i odrzucając go na podłogę.

– Myślałaś, że jestem durniem? – krzyknął, zaciskając boleśnie rękę dookoła mojego nadgarstka. – Sądziłaś, że nie dowiem się o twoich grzechach? Jesteś ladacznicą oddającą się diabłu, Mariano Farr. Nie zaprzeczaj.

Podniosłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Nie jestem ladacznicą – rzekłam dumnie. – A Richard de Mornay nie jest diabłem. To mój przyszły mąż.

I znów ujrzałam przekłęty, złośliwy uśmiech Jabeza.

– Myśle, że nie możesz poślubić trupa – powiedział wuj.

– Ależ on żyje!

– I co z tego? Jeśli nawet jeszcze żyje, są to jego ostatnie minuty. – Uśmiech zgasł nagle w oczach szaleńca. – Możesz spodziewać się tego samego. Mariano, jesteś bezwstydną grzesznicą, podobnie jak twoja matka. Pan sprowadzi karę na twoją głowę.

Widziałam, że chce mnie uderzyć, ale nagle jego uścisk stracił całą swoją moc. Zamiast tego poczułam, jak zaczyna drżeć, a potem znów zaciska dłoń wokół mojego nadgarstka. Dopiero gdy zaczęłam krzyczeć z bólu, jego palce rozluźniły się. Runął na ziemię, nie wydając z siebie głosu.

Przez chwilę patrzyłam na błyszczącą stal pomiędzy jego łopatkami, a potem podniosłam głowę, żeby spojrzeć na Karolinę. Stała przy jego ciele, ręce zwisały jej bezwładnie wzdłuż tułowia, palce miała przykurczone. Jej twarz była nieruchoma, ale w oczach ciotki widziałam triumf.

Usłyszałam kroki i odwróciłam się. Nadbiegał właśnie lokaj.

– Chłopakowi stajennemu wydawało się, że widział jakiegoś człowieka wchodzącego do domu przez drzwi od pralni! – krzyknął bez tchu, po czym oniemiał na widok tego, co ujrzał w pokoju.

Chrząknęłam, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę.

– Mój wuj miał mały wypadek, panie.

Nasze spojrzenia spotkały się ponad ramieniem Karoliny i w oczach mężczyzny zobaczyłam zrozumienie. Skinął uspokajająco głową.

– Dopilnuję wszystkiego, panienko. – Potem, jakby się reflektując, dodał. – Pan wrócił.

Przełknęłam ślinę.

– Czy on... czy on?...

– Zanieśliśmy go do kościoła, gdyż nie byliśmy pewni, czy dom jest bezpieczny. – Jego oczy były czujne. – Posłałem do Marlborough po chirurga.

– W takim razie?...

– Żyje i chce panią zobaczyć.

Nic innego nie pragnęłam usłyszeć. Zapomniałam o ciele leżącym u moich stóp, o Karolinie, o wszystkim. Myślałam tylko o Richardzie i tym, że mnie potrzebuje. Kiedy biegłam przez trawnik i ogród w stronę kościoła, nie dotykałam prawie ziemi. Widziałam, jak wysoka wieża świątyni majaczy w pierwszych promieniach wschodzącego dnia.

Rozdział 32

Nie będziesz nosić żałoby.

Obudził się i patrzył na mnie. Podniosłam głowę i również na niego spojrzałam.

– Nie będę miała do tego powodu – powiedziałam ze spokojem, którego we mnie nie było. – Wyzdrowiejesz. Niedługo będzie tu chirurg.

– Mariano! – Z jego zranionych piersi wyrwał się pełen nagany szept. Spojrzał w słabo oświetlony kąt kościoła, gdzie nie dochodziło już światło latarni.

Oczywiście, równie dobrze jak ja słyszał konspiracyjne szepty służących, którzy go tu przynieśli. Stali teraz przed drzwiami. Powiedzieli mi, że wiele widzieli w swoim życiu, są więc przekonani, że rana jest śmiertelna... nie byłoby dobrze przenosić stąd pana dokądkolwiek... najlepiej zostawić go w spokoju... i kiwali smutno głowami.

Nie mogłam oderwać oczu od jego twarzy. Każdy grymas, każde skrzywienie, każde drgnienie powieki było mi teraz droższe niż cokolwiek na świecie. Parę razy wydawało się, że przestaje oddychać, ale teraz chyba czuł się znacznie lepiej.

Przeżyłam szok, widząc go leżącego bez sił na płaszczu, rozpostartym na zimnej kamiennej podłodze. Głowa spoczywała na progu starej chrzcielnicy, opadając bezwładnie na ramię. Najpierw w ogóle nie zauważyłam krwi – nie było jej widać na ciemnym ubraniu – czułam jednak, że koszula jest nią przesiąknięta, a moje nozdrza drażnił jej mdły zapach.

Rany były poważne, ale też odniesione w obronie wielkiej sprawy. Z tego, co usłyszałam, król został ostrzeżony na czas i razem z Richardem stanął przeciwko zdrajcom. Położyli trupem czterech z nich, król odjechał bezpiecznie do Oksfordu, a Richard... nie chciałam myśleć, co dalej. Niektórzy mogliby to nazwać uczciwą wymianą za życie monarchy. Ja tak nie uważałam.

Ponad naszymi głowami święci spoglądali niewzruszenie ze swoich kamiennych postumentów. W środku nocy kościół wyglądał całkiem inaczej, zaczęłam dygotać, ale nie tylko z powodu przejmującego zimna. Richard to wyczuł i uśmiechnął się lekko w świetle wstającego poranka.

– Kiedy byłem małym chłopcem – wyszeptał – bałem się tu przychodzić po zachodzie słońca. Wydawało mi się, że pod moimi stopami mogą się nagle rozewrzeć groby, a ja do nich wpadnę. Wierzyłem też, że kościół pełen jest duchów dawno zmarłych zakonników i księży. Jeśli teraz podniosę oczy, będę mógł ich wszystkich zobaczyć. Przyszli, żeby mnie odwiedzić. Być może chcą, żebym z nimi poszedł.

– Nie bądź głupi – odpowiedziałam. Jego głos dochodził jakby z bardzo daleka. Przerazało mnie to.

– Przecież to tylko słowa – odparł. – Wydaje mi się, że to niemożliwe, aby duchowni przyjęli do swojego grona takiego poganina jak ja. Poza tym szkoda mi na to czasu, bo mój duch będzie cię pilnował.

– Chcesz mnie straszyć, co?

– Aha. – Spojrzał na mnie ciepło. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Znów odwrócił

oczy i spojrział tym razem na ołtarz. – Jakąż zagadką jest śmierć – rzekł powoli. – „Nie odkryta kraina” – tak nazywał ją Szekspir. Boimy się podróży do innych, nieznanych ziem. Ale może te kraje pełne są niezwykłych możliwości? – Zmarszczył brwi. – Kiedyś na dworze francuskim spotkałem człowieka, który twierdził, że żył w czasach cesarstwa rzymskiego i jadał razem z Cezarem. Wtedy wydawało mi się, że jest szalony. A jeśli nie był?

Znów się wzdrygnęłam.

– Czy musimy rozmawiać o śmierci?

– To prawda, że ludzie mają dusze. Dzięki temu rzeczywiście są nieśmiertelni – mówił dalej, nie zważając na moje słowa – i jeśli te dusze rodzą się do ponownego życia, to nie musisz się martwić, że mój duch będzie cię prześladował. Będę po prostu cię nawiedzał już w nowej, ludzkiej postaci.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

– A skąd będę wiedziała, że to ty?

– To proste – unióś z wysiłkiem dłoń, obracając ją tak, żebyś widziała ciężki pierścień, który miał na palcu. – Spójrz tu i zapamiętaj. To zakapturzony sokół, znak rodowy de Mornayów. Być może kaptur zasłania mu oczy, ale on i tak widzi lepiej niż inne ptaki szeroko otwartymi oczyma.

– Chcesz mi powiedzieć, że powinnam ufać swojemu sercu?

– Więcej. Duszy. – Podniósł rękę wyżej i uściśnął mnie mocno. – Pamiętaj o tym, kochanie. Nic nie może nam przeszkodzić. Jesteśmy dwiema połówkami tego samego jabłka. Sokół oznacza życie, a nasze życia przecież dopiero się zaczynają. To przeznaczenie – powiedział, uśmiechając się blado. – Czy sądzisz, że pozwolę takiej błahostce jak grób nas rozdzielić?

– Nie stracę cię – powtórzyłam drżącym głosem. Uścisk jego dłoni trochę się rozluźnił.

– Zdejmij z mojego palca ten pierścień.

– Richardzie...

– Weź mój pierścień i noś go przy sobie.

Mówił z naciskiem, więc go usłuchałam. Zsunęłam srebrny pierścień z jego palca. Pierścień był zimny, takie same były jego ręce, więc ujęłam je w swoje dłonie, starając się powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

– Pamiętaj o sokole, Mariano Farr – powiedział cicho – i szukaj mnie nie oczyma, ale duszą. Dusza wyczuje wszystko.

Pojedyncza łza stoczyła się po moim policzku, a on chwycił ją w dłoń. Chciałam się do niego uśmiechnąć, ale nie mogłam, gdyż usta zaczęły mi drżeć. Nagle zobaczyłam w jego oczach straszliwy ból. Ujął mnie za głowę i przyciągnął do siebie.

Poczułam sól własnych warg i gorzki smak jego krwi. Był to desperacki pocałunek, pełen bólu, ale równocześnie niosący nadzieję. Chciałam wstać, lecz obejmował mnie mocno.

– Sprawiam ci ból – zaprotestowałam, on jednak tylko przecząco pokręcił głową.

– Już mnie nie boli – skłamał. – Poza tym zawsze lubiłem umierać w ramionach swoich kochanek. To najbardziej romantyczna śmierć, jaką można sobie wyobrazić. – Mówił coraz ciszej, a po kilku minutach poczułam, że ustaje też ruch jego ręki głaszczącej moje włosy.

Zabrakło mi tchu.

– Nie opuszczaj mnie – wyszeptałam błagalnie. – Och, proszę, Richardzie... proszę, zostań...

– Nie bój się – odpowiedział, całując moje włosy. – Jestem niezniszczalny, pamiętasz? Pośpię tylko chwilę.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Nawet w tym słabym świetle widziałam w jego oczach pewność.

– Nie – szeptałam rozpaczliwie. – Och, proszę, Boże, nie. Richardzie...

– Innym razem – obiecał. Uśmiechnął się i zamknął oczy.

Po długiej chwili oparłam głowę na jego ramieniu i zaczęłam szlochać, wciągając spazmatycznie powietrze do płuc. Wiedziałam, że nie zostało mi już nic na tym świecie. Rozpaczliwie pragnęłam zatrzymać Richarda, ale on nie chciał zostać. Płaszcz pod moim policzkiem zeszywniał, zrobił się zimny i w końcu zamienił się w kamień. Próbowalam zacisnąć dłoń wokół pierścienia, ale on też rozplynał się w ciemności. Przez zamknięte powieki widziałam, że nadszedł już dzień, i poczułam pierwsze lekkie dotknięcie słonecznych promieni na policzku.

Byłam sama w kościele.

Nie wiem, jak długo leżałam tak z twarzą przytuloną do zimnej kamiennej podłogi, rozpaczając po mężczyźnie, który nie żył już od ponad trzech stuleci. W końcu wstałam, otarłam łzy z oczu i spojrzałam na smutnych świętych.

– Julio. – Głos, który odezwał się z ciemnej ławki pod oknem, sprawił, że niemal podskoczyłam. – Julio – powtórzyła pani Hutherson, tym razem bardziej stanowczo – musimy już iść.

Odwrociłam się zmieszana.

– O ósmej będzie msza – wyjaśniła – a teraz już dochodzi siódma.

Oczywiście, pomyślałam. Niedziela rano. Obecność pani Hutherson w kościele była dla mnie sprawą oczywistą. Alfreda powinna tu być, czekając cierpliwie. Nie miałam ochoty o nic pytać. Śmierć, której przed chwilą byłam świadkiem, otepiła mój umysł. Posłusznie skinęłam głową i postąpiłam parę kroków naprzód. Szłam, czytając wytarte napisy pod stopami.

– Gdzie leży? – spytałam.

– Tu – wskazała palcem. – Obok swego ojca.

– Ale nie widzę jego imienia.

– No cóż – uśmiechnęła się lekko. – Można to wyjaśnić. Zawiniła dżuma. Miesiąc po śmierci Richarda do Exbury zawitała zaraza. Wśród tych, których zabrała, był też miejscowy kamieniarz. Znalezienie nowego trwało ponad rok, a tymczasem do Crofton Hall przybył już bratanek Richarda, Arthur, który nie chciał wydawać niepotrzebnie pieniędzy na jakieś napisy.

– Dżuma tu przyszła?

– Oczywiście. Zebrała całkiem pokaźne żniwo. O ile wiem, zmarła jedna trzecia

tutejszych mieszkańców. Zaraza niemal starła naszą miejscowość z mapy.

– Ale Mariana przeżyła. – Uśmiechnęłam się do zimnego kamienia pod moimi stopami.

– Oczywiście – odparła – nie było jej tu wtedy. Wyjechała na parę miesięcy z Karoliną.

– Rozumiem. A co się stało z pierścieniem?

– Z jakim?

– Ze srebrnym pierścieniem Richarda. Dał go Marianie na pamiątkę.

– Ach, z tym – skinęła głową. – Chodź, to ci pokażę. Wyprowadziła mnie na dwór. Deszcz wreszcie przestał padać, ranek był czysty, świeży i przesycony cudownym,

słodkim zapachem. Gdzieś wysoko nad naszymi głowami krążył dumnie jastrząb o szeroko rozpostartych skrzydłach, w które chwycił unoszące go w górę prądy powietrza. Pani Hutherson zatrzymała się koło muru cmentarnego.

– Tu – pokazała. – To jest miejsce, w którym znajduje się teraz pierścień.

Stałyśmy nad grobem Mariany.

– Nigdy się z nim nie rozstawała – mówiła dalej. – Nosiła go stale na łańcuszku na szyi. John Howard pochował go razem z nią.

– John... – Usiłowałam zebrać myśli. – Ale przecież on umarł, kiedy był jeszcze małym dzieckiem. Jabez go zabił. Widziałam to.

– Tak. – Spojrzała na mnie dziwnie. – Zdziwiające, prawda? No, chodź już. Najwyższy czas, żebyś coś zjadła i wypila filiżankę mocnej herbaty.

Parę minut później siedziałyśmy razem w kuchni Crofton Hall. Śniadanie, które podała Alfreda, było obfite i bardzo apetyczne, ale ja jadłam, nie zwracając zbyt wielkiej uwagi na to, co leży na talerzu. Cały czas zastanawiałam się nad jedną sprawą.

– John Howard umarł – powtórzyłam. – Ale jednocześnie dożył też czasu, gdy musiał pochować Marianę Farr jakieś sześćdziesiąt lat później. Był również właścicielem mojego pulpitu, w którym trzymał bransoletkę z rajskimi ptakami...

– O śmierci dziecka wiedziało tylko pięć osób – przypomniała Alfreda, wyliczając je na palcach: – Jabez Howard, który sam zginął tej nocy. Mariana i Karolina, które zachowały to dla siebie. I dwoje służby Richarda de Mornay, lokaj i pokojówka, którzy również utrzymali to w sekrecie.

Zdziwiłam się.

– Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby... – Odpowiedź przyszła nagle sama. Zaskoczona podniosłam oczy. – O Mój Boże!

Pani Hutherson napełniła ponownie moją filiżankę.

– Nie czujesz jeszcze tego dziecka?

– Nie. To znaczy, nie zwracałam na to zbyt wielkiej uwagi.

– Karolina wiedziała – wyjaśniła pani Hutherson. – Nawet na swój sposób pomogła. Razem z Mariana wyjechały na wieś. A kiedy wiosną wróciły do Szarych Głazów, przywiozły ze sobą dziecko imieniem John. Do tego czasu zostało już niewiele osób, które pamiętały o niemowlęciu albo potrafiły określić jego wiek. Dzięki temu Mariana mogła zatrzymać dziecko Richarda i zachować dobre imię, a Karolina... Karolina mieć znów swojego Johnniego.

Patrzyłam w milczeniu na nie tkniętą filiżankę herbaty.

– Chciałabym go zobaczyć – powiedziałam w końcu. – Syna Richarda.

– Możesz, jeśli tylko chcesz. – Jak?

– Moja droga – wyjaśniała dalej cierpliwie – nie jesteś unieruchomiona w czasie, chociaż może ci się tak wydawać. To prawda, że wszystkie twoje wspomnienia odżywały w porządku chronologicznym – tak więc to, co zdarzyło się we wrześniu, nastąpi i teraz we wrześniu. Ale już raz udało ci się troszeczkę przeskoczyć w czasie.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Kiedy?

– Stajnie – powiedziała. – Pamiętasz? Weszłaś raz do stajni i zobaczyłaś konia Richarda. To wspomnienie było jakby trochę wyrwane z kontekstu. Z tego, co sobie przypominam, zdarzyło się to w maju, a w 1665 roku Mariana nie zdążyła jeszcze przyjechać do Exbury. – Spojrzała na mnie, żeby się przekonać, czy nadażam za wyjaśnieniami. – Scena, którą pamiętasz, zdarzyła się rok później.

Próbowałam sobie to przypomnieć. Weszłam do stajni i zobaczyłam stojącego w boksie Navarre'a. Co było potem, nie pamiętam, ale jeszcze później...

– Ktoś gwizdał – uprzytomniłam sobie nagle. – Na dworze. To był chyba Evan Gilroy.

– W każdym razie – mówiła dalej Alfreda – jeśli chcesz, możesz przywołać zdarzenia z różnych okresów życia Mariany. Zaufaj sobie, a sama się przekonasz. Ale – ostrzegła – nie zostało ci już wiele czasu.

– Co pani ma na myśli?

Spojrzała na mnie poważnie.

– Pamiętasz, jak kiedyś ci powiedziałam, że twoja podróż to wielkie koło?

– Tak – skinęłam głową. – Powiedziała pani, że zanim zrozumiem jej przyczynę, będę musiała przejść całą drogę od początku do końca.

– Zgadza się. No więc koło jest już prawie zamknięte. A niedługo, może już bardzo niedługo, nie będziesz mogła więcej żyć życiem Mariany.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– To znaczy, że wszystko zapomnę?

– Na Boga, nie – odpowiedziała szybko. – Te wspomnienia są już częścią ciebie, Julio, i nigdy cię nie opuszczą. Ale nie będziesz mogła już dłużej być Mariana. Rozumiesz?

– Nie.

– Widzisz, bardzo łatwo jest ugrzęznąć w przeszłości. Zaplątać się w niej i zagubić. Przeszłość jest bardzo pociągająca. Ludzie zawsze mówią o tajemnicach przeszłości, ale tak naprawdę to teraźniejszość jest bardziej zagadkowa i tajemnicza. Przeszłość natomiast już znamy i czujemy się w niej bezpiecznie. Dlatego ludzie często gubią się, zatracają i zostają tam na zawsze.

Wzruszyłam ramionami, niechętnie godząc się z tym rozumowaniem.

– Tak jest lepiej – powiedziała cicho Alfreda. – Naprawdę. Inaczej mogłabyś przeżywać tylko tamto jedno lato przez długi czas, zamiast dawać sobie radę z własnym, obecnym życiem.

– A jak długo jeszcze potrwa – spytałam – zanim koło się zamknie?

Uśmiechnęła się.

– Nie pozostało wiele czasu. Dowiesz się, kiedy nadejdzie ten moment. Skończyłaś już śniadanie? W takim razie najwyższy czas, żebyś poszła do domu spać. Ja chyba też tak zrobię. – Ziewnęła. – Dziś w nocy, pilnując cię, miałam naprawdę pełne ręce roboty.

Oczywiście, pomyślałam trochę zawstydzona. Ktoś przecież musiał za mną wszędzie chodzić, otwierać za mnie drzwi i pilnować, żebym nie zrobiła sobie krzywdy. Ktoś musiał też naoliwić zamek w drzwiach na podwórzu, tak żebym mogła bez trudu przekreślić klucz.

Przeprosiłam panią Hutherson za to, że sprawiłam jej tyle kłopotu, ale ona nie chciała nawet tego słuchać.

– Prawdę mówiąc, to było fascynujące – oświadczyła. – W ogóle nic nie mówiłaś. Stałaś tylko po cichu, rozglądałaś się i robiłaś różne rzeczy. A w Sypialni Rycerskiej zachowywałaś się dokładnie tak jak duch, którego tam kiedyś widziałam. Tyle bólu sprawił ci powrót Richarda?

Skinęłam głową.

– Spadł z konia. Spadł, a potem... – Zagryzłam wargi, ponieważ ten ból znów mnie dopadł. Pochyliła się i przykryła moją dłoń swoją silną i stanowczą ręką.

– Przepraszam, kochanie. Zapomniałam, że straciłaś go zaledwie dziś rano.

Wzięłam się jakoś w garść.

– To dziwne – rzekłam – że jego pogrzeb nie został odnotowany w księgach parafialnych.

– Wcale nie. – Wstała, żeby posprzątać za stołu. – To był rok zarazy, panowało wówczas straszliwe zamieszanie. Trudno jest cokolwiek zapisywać, kiedy świat wokół zaczyna się walić. Poza tym sądzę, że znacznie lepiej, iż tak się stało.

– Dlaczego?

– Lepiej, że nie wiedziałaś wcześniej, co się stało z Mariana i Richardem – wyjaśniła. – Tak jak lepiej jest dowiedzieć się pewnych rzeczy, doświadczając ich, niż czytając o nich w książkach. Czy wracałabyś z taką ochotą, gdybyś wiedziała, że Richard umrze bardzo młodo?

– Chyba nie – zgodziłam się z logiką jej argumentów. – Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

Uśmiechnęła się.

– Jeśli chodzi o Geoffa, nie jestem zainteresowana tym tematem.

– To nie ma z nim nic wspólnego. Właściwie chodzi o panią.

– Tak?

– Któregoś dnia, kiedy rozmawialiśmy, obiecała mi pani coś powiedzieć. O sobie i Jabezie Howardzie, o tym, skąd знаła pani tak dobrze jego charakter.

Zawahała się, ale tylko na chwilę.

– Był moim bratem.

Spojrzałam na nią zdziwiona, zaczęłam wszystko rozumieć.

– W takim razie... pani... pani musiała być...

– Teraz rozumiesz – odparła – dlaczego ci pomagałam. Kiedyś, kiedy mnie bardzo potrzebowałaś, musiałam cię opuścić. Zostawiłam cię na łasce swojego brata i tylko jako duch mogłam widzieć, co robisz, i cierpieć razem z tobą, kiedy cierpiełaś. Moje obecne życie jest

jakby formą spłaty starego długu.

To powinno być cudowne odnalezienie. Powinnam była ją uściskać i ucałować. Zamiast jednak to zrobić, usiadłam znów na krześle, a ona dalej zmywała naczynia. Mimo to wydawało mi się, że miłość, przywiązanie i poczucie bezpieczeństwa przepłynęły pomiędzy nami niby potężna morska fala uderzająca o brzeg plaży. Później będzie czas na rozmowy. Na dziś wystarczyła mi s. ma świadomość.

Prawda była taka, że właściwie czułam się niezdolna, by zareagować na tę wiadomość. Opuściły mnie wszystkie emocje. Ból z powodu śmierci Richarda był jeszcze zbyt świeży, nerwy miałam napięte jak postronki, a oczy cały czas wilgotne i zaczerwienione od płaczu.

Kiedy już opuściłam kuchnię, zamiast wyjść tylnymi drzwiami, poszłam głównym korytarzem na podwórko. Powietrze stało nieruchomo, nie czuło się tam najdrobniejszego powiewu wiatru. Dzikie wino na murze zmieniło już swoje kolory na wczesnojesienne, było pomarańczowe, miejscami purpurowe i złote. Od patrzenia na te jaskrawe barwy aż bolały oczy. Odgarnęłam pędy i zaczęłam szukać drzwi.

Tak jak przypuszczałam, były naoliwione. Nie tylko sam zamek, ale i zawiasy. Mój klucz cały czas tkwił w zamku, a kiedy go przekręciłam i wyjęłam, oliwa ubrudziła mi palce. Otworzyłam małe drzwi i wyszłam na ścieżkę, zaciskając mocno klucz w dłoni.

Przypomniałam sobie, że to właśnie Richard mi go dał i dlatego nigdy się z nim nie rozstanę. Richard...

Zamrugłam oczyma, żeby odpędzić napływające do nich łzy, i ruszyłam w stronę domu, potykając się o bryły ziemi na zaoranych polach. Przed oczyma stanęła mi twarz piękna, sympatyczna twarz o poważnych zielonych oczach.

„Którego z nas widzisz? – spytał wtedy Geoff. – Mnie czy Richarda’ „

Nigdy nie byłam tak daleka od odpowiedzi na to pytanie, jak w tej chwili.

Rozdział 33

Wydaje mi się, że zanim jeszcze zamknęłam oczy, wiedziałam, że będzie to moja ostatnia podróż w przeszłość.

Od chwili gdy wróciłam do Szarych Głazów, minęło zaledwie parę godzin, ale mnie wydawało się, że minęło co najmniej pół wieku. Od razu położyłam się do łóżka, chcąc usłuchać rady pani Hutherson, ale nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok i patrzyłam w sufit; słońce zdążyło już przemieścić się z jednej strony domu na drugą i świeciło teraz, sącząc się przez liście rosnącej pod oknami mojej sypialni wierzby.

Sen nie nadchodził. Myśl o niewidzialnym kole, które się powoli zamyka, sprawiła, że byłam niespokojna. Ten właśnie niepokój zaprowadził mnie teraz w ciche miejsce za domem.

Wierzba za moimi plecami zaczęła drzeć, kiedy słońce skryło się za chmurami i nadleciał lekki wiaterek od północy.

To był ogród, w którym widziano Zieloną Damę. Nie ogród, który stworzył Ian na miejscu dawnego gołębnika, ale dawno już zarośnięty ogród przy kuchni, w którym mieszkał przez długie lata duch Mariany. Do czasu moich narodzin. Pomyślałam, że to istotnie dobre miejsce na zakończenie rozmaitych spraw.

Zacisnęłam pięści, zamknęłam oczy i uniosłam twarz do słońca. Łagodny wietrzyk bawił się moimi włosami, podczas gdy ja czekałam, koncentrując się i wyrzucając z głowy wszystkie myśli. Prócz jednej...

Tym razem nie było żadnych zawrotów głowy, żadnego hałasu. Czułam, jak czas cofa się powoli, niby rzeka odpływająca od morza, i wiedzie mnie wprost ku moim wspomnieniom.

– Mariano.

Otworzyłam oczy i odwróciłam się do chłopca, który szedł przez trawnik w moją stronę. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał jasne włosy i oczy niebieskie jak czerwcowe niebo.

Bardzo często szukałam w nim cech jego ojca, w nadziei że w moim synu przetrwało coś z Richarda. Niestety. Ale wydaje mi się, że tak było lepiej dla niego i dla nas wszystkich. Nikt nigdy nie nazwał go inaczej, jak tylko prawowitym synem Jabeza Howarda, i nikt by tego nie uczynił, dopóki starczyłoby mi sił na zaprzeczanie.

– Kuzynko! – zawołał, przystając niedaleko mnie. – Zrobione. Zamknąłem wszystkie drzwiczki. Jeśli zmienisz zdanie, mogę je otworzyć.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Na pewno nie zmienię zdania.

– To wielka strata – powiedział, wzruszając szerokimi ramionami – ale rób, jak uważasz.

Uśmiechałam się cały czas, nawet gdy się odwrócił i podszedł do opuszczonego gołębnika. Gołębie zniknęły dziś rano, zabrane w sakwach przez służbę sir George'a Staynora, nowego właściciela Crofton Hall i wszystkich przyległych do niego ziem. Sir George był emerytowanym wojskowym i osiedlił się w swojej nowej posiadłości, pragnąc przywrócić jej świetność po upadku, do jakiego doprowadził ją Arthur de Mornay.

Stwierdziwszy, że stary gołębnik jest do niczego, kazał wybudować w pobliżu dworu

nowy, znacznie większy. Obok niego założył staw rybny. Dziś przysłał pięciu swoich ludzi po ptaki. Nie było mi przykro patrzeć, jak odchodzą ze swoimi sakwami. Kiedy ostatni wyszedł z gołębnika, kazałam Johnniemu zabić gwoździami wejście do nadbudówki na dachu.

Być może, myślałam, ptaki będą miały problemy z zagnieżdżeniem się w nowym gołębniku. I jeśli będą chciały wrócić do starego, a zobaczą, że wejście jest zamknięte, wybiorą wolność. Być może. W każdym razie nie chcę, żeby znów były uwięzione w moim ogrodzie i czekały tu na śmierć. Nie będziemy już nigdy używać tego gołębnika.

W zakurzonych i dusznych pomieszczeniach został tylko jeden mieszkaniec: mały klucz, który osobiście tam schowałam.

John podszedł do mnie i z naganą spojrzał mi w twarz.

– Znów nie spałaś, prawda?

– Marzyłam.

– Wydaje mi się, że raczej śniłaś na chodząco – powiedział z wyrzutem. – Słyszałam, jak spacerowałaś. Matka też się tak zachowywała, jak jeszcze żyła. Ale wiesz przecież, jaką była nerwową kobietą.

– Zanadto się wszystkim przejmujesz, John. To tylko jedna noc.

– Co roku ta sama. Być może kiedyś się dowiem, jaka jest tego przyczyna.

Uśmiechnęłam się i pogłaskałam go po policzku.

– Być może. Ale na pewno nie dziś. – Naraz z mojej uniesionej ręki spadło coś z brzękiem, a on chwycił to szybko w rękę.

– Musisz oddać bransoletkę do naprawy – rzekł – bo inaczej ją zgubisz. A nie wyobrażam sobie siebie bez niej.

Spojrzałam na podniszczone już trochę rajskie ptaki, które zdobiły mój nadgarstek przez ostatnie szesnaście lat – całe życie Johna. Uśmiechnęłam się smutno.

– Nie stać mnie na nowe zapięcie.

– Bzdura. – Zamknął bransoletkę w dłoni. – Sam się tym zajmę. Złotnik jest porządnym człowiekiem i jestem pewien, że zaproponuje mi przystępną cenę. Przecież nie mogę pozwolić na to, żebyś utraciła tak drogą pamiątkę.

Serce napełniło mi się niewypowiedzianą miłością. Chciałam mu powiedzieć, że z podarunków ofiarowanych przez Richarda on jest najcenniejszy, ale... nie mogłam tego zrobić. Dla jego własnego dobra.

– Bardzo się o mnie troszczysz, Johnnie – powiedziałam tylko. – Troszczymy się o siebie nawzajem.

Uznałam, że były to dobre lata, spokojne i usłane raczej różami niż cierniami. Szare Głazy, w których czułam się kiedyś jak w więzieniu, stały się dla mnie prawdziwym ogniskiem domowym. Teraz mieszkaliśmy tu tylko we dwoje. Karolina przeżyła jeszcze siedem lat, ale nie chciała dalej żyć. Odeszła cicho i spokojnie, tak jakby ktoś zdmuchnął lampę.

Pracowaliśmy razem z Johnem i utrzymywaliśmy dom i ziemię, a ja obserwowałam też, jak on dorasta.

Całkiem inaczej było z Crofton Hall. Arthur de Mornay ograbił go z wszelkich bogactw.

Pozwolił, żeby całość podupadła, podczas kiedy on łajdaczył się, grał w kości i w karty. Byłam zadowolona, że musiał sprzedać dwór. Ale jeszcze bardziej cieszyłam się z tego, że odstąpił Navarre'a nowemu właścicielowi.

Wielki siwy koń cierpiał bardzo po śmierci Richarda. Kiedy na wiosnę wróciłam do Exbury po urodzeniu Johna, zobaczyłam go raz na łące. Przeraziła mnie zmiana, jaka zaszła w zwierzęciu. Navarre wyglądał okropnie, był bliski śmierci. Dumną głowę opuścił nisko, nogi ciągnęły go ku ziemi.

Próbowałam trochę go rozweselić, przychodząc po kryjomu do stajni, kiedy opuszczali ją stajenni. Przynosiłam mu smakołyki, rozmawiałam z nim i robiłam wszystko, żeby wyciągnąć go ze straszliwej apatii, ale mimo że mnie rozpoznawał, nie chciał być taki jak dawniej. W jego smutnych, pustych oczach widziałam odbicie własnej żałoby.

Ale pewnego dnia, kiedy byłam w stajni, usłyszałam, że ktoś gwizdże, i wydało mi się, że skądś znam ten głos...

Do stajni wszedł śmiało Evan Gilroy. Kiedy go poznałam, ostrzegawczo podniósł palec do ust.

– Bądź ostrożna, panienko – szepnął cicho. Rozpoznałam go tylko po oczach i głosie. Był całkiem odmieniony – miał długie sumiaste wąsy, a na głowie modną perukę, której loki spływały mu aż do rozłożystych ramion.

– Przyjechałem, żeby zabrać Navarre'a – powiedział stanowczo. Spojrzał na konia i widziałam, jak zmienia się na twarzy. – O Chryste – rzekł – co oni z nim zrobili?

Wiedziałam, o co mu chodzi. Navarre był kiedyś jakby odbiciem swego przystojnego pana, teraz używanie jego konia do ciężkich prac było niemal bezczeszczeniem pamięci Richarda.

Evan podszedł bliżej, żeby pogłaskać ogiera. Pod wpływem jego łagodnego dotyku i na dźwięk znajomego głosu koń zastrzygł uszami. W jego oczach pojawił się jakby błysk nadziei, poczułam też, że mięśniami wstrząsnął dreszcz podniecenia. Widząc tę nagłą przemianę, omal nie krzyknęłam z radości. Rozmawialiśmy z Evanem bardzo krótko.

– Co u Racheli? – spytałam. – Przyjechała z tobą?

– Nie. Została z moimi ludźmi na północ od Bristolu. Osiem miesięcy temu wzięliśmy ślub.

– Och, Evan! – Nie kryłam swojej radości. – Bardzo się cieszę.

– Chciałbym, żebyś ty też była tak szczęśliwa jak my – powiedział cicho. – Wiesz, że cię bardzo kochał.

– Tak.

– Chciał się z tobą ożenić.

– Wiem.

Uśmiechnął się do mnie smutno.

– Razem z Rachelą jedziemy na północ – powiedział. – Do Szkocji. Chcemy tam zacząć wszystko od nowa. Z dala od ludzi, którzy tu na nas polują.

Zmusiłam się do uśmiechu, mimo że serce ścisnął mi ból. Evan odjechał na siwym koniu i wydawało mi się, że znów dojrzałam w zwierzęciu resztki jego dawnej dumy.

Kradzież wkrótce zauważono, ale nigdy nie znaleziono złodzieja. Podczas gdy ludzie Arthura de Mornay przeszukiwali okolicę, Navarre galopował swobodnie drogą do Bristolu, unosząc na grzbiecie Evana Gilroya, a wraz z nim moją miłość do Racheli. Nigdy ich już nie zobaczyłam.

To wspomnienie sprawiło, że uśmiechnęłam się smutno. John pochylił się nade mną zatroskany i westchnął głęboko. Odwróciłam się i zobaczyłam, że przygląda mi się na pół z ciekawością, na pół z niepokojem.

– Jesteś zagadką, moja droga kuzynko, którą jednak kiedyś rozwikłam – powiedział, całując mnie w policzek. – Obiecuj, że nie będziesz pracowała zbyt ciężko, kiedy będę w wiosce. Wydaje mi się, że ostatnio bardzo szybko się męczysz.

– Starzeję się – wyjaśniłam ze śmiechem. – Ale przyrzekam, że będę ci posłuszna. Postoję tu tylko jeszcze trochę i popatrzę na pola.

John znów na mnie spojrział i wahał się przez moment, tak jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Uśmiechnął się jednak tylko, odwrócił i odszedł. Ja zaś spojrzałam na ogromny falujący dywan złota i zieleni, winiąc jaskrawe słońce za niezbyt ostry obraz...

Nagle ciszę przerwał gwałtowny i natarczywy dźwięk. Zamrugałam oczyma i stwierdziłam, że nie jestem już Mariana, ale Julią, z której domu dobiega dzwonienie telefonu. Wydawało mi się, że z wielkim trudem oderwałam stopy od ziemi, tak jakbym przyrosła do tego miejsca i nie mogła oderwać od niego stóp. Kiedy powoli szłam w stronę domu, słyszałam, że telefon wciąż dzwoni.

– Zajęło ci to sporą chwilę – zaczął się ze mną przekomarzać mój brat, ale ja oparłam się o ścianę i rozcierałam skronie zdrętwiałymi palcami.

– Tak – odpowiedziałam – byłam zajęta.

– Znów pracowałaś w ogrodzie?

– Coś w tym rodzaju.

– Wszystko w porządku? – Słyszałam, że spoważniał. – Masz dziwny głos. – I zanim zdążyłam odpowiedzieć, zapytał: – Znów stamtąd wróciłaś, prawda? Co się stało?

– Tom, obiecuję, że później ci o wszystkim opowiem. Ale nie w tej chwili. Nie mam ochoty teraz o niczym rozmawiać. Muszę się przespać.

– Potrzebujesz towarzystwa? Mogę zmienić plan swoich zajęć i przyjechać. A może Vivien...

– Nie. – Odpowiedź zabrzmiała trochę niegrzecznie, ale nic nie mogłam na to poradzić. – Nikogo nie chcę widzieć. Naprawdę. Nie chcę. Chcę być sama.

– Ależ, Julio...

– Och, Tommy, proszę! – wybuchnęłam, tracąc cierpliwość. – Daj spokój, dobrze?

Usłuchał, ale zanim odłożył słuchawkę, powiedział jeszcze:

– Zadzwon, kiedy poczujesz się lepiej, kochanie. – Ulżyło mi, kiedy się rozłączył.

Powlokłam się do kuchni i spojrzałam przez okno na miejsce, gdzie przed chwilą stałam. Na miejsce gdzie w ogrodzie stała smutna młoda kobieta, wypatrując kochanka, który się jednak nigdy nie zjawił.

A może kiedyś w końcu do niej wrócił, tak jak na samym początku do mnie – wysoka

nieruchoma postać na siwym koniu pod dębem, na pozór bliska, ale zawsze poza zasięgiem.

De minęło pół roku, ile zim przyszło i odeszło, ile kwiatów rozkwitło i zwiędło w palących promieniach letniego słońca, jak długo Mariana i Richard czekali uwięzieni w czasie... czekali na tę jedną jedyną chwilę, kiedy ich dusze znów będą mogły się połączyć w ziemskiej miłości?

Teraz właśnie ta chwila nadeszła, ale ja nie mogłam doszukać się w niej żadnej przyjemności. Było tylko uczucie rozczarowania i zmarnowanego czasu.

Odwróciłam się od okna, poszłam na górę i, wyczerpana, w ubraniu padłam na łóżko. Wtedy to w półmroku cichego pokoju zmorzył mnie w końcu sen – mroczny i głęboki. Głęboki jak otchłań, bez snów. Czas snów przeminął.

Rozdział 34

Nazajutrz, korzystając z ładnej pogody, pojechałam do Londynu na obiad. To była niepotrzebna wycieczka, naprędce zaaranżowane spotkanie z wydawcą w celu omówienia nieistniejącego w rzeczywistości problemu z książką. Gdybym chciała być ze sobą szczerą, to przyznałabym, że próbuję unikać własnego domu w jakimś dziecinnyim przekonaniu, że w ten sposób odwłokę nieuniknione. Kiedy znajdowałam się daleko stąd, nie wspominałam Mariany i jej życia. I to mi odpowiadało. Gdybym jednak została w Szarych Głazach, nie wiem, czy zniósłabym jakiegokolwiek wspomnienia z mojego poprzedniego życia.

Pogodziłam się już prawie ze stratą Richarda i Racheli, ale wydawało mi się niesprawiedliwością, że muszę również stracić życie, w którym ich znałam. Wiedziałam przecież, że tak się stanie. W każdym razie, jeśli wierzyć słowom pani Huthreson. Takie było moje przeznaczenie – urodziłam się po to, żeby po latach przyjechać do tego domu, do Exbury, do Szarych Głazów, do Geoffa...

Dusza widzi to, co jest najważniejsze, powiedział mi Richard, i wierzyłam w jego słowa. Nie miałam wątpliwości, że z czasem mój ból po jego stracie minie. Z czasem również nie będę miała za złe Geoffowi, że nie pamięta nic z tego, co ja już teraz wiem. Znajdę szczęście w chwili obecnej i będę się cieszyć, że odnaleźliśmy się już dwa razy w ciągu wieczności.

W końcu mój ukochany też musi dotrzymać swojej części umowy. Powiedział, że wróci, odnajdzie mnie, i że go bez trudu poznam. Nic więcej nie obiecywał.

Pobyt w Londynie, pośród zatłoczonych sklepów i zabieganych ludzi, zrobił mi zdecydowanie dobrze. Siedziałam z moim wydawcą w obrzydliwie drogiej restauracji, patrząc na kolorowy i gwarny tłum za oknem. Nie mogłabym tu teraz mieszkać. To miasto nie było już częścią mnie ani ja nie należałam do niego, kilkugodzinny pobyt w tym miejscu wprowadził jednak znów do mojego życia porządek i napełnił mnie nową energią.

Kiedy w drodze powrotnej wjechałam na mały mostek, poczułam, że znów żyję i jestem cudownie spokojna wewnątrz. Mój dom, który górował dumnie nad polami, przywitał mnie ciepło. Wydawał się niemal niezniszczalny pod wrześnieym niebem. Pokonałam podjazd, przejechałam pod drzewami, których liście spadały na szybę samochodu, i zaparkowałam w dawnej stajni.

Czekało już na mnie towarzystwo. Vivien machała do mnie, siedząc na starym murze i majtając zawzięcie nogami. Popołudniowe powietrze było chłodne, więc miała na sobie jaskrawoczerwoną bluzę i dzinsy. Jasne włosy związała z tyłu w kitkę.

– Poczęstowaliśmy się kawą – wyjaśniła ze śmiechem. – Wiedziałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Drzwi do kuchni były otwarte.

Ian przestał pracować i oparł się na grabiach, odgarniając z czoła wilgotne włosy.

– Chciałem zrobić kanapki – powiedział – ale mi nie pozwoliła.

– No cóż – odparła bezwzględnie. – Po prostu kiedyś widziałam, jak sobie robisz kanapki.

Ktoś mógłby pomyśleć, że jeszcze nigdy w życiu nie jadłeś.

Spojrzał na nią.

– Ciężko pracuję, kochanie. Muszę uzupełniać zapasy energii.

Rzeczywiście pracował ciężko. Cały ogród był wypielony. Przekwitłe kwiaty leżały na stertach pożółkłej trawy. Zostawił tylko pnącą różę, której zdrewniałe pędy tuliły się do wyszczerbionego muru. Zostały na nich już tylko kolce. To był naprawdę cudowny ogród. Oderwałam od niego wzrok i uśmiechnęłam się do Vivien.

– Chyba też sobie zrobię filiżankę kawy – oświadczyłam.

– Czy ktoś jeszcze się napije?

– Głupie pytanie! – Ian zaśmiał się głośno i podał mi swoją filiżankę. Vivien weszła ze mną do domu, ale kiedy chciałam jej nalać kawy, pokręciła głową odmownie. – Nie mogę dłużej zostać – wyjaśniła. – Dziś wieczorem pracuję. Ale jeśli masz chwilę czasu, chciałabym cię o coś spytać.

Zaciekawiona, odstawiłam czajnik na kuchnię.

– Słucham.

– Zależy mi na tym, żebyś dowiedziała się o tym jako pierwsza... – zaczęła. – No, może niezupełnie pierwsza... Oczywiście wie o tym Ian i ciotka Freda, ale nikt poza tym.

– Wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się i wyrzuciła z siebie wreszcie:

– Wychodzę za męża.

– Vivien! – Zaskoczona, omal nie wypuściłam z rąk filiżanki. – To cudownie!

– I chciałabym, żebyś była świadkiem.

– Ależ oczywiście – odparłam natychmiast. – Z przyjemnością. A Geoff będzie pewnie drugim świadkiem?

Zmarszczyła czoło.

– A dlaczegoż to niby on?

– No – zaczęłam – myślałam... skoro są tak blisko z Ianem, to naturalne, że...

Vivien się rozchmurzyła, ale zanim coś powiedziała, posłała mi tajemnicze spojrzenie.

– Nie wychodzę za Iana, Julio. Trochę źle mnie zrozumiałas. Wychodzę za Toma.

– Toma?

– Twojego brata – wyjaśniła. – Wczoraj poprosił mnie o rękę. Wydaje mi się, że chciał cię o tym zawiadomić sam, ale chyba nie czułaś się zbyt dobrze.

– Bolała mnie głowa – odparłam mgliście. Nowiny o mały włos nie przyprawiły mnie w tej chwili o prawdziwy ból głowy. – Wychodzisz za Toma? – upewniłam się jeszcze raz, niepewna, czy w to uwierzyć.

– Tak. – Z twarzy Vivien zniknął uśmiech, zaczęła mi się przyglądać, zdziwiona i zaskoczona. – Sądziliśmy, że wprawi cię to w zachwyt.

– Oczywiście. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Naprawdę. Tylko że się tego zupełnie nie spodziewałam.

Zaśmiała się, jakby zrobiła mi dobry kawał.

– Trochę się z tym kryliśmy, prawda? Właściwie to sama nie wiem dlaczego. Chyba nas to po prostu bawiło. Te potajemne schadzki i pilnowanie, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Bo na co dzień obydwójce musimy być strasznie poważni i odpowiedzialni.

– Mnie udało się wam oszukać – przyznałam ucziwie. – Nie mogę uwierzyć, że moja

mama nic mi nie powiedziała. Przecież ona w ogóle nie umie dochować sekretu.

– Ona też nic o tym nie wie – wyjaśniła Vivien z pewnym wahaniem. – Jeszcze nie poznałam twoich rodziców.

Pomyślałam, że Tom musi być chyba rzeczywiście zakochany po uszy, żeby proponować wybrance swego serca małżeństwo bez uprzedniego przedstawienia jej całej rodzinie. Okazuje się, że pomimo naszego wielkiego zżycia nie znałam dotychczas tajemnych zakamarków duszy mojego brata. Vivien zapytała niepewnie:

– Jak myślisz, polubią mnie?

– Moi rodzice? – Uśmiechnęłam się na samą myśl o tym. – Będą zachwyceni. Naciskali na Toma, żeby się ożenił, już od czasu jego wyjazdu z Oksfordu, a poza tym jesteś bardzo w ich typie. Wydaje mi się, że ty też powinnaś ich polubić – dodałam. – Są czasami trochę dziwni, ale mili.

– Jak Tom. Zaśmiałam się.

– No, aż tak dziwni nie są.

– I nie jesteś zła? No, z powodu tego, że się pobieramy?

– Oczywiście że nie. Dlaczego miałabym być zła? – Istotnie, dlaczego, pomyślałam, spoglądając na pracującego za oknem mężczyznę. Dlaczego miałabym się spodziewać, że przeznaczenie jest doskonałe? W końcu Rachela i Evan już wcześniej byli razem, kochali się i zapewne razem się zestarzelili. Może tym razem przeznaczenie wybrało inne zakończenie ich historii.

Richard i ja, raz rozdzieleni, musieliśmy się w końcu zejść. Może Rachela i Evan w tym życiu muszą żyć oddzielnie...

Czajnik zaczął gwizdać, odwróciłam się więc od okna i zgasłam gaz. Vivien cały czas na mnie patrzyła. W jej oczach znów widziałam zatroskanie.

– Och – powiedziała nagle. – O mało nie zapomniałam. Dzwonił Geof f.

Uniosłam głowę.

– Tutaj?

– Kiedy robiłam kawę. Jakaś godzinę temu. Połączenie było tak złe, że ledwo go słyszałam, ale obiecałam mu, że przekażę ci wiadomość.

– Cały czas jest we Francji?

– Chyba tak. Wydaje mi się, że mówił coś o Pirenejach. W każdym razie prosił, żeby cię powiadomić, że zadzwoni jeszcze raz.

Nalewałam ostrożnie kawę.

– Powiedziałaś mu, że wychodzisz za mąż?

– Nie – roześmiała się. – Chyba wyleciało mi to z głowy. Właściwie prawie cały czas on mówił. Przecież wiesz, że jak już raz zaczniesz, to nie można go przegadać.

Uśmiechnęłam się.

– Zdążyłam zauważyć. Powiedział, kiedy zadzwoni?

– Nie, tylko żeby cię wieczorem nie wyciągała do pubu, no, chyba że po jego telefonie.
– Spojrzała na zegarek i skrzywiła się lekko. – O Boże, już muszę iść. Ned mnie powiesi. Słuchaj, przepraszam, że powiedziałam ci o tym tak ni z gruszki, ni z pietruszki...

– Daj spokój, jestem naprawdę zachwycona – zapewniłam ją. – Naprawdę.

– I będziesz moim świadkiem? Przyrzekam, że nie każę ci włożyć jakiejś okropnej sukienki.

– Z przyjemnością. – Podniosłam dwa palce w uroczystej przysiędze. – Mam nadzieję, że mój brat docenia szczęście, jakie go spotkało.

Vivien uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

– To ja jestem szczęściarą – oświadczyła. – Poza tym będę miała wreszcie siostrę. Zawsze bardzo chciałam mieć siostrę.

Za drzwiami przemknął jakiś cień i przez mgnienie oka wydawało mi się, że to nie Vivien, lecz Rachela stoi przede mną. Rachela z jej przyjaznym uśmiechem, radosnym spojrzeniem i płowymi włosami do ramion. Zniknęła, kiedy zamrugałam oczyma.

– Przyjdiesz później do Lwa? – Vivien zatrzymała się w drzwiach. – Po telefonie Geoffa? Z okazji tej wspaniałej nowiny wyciągnę dla ciebie butelkę mojego najlepszego bordeaux. I jestem przekonana, że inni goście też będą chcieli mi pogratulować.

Obiecałam, że przyjdę. Wyszła szczęśliwa, machając łanowi na pożegnanie. Być może z sympatii dla pracowitego Szkota zrobiłam talerz kanapek, wzięłam też filiżanki z kawą i wolno ruszyłam do ogródka. Szłam ostrożnie przez trawnik, żeby czegoś nie wylać ani nie upuścić.

Kiedy zobaczył, że nadchodzę, przestał pracować, rozprostował się i przeciągnął. Zdjął rękawice i ułożył je równo na murze, potem wziął ode mnie talerz i filiżankę.

– Jesteś aniołem – rzekł szarmancko. – No i co, powiedziała ci o ślubie?

Skinęłam głową. – Tak.

– Ma dobry gust. Bardzo lubię twojego brata. Spojrzałam na niego, szukając w jego nieprzeniknionej twarzy jakichś oznak emocji.

– Zapewne będzie ci jej brakowało. Wzruszył ramionami.

– Hampshire nie jest w końcu tak daleko, poza tym idę o zakład, że będziemy się często widywać. – Postawił talerz na murze. – Miała nadzieję, że się bardzo ucieszysz.

– Cieszę się – powiedziałam.

Wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił. Ponad płomieniem zapalki szare oczy spojrzały na mnie bez wielkiego przekonania.

– To może mi powiesz, dlaczego wyglądasz tak, jakbyś właśnie straciła najlepszą przyjaciółkę?

– Nie wiem. – Westchnęłam i oparłam się o mur, spoglądając na odległą linię wzgórz. Słońce zachodziło, ożywiając resztki kolorów obumierających roślin. Spojrzałam na opustoszały ogród. – Naprawdę nie wiem – powtórzyłam. – Ostatnie dni były dla mnie po prostu strasznie męczące. Ten deszcz i to wszystko dookoła, co umiera, i... – Głos mi zadrżał. Nie potrafiłam mu tego wyjaśnić. – To był taki piękny ogród – wykrztusiłam tylko. Wydawało mi się, że zrozumiał.

– Znów będzie – odparł. – Za rok. To właśnie jest takie cudowne w ogrodach, że zawsze ożywają.

– Może masz rację. – Znów westchnęłam. – Ale wolałabym, żeby nie umierały.

Przez chwilę się nie odzywał, spoglądając na swoje stopy, potem kopnął lekko bryłę ziemi, rozbijając ją, tak żeby widać było pozostałości korzeni jakichś roślin.

– Zobacz, one tu cały czas są – pokazał. – Bulwy, korzenie. Czekają tylko na znak, żeby znów móc rosnąć. Musisz się nauczyć, Julio, patrzeć nie tylko oczyma. – Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i wydmuchiwał go teraz bardzo powoli. – Spróbuj patrzeć duszą. Dusza zawsze widzi to, co najważniejsze.

Na chwilę wszystko znieruchomiało. Potem podniósł głowę i spojrzał na mnie ponad świeżo skopanym ogrodem. Ponad wiekami. Gdzieś za nami, w domu, zaczął dzwonić telefon, ale ja się nawet nie poruszyłam. Patrzyłam na Iana w milczeniu, serce czułam w gardle.

– Nic nie widziałaś? – spytał łagodnie. – Chryste, myślałem, że to było oczywiste. Freda wręcz siłą musiała mnie raz czy dwa powstrzymywać, żebym się nie wygadał.

Odezwałam się z wysiłkiem.

– Wiedziała?

– O tak. Wiedziała od chwili, gdy Geoff przywiózł mnie tu z Cambridge. Och, a tego lata przeżyłem piekło. Myślałem, że zwariuję... No cóż – uśmiechnął się lekko, wydmuchując dym z papierosa – przecież sama wiesz, jak to jest.

– Tak.

Mogliśmy rozmawiać choćby o pogodzie. Nie poruszył się nawet, nie podszedł, żeby mnie dotknąć – wyglądał jak zawsze. Ten sam kochany Ian – stał tak, oparty o mur, w zachodzącym słońcu jego włosy z wolna przybierały kolor miedzi, ostatnie promienie oświetliły upartą szczękę. Powoli podniósł papierosa do ust.

– Potem pojechałem do Paryża. i pracowałem u Morlanda – mówił dalej. – Byłem ciekaw co podczas swojego wygnania robił w Paryżu Richard. Przeżyłem kilka małych przygód, ale czułem się strasznie samotny, no i oczywiście nie było tam ciebie.

– Więc wróciłeś. – Niemal wyszeptałam te słowa.

– Mhm. Kupiłem dom i czekałem na twój przyjazd. Wiedziałem, że się zjawisz.

Spojrzał na mnie, potem na puste miejsce w cieniu dębu. Zapomniany telefon ostatni raz zadzwonił i zamilkł. Prawie tego nie zauważyłam.

– Czemu nic nie powiedziałaś?

– Chciałem. – Tym razem szare oczy patrzyły wprost na mnie. – Uwierz mi, naprawdę chciałem. Jak mówiłem, tego lata przeżyłem prawdziwe piekło. Ale Freda mnie zapewniła, że jeśli tylko trochę poczekam, to dowiesz się o wszystkim w odpowiednim czasie.

– Ianie...

– Na ogół – ciągnął – jestem cierpliwym człowiekiem. Ale wydaje mi się, że czekałem już wystarczająco długo. – Odrzucił papierosa i podszedł do mnie wolno, z namysłem. – Czas, żebyśmy obydwój przestali czekać i zaczęli żyć.

Ton głosu i ruchy, sposób, w jaki stanął przede mną, należały do Richarda, ale to przecież Ian podszedł do mnie, Ian stał naprzeciwko, zasłaniając słońce. Zastanawiałam się, jak mogłam być aż tak ślepa, żeby nie zauważyć tego dużo wcześniej. Wszystko, czego pragnęłam, wszystko, o czym mogłam kiedykolwiek marzyć, było w tych stanowczych

szarych oczach.

Przez długą, boleśnie długą minutę stał tylko i patrzył na mnie, cicho i poważnie. Chyba jednak w moim spojrzeniu dostrzegł odpowiedź, bo uśmiechnął się tylko, ujął moją twarz w swoje silne dłonie i pogładził mnie delikatnie po policzku.

– Nadeszły dni twojego szczęścia, Julio Beckett – rzekł łagodnie. Pochylił głowę i pocałował mnie. Gdzieś obok wzbilo się w niebo rozwrzeszczane stadko szpaków, ptaki chwilę kołowały na tle krwawoczerwonego zachodu, po czym zniknęły.